

Jochen Böhler

# Najazd 1939

*Niemcy przeciw Polsce*

Przekład

**Dariusz Salamon**



Wydawnictwo Znak

Kraków 2011

866586

Tytuł oryginału  
*Der Überfall. Deutschlands Krieg gegen Polen*

Originally published in Germany under the title *Der Überfall. Deutschlands Krieg gegen Polen* by Eichborn Verlag.  
Copyright © Eichborn AG, Frankfurt am Main, 2009.

Opracowanie graficzne  
Witold Siemaszkiewicz

Fotografia na okładce  
© Bectmann/CORBIS

Opieka redakcyjna  
Maciej Gablankowski

Adiustacja  
Jadwiga Greli

Korekta  
Katarzyna Onderka  
Kamila Zimnicka-Warchol

Indeks  
Artur Czesalc

Łamanie  
Dorota Ćwiek

%^OTHE\_C>t  
I^Tp! JA^EIL.  
CRACoviENSIS

- ' - ' ■  
---.



Tłumaczenie książki zostało wsparte grantem z Instytutu Goethego, który jest finansowany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Niemiec.

Copyright © for the translation by Dariusz Salamon

ISBN 978-83-240-1808-6

Ejprnar

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)  
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37  
Dział sprzedaży: tel. (12) 61 99 569, e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

*Dla Marty*

*Ptaki ptakom mówić będą aż do dni dzisiejszych:  
„czy słyszeliście te salny nadpanewnickim lasem?”.*

Wilhelm Szewczyk, *Ptaki ptakom*, Warszawa 1967

# Spis treści

Przedmowa do polskiego wydania 9  
Słowo wstępne do niemieckiego wydania 13

## Rozdział I

### TŁO HISTORYCZNE

<i>Legenda Freikorpsów</i>	22
Dwa narody pod bronią	26
„ <i>Wojna prewencyjna</i> ”	29
Pakt o nieagresji	32
Kryzys sudecki	35

## Rozdział II

### PRZYGOTOWANIA DO WOJNY

Między Polską a Niemcami — Żydzi niczyi	44
Koniec dyplomatycznej kurtuazji	48
Armie cieni po obu stronach granicy	56
W punkcie wrzenia	63
<i>Obersalzberg</i>	74
<i>Pakt Hitler-Stalin</i>	77
Wymachując szabelką	79
<i>Zamach bombowy w Tarnowie</i>	80
<i>Incydenty graniczne w Mostach i Tczewie</i>	83
<i>Radostacja gliwicka</i>	87
„Wypowiedzenie wojny”	92

## Rozdział III

### NAPAŚĆ

Wytrwać czy uciekać?	115
Wojna totalna	119
<i>Atak pobkiej kawalerii na niemieckie czołgi</i>	120
<i>Bombardowanie Wielunia</i>	125
Gdańsk	128
<i>Obrona Westerplatte</i>	129
<i>Obrona Poczty Gdańskiej</i>	134

Masowe aresztowania i marsze śmierci	140
<i>Bydgoska „krwawa niedziela”</i>	145
„Wojna domowa” na Górnym Śląsku	149
<i>Wieża spadochronotwa w Katowicach</i>	153
„Oczyszczanie przedpola: Żydzi, inteligencja, duchowni i szlachta” —	
„Aktion Tannenberg”	162
Volksdeutscher Selbstschutz - organ terroru SS	169
Obsesja na punkcie polskich partyzantów	173
„Krwawy poniedziałek” w Częstochowie	178
<i>Mit o „polskich partyzantach”</i>	183
„Jedno wielkie ludobójstwo” — Torzeniec i Wyszanów	189
Masowe egzekucje na jeńcach wojennych	202
Warszawa w ogniu	207
„Piekielna niedziela”	210
<i>Losy prezydenta Warszawy</i>	217
Pacyfikacja przez terror	220
Warszawa - miasto zdewastowane	224
<i>Śmierć generała von Fritscha</i>	228
<i>Osiemnastodniowa kampania</i>	232
„Błyskawiczne pogromy” — polscy Żydzi pod niemiecką okupacją	235
Masakra przemyska	243
<i>Mit o „czystym Wehrmachcie”</i>	253
Niekontrolowane akty zemsty czy planowa eksterminacja?	256

## Rozdział IV

## SPOJRZENIE WYBIEGAJĄCE W PRZYSZŁOŚĆ

„Zbrodniarz nieznający litości”	266
Brutalna samowola na rozkaz	271
Granice odwagi cywilnej	276
<i>Pociąg Führer</i>	278
<i>Abwehra ratuje warszawskiego rabina przed Zagładą</i>	287
Bez skrupułów	292
Polski dramat	296
„Sonderaktion Krakau”	298
<i>Kłamstwo katyńskie</i>	299

Epilog 307

Podziękowania 309

Katalog polskich i niemieckich mitów propagandowych 311

Wybrana bibliografia 313

Indeks nazwisk 325

Spis ilustracji 331

## Przedmowa do polskiego wydania

Książka *Najazd* ukazała się w 2009 roku jako publikacja towarzysząca produkcji telewizyjnej Radia Północnoniemieckiego w reżyserii Knuta Weinricha, pt. *Der Überfall. Deutschlands Krieg gegen Polen*, wyemitowanej 18 sierpnia 2009 roku przez Pierwszy Program niemieckiej telewizji publicznej w najlepszym czasie antenowym. Większość zwykłych obywateli Republiki Federalnej Niemiec niewiele wie o pierwszych tygodniach II wojny światowej i o fali przemocy, która przetoczyła się wówczas przez Polskę, dotykając wielu mieszkańców tego kraju. Wspomnianego wieczoru milionowa widownia w Niemczech dowiedziała się, że w trakcie kampanii polskiej we wrześniu 1939 roku również żołnierze Wehrmachtu brali czynny udział w mordowaniu ludności cywilnej; tysiące Polaków rozstrzeliwano, wysadzano w powietrze przy użyciu granatów ręcznych lub palono żywcem w ich własnych domach. Nie bez powodu wstrząsający film Weinricha wyróżniono podczas tegorocznej edycji 43. Międzynarodowego Festiwalu Filmów Niezależnych w Plouston specjalną nagrodą jurorów Special Jury Remi Award.

Towarzysząca filmowi książka przedstawia poza tym ówczesne tło historyczne. Stara się odpowiedzieć na pytanie, jak doszło do niemieckiej napaści na Polskę, a także jakie legendy o kampanii wrześniowej wciąż jeszcze funkcjonują w świadomości zbiorowej obu dotkniętych wojną narodów? W Polsce, gdzie w przeszłości pojawiło się mnóstwo publikacji na temat zbrodni hitlerowskich popełnionych w czasie okupacji, często pomijano pytania o to, kim byli wykonawcy i jak mogło dojść do tego typu czynów. Autor stara się wypełnić tę lukę, przedstawiając nie tyle wyniki szczegółowych badań dotyczących zbrodni podczas kampanii

wrześniowej<sup>1</sup>, ile raczej ich sprawców oraz ofiary. Ukazuje, w jaki sposób oba społeczeństwa — polskie i niemieckie — przeżywały tygodnie bezpośrednio poprzedzające wybuch wojny 1 września 1939 roku, a także pierwsze dni po rozpętanu się kataklizmu wojennego, który miał odcisnąć swoje piętno na życiu wielu narodów.

W Polsce wrzesień 1939 roku wiąże się z tysiącami wspomnień; każda rodzina ma do opowiedzenia własną wojenną historię, każda wieś ma swoją kronikę wydarzeń wojennych. Opisano tu — siłą rzeczy — tylko wybrane wydarzenia i mity sprzed ponad 70 lat. W roku 2009, w siedemdziesiątą rocznicę niemieckiej agresji na Polskę, ukazało się wiele polskojęzycznych publikacji, które nie mogły zostać uwzględnione w niniejszej książce, a które zasługują choćby na wymienienie<sup>2</sup>. Publikacje te nie podważają nakreślonego tu obrazu, lecz dopełniają go. Warto przy tym zwrócić uwagę na kuriozalny fakt, że fotografia zamieszczona na stronie 201 niemieckiego wydania książki (w wydaniu polskim s. 246) przedstawiająca niemieckich policjantów w Polsce we wrześniu 1939 roku w otwartym samochodzie, zainspirowała domorosłych historyków do przeprowadzenia wiosną 2010 roku gorączkowych badań; w jednym ze sfotografowanych oficerów rozpoznali oni rzekomo przodka premiera Donalda Tuska. To wydarzenie ukazuje, że czas mitów i legend jeszcze nie przeminął<sup>3</sup>.

<sup>1</sup> Por. Jochen Böehler, *Zbrodnie Wehrmachtu w Polsce: wrzesień 1939: wojna totalna*, Kraków 2009; Jochen Böehler, Klaus-Michael Mallmann, Jürgen Matthäus, *Einsatzgruppen w Polsce*, Warszawa 2009.

<sup>2</sup> Na przykład: Leszek Moczulski, *Wojna polska*, Warszawa 2009; *Wieluń był pierwszy: bombardowania lotnicze miast regionu łódzkiego we wrześniu 1939 r.*, red. Janusz Wróbel, Instytut Pamięci Narodowej - Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Oddział w Łodzi, 2009; Maria Wardzyńska, *Był rok 1939: operacja niemieckiej policji bezpieczeństwa w Polsce „Intelligenzaktion”*, Instytut Pamięci Narodowej - Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, 2009; Tomasz Chinciński, *Forpoczta Hitlera. Niemiecka dywersja w Polsce w 1939 roku*, Gdańsk — Warszawa 2010; Włodzimierz Jastrzębski, *Mniejszość niemiecka w Polsce we wrześniu 1939 roku*, Toruń 2010.

<sup>3</sup> [http://wyborcza.pl/1,75478,7885462,Donald\\_Tusk\\_z\\_SS\\_i\\_spisek\\_smolenski.html](http://wyborcza.pl/1,75478,7885462,Donald_Tusk_z_SS_i_spisek_smolenski.html) [23.03.2011],

W tym miejscu chciałbym podziękować kierownikowi Redakcji Literatury Historycznej Społecznego Instytutu Wydawniczego Znak, Panu Maciejowi Gablankowskiemu, za uwzględnienie niniejszej książki w programie wydawnictwa. Równie serdecznie pragnę podziękować rodzinom Kazimierskich i Leo, które sprawiły, że ostatnie lata mojego pobytu w Warszawie stały się dla mnie niezapomnianym przeżyciem.

Jena, marzec 2011

Jochen Böhler



## Słowo wstępne do niemieckiego wydania

W skąpanym w słońcu Ogrodzie Saskim spacerowym krokiem przechadzają się wystrojeni warszawiacy. Kobiety pchają przed sobą wózki dziecięce. W tle widać klasycystyczną kolumnadę nieistniejącego już Pałacu Saskiego. Pierwsza scena z filmu Romana Polańskiego *Pianista* jest osadzona jeszcze w czasach pokoju. Cięcie — w studiu nagraniowym Polskiego Radia młody wirtuoz fortepianu Władysław Szpilman (w tej roli nagrodzony Oscarem Adrien Brody) gra nokturn cis-moll Chopina. Podczas nagrania na Warszawę spadają pierwsze bomby Luftwaffe. Nagle muzyka w studiu milknie — przerywa ją ogłuszający huk. Po chwili wszystko dookoła spowija chmura pyłu i odłamków szkła. Szpilman, który schronił się za fortepianem, wstaje oszołomiony. W zasadzie nie doznał większych obrażeń. Jest wrzesień 1939 roku — to początek wojny.

Owe dwie sceny w sposób szczególnie sugestywny unaoczniają szok, którego doznała polska ludność wskutek impetu niemieckiej napaści. W rzeczywistości sielankowego obrazka w Ogrodzie Saskim Polański nie nagrał, filmując statystów. Reżyser wykorzystał sekwencję gotowych dokumentów, których autorem był amerykański obywatel i filmowiec amator Julien Bryan. W latach trzydziestych Bryan utrwalił na taśmie celuloidowej sceny z życia codziennego Polaków. Jego zdjęcia przedstawiają między innymi elementy góralskiego folkloru, żydowską dzielnicę w Krakowie, kawalerzystów podczas manewrów, parady wojskowe, a także wspomnianych już wcześniej warszawiaków spacerujących tamtego październikowego lata w Ogrodzie Saskim.

We wrześniu 1939 roku Julien Bryan przebywał w Warszawie wbrew swojej woli. W nadwiślańskiej metropolii zatrzymał go wybuch wojny. Dzięki temu Amerykanin stał się naocznym świadkiem siejących

spustoszenie niemieckich nalotów bombowych. Wtedy też — na zlecenie prezydenta miasta Stefana Starzyńskiego — uwiecznił swoją kamerą zniszczenia, które w Warszawie spowodowała Luftwaffe w pierwszych dniach wojny. Zdjęcia filmowe Bryana, przechowywane obecnie w amerykańskim archiwum Steven Spielberg Film and Video Archive w Waszyngtonie, należą do najwymowniejszych świadectw wojennych przeżyć polskiej ludności cywilnej w pierwszych dniach II wojny światowej.

Polaków zaskoczyły zawrotne tempo i bezwzględność niemieckiego ataku. To właśnie wtedy po raz pierwszy objawił się nowy wymiar nowoczesnej techniki wojennej, tak charakterystyczny później dla wojny totalnej w Europie Wschodniej. Podobnie jak w przededniu I wojny światowej i tym razem oznaki nadciągającej katastrofy można było zaobserwować w miesiącach i latach bezpośrednio poprzedzających niemiecką agresję. Nawet idylliczna scena w Ogrodzie Saskim jest tylko złudzeniem. Przed wojną w gmachu Pałacu Saskiego miało swoją siedzibę polskie Ministerstwo Obrony, w którym już od 1936 roku debatowano nad planem „Zachód”, scenariuszem obronnym opracowywanym na wypadek, gdyby doszło do agresji Niemiec na Polskę.

Wrzesień 1939 roku był miesiącem, który zmienił świat. Cywilizacja ustąpiła wówczas miejsca barbarzyństwu, a przejście to dokonało się niemal niepostrzeżenie. Polska jako pierwsza padła ofiarą imperialnych apetytów zachodniego sąsiada. Pięcioletni okres niemieckiej okupacji — do wybuchu Powstania Warszawskiego w 1944 roku — znamionowała niepotykana dotąd bezwzględność. W owym czasie Polska straciła 15 procent przedwojennej populacji, a także stała się miejscem eksterminacji europejskich Żydów na skalę przemysłową. I właśnie ten niewyobrażalny wręcz ogrom zbrodni hitlerowskich sprawił, iż w przeszłości nie podejmowano badań nad przyczynami procesu, który doprowadził do ludobójstwa. Nie sposób jednak pojąć danego zjawiska, jeśli nie zgłębi się jego genezy. Aby zatem zrozumieć istotę wojny polsko-niemieckiej we wrześniu 1939 roku, należy najpierw udzielić odpowiedzi na następujące pytania: Jak postrzegały się wzajemnie oba państwa powstałe na gruzach

I wojny światowej? Jak ludzie po obu stronach granicy przeżywali kryzys dyplomatyczny na linii Warszawa — Berlin w lecie 1939 roku? Jak przebiegała niemiecka agresja na Polskę, jakie ekscesy jej towarzyszyły i czy można je w ogóle jakoś wyjaśnić? Jakie znaczenie miały pierwsze tygodnie II wojny światowej dla dalszych losów Pol sici i Niemiec? Mimo że od tamtych czasów minęło już siedemdziesiąt lat, wszystko wskazuje na to, iż nie udało się jeszcze ustalić wielu rzeczy. Wokół zaś samej kampanii wrześniowej (po niemiecku *Septemberfeldzug*) oraz wydarzeń stanowiących preludeum do tej wojny narosło wiele mitów i legend.

Polacy i Niemcy nieuchronnie postrzegają tamte wydarzenia z różnych punktów widzenia. Autor ma nadzieję, iż niniejsza publikacja przyczyni się do usprawnienia dialogu i do wzajemnego zrozumienia między obydwoima krajami. Wciąż bowiem się zdarza, iż skomplikowana wspólna historia obu narodów rzuca cień na ich obecne relacje.

Warszawa, maj 2009

Jochen Böhrer

ROZDZIAŁ PIERWSZY

# TŁO HISTORYCZNE

Starszy lekarz sztabowy Rudolf K. przybył do Polski wraz ze 101. Pułkiem Piechoty w pierwszym tygodniu września 1939 roku. Gdy w nocy ów oficer Wehrmachtu usłyszał ze swojej kwatery strzały, od razu przyszli mu na myśl „ci «straszni» insurgenci”. Pisał o nich w liście do żony, wspominając przeżycia z Górnego Śląska.

Niemiecka napaść na Polskę była osadzona w kontekście poprzednich wydarzeń, o których dziś — przynajmniej w Niemczech — już prawie nikt nie pamięta, a które były jasne dla żyjących wówczas ludzi. Już dwadzieścia lat przed wybuchem II wojny światowej na pograniczu polsko-niemieckim doszło do zaciętych walk zbrojnych, a ostateczny przebieg linii granicznej poważnie obciążył relacje między obydwooma krajami w najbliższej przyszłości. Rok 1918 nie tylko oznaczał koniec I wojny światowej. W tym samym czasie wybiła także godzina narodzin dwóch sąsiadujących ze sobą krajów w Europie Środkowej — II Rzeczypospolitej i Republiki Weimarskiej — których sytuacja wyjściowa była skrajnie odmienna. Podczas gdy w Polsce po ponadstuletnim okresie zaborów świętowano upragnioną niepodległość, niemieckie społeczeństwo przeżywało traumę spowodowaną klęską wojenną, wichrami rewolucji i raptownym upadkiem monarchii wilhelmińskiej.

Ponieważ Polska na ponad sto lat dosłownie zniknęła z mapy Europy, musiała najpierw walczyć o własne istnienie oraz o granice nowego państwa. Do utworzenia państwa polskiego mogło dojść jedynie kosztem terytoriów, do których rościły sobie prawo byłe mocarstwa zaborcze: Rosja, Prusy i Austria. I tak na przełomie lat 1918 i 1919 w Wielkopolsce lokalne oddziały polskich powstańców przez wiele tygodni prowadziły małą wojnę z niemieckimi Freilcorpsami. Obie strony wykorzystywały swoje oficjalne zadanie zabezpieczenia granicy jako pretekst

do dokonywania aktów grabieży i siania terroru przeciwko miejscowej ludności.

Zawarty latem 1919 roku w Wersalu traktat pokojowy miał położyć kres także tym tłącym się jeszcze konfliktom. Niemcy jako wielki przegrany skazane były z góry na gorsze warunki negocjacyjne. Większa część Prus Zachodnich oraz prowincji Posen przypadła Polsce, która uzyskała tym samym dostęp do Bałtyku. Od tej pory tak zwany korytarz pomorski oddzielał Prusy Wschodnie od reszty ziem niemieckich. Gdańsk stał się wolnym miastem pod protektoratem Ligi Narodów, a na arenie międzynarodowej miał być reprezentowany przez Polskę. Z kolei Prusy Zachodnie i prowincja poznańska zostały wcielone do Prus dopiero ponad sto lat wcześniej.

O przynależności państwowej Górnego Śląska miał zadecydować plebiscyt. Głosowaniu, które odbyło się ostatecznie w marcu 1921 roku, towarzyszyły wznowione walki zbrojne niemieckich Freikorpsów z oddziałami polskich powstańców, których określano mianem insurgentów. Obie walczące strony dopuszczały się wówczas aktów przemocy względem miejscowej ludności. Mimo że większość uczestników plebiscytu opowiedziała się za pozostaniem Górnego Śląska w granicach państwa niemieckiego, Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa podjęła decyzję o podziale spornego terytorium. Polska otrzymała mniejszą część Górnego Śląska, obejmującą jednak cały istotny z punktu widzenia gospodarki obszar przemysłowy.

### **Legenda Freikorpsów**

Biorące udział w walkach na pograniczu polsko-niemieckim w latach 1919-1921 Freikorpsy były organizacjami paramilitarnymi. Ich szeregi zasilali wracający z frontu żołnierze niemieccy oraz ochotnicy. Członków tych oddziałów łączyła niezgoda na utworzenie państwa polskiego kosztem Rzeszy (wcześniej Prus). Granica między patriotycznymi siłami narodowyzwoleńczymi a zorganizowanymi bandami była

bardzo płynna, dlatego też przez nadrzędne władze niemieckie Freikorpsy były określane jako „bandy zbójckie” lub „motłoch”. Poza samą Rzeszą Freikorpsy wzięły także udział w walkach przeciwko jednostkom sowieckim w krajach nadbałtyckich. Centralnym mi-tem całego ruchu, którego oddziaływanie znacznie wykraczało poza szeregi bojówkarzy, były walki na Górnym Śląsku, w szczególności zaś zdobycie Góry Świętej Anny przez Freikorps „Oberland” w maju 1921 roku. Paramilitarne bojówki niemieckie odniosły wówczas zwycięstwo mimo liczebnej przewagi polskich oddziałów.

Mimo że Freikorpsy okresowo działały w interesie Republiki Weimarskiej, rząd republikański postrzegał je jako czynnik nieobliczalny i potencjalne zagrożenie dla młodej demokracji niemieckiej. Obawy te nie były bezpodstawne, gdyż paramilitarne bojówki wzięły także udział w starciach zbrojnych w samej Rzeszy, między innymi w stłumieniu Monachijskiej Republiki Rad w 1919 roku oraz w pu-czu Kappa w 1920 roku. Po rozwiązaniu Freikorpsów na początku lat dwudziestych bojówkarze przeszli częściowo do oddziałów stuty-sięcznej Reichswehry, częściowo do skrajnie prawicowych formacji paramilitarnych, takich jak *Stahlhelm*, SA czy SS. Na terenie Górnego Śląska utworzyli w 1920 roku wraz z oficerami Reichswehry nielegalną grupę terrorystyczną Organisation Consul, która na przełomie lat 1921 i 1922 była uwikłana w morderstwa polityczne; ich ofiarą padli między innymi Matthias Erzberger i Walter Rathenau. Walki zwią-zków paramilitarnych w pierwszych latach istnienia Republiki Wei-marskiej były gloryfikowane w licznych publikacjach ukazujących się później w III Rzeszy. Flucznie obchodzono także wszystkie rocznice. W rzeczywistości Freikorpsy były prototypem narodowosocjalistycz-nych jednostek bojowych i prekursorem niemieckich rządów terroru w Europie Wschodniej.

Na początku maja (1921) Polacy zajęli naszą wieś i ostrzelali nas z ar-tylerii ze swoich pozycji na wzniesieniach Góry Świętej Anny w Za-lesiu Śląskim i Lichyni. Pewni zwycięstwa śpiewali w naszej altance

polskie pieśni żołnierskie. [...] Śpiewali i mówili: „Jutro Święta Anna nasza!”.

Jednalt stało się inaczej. Niemieckie Freikorpsy i oddziały patriotyczne ubiegły Polaków, przypuszczając atak na zajmowane przez nich pozycje. Wokół naszego domu i na naszych polach rozgorzała prawdziwa bitwa; niektórzy byli ciężko ranni, były nawet ofiary śmiertelne! Po zakończeniu bitwy podzielono nas, dzieci i dorosłych, na grupki, by przeczesać porośnięte już wtedy wysokim zbożem pola w poszukiwaniu ciał poległych.

Wciąż przed oczami mam martwego Polaka. Znalazłem go w łanie zboża nieopodal naszego domu. Miał jakieś dwadzieścia lat, piękne, kasztanowe włosy i szlachetne rysy. Leżał twarzą do ziemi. Znalazłem przy nim papiery, z których wynikało, że nazywał się Urban Dusza. W lewej kieszeni marynarki miał trzy ugotowane na twardo jajka — może była to jego dzienna racja żywnościowa!

Edmund Vincent Moschko, *Unvergessene Heimat. Annaberg O/S [Oberschlesien]*, Augsburg 1975, s. 15—16.

Spoleczeństwo niemieckie jednomyślnie potępiło polskie nabytki terytorialne. Obszar o łącznej powierzchni ponad 40 000 kilometrów kwadratowych, na którym żyły trzy miliony Niemców, został odstąpiony Polsce. Natomiast dla Polaków możliwie najhojniejsze wytyczenie granic stanowiło ważny czynnik bezpieczeństwa. W przeszłości Rzeczpospolita miała zle doświadczenia w relacjach ze swoimi silnymi sąsiadami. Położenie między Rosją a Rzeszą Niemiecką także tym razem stało się powodem do obaw i było decydującym czynnikiem, który określał jej politykę zagraniczną. W latach 1919-1921 Polska prowadziła na wschodzie wojnę o granice z tworzącą się właśnie Rosją Sowiecką. Rozstrzygnął ją w ostatnim momencie na korzyść Pol się dowódca oddziałów polskich i późniejszy szef państwa marszałek Józef Piłsudski. Decydująca bitwa, stoczona wówczas pod Warszawą, była odtąd określana jako „cud nad Wisłą”. Po zakończeniu wojny z Rosją Sowiecką wschodnia granica



kraju przebiegała 150 kilometrów dalej na wschód niż ustalona prowizorycznie w 1919 roku linia Curzona, która swoją nazwę zawdzięczała brytyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych. Nowa granica polsko-sowiecka była solą w oku politycznych decydentów w Moskwie. W 1922 roku dylemat Polski i rewizjonistyczne roszczenia terytorialne Niemiec jasno sformułował ówczesny szef sztabu Reichswehry generał Hans von Seeckt. Z dalekowzrocznością profety stwierdził wówczas w swym rozgoryczeniu: „Istnienie Polski jest nie do zniesienia, nie do pogodzenia z sytuacją życiową Niemiec. Polska musi zniknąć i zniknie dzięki własnej słabości i dzięki Rosji — i z naszą pomocą”.

### **Dwa narody pod bronią**

Określający powojenny los Niemiec traktat wersalski przewidywał redukcję niemieckiej armii do 100 000 żołnierzy. Ponieważ w 1919 roku w szeregach Reichswehry wciąż pozostawało bądź co bądź 425 000 ludzi, niemieckie siły zbrojne musiały drastycznie zmniejszyć swoją liczebność. To wymuszone z zewnątrz rozbrojenie, a także straty terytorialne na rzecz Polski oraz uciążliwe reparacje wojenne przyczyniły się do powstania ogólnonarodowego konsensusu w kwestii odrzucenia powojennego ładu, postrzeganego powszechnie — niezależnie od realnie istniejących podziałów politycznych — jako niesprawiedliwy. Wśród oficerów Reichswehry, na których odcisnęły się piętnem doświadczenia wyniesione z I wojny światowej i którzy przeżyli koszmarne okresy chaosu spowodowany klęską wojenną, rewolucją i walkami o granice, zrodziła się tęsknota za ideałem wspólnoty zbrojnej - „narodu pod bronią”. Sądziło się, że tylko remilitaryzacja umożliwi mobilizację całego społeczeństwa do walki przeciwko wrogom wewnętrznym i zewnętrznym w każdej chwili. Za takich wrogów uchodzili przede wszystkim socjaliści, Żydzi, Słowianie, jak również członkowie

polskich oddziałów powstańczych, których określano mianem „insurgentów” lub „partyzantów”.

Mimo to w okresie republikańskim przekształcenie narodu we wspólnotę zbrojną było wciąż raczej kwestią marzeń niż faktem. Odnośne plany nie wyszły wówczas poza fazę wstępną. A działo się tak, ponieważ rządowi Republiki Weimarskiej zależało na uzdrowieniu sytuacji w kraju przy jednoczesnym poszanowaniu zasad określających pokojowy ład powojenny, który został ustanowiony w 1919 roku. Dlatego też mianowanie Adolfa Hitlera kanclerzem Rzeszy w styczniu 1933 roku spotkało się z przychylnym przyjęciem wojskowych oficjeli — rewizjonistyczna postawa nowego rządu zdawała się wychodzić naprzeciw ich własnym oczekiwaniom. Nie dziwi więc fakt, iż przejęcie steru władzy przez Hitlera było postrzegane w tych kręgach nie jako katastrofa, lecz jako wielka szansa. Jawnie propagowane przez przywódcę nazistów i od dłuższego czasu wyczekiwane przez Reichswehrę zbrojenia wydawały się teraz na wyciągnięcie ręki, nawet jeśli ich wdrożenie oznaczało rażące pogwałcenie zapisów traktatu wersalskiego. Poza ustanowieniem milicji i przekształceniem narodu we wspólnotę militarną zbrojenia wydawały się nieodzowne do zaprowadzenia nowego ładu terytorialnego na wschodzie, z czego nikt nie zamierzał rezygnować. Znaczna większość niemieckiego społeczeństwa sprzyjała takim planom.

Nawiasem mówiąc, podobny rozwój wydarzeń można było wówczas zaobserwować również w innych krajach. Gwałtowna industrializacja w XIX wieku, mobilizacja mas, a także relatywizacja opozycji między zapleczem a linią frontu w czasie I wojny światowej sprawiły, iż prowadzenie wojny w całej Europie uległo w pewnym stopniu demokratyzacji. Powszechnie wyczekiwano — z utęsknieniem lub z obawą — „wojny przyszłości”, która miała doprowadzić do rewizji powojennych granic postrzeganych jako tymczasowe. Zdawano sobie bowiem sprawę, iż taka wojna umożliwiłaby zaangażowanie ludności cywilnej walczących państw wokół idei ataku lub obrony. Aby odpowiednio przygotować się na tę ewentualność, także w Polsce snuto marzenia o „narodzie pod bronią”. Jednak problemy, z którymi przyszło się borykać II Rzeczypospolitej

w pierwszych latach jej istnienia, kazały odsunąć plany wojenne w bardziej odległą przyszłość. Najpierw należało uporać się z walkami zbrojnymi na granicach, z wieloetnicznością państwa (Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Białorusini, Niemcy) oraz z rozbitym na zwaśnione obozy polityczne życiem publicznym. Do zamachu stanu, dokonanego przez Piłsudskiego w maju 1926 roku, rząd w Polsce zmieniał się piętnaście razy. Wraz z puczem niestabilny system demokratyczny ustąpił miejsca rządowi autorytarnym zogniskowanym wokół osoby marszałka. Stopniowo postępująca stabilizacja sytuacji w kraju umożliwiła nowej władzy skuteczniejszą realizację projektu „naród pod bronią”. Misję wzmocnienia fizycznej i duchowej tężyzny szerokich mas narodu pełniły — poza polskimi siłami zbrojnymi — także takie instytucje, jak na przykład Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego. W rezultacie doszło do wzmocnienia pozycji wojska w państwie, a na początku lat trzydziestych armia stała się jednym z najistotniejszych filarów polskiej państwowości.

Tymczasem w stosunkach polsko-niemieckich pogłębiała się wzajemna nieufność sprawiająca wrażenie drastycznego ochłodzenia. W lutym 1933 roku Hitler, przemawiając do dowódców wojsk lądowych i marynarki wojennej, zupełnie otwarcie wymienił „zdobycie nowej przestrzeni życiowej na wschodzie i jej bezwzględna germanizację” jako odległy cel swojej imperialnej polityki zagranicznej. W kwietniu tego samego roku ówczesny minister spraw zagranicznych, a później także „protektor Rzeszy w Czechach i na Morawach” baron Konstantin von Neurath dał jasno do zrozumienia, że głównym celem polityki jego rządu będzie rewizja wschodniej granicy Niemiec, a ewentualne dążenie do porozumienia ze stroną polską uznał za tyleż niemożliwe, ile niepożądane.

W Niemczech liczone się wówczas jeszcze z możliwością polskiej inwazji. Na początku 1932 roku ukazała się nawet powieść sensacyjna pod wymownym tytułem *Achtung! Ostmarkenrundfunk! Polnische Truppen haben heute Nacht die ostpreussische Grenze überschritten* („Uwaga! Radio Marchii Wschodnich! Dzisiaj w nocy polskie oddziały przekroczyły granicę Prus Wschodnich”). Jej autorem był Hans Nitram *alias* porucznik

(Oberleutnant) Hans Martin. W niemieckim ministerstwie obrony, które oficjalnie poparło wydanie książki, postrzegano ją jako przyczynek do „duchowej mobilizacji”.

Gdy została wystawiona — jako relacja oparta na faktach — w witrynach niektórych księgarń na obszarze pogranicznym między Prusami Wschodnimi a Polską, obie lokalne społeczności narodowe przyjęły ją w skrajnie odmienny sposób — część ludności niemieckiej wpadła w panikę, natomiast niektórych Polaków ogarnęły nastroje euforyczne. Słommu porucznikowi Martinowi publikacja kontrowersyjnej książki bynajmniej nie zaszkodziła w karierze. Wręcz przeciwnie — po ataku Niemiec na Polskę awansował do rangi oficera łącznikowego głównego dowódcy Wehrmachtu przy ministrze propagandy Josefie Goebbelsie. Spojrzenie na ówczesne polityczne i militarne położenie Polski musiało sprawić, że wizja wkroczenia armii polskiej do Prus Wschodnich wydawała się bardziej realistyczna niż doniesienia o inwazji Marsjan, w którą uwierzyli sześć lat później niektórzy mieszkańcy Nowego Jorku po wyemitowaniu w radiu słuchowiska Orsona Wellesa *Wojna światów*.

### „Wojna prewencyjna”

„Najbardziej niebezpiecznym okresem będzie czas (roz)budowy Wehrmachtu. Wtedy okaże się, czy we Francji są jeszcze prawdziwi mężowie stanu. Jeśli tak, Francuzi nie dadzą nam czasu, lecz od razu na nas napadną (prawdopodobnie angażując także wschodnich satelitów)”— w ten sposób Hitler sformułował w 1933 roku swoje obawy, które podzielali również czołowi przedstawiciele Reichswehry. I nie były to bynajmniej obawy nieuzasadnione. Od 1921 roku Polskę łączył z Francją - potężnym sąsiadem Niemiec na zachodzie - traktat sojuszniczy. Wprawdzie także rząd republikański w Weimarze ciągle parł w kierunku rewizji granicy polsko-niemieckiej, jednak po przejściu władzy w Niemczech przez nazistów decydenci polityczni w Warszawie byli skłonni uwierzyć, że nowy niemiecki kanclerz i Führer - Adolf Hitler

- rzeczywiście będzie dążył w najbliższej przyszłości do osiągnięcia tego celu, i to przy użyciu siły. Ostatecznie wódz nazistowskich Niemiec wcale nie krył się z agresywnym kierunkiem swojej *Ostpolitik*. Dlatego też na wiosnę i na jesieni 1933 roku Piłsudski postanowił nawiązać bliższe kontakty z Paryżem, wykorzystując w tym celu wojskowych mężów zaufania. Chodziło przede wszystkim o wybadanie sytuacji, czy Francja byłaby gotowa do wspólnych działań przeciw Niemcom. Jednak zabiegi te spotkały się wówczas z odprawą. Nie doszło ani do oficjalnych negocjacji, ani nawet do formalnych konsultacji z Paryżem w tej kwestii.

Postawa Piłsudskiego stanowiła bezpośrednią reakcję na inicjatywę zmierzającą do utworzenia tak zwanego paktu czterech - zaproponowanego przez Mussoliniego latem 1933 roku międzynarodowego porozumienia między Włochami, Francją, Wielką Brytanią i Niemcami, które ostatecznie nie doszło do skutku, a które miało skłonić Hitlera do odstąpienia od agresywnego kursu w polityce zagranicznej Niemiec, tak aby kwestie sporne można było rozwiązywać w przyszłości przy stole negocjacyjnym. Propozycja ta sprawiła, że rewizja granicy polsko-niemieckiej znów zdawała się możliwa. W krytycznej dla Polski sytuacji Piłsudski zdecydował się na demonstrację siły militarnej. Na krótki czas kazał w marcu 1933 roku - wbrew postanowieniom traktatu wersalskiego - wzmocnić dodatkowym batalionem załogę Wojskowej Składnicy Tranzytowej „Westerplatte” w Gdańsku. Nie podjęto jednak wówczas żadnych konkretnych przygotowań do wojny prewencyjnej przeciwko Niemcom. Polskie plany zakładały - raczej nieprawdopodobny w tamtym czasie - scenariusz wydarzeń: wciągnięcie Francji do wojny przeciwko III Rzeszy. Ponadto-zgodnie zowymi kalkulacjami-polski wkład wojenny miał się sprowadzać jedynie do zajęcia wschodnich prowincji Niemiec, a okupacja tych ziem przez Polskę stanowiłaby wówczas gwarancję nienaruszalności jej zachodnich granic. Wieści o sygnałach wysyłanych przez Piłsudskiego pod adresem Francji szybko rozniosły się w europejskich kręgach dyplomatycznych i stanowiły raczej ostrzeżenie skierowane do III Rzeszy, że Niemcy powinny traktować Rzeczpospolitą jako poważnego partnera w negocjacjach.

Polskim władzom spędzało sen z powiek niekorzystne położenie geopolityczne kraju między Niemcami a Rosją. Realizowana przez II Rzeczpospolitą polityka równowagi była w latach trzydziestych określana jako zasada równego dystansu względem obu sąsiednich państw. Jawnie agresywne, totalitarne ideologie narodowego socjalizmu i bolszewizmu zmierzały bowiem do zmiany ładu światowego przy użyciu siły militarnej. Niemiecka awangarda ruchu nazistowskiego postrzegała w walce zbrojnej — w której silniejszy miał pokonać słabszego — jedyny cel życia. Także w Polsce snuto plany dotyczące utworzenia wykraczającego poza granicę własnego kraju związku państw pod egidą Warszawy, który — bądź jako sięgające od Morza Czarnego do Bałtyku „Międzymorze”, bądź jako rozpościerająca się terytorialnie od Bułgarii po Skandynawię „Trzecia Europa” — oznaczałby poszerzenie polskiej strefy wpływów. Projekty te zamierzano jednak realizować pokojowo, tworząc system sojuszy, a nie przez agresję wojenną i okupację. W obliczu problemów gospodarczych, konfliktów etnicznych, wysokiej stopy bezrobocia, zaprzepaszczenia szansy na modernizację w prawie wszystkich istotnych strategicznie sektorach państwa, a także wskutek braku zainteresowania partnerów plany te nigdy nie wyszły poza sferę myślenia życzeniowego. Polska scena polityczna naznaczona była piętnem stale zmieniających się koalicji i układów władzy. Wszystkie partie, od centrum po prawicę, łączył jedynie nacjonalizm, który prowadził do wykluczenia i upośledzenia mniejszości narodowych, a także do szeroko rozpowszechnionej wrogości względem Żydów. Antysemityzm w Polsce znajdował wyraz w żądaniach zasymilowania, wykluczenia lub zmuszenia do emigracji Żydów, jak również w stosowaniu bojkotu i przemocy fizycznej wobec przedstawicieli tej mniejszości. Jednak antysemityzm w II Rzeczypospolitej różnił się zasadniczo — zarówno pod względem intensywności, jak i ukierunkowania - od „rasistowskiego antysemityzmu” III Rzeszy. Mimo powszechnie stosowanych środków represji Żydzi w Polsce mogli w znacznej mierze bez większych przeszkód brać udział w życiu politycznym, a także kultywować własną tradycję kulturową i religijną.

## Pakt o nieagresji

Zawarcie paktu o nieagresji między Polską a III Rzeszą 26 stycznia 1934 roku całkowicie zaskoczyło światową opinię publiczną. Obie strony ratyfikujące traktat — Piłsudski i Plitler — zobowiązały się do rezygnacji z wzajemnego stosowania agresji w rozwiązywaniu kwestii spornych na okres dziesięciu lat. Z punktu widzenia obu państw-sygnatariuszy porozumienie było wyłącznie elementem czystej *Realpolitik*. Piłsudskiemu, który już w lipcu 1932 roku zawarł palet o nieagresji ze Związkiem Sowieckim, udało się — przynajmniej przejściowo — wcielić w życie priorytetową zasadę utrzymania równego dystansu między Polską i jej obydwoma sąsiadami. Dzięki temu zapewnił swojemu krajowi chwilę wytchnienia niezbędną do jego wewnętrznej konsolidacji. Hitlerowi zaś pakt o nieagresji z Polską umożliwił dalsze kreowanie własnego wizerunku jako polityka pokoju na arenie międzynarodowej. Jednocześnie Führer mógł sobie pozwolić na przyspieszenie realizacji programu zbrojeń w samej Rzeszy. W trakcie rozmów prowadzonych w kręgu najbardziej zaufanych osób zarówno Piłsudski, jak i Hitler podkreślali tymczasowość osiągniętego porozumienia. Marszałek trafnie przewidział, że mentalność narodu niemieckiego zmieniła się pod wpływem narodowosocjalistycznej propagandy. Liczył nawet na to, że okres ocieplenia w stosunkach polsko-niemieckich może potrwać co najwyżej cztery lata. Hitler zaś jeszcze w tym samym roku oznajmił, że wszelkie układy z Polską mają dla niego jedynie tymczasowe znaczenie i że nie myśli poważnie o osiągnięciu trwałego z nią porozumienia. To stanowisko Führera uwyraźniło się dodatkowo po śmierci Piłsudskiego (12 maja 1935 roku), którego niemiecki kanclerz postrzegał jeszcze jako równorzędnego partnera. Dla nowego rządu polskiego, w którym kluczowa rola ministra spraw zagranicznych przypadła jednemu z najbardziej zaufanych współpracowników zmarłego marszałka — Józefowi Beckowi — Hitler miał już wyłącznie pogardę.

W tym czasie zarówno w Polsce, jak i w Niemczech doszło do zawieszenia wewnętrznych sporów politycznych. W obu krajach dążono do zwiększenia liczebności armii oraz do rozbudowy sektora zbrojeniowego. Każdy z sąsiadów miał jednak nieco inną sytuację wyjściową. Niemcom, które po zakończeniu wojny były słabsze militarnie, udało się prześcignąć pod tym względem zacofaną gospodarczo, rolniczą Polskę. W Berlinie przewidywano, że Niemcy będą mogły przypościć atak na Polskę pod koniec 1939 roku. Tymczasem Rzeczpospolita miała być gotowa do wojny z Rzeszą dopiero w 1940 roku, jednak nawet i te spekulacje opierały się na najbardziej optymistycznych szacunkach. Nic więc dziwnego, że opracowane w Polsce na wypadek wojny plany „Zachód” i „Wschód” miały charakter defensywny — były obliczone na obronę polskiego terytorium państwowego w razie agresji Niemiec lub Związku Sowieckiego. Także wychowanie patriotyczne ogniskowało się wokół idei obrony państwa („ku obronie Rzeczypospolitej”); nie uwzględniano natomiast w ogóle ewentualności ataku Polski na zachodniego sąsiada.

W 1937 roku głównodowodzący Wehrmachtu — feldmarszałek generał Werner von Blomberg — wychodził z założenia, „iż Niemcy nie muszą liczyć się z atakiem żadnego z sąsiednich państw [...] Udział Polski w wojnie przeciwko nam - być może nawet po stronie Rosji - wydaje się w obecnej sytuacji politycznej mało prawdopodobny”. Roztaczane przez Hidera wizje przyszłości zakładały raczej konieczność agresywnych podbojów. W swojej „drugiej książce” (chodzi o drugą część *Mein Kampf*) z 1928 roku przyszły wódz Rzeszy snuje następujące rozważania: „Niemcy decydują się (i to jest cel na przyszłość) na przejście do klarownej, dalekosiężnej polityki przestrzennej. Skoncentrują [...] wszystkie swoje siły tale, aby — poprzez zapewnienie niemieckiemu narodowi wystarczającej przestrzeni życiowej — wyznaczyć także jego drogę rozwoju na następne sto lat. Ponieważ zdobycie takiej przestrzeni jest możliwe tylko na wschodzie, plany związane ze stworzeniem potęgi morskiej Niemiec muszą zejść na dalszy plan. Niemcy ponownie próbują bronić swoich interesów poprzez stworzenie kluczowej potęgi na lądzie. Ten cel wychodzi naprzeciw najwyższym żądaniom narodowym i ludowym.



A to z kolei wiąże się z koniecznością stworzenia wielkich wojskowych środków [sprawowania] władzy”.

Te słowa Hitlera nie były czczymi frazesami, które dopiero z perspektywy czasu zyskały określony sens. W swej książce Hitler wyraźnie i jasno zarysował program polityki wewnętrznej i zagranicznej. Zaczął go realizować z żelazną konsekwencją od momentu przejścia władzy. Czymże była 100-tysięczna Reichswehra wobec Wehrmachtu w 1939 roku? W 1935 roku w Niemczech wprowadzono powszechny obowiązek służby wojskowej. Dzięki temu w przededniu II wojny światowej do ataku na wschodzie czekało w gotowości 1,5 miliona niemieckich żołnierzy. Wprawdzie Polska w tym samym czasie mogła tej sile przeciwstawić, bądź co bądź, 1,3 miliona żołnierzy, to jednak zarysowujący się obraz względnej równowagi liczebnej nie powinien się stać powodem do złudzeń. Niemieckie siły zbrojne zdecydowanie górowały pod względem uzbrojenia i zmotoryzowania nad armią przeciwnika. Wehrmacht dysponował 15 dywizjami pancernymi i zmotoryzowanymi, podczas gdy w Polsce udało się sformować tylko jedną brygadę tego typu. Niemcy mogły się także poszczycić pięciokrotną przewagą w samochodach opancerzonych, dysponowały również dwukrotnie większą liczbą samolotów. Jedynym sektorem, w którym Polska posiadała wyraźną przewagę nad Niemcami — i to w stosunku jedenaście do jednego — była nielicząca się już w tamtych czasach kawaleria. Poza tym można było zasadnie powątpiewać, czy II Rzeczpospolita rzeczywiście będzie w stanie zmobilizować na czas wszystkie rezerwy wojskowe w razie wybuchu wojny.

### Kryzys sudecki

Mimo to początkowo — w latach 1934—1939 — polityka aneksji realizowana przez Hitlera nie była skierowana przeciwko Polsce. Skoro na „polskim froncie” panował spokój, Führer postanowił skorzystać

ze sprzyjającej atmosfery, która wynikała z prowadzonej przez Francję i Wielką Brytanię taktyki „ugłaskiwania” (*appeasement*), by zwrócić się w kierunku innych celów swojej imperialistycznej polityki zagranicznej. W marcu 1938 roku wojska niemieckie wkroczyły do Austrii, nie napotykając przy tym żadnego oporu zbrojnego. W oficjalnym oświadczeniu Hitler określił aneksję tego kraju jako *Anschluss*, przyłączenie do III Rzeszy „najstarszej marchii wschodniej niemieckiego narodu”. Jeszcze w tym samym miesiącu Führer zasugerował Konradowi Henleinowi, przywódcy Partii Niemców Sudeckich, by poprzez podjęcie odpowiednich działań w zachodniej części Czechosłowacji dostarczył pretekstu do podobnej interwencji armii niemieckiej w tym kraju. Zasiedlająca ów obszar mniejszość niemiecka miała stawiać żądania, które „byłyby nie do przyjęcia dla rządu czeskiego”. Takie zachowanie Hitlera było podyktowane obawą, że „w razie strategicznej napaści z zaskoczenia” — agresji skądinąd pozbawionej jakiegokolwiek usprawiedliwienia — musiałby się liczyć z „wrogą reakcją światowej opinii publicznej, a same Niemcy mogłyby się wtedy znaleźć w kłopotliwej sytuacji”. Wówczas gdy — zgodnie z przewidywaniami Hitlera — rząd czechosłowacki nie spełnił wszystkich wygórowanych żądań Partii Niemców Sudeckich w kwestii narodowego samostanowienia, Henlein zorganizował na początku września 1938 roku na spornym terytorium pogranicznym zamach stanu, który został jednak zdławiony w zarodku przez czechosłowackie wojsko i policję. Po udanej ucieczce do Niemiec Henlein natychmiast wrócił do Czechosłowacji wraz z podlegającym Reichsführerowi SS Heinrichowi Himmlerowi Sudetendeutscher Freikorps oraz częścią oddziałów SS-Standardte „Oberbayern”. Dzięki biernej postawie tamtejszego rządu, który obawiał się wojny z Niemcami, Konrad Henlein mógł 23 sierpnia 1938 roku przejąć kontrolę nad przygranicznym powiatem Asch (czes. Aš). Na arenie międzynarodowej przeprowadzoną akcję uzasadniono dążeniem mniejszości niemieckiej do uzyskania prawa samostanowienia. W ten sposób starano się zatuszować czynne wsparcie, jakiego Berlin udzielił wtedy rebeliantom.

Tymczasem 29 września 1938 roku w Monachium doszło do spotkania przedstawicieli Niemiec, Anglii, Francji i Włoch mającego na celu zażegnanie kryzysu sudeckiego. Przedstawiciele Czechosłowacji nawet nie zostali zaproszeni do stołu negocjacyjnego. Wskutek postanowień układu monachijskiego do Rzeszy przyłączono tym razem tak zwany Kraj Sudecki (*Sudetenland*), ciągnący się wzdłuż granicy między obydwojoma państwami wąski pas czeskiego terytorium, które zamieszkiwała w znacznej większości ludność etnicznie niemiecka. Awansowany zaś do rangi SS-Obergruppenführera Konrad Henlein został mianowany „namiestnikiem Rzeszy” (*Reichsstatthalter*) w nowo utworzonym okręgu Sudetenland (*Reichsgau Sudetenland*). Okazało się więc, że mocarstwa zachodnie — z obawy przed wybuchem następnej wojny — ugięły się przed agresywną polityką zagraniczną Niemiec, licząc, że poprzez złożenie ofiary z Czechosłowacji zyskają „pokój dla naszych czasów”. W ten sposób wyraził się na temat osiągniętego w Monachium kompromisu ówczesny premier Wielkiej Brytanii Neville Chamberlain.

Oslabienie Czechosłowacji wykorzystala także Polska. Jej wojska zajęły zasiedlony głównie przez Polaków obszar na zachód od Olzy, tale zwane Zaolzie (czes. Zaolší). Było to terytorium, o które Polska prowadziła z Czechosłowacją gwałtowne spory — już od momentu zakończenia I wojny światowej. W ten sposób minister spraw zagranicznych Józef Beck nieopatrznie uczynił się współnikiem Hitlera, stawiając się niejako w cieniu niemieckiej polityki aneksji. Sam zaś Führer z uznaniem skomentował ówczesne działania polskiego rządu, mówiąc: „Polacy to równie chłopy. Piłsudski byłby z nich zadowolony”. Hitler nie zamierzał się jednak trzymać postanowień traktatu monachijskiego. Już w październiku 1938 roku wydał tajną dyrektywę dotyczącą ostatecznego „zlikwidowania reszty Czech”, a także utworzenia odrębnego państwa słowackiego.

Zarówno retoryka, jak i metody zastosowane przez Hitlera w trakcie tych dwóch wrogich aneksji z 1938 roku wykazywały wyraźne podobieństwa do późniejszej strategii przyjętej w stosunku do Polski. Hitler i tym razem powoływał się na prawo narodów do samostanowienia, którego domagał się w 1918 roku w swoim 14-punktowym programie

amerykański prezydent Woodrow Wilson, kreśląc zasady powojennego ładu pokojowego w Europie. Rzekomo chodziło więc jedynie o „powrót do Rzeszy” znacznej części etnicznych Niemców. W rzeczywistości jednak celem polityki Hitlera była ekspansja terytorialna Niemiec mająca wykraczać daleko poza linię określaną przez zwarte obszary niemieckiego osadnictwa. To właśnie w ten sposób Führer i kanclerz Rzeszy zamierzał zrealizować koncepcję stworzenia odpowiedniej „przestrzeni życiowej” dla swojego narodu. Jednocześnie Hitler nie cofnął się przed instrumentalnym traktowaniem zamieszkałej na tych obszarach mniejszości niemieckiej, którą narażał na nie lada niebezpieczeństwo, zmierzając do osiągnięcia swego celu. Jeśli tylko uznawał to za konieczne, osobiście dostarczał pretekstu rzekomo legitymizującego interwencje zbrojne.

Zarówno w chwili *Anschlusu* Austrii, jak i podczas likwidowania Czechosłowacji Hitler postawił wszystko na jedną kartę - wyszedł z założenia, iż mocarstwa zachodnie raczej nie zareagują, niż pozwolą na to, by Europa znów pograżyła się w wojnie. W obu przypadkach strategia przyjęta przez Hitlera okazała się trafna. Jednocześnie można było przewidzieć, że Niemcy bynajmniej nie zadowolą się odniesionymi dotąd sukcesami. „Pierwsza część programu pana Hitlera - a więc wcielenie «niemczyzny» do Rzeszy — została z grubsza zrealizowana. Teraz wybiła godzina walki o «przestrzeń życiową» — tale brzmiało tyleż ponure co trafne proroctwo francuskiego ambasadora Roberta Coulondre’a, wypowiedziane podczas obejmowania urzędu w Berlinie w połowie grudnia 1938 roku. Gdy w marcu 1939 roku oddziały Wehrmachtu wkroczyły do okrojonych terytorialnie Czech („*Rest-Tschechei*”), a Hitler zlecił proklamowanie utworzenia Protektoratu Czech i Moraw, w Europie — po dwudziestu latach złudnego pokoju — znów powszechnie wyczuwano się nadciągającą katastrofę wojenną.

ROZDZIAŁ DRUGI

**PRZYGOTOWANIA  
DO WOJNY**

Jesienią 1938 roku doszło do ochłodzenia w stosunkach polsko-niemieckich. W lutym tego roku Konstantin von Neurath złożył urząd, a nowym ministrem spraw zagranicznych Rzeszy został Joachim von Ribbentrop, który miał swój wkład w przygotowanie aneksji Kraju Sudeckiego. Bezpośrednio po kryzysie sudeckim 24 października 1938 roku von Ribbentrop zaprosił na śniadanie do hotelu Grand w Berchtesgaden polskiego ambasadora w Berlinie Józefa Lipskiego. Wtedy też minister spraw zagranicznych Rzeszy przedłożył mu propozycję „zbiorczego uregulowania” wciąż jeszcze otwartych kwestii spornych między Polską a Niemcami. Polska miała zgodnie z tym planem wyrazić zgodę na przyłączenie Gdańska do Rzeszy, a także przystać na budowę eksterytorialnej autostrady, która przecinałaby „korytarz pomorski”, łącząc Prusy Wschodnie z resztą Niemiec. W zamian za to rząd Hitlera oferował Polsce prolongowanie paktu o nieagresji o dalsze dwadzieścia pięć lat, gwarantując jednocześnie nienaruszalność granicy polsko-niemieckiej. Możliwość nawiązania współpracy między obydwojema krajami von Ribbentrop dostrzegł także w takich dziedzinach, jak emigracja Żydów z Polski czy przyjęcie wspólnej linii polityki zagranicznej względem Związku Sowieckiego. W tym celu Polska miałaby przystąpić do paktu antykominternowskiego, do którego należały już w owym czasie Niemcy, Włochy i Japonia.

Lipski odniósł się powściągliwie do przedstawionych mu propozycji. Powołał się na słowa Hitlera, który jeszcze w styczniu wyraźnie zapewniał polskiego ministra spraw zagranicznych Becka, że Niemcy nie naruszą w przyszłości dotychczasowego statusu prawnego Wolnego Miasta Gdańska. Ponadto podkreślił ogromne znaczenie, jakie znajdujący się u ujścia Wisły port w Gdańsku miał dla polskiego przemysłu. Tymczasem Ribbentrop nawoływał do umiarkowania, „nie oczekiwał natychmiastowej

odpowiedzi. L[ipski] miał jeszcze raz spokojnie przemyśleć całą sprawę oraz jak najszybciej przedyskutować propozycje z Beckiem [...]. Taicie dla Hitlera nielatwym zadaniem miało być przeforsowanie ostatecznego uznania prawnego statusu korytarza pomorskiego w samej Rzeszy [...] — a co do Gdańska, to nic nie można poradzić na fakt, iż jest on i pozostanie na zawsze niemieckim miastem” — tak brzmiały słowa zanotowane wówczas przez obecnego w trakcie rozmowy stałego przedstawiciela ministra spraw zagranicznych Rzeszy przy Führerze. O tym, jakie było rzeczywiście stanowisko Hitlera w tej kwestii, dowiadujemy się ze słów jego bliskiego i zaufanego współpracownika, gdańskiego *Gauleitern* Alberta Forstera. Ten po powrocie z Berchtesgaden oświadczył podczas wesołego, wieczornego spotkania z towarzyszami: „Ostoja intruzów została zlikwidowana na dobre. Akcja oczyszczania trwa nadal, tu jest miejsce tylko dla Niemców. [...] My, w Gdańsku, jesteśmy przygotowani i szykujemy się nadal, jeszcze bardziej niż kiedykolwiek do tej pory”. Za kilka miesięcy - ostrożnie szacując, za rok lub dwa lata — „wszystko będzie już załatwione”.

### Między Polską a Niemcami — Żydzi niczyi

W listopadzie 1938 roku ekscesy antysemickie osiągnęły punkt kulminacyjny nie tylko w samej Rzeszy, lecz także w Gdańsku. Tysiące Żydów przymuszono do opuszczenia kraju. Tymczasem Adolf Hitler profilaktycznie zlecił sztabowi generalnemu Wehrmachtu podjęcie przygotowań do ataku z zaskoczenia i zajęcia Wolnego Miasta. Podobnie jak w przypadku aneksji „Reszty Czech” akcja miała zostać przeprowadzona w sprzyjającej politycznie atmosferze. W razie gdyby Polska nie ugięła się pod naporem niemieckich żądań, Ribbentrop zlecił *Gauleiterowi* Albertowi Forsterowi podjęcie odpowiednich działań, które miały umocnić pozycję Niemców w Gdańsku. Chodziło o oficjalne wprowadzenie

„niemieckiego pozdrowienia” oraz flagi nazistowskiej Rzeszy, jak również o sformowanie zbrojnych oddziałów SS (*SS-Totenkopfverbände* — Oddziały Trupiej Czaszki).

Warszawa odrzuciła propozycje rządu niemieckiego nie tylko dlatego, że nie ufala już „słowom Führera”. Decydujące znaczenie miały obawy, że zbyt daleko idące zbliżenie w relacjach z Niemcami, a także wspólne zwrócenie się obu państw przeciwko Związkowi Sowieckiemu, doprowadziłyby do izolacji Rzeczypospolitej na arenie międzynarodowej. Akceptacja żądań Hitlera oznaczałaby zatem odstąpienie od zasady „równego dystansu” wobec obu potężnych sąsiadów Polski, sama zaś Rzeczpospolita *de facto* zostałaby zdegradowana do roli wasala III Rzeszy. To stanowisko nie podlegało dyskusji w kręgach rządowych, które wciąż oddawały się fantazjom na temat militarnej potęgi państwa, zapoznając tym samym rzeczywistość układ sil w Europie.

Poza tym roztrząsanie kwestii gdańskiej przypadło na okres, w którym na stosunki polsko-niemieckie już od dłuższego czasu kładły się cieniem napięcia innego rodzaju. Wskutek nasilających się prześladowań nazistowskiego reżimu dziesiątki tysięcy polskich Żydów mieszkających dotąd na terytorium Rzeszy dążyły do powrotu do swojej ojczyzny. W tym samym czasie rząd w Warszawie, współpracując z polskimi organizacjami syjonistycznymi, współfinansował akcję emigracji obywateli żydowskiego pochodzenia do Ameryki. Szeroko rozpowszechnione w polskim społeczeństwie nastroje antysemityczne, które wykraczały poza szeregi skrajnie prawicowych i znajdujących się w opozycji endeków, a które były rozniecane także przez część duchowieństwa oraz obozu rządowego, osiągnęły swoje smutne apogeum na przełomie lat 1937 i 1938. Wrogość względem Żydów przybierała wówczas różne formy wyrazu - na porządku dziennym były akty wandalizmu, jak również sprawiające wrażenie pogromów ekscesy. Zdarzały się także morderstwa. Rząd w Warszawie stał na stanowisku, że dodatkowy przypływ polskich Żydów z Rzeszy, którzy często nie potrafili się posługiwać językiem polskim, mógłby tylko niepotrzebnie zaostrzyć konflikty etniczne w kraju, a także dodatkowo zasilić szeregi ogromnej armii bezrobotnych.



Aby więc zatamować mocno przybierający na sile od czasu *Anschlussu* Austrii napływ powracających do ojczyzny Żydów, w wydziale konsularnym Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP podjęto decyzję, by na wjazd zezwalać mieszkającym poza granicami kraju obywatelom polskim tylko w wyjątkowych sytuacjach. Na początku kwietnia 1938 roku sejm uchwalił odpowiednią ustawę, a na początku października zostało wydane uzupełnienie rozporządzenia o paszportach. Zgodnie z tymi aktami prawnymi, prawie każdemu mieszkającemu za granicą Polakowi można było odebrać obywatelstwo polskie lub odmówić mu prawa wjazdu do kraju. Mimo że formalnie przepisy nie były wymierzone wyłącznie przeciwko Żydom, to w rzeczywistości chodziło o to, by właśnie tym obywatelom uniemożliwić powrót do kraju. Pod tym względem Polska nie była jednak odosobnionym przypadkiem. W latach trzydziestych także inne europejskie kraje zamknęły granice przed falami uchodźców z nazistowskiego państwa. Mimo to postępowanie polskich władz zostało przyjęte przez rząd Rzeszy jako ostrzeżenie. Berlin obawiał się, że w zaistniałej sytuacji „Niemcy będą zmuszone na stałe tolerować dziesiątki tysięcy polskich Żydów przebywających dotąd tymczasowo na terytorium Rzeszy”. A rzecz miała miejsce wówczas, gdy niemieccy Żydzi byli już w znacznym stopniu wyjęci spod prawa — wywłaszczani, prześladowani i przymuszani do emigracji.

Pod koniec października 1938 roku Gestapo nałożyło na 17 000 polskich Żydów areszt deportacyjny, a następnie z użyciem brutalnej siły wydalilo aresztantów na granicę polsko-niemiecką, wywłaszczwszy ich z posiadanego majątku. Należy podkreślić, że *gros* deportowanych należało do drugiego lub trzeciego pokolenia polskich Żydów mieszkających w Niemczech. Na granicy deportowanych zmuszono do przejścia na drugą stronę. Tutaj, już na polskiej ziemi, tysiące z nich spędziło zimowe miesiące na przelomie lat 1938 i 1939 w niepewności jutra, a także w skrajnie surowych warunkach. Wśród nich znajdowali się również rodzice i rodzeństwo 17-letniego Herschela Grynszpana przebywającego wówczas nielegalnie w Paryżu. Grynszpan wymienił właśnie tę pierwszą przeprowadzoną przez nazistowski reżim masową deportację Żydów

jako motyw dokonanego 7 listopada 1938 roku zamachu na pracownika ambasady niemieckiej w Paryżu Ernsta vom Ratha. Paradoksalnie zamachowiec dostarczył tylko nazistom pretekstu do wszczęcia listopadowych pogromów, które określono eufemistycznie mianem „nocy kryształowej” (*Reichskristallnacht*). Od zamachu Grynszpana nie minęły nawet dwa dni, gdy w całych Niemczech rozbijano witryny żydowskich sklepów, podpalamo synagogi, a samych Żydów wyszydzano, aresztowano, brutalnie bito lub po prostu zabijano na ulicach niemieckich miast.

28 października 1938 roku wcześnie rano, jeszcze przed siódmą, energicznie obudził mnie policjant, który wyglądał tak samo jak policjanci regulujący ruch na ulicach. Po dokładnym przestudiowaniu mego paszportu wręczył mi dokument. Przeczytałem w nim, że zostanę wydalony z Rzeszy Niemiecdej. Policjant zarządził, abym się natychmiast ubrał i poszedł z nim. Wcześniej chciałem jednak ponownie przeczytać dokument o wydaleniu. Uzyskałem zgodę. Potem pozwoliłem sobie zaznaczyć odrobinę lękliwie, że w dokumencie mówi się, że mam opuścić Rzeszę w terminie czternastu dni, a prócz tego mogę przecież złożyć odwołanie. Jednak obojętny policjant nie zamierzał wdawać się w takie subtelnosci. Powtórzył surowo: „Nie, natychmiast ze mną!” [...].

W wagonach było nieopisanie tłoczno. Drzwi natychmiast gwałtownie zatrzęsnięto i zaplombowano, pociąg ruszył. W tym momencie my, deportowani, znaleźliśmy się we własnym gronie, wśród nas były też kobiety z różnych miast. Aresztowano je przeważnie w środku nocy, często nie pozostawiając czasu nawet na ubranie się: miały na sobie jedynie koszule nocne i płaszcze. [...] Co też miałbym porabiać w kraju, który był mi całkiem obcy, którego język rozumiałem wprawdzie, choć nie tak, bym mógł się nim posługiwać? Co miałbym począć w Polsce, ja, który nie miałem żadnego zawodu ani nie dostrzegałem szans wyuczenia się jakiegokolwiek? Moim bagażem była teczka aktówka z powieścią Balzaka i zapasową chusteczką do nosa.

W 1938 rząd w Warszawie pozostawił na pastwę losu żyjących w Rzeczy polskich Żydów. Ostatecznie polityka tego rządu została skierowana — jak to określił współczesny historyk Jerzy Tomaszewski — „przeciwko ludziom prześladowanym z motywów rasistowskich przez III Rzeszę. Obywatele polscy znajdujący się w szczególnym zagrożeniu zaczęli traćić oparcie w Rzeczypospolitej Polskiej w momencie, gdy najbardziej potrzebowali pomocy”.

### Koniec dyplomatycznej kurtuazji

Jesienią 1938 roku poważanie Niemiec na arenie międzynarodowej silnie ucierpiało z powodu przeprowadzonej aneksji Kraju Sudeckiego, która doprowadziła Europę na skraj wojny, a także wskutek dzikich pogromów Żydów. Na domiar złego 10 listopada Hitler, przemawiając przed czterystoma dziennikarzami reprezentującymi niemiecką prasę, otwarcie wypowiedział się na temat konieczności prowadzenia wojny dla osiągnięcia przyjętych przez rząd celów polityki zagranicznej: „Sytuacja zmuszała mnie przez całe dziesięciolecie do mówienia prawie wyłącznie o pokoju. Tylko dzięki nieustannemu podkreślaniu woli pokoju niemieckiego narodu i jego pokojowych zamiarów możliwe było stopniowe wywalczenie wolności dla naszego narodu, a także ofiarowanie mu broni. Za każdym razem zbrojenia stanowiły niezbędny warunek wykonania kolejnego kroku do przodu. [...] Wydaje mi się, że ta płyta, płyta epatująca pacyfizmem, już się u nas zdarła”. Mimo to w Niemczech - aż do ostatniej chwili — żywiono nadzieję, że ostatecznie uda się skłonić Polskę, by poszła na ustępstwa na rzecz III Rzeszy. Jeszcze pod koniec lutego 1939 roku przebywający z wizytą w Warszawie Reichsführer SS Heinrich Himmler odbył z czołowymi polskimi politykami konsultacje, których przedmiotem były problemy związane z emigracją Żydów. Przy okazji szef SS poruszył także kwestię Gdańska. Jednak Himmlerowi nie udało się wtedy osiągnąć żadnego wymiernego sukcesu.

Tymczasem — wraz z zajęciem „Reszty Czech” przez armię niemiecką 15 marca 1939 roku — wszelkie dalsze negocjacje między Polską a Niemcami straciły rację bytu. Na przykładzie losu Czech stało się jasne, że zapewnienia Hitlera o umiarkowanych tylko i zasadnych roszczeniach względem sąsiadów Niemiec nic nie znaczą. Gdyby rząd polski zdał się na taicę zapewnienia i uwierzył, że Hitler zadowolony się przyłączeniem Gdańska do Rzeszy, rezygnując definitywnie z wysuwania dalszych roszczeń terytorialnych do Wielkopolski i Górnego Śląska, to Polska uzależniłaby się — na dobre i na złe — od zmiennych nastrojów niemieckiego Führera. 23 marca w Polsce zarządzono częściową mobilizację, przy czym nacisk położono na obronę Gdańska i jego okolic. „Chodzi o to, że w dzisiejszym stanie rzeczy odgrywa on [Gdańsk] rolę symboliczną, tzn. gdybyśmy mieli się przyłączyć do tego typu państw zachodnich, które dają sobie dyktować prawa, to wtedy nie wiem, gdzie się to zakończy” — tymi słowami, przemawiając na konferencji Rady Ministrów, Beck uzasadnił przyjęte przez swój rząd oficjalne stanowisko w kwestii Gdańska. I rzeczywiście, historia przyznała mu rację. 25 marca Führer pouczył głównodowodzącego Wehrmachtu Walthera von Brauchitscha, że „planowane w najbliższej przyszłości rozwiązanie musi dokonać się w dogodnych dla Niemiec warunkach politycznych. Polska powinna zostać zmiażdżona w taki sposób, by straciła swoje znaczenie polityczne w ciągu nadchodzących dziesięcioleci. Mówiąc o tym rozwiązaniu, Hitler myśli o przesunięciu na wschód granicy Rzeszy, która docelowo miałaby się ciągnąć od wschodnich rubieży Prus Wschodnich aż po najdalej wysunięty na wschód kraniec Górnego Śląska. Kwestia niezbędnych wysiedleń i przesiedleń pozostaje wciąż jeszcze otwarta”. Polski ambasador w Berlinie Józef Lipski i minister spraw zagranicznych Niemiec Joachim von Ribbentrop spodcali się następnego dnia w Berlinie, by przeprowadzić konsultacje. Jednak po upływie półtorej godziny rozeszli się, nie osiągnąwszy żadnych rezultatów.

Negatywna postawa Polski wobec propozycji niemieckich była spowodowana przede wszystkim dwoma czynnikami. Po pierwsze, w koncepcjach terytorialnych na rzecz Rzeszy postrzegano niebezpieczeństwo zapoczątkowania procesu, którego nie da się odwrócić, takie jak to miało miejsce

już w przypadku Czechosłowacji. Po drugie, rząd Polski nie chciał odstąpić od zasady równego dystansu względem Rosji i Niemiec, stanowiącej fundament polityki zagranicznej II Rzeczypospolitej od momentu jej powstania po I wojnie światowej. Beck był zdeterminowany, by wszcząć w razie potrzeby walkę z Niemcami. W tej kwestii mógł mieć pewność, że zyska poparcie nie tylko większości polskiego społeczeństwa, lecz także rządu i wojska. W zaistniałej sytuacji generalny inspektor sił zbrojnych marszałek Edward Rydz-Śmigły kazał odłożyć *ad acta* opracowany na wypadek sowieckiej agresji przeciwko Polsce plan „Wschód”, a także zlecił zmodyfikowanie planu „Zachód” obliczonego na ewentualność ataku Niemiec. Polscy oficerowie byli gotowi przeciwstawić się niemieckim agresorom także wówczas, gdyby nie mogli liczyć na wsparcie zachodnich sojuszników. Swoją postawą dowiedli, jak bardzo się mylili, oceniając własne położenie, które pod koniec marca 1939 roku było wyjątkowo niekorzystne. Niemcy mogły zaatakować Polskę na trzech frontach: od północy — z terytorium Prus Wschodnich, od zachodu — z obszaru samej Rzeszy, a także od południa — z terytorium Kraju Sudeckiego i Protektoratu Czech i Moraw. Tym samym III Rzesza trzymała Polskę w żelaznym uścisku. O losach kraju miało zdecydować zachowanie Związku Sowieckiego w czasie niemieckiej inwazji we wrześniu 1939 roku.

Wywołana przez rozwiązanie kwestii czechosłowackiej napięta atmosfera w Polsce [...] nasiliła się jeszcze bardziej. W kręgach polskich polityków i dowódców wojskowych coraz bardziej oczywista wydawała się opinia, iż od tej pory [...] niebezpieczeństwo niemieckiego ataku z zaskoczenia na Gdańsk wisi w powietrzu. Wśród ludności cywilnej szerzyły się najbardziej nieprawdopodobne pogłoski, na przykład o tym, że w Odrzycku (Oderberg) miało dojść do walki zbrojnej między polskimi i niemieckimi oddziałami i że minister Beck został aresztowany, i inne tego typu fantastyczne wiadomości. O wiele poważniejsze wydaje się narastanie atmosfery wojennej, czemu sprzyja prasa. Ponadto — głównie na prowincji — organizowane są manifestacje antyniemieckie, które nierzadko prowadzą do starć. Swoje trzy

grosze dorzuca też grożąca wojną oficjalna propaganda. W wielu kręgach panuje przekonanie, że wojna jest nieunikniona i że jej wybuch nastąpi w najbliższym czasie.

Praktyczne działania rządu przyczyniają się do narastania psychozy wojennej. W ciągu ostatniego tygodnia miało miejsce powołanie do wojska trzech roczników: 1912, 1913 i 1914 [...].

Propagandę obronną charakteryzuje wielokrotnie dodrukowywany artykuł zamieszczony na łamach czasopisma wojskowego „Polska Zbrojna” pt. *Jesteśmy gotowi*. W artykule wyłuszcza się między innymi, iż Polacy — w przeciwieństwie do Czechów — nie mają poczucia niższej wartości względem potężnych narodów świata. Liczba obcych dywizji nie przeraża Polaków, gdyż ich własna armia, jej wyposażenie i duch bojowy narodu polskiego wystarczą do zapewnienia Polsce zwycięstwa. Liczne publikacje ukazujące się odtąd w polskiej prasie są utrzymane w tym samym duchu i podobnej tonacji. [...] O tym, iż nie chodziło tylko o medialną propagandę, świadczy potwierdzona wypowiedź, której udzielił w trakcie poważnej rozmowy wiceminister wojny Głuchowski. Dowodził on, że Wehrmacht jest wielkim blefem, gdyż Niemcom brakuje rzekomo przeszkolonych rezerw, które mogłyby zapełnić jednostki niemieckiej armii. Na pytanie, czy rzeczywiście wierzy w przewagę militarną Polski, Głuchowski miał odpowiedzieć: „Ależ oczywiście!”.

Relacja polityczna niemieckiego ambasadora w Warszawie  
Hansa Adolfa von Moltke zdana niemieckiemu ministerstwu spraw  
zagranicznych 28 marca 1939 roku, w. *Akten zur deutschen Auswärtigen  
Politik 1918—1945. Aus dem Archiv des Deutschen Auswärtigen  
Amtes* („Akta niemieckiej polityki zagranicznej w latach 1918—1945.  
Z Archiwum niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych”), seria D,  
t. 4, Baden-Baden 1956, dok. 116, s. 119—120.

Jednak latem 1939 roku Polska wcale nie była osamotniona. Jawne pogwałcenie postanowień układu monachijskiego spowodowało radykalny zwrot w brytyjskiej polityce zagranicznej. Zgodnie z realizowaną dotąd taktyką „ugłaskiwania” Anglia musiałaby właściwie wesprzeć

zglaszane względem Polski umiarkowane roszczenia Niemiec w kwestii Gdańska i „korytarza pomorskiego”. I rzeczywiście, aż do wiosny 1939 roku, negatywna postawa Polski w sprawie tych żądań była postrzegana na arenie międzynarodowej jako szkodliwa, zwłaszcza że obawiano się, iż opór Polski doprowadzi Europę na skraj wojny — wszyscy nazbyt dobrze znali temperament niemieckiego wodza, by nie liczyć się z takim właśnie rozwojem wydarzeń. Jednak próby zmierzające do kontrolowania Führera poprzez ustępstwa na rzecz jego polityki sprowadzania mieszkających poza granicami Rzeszy etnicznych Niemców na łono ojczyzny na drodze aneksji okazały się ostatecznie mrzonką. Aby zapobiec sytuacji, w której Polska podzieliłaby los Czechosłowacji, Anglia zdecydowała się na przyjęcie bezkompromisowej postawy wobec dalszych planów ekspansji terytorialnej Rzeszy.

30 marca 1939 roku rząd brytyjski wydał oświadczenie o gwarancjach politycznych i terytorialnych wobec Polski, a 7 kwietnia doszło do przekształcenia gwarancji jednostronnych w gwarancje dwustronne. W przypadku porozumienia polsko-brytyjskiego nie chodziło bynajmniej o wystawienie Polsce czeku *in blanco* — jak to sugerowała strona niemiecka — lecz o Warowne ostrzeżenie wystosowane pod adresem narodowych socjalistów przez mocarstwa zachodnie, które nie zamierzały dopuścić, by raz jeszcze postawiono je przed faktami dokonanymi. Do Wielkiej Brytanii dołączyła wkrótce Francja, która 13 kwietnia demonstracyjnie potwierdziła swoje zobowiązania sojusznicze względem Polski wynikające z traktatu ratyfikowanego w 1921 roku. Poza tym oba państwa zapewniły, że „dają sobie wzajemne i bezpośrednie gwarancje w razie bezpośredniego lub pośredniego zagrożenia, które godziłoby w żywotne interesy narodowe jednego z tych krajów”. W ten sposób usiłowano wzmocnić pozycję negocjacyjną polskiego rządu, który z kolei stał na stanowisku, że należy jak najszybciej wykorzystać antyniemieckie nastroje w Europie Zachodniej do stworzenia silnego bloku państw powiązanych wzajemnymi gwarancjami. Tymczasem Wielka Brytania i Francja, które nie były przygotowane do konfliktu zbrojnego z III Rzeszą, stawiały na szybkie i polubowne uregulowanie spornych kwestii granicznych

między Polską a Niemcami, z góry odrzucając wszelką możliwość zastosowania siły militarnej.

W rzeczywistości jednak nie było już czego negocjować. Dla Hitlera postawa Wielkiej Brytanii, Francji i Polski równała się faktycznemu wypowiedzeniu wojny III Rzeszy, nawet jeśli nie nastąpiło to wprost. Führer uznał Niemcy za ofiarę brytyjskiej „polityki okrążania”. Cztery dni po zawarciu polsko-brytyjskiego układu sojuszniczego Hitler podpisał „Wytyczne w sprawie jednolitego przygotowania Wehrmachtu do wojny”, wydając tym samym rozkaz opracowania planu ataku na Polskę pod kryptonimem Fali Weiss. 27 kwietnia Führer wypowiedział — łamiąc tym samym prawo międzynarodowe — niemiecko-brytyjski układ morski z 1935 roku oraz polsko-niemiecki pakt o nieagresji z 1934 roku. 23 maja 1939 roku — na naradzie z dowództwem Wehrmachtu — Hitler ostatecznie przestawił zwrotnicę w kierunku wojny imperialnej na wschodzie: „Przestrzeń życiowa — dostosowana do potęgi danego państwa — jest podstawą wszelkiej władzy. [...] Miniony czas nie został przez nas zmarnowany. Wszystkie poczynione przez nas kroki konsekwentnie prowadziły do tego celu. [...] Podjęcie kolejnych kroków nie obędzie się bez przelewu krwi. Przesunięcie granicy ma znaczenie wojskowe. Polak nie jest po prostu dodatkowym wrogiem. Polska zawsze będzie stała po stronie naszych przeciwników. Wbrew układowi o przyjaźni w Polsce w dalszym ciągu istniała wola, by wykorzystać przeciwko nam każdą nadarzającą się okazję. Odzyskanie Gdańska nie jest naszym głównym celem. Naszym celem jest rozszerzenie naszej przestrzeni życiowej na wschodzie i zapewnienie wyżywienia naszemu narodowi”.

Niemiecki dyktator był pewien, że ma po swojej stronie dowództwo Wehrmachtu. Armia niemiecka nie tylko wycofała się w minionych latach — zgodnie z tradycyjną samoświadomością — z ingerowania w sprawy polityczne, lecz także udowodniła zgodność swoich celów z programem narodowego socjalizmu. Głównodowodzący wojsk lądowych scharakteryzował tę postawę w tajnej dyrektywie kształcenia korpusu oficerskiego, wydanej pod koniec 1938 roku, w następujący sposób: „Korpusu oficerskiego nikt nie może przewyższyć pod względem czystości i autentyczności



światopoglądu narodowosocjalistycznego. [...] To oczywiste, iż oficer w każdej sytuacji postępuje zgodnie z ideologią III Rzeszy, nawet jeśli określone poglądy nie zostały ujęte w ustawach, rozporządzeniach czy rozkazach służbowych”. I tak w programie studiów berlińskiej Akademii Wojennej, kuźni kadr sztabu generalnego wojsk lądowych, znalazły się takie kursy, jak: *Bolszewizm, Wolnomularstwo, Światowe żydostwo, Kościół zaangażowany politycznie, Zwalczanie wrogów państwa, Podstany nazistowskiej teorii ras, Pozycja Wehrmachtu w narodowosocjalistycznym systemie edukacji*.

Niemniej jednak kryzys sudecki w 1938 roku spowodował głęboki kryzys zaufania między dowódcami Wehrmachtu a rządem III Rzeszy. Szef sztabu generalnego Ludwig Beck złożył nawet dymisję, gdyż obawiał się, że Niemcy nie będą w stanie wygrać wojny, która wydała mu się wówczas nieunikniona. Jego następcą na stanowisku został ulegający wpływom Hitlera generał artylerii Franz Haider. W tym samym czasie grupa spiskowców skupiona wokół szefa wywiadu i kontrwywiadu wojskowego admirała Wilhelma Canarisa planowała obalenie Hitlera. Jednak ustępstwa mocarstw zachodnich względem Rzeszy zdawały się potwierdzać słuszność kalkulacji Hitlera, który utrzymywał, że droga prowadząca pozornie do katastrofy okaże się w ostatecznym rozrachunku drogą wiodącą ku zwycięstwu. Sukces dyplomatyczny w Monachium wytrącił z rąk opozycji wojskowej wszelkie argumenty. Dopiero po pokonaniu Polski — na przełomie lat 1939 i 1940 — gdy decyzja Hitlera dotycząca ataku na zachodzie wywołała przerażającą wizję wielkiej europejskiej wojny, spiskowcy postanowili znowu przejąć inicjatywę.

Zerwanie przyjaznych stosunków z Polską w kwietniu 1939 roku spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem w szerokich kręgach oficerów Wehrmachtu, mimo że tym razem — po zmianie kursu w brytyjskiej polityce zagranicznej — ryzyko wybuchu konfliktu zbrojnego było o wiele większe niż podczas kryzysu sudeckiego. Nawet wśród wojskowych o umiarkowanych poglądach politycznych, takich jak na przykład należący do grupy spiskowców wokół Canarisa oficer Abwehry Helmuth Groscurth, rewizja wschodniej granicy z Polską była oczywistością. W marcu

1939 roku w swoim prywatnym dzienniku Groscurth skomentował wkroczenie wojsk niemieckich do „Reszty Czech” w następujący sposób: „Kto jeszcze będzie w stanie wierzyć nam, skoro pogwałciliśmy wszystkie zawarte przez nas układy oraz podeptaliśmy zasadę etniczną [ *Volkstumsprinzip* ] ? O wiele istotniejsze byłoby rozwiązanie kwestii polskiej”. Trzy miesiące później autor dziennika domyślał się już, do czego mogą doprowadzić niemieckie roszczenia względem Polski, nawet bez stawiania pod znakiem zapytania ich zasadności. „Nikt nie chce żadnej nowej przygody, a już na pewno nikt nie chce nowej wojny. Tak czy owak, kwestia polska musi przecież zostać jakoś rozwiązana. Obawiam się jednak, że tym razem nie pójdzie nam to tak gładko jak w przypadku Czechosłowacji”.

Za to na wschodzie doszło do godnego uwagi przetasowania. Chodzi mi o Polskę. I sądzę, że wyrażę odczucia wielu z Państwa, jeśli stwierdzą, że wraz z zerwaniem „przyjaznych stosunków” z Polską (w które żadna ze stron nie zaangażowała się całym sercem) wszystkim nam spadł kamień z serca. W pewnym sensie Polska wstąpiła w szeregi naszych wrogów. Tym samym — jak dotąd — jedynie hipotetyczny front wschodni (przeciwko Związkowi Sowieckiemu) wyłonił się zza mgły, i okazało się, że znajduje się bliżej, niż nam się to wydawało.

Zapewne zdają sobie Panowie sprawę, iż niemiecki korpus oficerski nigdy nie praktykował niedoceniań wroga. Mimo to mogę chyba pokusić się o stwierdzenie, że pokonanie Polski nie może sprawić i nie sprawi nam większych trudności. Jednak nie możemy na tym poprzestać. Niemcom chodzi o to, by możliwie jak najszybciej i doszczętnie zlikwidować nowy front na wschodzie, zanim ten przyjmie nieprzewidywalne rozmiary. Oznacza to konieczność całkowitego wykończenia Polski w możliwie najkrótszym czasie. W zniszczeniu tego wroga musimy — że tak powiem — pobić wszelkie rekordy szybkości. Podkreślam słowo „zniszczyć”, gdyż o żadnym pokonaniu i wstrzymaniu rozwoju Polski mowy być nie może [...]. Wydaje mi się, że w tym miejscu należałoby krótko przybliżyć sytuację militarną Polski. Pod względem liczebności wojsko polskie jest piątą co do

wielkości armią w Europie. Zapewne nie pomylę się, jeśli założę, iż w razie wybuchu wojny Polska będzie w stanie wystawić około 70 dywizji, do tego dochodzi niezwykle silna kawaleria — druga co do wielkości w Europie. Ale, moi Panowie, wszystko to tylko pozory. Po pierwsze — Polska nie będzie w stanie wykorzystać swoich rezerw w razie wybuchu wojny. Po drugie — polska armia to tylko wielka kupa pobieżnie przeszkolonych żołnierzy, którzy nie mają żadnych szans w wojnie przeciwko niemieckim siłom lądowym. Należy także uwzględnić kwestię ogólnego wykształcenia — polski żołnierz jest bodaj najgłupszy w Europie, jeśli pominąć na przykład Rumunię.

Christian Hartmann, Sergej Slutsch, *Franz Haider und die Kriegsvorbereitungen im Frühjahr 1939. Eine Ansprache des Generalstabschefs des Heeres*, „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte” 1997, t. 45, nr 3, s. 483-486.

### Armie cieni po obu stronach granicy

Nieufność w relacjach między obydwojma sąsiednimi krajami istniała już od czasu zakończenia I wojny światowej. Teraz jednak centrale tajnych służb w Polsce i w Niemczech przystąpiły do gorączkowych działań.

W Polsce praca wywiadowcza podlegała Oddziałowi II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, którego liczne pododdziały współpracowały z posterunkami ochrony pogranicza i policji państwowej. Referat „Zachód” wchodzący w skład Wydziału Wywiadowczego Ha był odpowiedzialny między innymi za sprawy niemieckie, podobnie jak Referat „Wschód” odpowiadał za sprawy rosyjskie. W kwietniu 1939 roku wskutek narastających napięć w relacjach polsko-niemieckich utworzono Samodzielny Referat Sytuacyjny „Niemcy”.

Wydział Wywiadowczy na bieżąco informował Sztab Generalny o potencjale militarnym sąsiadujących z Polską krajów. Referat „Zachód”

operował na terenie całych Niemiec i utrzymywał w tym celu w stolicy Rzeszy placówkę wywiadowczą „Navale”, która działała pod przykrywką biura podróży Francopol-Berlin. Z kolei ekspozytury w Bydgoszczy (Ekspozytura 3) i w Katowicach (Ekspozytura 4) prowadziły działalność zwiadowczą na szczególnie newralgicznych obszarach pogranicznych na Pomorzu, w Gdańsku, w Prusach Wschodnich i na Śląsku. W warszawskiej Ekspozyturze 2 agenci wywiadu zajmowali się planowaniem i przeprowadzaniem aktów dywersji i sabotażu, a także szpiegostwem na terytorium Rzeszy.

W Niemczech istniały dwie służby wywiadowcze, które częściowo ze sobą współpracowały, częściowo stanowiły dla siebie konkurencję. Były to policyjna Służba Bezpieczeństwa (Sicherheitsdienst, SD) oraz wojskowy Zarząd Wywiadu i Kontrwywiadu (Amt Ausland/Abwehr) przy Naczelnym Dowództwie Wehrmachtu. Tu sprawami polskimi zajmowały się w 1939 roku zwłaszcza Grupa I (mniejszości) i Grupa II (działania nadzwyczajne) wchodzące w skład Wydziału II. W berlińskim Głównym Urzędzie Służby Bezpieczeństwa informacje o Polsce zbierały utworzona w maju 1939 roku specjalna komórka Zentralstelle II P (Polska) i „Referat Żydowski” II 112.

Oczywiście prowadząc działalność wywiadowczą na terytorium obcego kraju, wykorzystywano jako informatorów przede wszystkim mieszkającą tam mniejszość narodową. W Polsce do takich celów starała się rekrutować mniejszość polską w Niemczech Ekspozytura 2 Wydziału Wywiadowczego II Sztabu Generalnego WP. Wspierano finansowo organizacje młodzieżowe i robotnicze, inwigilowano je poprzez kadry, chcąc uczynić z tych organizacji „dobrze zakonspirowane, karne, należycie wyszkolone oddziały bojowe, zdolne do działalności przeciwterrorystycznej jak i dywersyjnej”. Jednak realizacja tego ambitnego programu w latach 1934—1939 pozostawiała wiele do życzenia, gdyż przeznaczane na ten cel środki finansowe (miesięcznie 4000 złotych) były jeszcze bardzo skromne. Dopiero latem 1939 roku, gdy działalność Ekspozytury 2 całkowicie skoncentrowała się na Niemczech, kwoty te wzrosły szacunkowo do 10 000 złotych

miesięcznie. Na Śląsku Opolskim, w ważnym strategicznie rejonie operacyjnym, w centrum prowadzonej działalności znalazły się takie czynności, jak wychwytywanie poufnych i tajnych niemieckich dokumentów, sporządzanie planów i szkiców ważnych obiektów wojskowych i przemysłowych, fotografowanie niemieckich ekscesów skierowanych przeciwko Polakom, obserwowanie ruchów niemieckich oddziałów wojskowych, a także wpływanie na nastroje społeczeństwa.

Podczas szkolenia polscy agenci działający na terytorium Rzeszy nabierali umiejętności posługiwania się urządzeniami telekomunikacyjnymi oraz bronią i materiałami wybuchowymi. Odpowiednie składy z bronią i amunicją powstawały w miejscach, gdzie przewidywano w przyszłości przeprowadzenie akcji dywersyjnych. Jednak wskutek szybko postępującej ofensywy armii niemieckiej w Polsce we wrześniu 1939 roku plany te nie zostały nigdy zrealizowane. Ekspozyturze 2 na obszarze operacyjnym w Prusach Wschodnich ledwo udało się stworzyć zręby komórek dywersyjnych. Dla członków polskiej mniejszości w Niemczech próby zwerbowania do polskich służb specjalnych stanowiły poważne niebezpieczeństwo. W ostatnim tygodniu sierpnia 1939 roku w Niemczech rozwiązano wszystkie polskie instytucje, stowarzyszenia i gazety, czołowi zaś działacze polskich organizacji w Rzeszy zostali aresztowani przez Gestapo. Wielu z nich trafiło później do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie.

Tymczasem niemiecki Zarząd Wywiadu i Kontrwywiadu prowadził działalność zwiadowczą na obszarze pogranicznym z o wiele większym powodzeniem. Jego aktywność obejmowała między innymi udzielanie pomocy w ucieczce z Polski żołnierzom i cywilom niemieckiego pochodzenia, zakładanie tajnych składów broni w Polsce, jak również tworzenie organizacji bojowych i sabotażowych oraz oddziałów samoobrony w zakładach pracy (*Betriebschutz*). Agentów w Polsce Abwehra werbowała głównie spośród członków oddziałów „ochrony przemysłowej” *Industrieschutz* Oberschlesien. Organizacja ta wyłoniła się z ruchu Freikorpsów i skupiała w swoich szeregach polskojęzycznych obywateli Rzeszy, przedstawicieli mniejszości niemieckiej w Polsce, a także bojówkarzy

z utworzonego w 1938 roku Freikorps „Sudetenland”. Poza tym niemieckie służby wywiadowcze wykorzystywały jako swych agentów zbiegłych niemieckich żołnierzy i cywilów z polskim paszportem. To właśnie oni mieli przeprowadzić serię zamachów po polskiej stronie granicy (zob. s. 80—87), w czasie ofensywy niemieckiej zająć ważne obiekty przemysłowe jeszcze przed wkroczeniem na dany obszar żołnierzy Wehrmachtu i chronić mniejszość niemiecką przed atakami Polaków. Placówka Abwehry w okręgu wojskowym Wehrkreiskommando VIII we Wrocławiu odnotowała w lipcu 1939 roku 6798 opłacanych agentów działających w organizacjach bojowych i sabotażowych na samym tylko Śląsku i w rejonie Poznania. Największą liczebnie organizacją był Freikorps „Ebbinghaus”, w którego szeregach znajdowało się ponad 600 osób. Betriebsschutz liczył 1600 ludzi. Ponadto Abwehra trzymała w pogotowiu stacjonującą na Słowacji grupę bojową 4000 ukraińskich nacjonalistów Ostgalizien, którzy mieli wkroczyć do Galicji w trakcie niemieckiej ofensywy w Polsce. Na początku lipca 1939 roku wszystkie nieregularne oddziały bojowe po stronie niemieckiej dorównywały liczebnością niemalże przeciętnej dywizji regularnego wojska. A siła tych oddziałów rosła nieustannie aż do końca sierpnia 1939 roku.

Jeszcze przed początkiem niemieckiej ofensywy w Polsce zieloną granicę z tym krajem miała przekroczyć „armia cieni”, przystępując jednocześnie do działań na terenie wroga. Na Górnym Śląsku oddziały te natrafiły na polskie formacje ochrony pogranicza i sił lądowych, które uległy tymczasem wzmocnieniu przez członków organizacji powstańczych z czasów polsko-niemieckich walk granicznych. Najsilniejszy liczebnie był Związek Powstańców Śląskich. Obecnie szacuje się, że w przededniu wybuchu wojny Polakom udało się zmobilizować 14 „batalionów powstańczych” liczących po 600 członków. Należy zatem stwierdzić, że wystawione po stronie polskiej jednostki paramilitarne pod względem wielkości pozostawały w tyle za odpowiednimi oddziałami niemieckimi. Poza tym polskie oddziały były tak słabo wyposażone i uzbrojone, że lwią ich część w ogóle nie wzięła udziału w działaniach bojowych we wrześniu 1939 roku.

Tak więc latem 1939 roku na górnośląskim pograniczu stanęli na-przeciw sobie postarziali bojówkarze Freikorpsów i uczestnicy powstań śląskich. Ich wzajemna wrogość nie ustala w ciągu dwóch dziesięcioleci pokoju. Zasadnicza różnica między nimi sprowadzała się do tego, iż będący z reguły obywatelami Polski bojownicy Abwehry przystąpili do Wal-lu zakonspirowani, a ich celem była napaść na kraj, w którym niechętnie mieszkali. Polscy współobywatele uznający niemieckich bojówkarzy za zdrajców ojczyzny już w czasie wojny określali ich jako „piątą kolum-nę”. Tymczasem polskie „bataliony powstańcze” zostały podporządko-wane stacjonującym w pobliżu granicy regularnym oddziałom Wojska Polskiego i stanęły do boju, by bronić swego kraju, któremu groził atak zachodniego sąsiada.

W ciągu lata 1939 roku w Głównym Urzędzie Służby Bezpieczeń-stwa w Berlinie skrupulatnie zbierano informacje na temat mieszkańców sąsiedniego kraju. Zentralstelle II P miała ująć w swych kartotekach „nie tylko Niemców w Polsce i Polaków w Niemczech, lecz także Polaków w Polsce, którzy wyróżnili się w trakcie walk narodowościowych, a po-nadto osoby zaangażowane w krzewienie polskości [...] w Niemczech”. Takie więc Niemcy rejestrowali do swoich celów wywiadowczych zarówno osoby podejrzane, jak i pewnych informatorów. Wtedy też sporządzono listy proskrypcyjne wskazujące na „wrogie Rzeszy i Niemcom elementy”. Dane te trafiły następnie do komand specjalnych Służby Bezpieczeństwa i policji działających podczas niemieckiej ofensywy w Polsce. Kto znalazł się na taldej liście, uchodził za wyjętego spod prawa.

Już w lutym 1937 roku na naradzie SS-Gruppenführerów Heinrich Himmler przedstawił zgromadzonym program planowanej w najbliższej przyszłości zaborczej wojny totalnej: „Nie powinno być żadnych wątpli-wości co do tego, że w każdej prowincji, którą będziemy musieli zająć i która nie jest germańskiej krwi, należy bezlitośnie wytepić wszystkich do ostatniej babki i do ostatniego dziecka”. Ponieważ Himmlerowi pod-legały wszystkie jednostki policyjne w III Rzeszy, Reichsführer SS dyspo-nował taicie odpowiednimi środkami, dzięki którym mógł urzeczywist-nić te straszne fantazje.

Jednak zaangażowanie niemieckich formacji policyjnych w ściganie domniemanych wrogów poza granicami Rzeszy wymagało najpierw uzgodnienia z Wehrmachtem. W razie wojny z Polską to właśnie armia miała sprawować „władzę wykonawczą” na okupowanych terytoriach, gwarantując tym samym utrzymanie spokoju i porządku na tyłach frontu. Natomiast powołane w celu prowadzenia wojny rasowej przeciwko Polakom specjalne grupy operacyjne (Einsatzgruppen) niemieckiej policji miały pełnić funkcję sił bezpieczeństwa. Jednak jeszcze przed wybuchem wojny w kręgach oficerów Wehrmachtu doskonale zdawano sobie sprawę, że oddziały specjalne nie poprzestaną na stosowaniu zwykłych środków bezpieczeństwa. Późniejszy generalny kwatermistrz wojsk lądowych Eduard Wagner, który odpowiadał za koordynowanie współdziałania między Einsatzgruppen a Wehrmachtem, odbył 29 sierpnia konsultacje z Heydrichem i Himmlerem w sprawie „działalności grup Gestapo na obszarze operacyjnym”. Po naradzie Wagner wyraził swoje „zastrzeżenia względem zamiarów Himmlera”. Oba swoich rozmówców określił jako „nieprzeniknionych typów”, a Heydrich wydał mu się nawet „wyjątkowo niesympatyczny”. Mimo to Wagner zasadniczo zgodził się z obydwoma wysokimi funkcjonariuszami SS.

Zadanie grup operacyjnych zdefiniowano bardzo ogólnie: „zwalczanie wszystkich wrogich Rzeszy i Niemcom elementów na tyłach walczących wojsk w kraju nieprzyjaciela”. Co należało właściwie przez to rozumieć, pozostawiono w gestii lokalnych dowódców grup i oddziałów operacyjnych. Tę bezwolną postawę dowództwa Wehrmachtu trafnie skomentował rozgoryczony admirał Canaris: „Szefowie na własne życzenie pozbawili się jakiegokolwiek wpływu na wydarzenia”. Rzeczywista misja szwadronów śmierci — a więc ściganie, aresztowanie i mordowanie przedstawicieli polskich elit — została ogłoszona w ramach „Pouczenia dowódców wielkiej akcji Policji Bezpieczeństwa” (*Unterweisung der Führer eines Großeinsatzes der Sicherheitspolizei*) na naradzie, w której poza Himmlerem i Heydrichem wzięli udział wszyscy późniejsi dowódcy grup i oddziałów operacyjnych:



Szczegóły poznaliśmy tylko w tym sensie, że wyjaśniono nam, iż w ramach zwalczania ruchu oporu i grup partyzanckich wszystko jest dozwolone, a więc zarówno rozstrzeliwania, jak i aresztowania. Decyzja, jakie środki należy podjąć, pozostawała w gestii organów przeprowadzających akcję, a więc w gestii podlegających sztabowi oddziałów operacyjnych. [...] Nie omówiono wówczas szczegółowo kwestii, jakie konkretnie środki należy stosować względem polskiej inteligencji. Zasugerowano jednak, co i tak wydawało się oczywiste, że siłą napędową polskiego ruchu oporu będzie inteligencja. Zakres i rodzaj podejmowanych działań narzuciły nam dopiero wydarzenia w pierwszych dniach kampanii polskiej, dokładnie rzecz biorąc, w pierwszych tygodniach wojny. Oznacza to zatem, że dopiero na miejscu decydowano, co było niezbędne, przy czym to organy wykonawcze, a więc oddziały operacyjne, podejmowały konieczne decyzje.

Przesłuchanie Lothara Beutela z 20.07.1965 roku, w: Klaus-Michael Mallmann, Jochen Böhrer, Jürgen Matthäus, *Einsatzgruppen in Polen. Darstellung und Dokumentation*, Darmstadt 2008, s. 121.

Służba Bezpieczeństwa bynajmniej nie zamierzała pozostawić prowadzenia działalności zwiadowczej na terytorium obcego państwa swoim konkurentom z wywiadu wojskowego. Taicie ona wykorzystywała do swoich celów członków mniejszości niemieckiej w Polsce, którzy — kierowani własnymi przekonaniem i naiwnością — wdawali się w niebezpieczne igranie z ogniem. Na podstawie aktualnego stanu naszej wiedzy możemy stwierdzić, że plany Abwehry i Służby Bezpieczeństwa zasadniczo różniły się w jednym punkcie: o ile bowiem akcje przeprowadzane przez organizacje paramilitarne Wehrmachtu miały osłaniać oddziały biorące udział w ofensywie, o tyle jednostkom zwerbowanym przez SS powierzono zadanie dokonywania ataków na niemieckie instytucje znajdujące się zarówno w Rzeszy, jak i w Polsce, a odpowiedzialność za te operacje miała spaść na Polaków, dzięki czemu można było dostarczyć światowej

opinii publicznej powód usprawiedliwiający niemiecką agresję (zob. s. 87—91). Po wojnie na podstawie dokumentów sporządzonych swego czasu przez Himmlera ustalono, że Reichsführer SS opracował tajny plan przewidujący ponad dwieście takich ataków. Polscy naukowcy ustalili, iż zostały przeprowadzone co najmniej 23 akcje, a siedem operacji udaremniono. Mimo to 25 sierpnia 1939 roku Hitler z udawanym oburzeniem oświadczył w rozmowie z brytyjskim ambasadorem w Berlinie Hendersonem, że „wszystkie incydenty wywołała strona polska” i że „Niemcy są zdecydowane, by położyć kres tym macedońskim warunkom panującym na wschodniej granicy Rzeszy”. Tymczasem w niemieckim ministerstwie spraw zagranicznych od miesięcy z niepokojem obserwowano rozwój wydarzeń. Obawiano się bowiem, że udział osób niemieckiego pochodzenia w akcjach skierowanych przeciwko Polsce mógłby skłonić rząd II Rzeczypospolitej do podjęcia drastycznych środków przeciwko całej mniejszości niemieckiej w tym kraju. Wydarzenia z pierwszych dni września 1939 roku potwierdziły zasadność tych obaw.

### **W punkcie wrzenia.**

Utworzenie II Rzeczypospolitej sprawiło, że ponad milion Niemców z dnia na dzień stało się obywatelami obcego państwa. Okres walk granicznych (1918—1922) miał decydujące znaczenie dla masowej emigracji tych spośród nich, którzy nie mogli się pogodzić z nowym statusem mniejszości narodowej. Pierwsza fala emigrantów opuściła Polskę po ustabilizowaniu się nowej granicy. Traktat o ochronie mniejszości z 1919 roku gwarantował także prawa Niemców żyjących w Polsce. Mimo to rząd w Warszawie prowadził zdecydowaną politykę, która miała na celu polonizację mniejszości narodowych, zwłaszcza na obszarach z wysokim odsetkiem ludności niemieckiej, a więc na Pomorzu, w Wielkopolsce i na Górnym Śląsku. Od samego początku mniejszość niemiecka w Polsce była przedmiotem

gorących konfliktów politycznych w relacjach polsko-niemieckich. Obie strony zarzucały sobie prowadzenie „walki narodowościowej” oraz „walki o granice”. Konflikty te odbijały się niekorzystnie zwłaszcza na żyjących na pograniczu polskich Niemcach, były podsycane przede wszystkim przez organizacje mniejszościowe oraz rządy obu krajów, a w zależności od bieżącej sytuacji politycznej rozgrywane także w mniejszym lub większym stopniu przez propagandę.

Niezależnie od tego należy podkreślić, iż do początku 1939 roku Polacy i Niemcy żyli obok siebie zazwyczaj w zgodzie. Polskie miasta Łódź i Poznań były ważnymi ośrodkami kultury niemieckiej, utrzymywały się także stare przyjaźnie polsko-niemieckie jeszcze z okresu zaborów i okupacji podczas I wojny światowej, nawet jeśli w uspieniu wciąż tliły się nierozwiązane problemy. Po podpisaniu paktu o nieagresji w 1934 roku, mimo radykalizacji nastrojów politycznych w Rzeszy, paradoksalnie doszło do uspokojenia w oficjalnych stosunkach polsko-niemieckich. Jednocześnie rząd w Berlinie potajemnie wspierał działające na terytorium Polski skrajne organizacje niemieckie, takie jak na przykład Jungdeutsche Partei (Partia Młodo niemiecka). Ustalone na płaszczyźnie międzyrządowej „zawieszenie broni” zostało zerwane nagle, gdy Hitler wypowiedział Polsce pakt o nieagresji w kwietniu 1939 roku.

Lęk przed wojną z Niemcami sprawił, że latem 1939 roku mniejszość niemiecka w Polsce znalazła się w ogniu podejrzeń. Zarówno organy rządowe, jak i współobywatele postrzegali polskich obywateli niemieckiego pochodzenia jako potencjalnych szpiegów, którzy niczym wydłużone ramię III Rzeszy mieli tylko czekać na wybuch wojny, by w razie niemieckiej napaści natychmiast ogłosić początek zbrojnego powstania. Obawy te nie były bezpodstawne, zwłaszcza że Wehrmacht i SS rzeczywiście werbowali „volksdeutschów”, zaprzęgając ich do służenia ich własnym interesom, zakładając z ich pomocą składy broni w Polsce, a także przygotowując i przeprowadzając wraz z nimi zamachy na polskim terytorium. Mimo to fanatyczni „bojownicy o wolność” w sile około 10 000 zwerbowanych stanowili zaledwie jeden procent mniejszości niemieckiej.

Postrzeżenie było jednak w gorącej atmosferze lata 1939 roku inne, zwłaszcza że organizacje mniejszościowe — w miarę narastania antypolskiej propagandy dochodzącej z Niemiec — poczynaly sobie coraz śmieiej i w coraz bardziej wyzywający sposób. Bojkotowano sklepy, zwalniano z pracy pracowników umysłowych i fizycznych, organizowano i rozpędzono manifestacje, mnożyły się napady na organizacje i instytucje, a także brutalne starcia między Polakami a „volksdeuschami”. Siłą rzeczy środki stosowane przez Polaków odznaczały się większą skutecznością, tym bardziej że ich działania były oficjalnie wspierane przez państwo poprzez cenzurowanie prasy, inwigilowanie i aresztowanie czołowych przedstawicieli mniejszości niemieckiej. Po raz pierwszy od początku lat dwudziestych Niemcy ponownie odwracali się plecami do Polski i usiłowali się przedostać przez zieloną granicę na terytorium Rzeszy. Ponieważ każdy uciekinier jawił się w oczach polskich współobywateli jako potencjalny informator przeciwnika, presja wywierana na Niemcach pozostających w Polsce dodatkowo narastała.

Lato 1939. Stosunki polsko-niemieckie znalazły się w punkcie wrzenia. Ponieważ pracuję w redakcji nocnej „Neue Lodzer Zeitung”, w ciągu dnia jestem w domu. W coraz większym stopniu napięcia polityczne rzucają się cieniem na jak dotąd dobre stosunki sąsiedzkie z polskimi współmieszkańcami w Chojnach, na przedmieściach Łodzi. W pewien gorący letni dzień - pracuję w ogrodzie i jestem ubrany tylko w spodnie robocze — pojawia się dwóch osobis'cie mi znanych policjantów z karabinem i otwartym bagnetem. Podchodzą do mnie, jeden z nich przeszukuje mnie, szukając u mnie broni, i oświadczają, że są zmuszeni przeprowadzić rewizję w moim domu.

[..] Idę z policjantami do domu i obserwuję zupełnie zasadnie tę ich akcję. W mieszkaniu, na poddaszu, a nawet w oborze, przeszukiwany jest każdy kąt, lustrwany każdy przedmiot. Badane są nawet matrace w łózkach. Mój sześciolatek syn Georg nie odstępuje mnie ani na krok, śledząc, jak ja, tę ciągnącą się godzinami akcję przeszukiwania. Gdy policjanci zbliżają się do kredensu w kuchni, gdzie Georg trzyma w szufladzie swoje zabawki, ten szkrab szepce mi trwożliwie

do ucha: „Tatusiu, a co, jak oni znajdą mój rewolwer...?”. Rewolwer-zabawka był dla niego groźną bronią i wyczuwał instynktownie cel działań podejmowanych przez policjantów. Gdy powiedziałem funkcjonariuszom policji, co tak przestraszyło mojego syna, ci nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Od tej chwili panowała rozluźniona atmosfera. Rewizja trwała trzy i pół godziny. Oczywiście wynik przeszukiwania był negatywny.

Otto Heike, *Leben im deutsch-polnischen Spannungsfeld. Mit einem Vorwort von Ministerpräsident Johannes Rau*, Essen 1989, S. 115—116.

Stosunki polsko-niemieckie były napięte już od końca 1938 roku, kiedy niemiecka propozycja zbiorczego rozwiązania wszystkich kwestii spornych między obydwojoma krajami spotkała się z odprawą ze strony Polski. Początkowo nie uświadamiano sobie jednak powagi sytuacji. 5 maja 1939 roku minister spraw zagranicznych Józef Beck ustosunkował się do wypowiedzenia paktu o nieagresji przez Hitlera w sposób klarowny: „Słyszę żądanie aneksji Gdańska do Rzeszy, z chwilą kiedy na naszą propozycję, złożoną dnia 26 marca, wspólnego gwarantowania istnienia i praw Wolnego Miasta nie otrzymuję odpowiedzi, a natomiast dowiaduję się następnie, że została ona uznana za odrzucenie rokowań — to muszę sobie postawić pytanie, o co właściwie chodzi? [...] My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor”. W liście do starego przyjaciela polski minister spraw zagranicznych zrezygnował z wszelkiego patosu, wyjawiając przyczynę swojej nieustępliwej postawy: „Albo dociągamy nasze Państwo do pozycji mocarstwa, albo w ten czy inny sposób, *nolens volens*, staniemy się jakąś Słowacją, czy czymś podobnym”. Beck nie mógł jednak być zadowolony z położenia, w jakim znalazł się kraj. Tymczasem jego sejmowe przemówienie wywołało w polskim społeczeństwie istną burzę entuzjazmu. Rząd polski zajął jasne stanowisko w tej „wojnie nerwów”, przywołał Niemcy do porządku i odzyskał zaufanie swoich sprzymierzeńców nadwergężone z powodu zbliżenia z III Rzeszą i udziału Polski w likwidacji Czechosłowacji w 1938 roku.

Mimo że linie frontu zostały jasno wytyczone, niemiecka prasa zachowywała początkowo powściągliwość. Relacje skierowane przeciwko Polsce były zamieszczane w najlepszym razie dopiero na drugiej stronie gazet, a ich opracowanie graficzne sprawiało, że nie rzucały się od razu w oczy. Głównym celem ataków była natomiast Anglia, której zarzucano, że swoimi gwarancjami z kwietnia 1939 roku skłoniła Polskę do odrzucenia niemieckich propozycji. Jednak Hiderowi nie zależało już na zawarciu kompromisu w ostatniej chwili, tale jak to swego czasu miało miejsce w Monachium. Gdy na początku sierpnia Niemcy były już w znacznym stopniu przygotowane do prowadzenia wojny, po obu stronach granicy rozgorzała jawna walka propagandowa. Polska zarzucała Niemcom rewizjonizm i dążenie do wojny. Tymczasem w Rzeszy szczególnie donoszono o przypadkach prowokowania konfliktów na pograniczu przez Polaków oraz o wykroczeniach przeciwko żyjącej w Polsce mniejszości niemieckiej. Nagłówki polskich i niemieckich gazet licytowały się wzajemnie w krzykliwym kreśleniu wojennych scenariuszy oraz w informacjach o rzekomych okrucieństwach dokonanych przez wroga. Jednocześnie w artykułach prasowych podkreślano gotowość do podjęcia negocjacji ze strony własnego rządu, a także przesadnie eksponowano potencjał militarny własnych wojsk.

Sterowana przez rządy obu krajów histeria w prasie codziennej wprawiła oba narody tego ostatniego lata, gdy w Europie panował jeszcze pokój, w nerwowy nastrój. Jednak w przeciwieństwie do roku 1914, nie odnotowano wówczas fali wojennego entuzjazmu. Ludzie mieli jeszcze przed oczami okropności I wojny światowej. Nawet jeśli oba narody oskarżały się wzajemnie o parcie do zbrojnego konfliktu, do ostatniej chwili wszyscy mieli nadzieję, że mocarstwa zachodnie w krytycznym momencie zmuszą obie strony do rozsądku. Nikt nawet nie chciał liczyć się z najgorszym. Ta fatalistyczno-uległa postawa w przypadku Niemców została określona jako „niechętna lojalność”.

Lipiec 1939 roku był słoneczny i beztroski. [...] Sierpień 1939 roku Maryla i Gustaw Bychowscy z małą Moniką spędzali nad morzem w Juracie. Maryla była bardzo zdenerwowana pogłoskami o wojnie.

Gustaw, optymista, próbował ją uspokoić: „Przecież sierpniowy urlop spędza nad morzem z rodziną minister spraw zagranicznych Beck. Jest człowiekiem najlepiej poinformowanym. Czy wyjeżdżałby na wakacje, gdyby Niemcy mieli zaatakować kraj?”

Joanna Olczak-Ronikier, *W ogrodzie pamięci* Kraków 2002, s. 262.

Jednocześnie także dowództwo Wehrmachtu całkowicie zaangażowało się na rzecz mobilizacji niemieckiej ludności do przyszłej wojny. W sierpniu głównodowodzący Luftwaffe Hermann Göring wizytował wszystkie zakłady przemysłowe o strategicznym znaczeniu, podkreślając przy tym każdorazowo, że Niemcy są dobrze przygotowane do „narzuconej” im wojny: „My, Niemcy, zawsze odnosiliśmy zwycięstwo, gdy byliśmy zjednoczeni”. Z kolei głównodowodzący sił lądowych Walther von Brauchitsch oświadczył w obecności załogi pracowniczej w zakładach zbrojeniowych Rheinmetall-Werken w Düsseldorf<sup>^</sup>, stojąc nad czołgiem: „Najlepsi robotnicy na świecie wykuli najlepszym żołnierzom na świecie najlepszą broń na świecie”. Ta przemowa była nadawana [przez radio] w zakładach zbrojeniowych w całym kraju.

*Berlin, 10 sierpnia*

W jak kompletnie wyizolowanym świecie żyje niemiecki naród. Przypomina o tym rzut oka na gazety wczoraj i dziś. Podczas gdy reszta świata uważa, że Niemcy zamierzają rozpętać wojnę, że to Niemcy grożą zaatakowaniem Polski w sprawie Gdańska, w Niemczech, w świecie tworzonym przez tutejsze gazety, twierdzenia są dokładnie odwrotne (nie dziwi mnie to specjalnie, ale gdy się przebywa przez pewien czas gdzie indziej, zapomina się o tym). Nazistowski gazety piszą, co następuje: to Polska zagraża pokojowi europejskiemu; Polska, która grozi Niemcom zbrojną napaścią, i tak dalej. To są Niemcy z września zeszłego roku, kiedy atak skierowano na Czechosłowację.

„POLSKA? UWAGA!” ostrzega nagłówek „B.Z.”, dodając: „ODPOWIEDŹ DLA POLSKI, SZALEJĄCEJ W AMOIOJ (AMOK-LÄUFER) PRZECIWIW POKOJOWI I PRAWU W EUROPIE!”.

Nagłówek „Der Führer”, codziennej gazety w Karlsruhe, którą kupiłem w pociągu: „WARSZAWA GROZI ZBOMBARDOWANIEM GDAŃSKA - NIEWIARYGODNE NASILENIE POLSKIEGO ARCYSZALEŃSTWA (POLNISCHEM GRÖSSENWAHNS!)”. Jako przewrotne wypaczenie prawdy, jest to dobre. Ktoś spyta — przecież Niemcy nie mogą wierzyć w te kłamstwa. Wystarczy jednak z nimi porozmawiać. Wielu wierzy.

Jak na razie prasa ogranicza się do Gdańska. Czy Niemcy zachowują swe prawdziwe plany w ukryciu, na później? Każdy głupi wie, że Gdańsk ich wcale nie obchodzi. To jedynie pretekst. Stanowisko nazistów, które otwarcie głoszą kręgi partyjne, jest takie, że Niemcy nie mogą sobie pozwolić na posiadanie silnego militarnie państwa za wschodnią granicą, dlatego Polskę w jej obecnej postaci należy zlikwidować; zajęty musi zostać nie tylko Gdańsk, który dla Polski stanowi okno na świat, ale także korytarz, Poznań, Górny Śląsk. Polska ma zostać krajem kadłubowym, wasalem Niemiec.

William L. Shirer, *Dziennik berliński. Zapiski korespondenta zagranicznego 1934—1941*, dum. J. Szkudliński, Warszawa 2007, s. 135.

Na co dzień nastroje Polaków i Niemców były sprzeczne. W sierpniu 1939 roku znaczna część polskiej ludności wykonywała prace przy sypaniu okopów i wznoszeniu umocnień na zachodniej granicy kraju. Już od początku lat trzydziestych prowadzono szkolenia w zakresie obrony przeciwlotniczej oraz zachowania się w razie ataków gazowych. Teraz przystąpiono do budowy bunkrów, wykopywania rowów przeciwlotniczych i wznoszenia zapór przeciwczołgowych. Mimo to powszechnie panowało przekonanie, że jeszcze uda się uniknąć wojny. Nikt nawet nie potrafił i nie chciał sobie wyobrazić, co mogła oznaczać dla Polski wojna z III Rzeszą. Gwarancje sojusznicze mocarstw zachodnich miały fundamentalne znaczenie dla morale polskiego społeczeństwa, nawet jeśli były to tylko zapewnienia złożone na papierze. Zdawały się stanowić podstawę umiarkowanie optymistycznego nastawienia, które pozwalało z nadzieją spoglądać w przyszłość.



*Łomża*

Wtedy dotarł do mnie list od ojca z informacją, że zostałem powołany do junackich hufców pracy. Kto chciał studiować, musiał odbyć trzy miesiące praktyk robotniczych [...]. Otrzeźwiony wiadomością od ojca, musiałem wracać do domu, spakować plecak i tym razem jechać nie na północny zachód, tylko na północny wschód, i nie na lotnisko, lecz do ochotniczego hufca pracy. Znajdował się pod Łomżą, między Grudziądzem a Grodnem. Miał tu powstać bunkry. Niezbyt dobrze wiedzieliśmy, po co komu bunkry na granic<sup>1</sup> Polski z Prusami Wschodnimi. Ale dzielnie kopaliśmy te niewielkie, żalosne otwory, które w przyszłości nie zdołały nikogo powstrzymać. Mało nas to zresztą obchodziło, jedynie nieliczni zastanawiali się, dlaczego w środku takiego pięknego lata w tej zapadłej dziurze, na prawie nieznanym nam północnym wschodzie kraju, trzeba budować bunkry [...]. Nikt nie myślał o wojnie. Aż pierwszego rzeńskiego wrześniowego poranka na pogodnym niebie zaczęły krążyć buczące samoloty i padły pierwsze strzały.

Karl Dedecius, *Europejczyk z Łodzi: wspomnienia*, tłum. Sława Lisiecka, Kraków 2008, s. 77.

Także w Rzeszy Niemieckiej w lecie 1939 roku wszędzie podejmowano przygotowania do wojny. W niemieckich miastach już od dłuższego czasu na porządku dziennym były szkolenia w zakresie obrony przeciwlotniczej. Zaopatrywano się w worki z piaskiem i w materiał zaciemniający, w piwnicach urządzano schrony przeciwlotnicze, powoływano także cywilne jednostki służby przeciwlotniczej (*Luftschutzparte*). Zgodnie z nakazem zaciemniania w nocy wyłączano oświetlenie ulic. 27 sierpnia 1939 roku przystąpiono do racjonowania podstawowych artykułów spożywczych i produktów, które częściowo były wydawane na podstawie kartek żywnościowych. Z powodu powołania do Wehrmachtu wszystkich mężczyzn zdolnych do pełnienia służby wojskowej w wielu sektorach gospodarki zabrakło rąk do pracy. I tak w Berlinie zorganizowano kursy szkoleniowe dla kobiet, które miały

pracować na stanowiskach motorniczych tramwajów — pod koniec września było już 300 kobiet zatrudnionych na tym stanowisku. Podczas żniw pomagali studenci i uczniowie szkół średnich, którzy zgłaszali się w tym celu na ochotnika do tak zwanego Landdienstu, rekrutującego się w znacznej mierze z członków Hitlerjugend. Natomiast Służba Pracy Rzeszy delegowała swoich członków do prac przy sypaniu okopów na pograniczu. Z rejonów przygranicznych, na przykład z Wysp Fryzyjskich i miasta Aachen (Akwizgran), ewakuowano ludność cywilną. Konwoje uchodźców mieszały się z transportami oddziałów niemieckiej armii toczącymi się w tym samym czasie w kierunku granicy.

22 sierpnia 1939 roku Hitler zaprosił do swojej letniej rezydencji na Obersalzbergu w pobliżu Berchtesgaden najwyższych dowódców Wehrmachtu oraz ich adiutantów, by zapewnić sobie ich wierność na czas zbliżającej się wielkimi krokami wojny z Polską. Mimo że sporządzanie notatek było wtedy surowo zabronione, przemowa Führera zachowała się w pięciu wersjach, spośród których za najbardziej wiarygodną uchodzą zapiski szefa wywiadu wojskowego admirała Wilhelma Canarisa. Podczas trwającej przez cztery godziny z przerwą na obiad przemowy Hitler zaskoczył niemiecką generalicję, wtajemniczając zebranych w znajdujący się już na etapie finalizacji układ ze Związkiem Sowieckim, który przewidywał wspólną agresję przeciwko Polsce. Państwo polskie miało zostać błyskawicznie i doszczętnie zniszczone. Hitler zapewniał, że nie należy się obawiać interwencji Anglii i Francji, tak jak to miało miejsce w przypadku Czechosłowacji. Nie jest natomiast pewne, czy Führer mówił wówczas o tym, że postawił „swoje *Totenkopfverbände* [Oddziały Trupiej Czaszki] w stan gotowości, wydając im rozkaz, by mordowali bez litości mężczyzn, kobiety i dzieci polskiego pochodzenia i polskiej mowy”, jak to zostało przedstawione w jednej z wersji. Jednak trzy dni później Canaris wyraził w rozmowie z szefem sztabu generalnego Franzem Haiderem swoje „zaniepokojenie z powodu roli *Totenkopfverbände*”, co zdaje się potwierdzać ten wariant.

## Obersalzberg

Położoną nieopodal Berchtesgaden górą Obersalzberg Hitler fascynował się już od chwili pierwszego pobytu w tych okolicach w latach dwudziestych. To właśnie tu, w alpejskim odosobnieniu, przyszły Führer odpoczywał po wyjściu z więzienia w twierdzy Landsberg. Tutaj także podyktował drugą część swojej książki *Mein Kampf*. W czasach III Rzeszy stok góry stanowił strefę zakazaną (*Führersperrgebiet*) i został rozbudowany w swego rodzaju „filię Berlina”, w której centrum leżał *Berghof* Hitlera, otoczony willami wysokich rangą polityków nazistowskich, takich jak Martin Bormann, Hermann Göring czy Albert Speer. W pobliżu znajdowały się koszary SS, kwatera policji bezpieczeństwa i szeroko rozgałęziony system bunkrów. Natomiast w pobliskim Bischofswiesen powstało Biuro Kancelarii Rzeszy Berchtesgaden. Poza tym urządzono tu również lotnisko dla większych samolotów. Na Obersalzbergu Hitler przyjmował zagranicznych dyplomatów, a także odbywał ważne narady z prominentnymi przedstawicielami niemieckich elit wojskowych i politycznych. Gdy naziści dokonywali podczas wojny masowych mordów na okupowanych obszarach Europy Wschodniej, całemu światu prezentowano kolorowe zdjęcia „wspaniałego świata”, spokojnej górskiej idylli.

25 kwietnia 1945 roku brytyjskie lotnictwo zbombardowało Obersalzberg, a siedem lat później zachowane pozostałości kompleksu usunięto za pomocą buldożerów i materiałów wybuchowych. Chodziło o to, by wymazać z pamięci wspomnienia o niegdysiejszej „twierdzy nazistowskich elit”. Obawiano się bowiem, że stok góry mógłby się stać celem pielgrzymek. Obecnie na Obersalzbergu znajduje się Centrum Dokumentacji monachijskiego Instytutu Historii Współczesnej (Institut für Zeitgeschichte).

Już ja dam propagandzie pretekst uzasadniający wybuch wojny, mniejsza o to, czy wiarygodny, czy nie. W kwestiach związanych z rozpoczęciem i prowadzeniem wojny decyduje nie prawo, lecz zwycięstwo.

Bądźcie bez litości! Bądźcie brutalni! 80 milionów ludzi musi dostać to, co im się należy, a należy im się zapewnienie ich egzystencji. Prawo jest po stronie silniejszego. Trzeba postępować z największą surowością. Konieczne jest szybkie podjęcie decyzji. Trzeba głęboko wierzyć w niemieckiego żołnierza. Kryzys następuje, gdy zawodzą nerwy dowódców. Pierwszy cel to dojście do Wisły i Narwi. Nasza techniczna przewaga złamie nerwowo Polaków. Każda nowa siła, która się pojawi, winna być natychmiast zdruzgotana. Ta wojna jest wojną unicestwienia. Należy na nowo wyznaczyć granice Rzeszy, zachowując przy tym zdrowy rozsądek. Ewentualnie utworzyć protektorat jako bufor bezpieczeństwa. Operacje wojskowe nie powinny uwzględniać tych rozważań. Całkowite zniszczenie Polski jest naszym głównym celem wojskowym. Najważniejsze, żeby działać szybko. Wojska polskie należy ścigać aż do ich doszczętnego zniszczenia.

Notatki admirała Canarisa dotyczące drugiej części przemowy Hitlera do najwyższych dowódców wojskowych, wygłoszonej na odprawie 22 sierpnia 1939 roku, w: Klaus-Jürgen Müller, *Aimée und Drittes Reich 1933—1939. Darstellung und Dokumentation*, wyd. 2., Paderborn 1989, s. 390—391.

Dowództwo Wehrmachtu jednomyślnie poparło decyzję Hitlera dotyczącą a *calcu* na Polskę. Wprawdzie zdawano sobie sprawę, że tym razem może nie pójść tale gładko jak w przypadku wkroczenia do „Reszty Czech”, to jednak wszyscy byli skłonni podjąć ryzyko. Zbyt wielkie było dążenie do odzyskania ziem oddanych Polsce po I wojnie światowej. Ponadto kusząco wyglądała perspektywa obiecanych przez Hidera nowych nabytków terytorialnych. Tale więc niemiecki plan inwazji na Polskę nie miał nic wspólnego z forsowaniem rzekomo umiarkowanych roszczeń zgłaszanych przez Niemcy. Hider roztoczył przed dowódcami niemieckiej armii wizję agresywnej wojny imperialnej, z której Rzesza Niemiec miała wyjść — przy odrobinie szczęścia — większa terytorialnie niż kiedykolwiek. Jednak ta gra *va banque* kryła w sobie pewne ryzyko. Jeśli uwzględnić gwarancje udzielone Polsce przez Wielką Brytanię i Francję, Niemcom groziło prowadzenie wojny na dwóch

frontach, a na taką ewentualność Rzesza nie była wtedy jeszcze przygotowana. Znajdujący się na etapie finalizacji pakt niemiecko-sowiecki, o którym wspomniał Hitler 22 sierpnia 1939 roku, miał na celu ograniczenie niebezpieczeństwa, że spełni się najczarniejszy dla Niemiec scenariusz wydarzeń.

e'bf. Jag

### Pakt Hitler-Stalin

24 sierpnia 1939 roku niemiecki minister spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop i sowiecki komisarz ludowy do spraw zagranicznych Wiaczesław Molotow złożyli swoje podpisy pod antydatowanym na uprzedni dzień traktatem o nieagresji. Wieść o zawarciu porozumienia między III Rzeszą a Związkiem Sowieckim całkowicie zaskoczyła światową opinię publiczną. Ostatecznie w przypadku obu państw-sygnatariuszy chodziło przecież o dwa totalitarne systemy o skrajnie różnych ideologiach. Ten gest jawnej solidarności ze Stalinem umożliwił jednak Hitlerowi przypuszczenie ataku na Polskę zgodnie z planem, gdyż po podpisaniu paktu niebezpieczeństwo prowadzenia wojny na dwóch frontach wyraźnie zmalało. Poza tym w tajnym protokole dodatkowym obaj dyktatorzy, przewidując wybuch wojny na kontynencie, podzielili Europę Środkową i Wschodnią na strefy swoich wpływów. Wskutek zawarcia porozumienia we wrześniu 1939 roku do Polski wkroczyły wojska niemieckie i sowieckie, a państwo polskie po raz kolejny zniknęło z mapy Europy.

W przeszłości toczyły się zażarte spory o dokument zawierający tekst układu między Hitlerem i Stalinem. Przez wiele lat apologetci sowieckiego dyktatora twierdzili, że dokument jest fałszerstwem. Już podczas procesów norymberskich Związek Sowiecki podjął próby mające na celu zanegowanie istnienia tego dokumentu. Moskwa zleciła ponadto tajnej policji państwowej NKWD, by wytropiła byłych pracowników niemieckiej ambasady w Moskwie mogących posiadać informacje dotyczące genezy powstania traktatu. Zabiegi o upublicznienie treści dokumentu doprowadziły w 1947 roku do

„wojny o dokumenty” między wschodnimi i zachodnimi aliantami zakończonej publikacją paktu wraz z tajnym protokołem w prestiżowym wydaniu materiałów źródłowych *Akten zur Deutschen Auswärtigen Politik* („Akta niemieckiej polityki zagranicznej”). Dopiero w latach osiemdziesiątych polityczna odwilż w okresie pieriestrojki stworzyła warunki do pluralistycznej debaty wokół tajnego protokołu dodatkowego w Związku Sowieckim. W rezultacie wywiązał się „spór historyków”. Obecnie żaden poważny naukowiec nie podważa już autentyczności dokumentu, potwierdzonej - nawiasem mówiąc - przez kolejne źródła pochodzące z Archiwum Politycznego ministerstwa spraw zagranicznych w Berlinie.

Według Jana Lipinsky'ego, autora monografii poświęconej genezie i recepcji tajnego protokołu, pakt niemiecko-sowiecki został zawarty z inicjatywy Kremla. Wpływ Hitlera i Stalina na ostateczną treść zapisów traktatowych Lipinsky ocenił jako jednakowy, stwierdzając ostatnio, „że do zawarcia traktatu przystąpiło dwóch dyktatorów, którzy przynajmniej przez jakiś czas wspólnie zamierzali realizować swoje imperialne cele”. Fakt, że niemiecko-sowieckiemu paktowi o nieagresji przydaje się tak ogromne znaczenie, wynika z notatki sporządzonej 14 października 1939 roku przez sekretarza stanu w niemieckim ministerstwie spraw zagranicznych Ernsta von Weizsäckera, ojca byiego prezydenta Niemieckiej Republiki Federalnej Richarda von Weizsäckera. Została w niej zawarta opinia, że bez paktu „wojny by nie rozpętano”.

W Polsce tajny protokół dodatkowy, załączony do niemiecko-sowieckiego paktu o nieagresji z sierpnia 1939 roku, określany jako układ Ribbentrop-Mołotow lub pakt Hitler-Stalin, jest kluczowym symbolem tragedii narodowej. To właśnie zapisy tego traktatu spowodowały czwarty rozbiór Polski we wrześniu 1939 roku, a w dalszych latach nazistowską i sowiecką okupację wraz z wszystkimi jej czystkami, ludobójstwem i Holokaustem. Jednocześnie pakt symbolizuje także fobię Polaków w związku z protekcjonalnym lub dyskryminującym traktowaniem ich kraju przez obu większych sąsiadów. Zawarty w 2005 roku

między kanclerzem Niemiec Gerhardem Schröderem a prezydentem Rosji Władimirem Putinem traktat w sprawie budowy rurociągu bałtyckiego, który ma połączyć Niemcy i Rosję z pominięciem polskiego terytorium, obecny minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski porównał w 2006 roku do paktu Hitler-Stalin: „Polska jest szczególnie wrażliwa na punkcie korytarzy i porozumień ponad naszymi głowami. To była tradycja Locarno, to jest tradycja paktu Ribbentrop-Mołotow. To był XX wiek. Nie chcemy powtórki”.

### Wymachując szabelką

Pod wrażeniem porozumienia zawartego na linii Berlin-Moskwa 23 sierpnia 1939 roku w Polsce naczelne władze państwowe podjęły decyzję o częściowej mobilizacji w trybie alarmowym. Od razu jednak okazało się, że wojsko nie jest najlepiej przygotowane na wypadek wojny. Istniały braki w zaopatrzeniu, rekruci, którzy otrzymali rozkaz stawienia się do poboru, nie mogli trafić do swoich jednostek, gdyż te odmaszerowały już do innego regionu. W wielu miejscach panowały chaos i dezorientacja. Do tego dochodziły jeszcze obawy, jak zachowa się Związek Sowiecki w razie niemieckiej agresji na Polskę. W obliczu przewagi Wehrmachtu dowództwu Wojska Polskiego nie pozostało nic innego, jak tylko stosować się do opracowanego wcześniej planu „Zachód”, który przewidywał koncentrację lwiej części oddziałów na zachodniej granicy państwa z III Rzeszą. Jedno było wszakże pewne - pozycji tych nie uda się utrzymać zbyt długo, zwłaszcza że po zajęciu przez wojska niemieckie Czechosłowacji na południu powstał dodatkowy odcinek frontu o długości 300 kilometrów. Polski plan obrony całkowicie opierał się na założeniu, że na zachodzie dojdzie do otwarcia drugiego frontu wskutek spodziewanej interwencji militarnej Francji i Wielkiej Brytanii. Żywiono nadzieję, że do tego czasu armia będzie w stanie opierać się atakującym wojskom niemieckim.

Tymczasem mocarstwa zachodnie usiłowały do ostatniej chwili nakłonić Polskę do wstrzymania się z ogłoszeniem mobilizacji. Zależało im na znalezieniu pokojowego rozwiązania konfliktu, a wszelkie zdecydowane działania rządu w Warszawie mogły tylko dostarczyć Hitlerowi pretekstu do agresji.

25 sierpnia Hitler wydał rozkaz ataku, do którego miało dojść następnego dnia. Dosłownie w ostatniej chwili udało się odwołać działania Wehrmachtu, gdyż Anglia zdecydowała się właśnie na przekształcenie swojej deklaracji o gwarancjach względem Polski z marca tego roku w formalny traktat sojuszniczy. Londyn dał w ten sposób do zrozumienia, że zawarcie niemiecko-sowieckiego paktu o nieagresji nie powstrzyma Wielkiej Brytanii przed udzieleniem Polsce pomocy, w razie gdyby doszło do niemieckiego ataku na ten kraj. Jednocześnie Rzym zasignalizował, iż nie jest jeszcze przygotowany do wojny.

### **Zamach bombowy w Tarnowie**

28 sierpnia 1939 roku na krótko przed północą członkowie mniejszości niemieckiej w Polsce dokonali na zlecenie wojskowego wywiadu Wehrmachtu zamachu bombowego na dworzec kolejowy w Tarnowie. W zamachu zginęły 22 osoby. Ponieważ Tarnów nie leżał na granicy polsko-niemieckiej, lecz w głębi kraju, eksplozja zupełnie zaskoczyła mieszkańców, mimo że w ostatnim czasie pojawiało się coraz więcej znaków zwiastujących nadciągającą wojnę. W ciągu kolejnych dni lokalnej policji udało się aresztować nie tylko samego zamachowca, którym był pochodzący ze śląskiego Bielska 31-letni Antoni Guzy, lecz taicie jego współnika Jakoba Hesslera. Oprócz protokołów z przesłuchań przed tarnowskim sędzią śledczym zachowały się raporty komórki Abwehry przy VIII Okręgu Wojskowym z siedzibą we Wrocławiu, która zleciła zamach. Dzięki temu akcję można szczegółowo zrekonstruować od momentu zaplanowania aż do chwili jej przeprowadzenia.



## II. PRZYGOTOWANIA DO WOJNY

Na początku maja 1939 roku zamieszkały w Bielsku Heinrich Hessler otrzymał od pewnego członka jednej z lokalnych niemieckich grup dywersyjnych zlecenie zorganizowania „oddziału terrorystyczno-obronnego dla Śląska Cieszyńskiego i Galicji”. Po przejściu pięciodniowego szkolenia w pobliżu Wrocławia Hessler przystąpił do werbowania członków powstającej w podziemiu organizacji dywersyjnej. 30 czerwca 1939 roku zgłosili się doń agenci placówki Abwehry we Wrocławiu. Jego grupa sabotażowa miała „zniszczyć dworzec kolejowy w Tarnowie i wysadzić w powietrze przepust wodny między Tarnowem a Dębicą”. W pierwszym tygodniu sierpnia spiskowcy otrzymali 32 kilogramy materiału wybuchowego wraz z zapalnikami i zegarami. Pierwsza próba została udaremniona z powodu nieporozumienia. Jeszcze tego samego dnia Heinrich Hessler dostał powołanie do polskiej armii. Wtedy dowództwo grupy objął Karl Neumann ze Skoczowa, od którego Antoni Guzy przyjął przygotowany ładunek wybuchowy z zapalnikiem zegarowym, a następnie umieścił go w gmachu tarnowskiego dworca. „Byliśmy na miejscu, by obejrzeć dworzec w Tarnowie - donosił jeden z agentów Abwehry wrocławskiej centrali - i możemy stwierdzić, że wykonano tam kawał dobrej roboty. Według miejscowych relacji ludność miasta nie mogła dojechać do siebie. [...] Jedynym mankamentem w całej tej sabotażowej sprawie była bezdenna głupota Guzego, który chciał sprawdzić skutki eksplozji na miejscu i został złapany jeszcze w Tarnowie”. Guzy zdradził przesłuchującym go funkcjonariuszom nazwiska licznych osób uwikłanych w akcję sabotażu, wskutek czego aresztowano także Jakoba Hesslera, brata Heinricha.

W gruncie rzeczy zamach bombowy w Tarnowie się powiódł, nawet jeśli skutki eksplozji nie spełniały w pełni oczekiwań, a bezpośredni sprawcy wylądowali za kratkami. Jakobowi Hesslerowi udało się zbiec, przeżył. W założonej jeszcze podczas wojny „kartotece osób zaginionych, prowadzonej przez centralę zajmującą się pochówkiem zamordowanych volksdeutschow”, została zamieszczona następująca adnotacja: „Bojówkarz Freikorpsu! Etniczny Niemiec Guzy Anton

z Bielska na Górnym Śląsku, ur. 3.9.1907 - członek jednostki do zadań specjalnych, powołanej przez placówkę we Wrocławiu. Pismo dzienne Komendy Okręgu Wojskowego z 27.5.41 nr 8394: Na podstawie zapewnienia złożonego w miejsce przysięgi przez Jakoba Hesslera z Czermina [...] starostwo Dębica, stwierdzono, że członek jednej z powołanych przez placówkę we Wrocławiu jednostki do zadań specjalnych Anton Guzy został wraz z wieloma innymi etnicznymi Niemcami zabity przez Polaków w okolicach Padwi i że został pogrzebany za cmentarzem żydowskim". Nasuwa się pytanie, jaki był cel zamachu bombowego w Tarnowie. Jeśli wziąć pod uwagę fakt, iż wskutek eksplozji zniszczeniu uległa tylko część gmachu dworca kolejowego i że zginęło wówczas stosunkowo wielu cywilów, to najwidoczniej zamach nie służył realizacji zadań o znaczeniu wojskowym - w przeciwnym razie wysadzono by raczej tory kolejowe znajdujące się poza miastem. Polscy historycy wyrazili w związku z tą sprawą przypuszczenie, że architekci zamachu chcieli umyślnie skierować złość ludności na niemieckich sprawców, by sprowokować ataki na mniejszość niemiecką, a tym samym dostarczyć pretekstu usprawiedliwiającego zastosowanie środków odwetowych przez stronę niemiecką. Być może nie trzeba iść aż tak daleko w spekulacjach, aby tłumaczyć dyletantyzm zwerbowanych przez Abwehrę agentów. Ostatecznie przypadek tarnowski idealnie wpisuje się w serię kolejnych nie do końca udanych akcji przeprowadzonych przez niemieckie tajne służby w ostatnich dniach przed wybuchem wojny; wszystkie one trąciły amatorszczyzną.

W ciągu kolejnych dni w Berlinie trwały gorączkowe negocjacje, które miały skłonić Hitlera do ustępstw. Jeszcze 29 sierpnia w Paryżu i Londynie wierzono, że kryzys uda się załagodzić. Zachodni sojusznicy zmusili rząd w Warszawie, by odroczył o 24 godziny zapowiedzianą na następny dzień powszechną mobilizację i oddelegował swojego negocjatora do pertraktacji z Berlinem. W tym czasie w stolicy Rzeszy zapadły już ostateczne decyzje w sprawie zaatakowania Polski. Hitler naszkicował obroną

przez siebie taktykę w kręgu zaufanych współpracowników w następujący sposób: „30.8. Polacy w Berlinie. 31.8. Zalamanie się negocjacji. 1.9. Zastosowanie siły”. Ambasador Lipski, który wieczorem 31 sierpnia miał nawiązać kontakt z niemieckimi przywódcami, ale nie posiadał odpowiedniego pełnomocnictwa pozwalającego mu na przyjmowanie ofert w negocjacjach z Niemcami, nie został dopuszczony do Hitlera.

Dla Hitlera atak na wschodniego sąsiada nie podlegał dyskusji już od kwietnia 1939 roku. Pod koniec sierpnia zależało mu tylko na wybraniu najkorzystniejszego momentu. W nocy poprzedzającej atak Führer zlecił zainscenizowanie kilku „zajść granicznych”, które miały czynić wrażenie, jakoby wkroczenie wojsk niemieckich do Polski stanowiło jedynie reakcję na prowokację ze strony rządu w Warszawie. W tym samym czasie zamierzano opanować dwa strategicznie punkty: most na Wiśle w okolicach Tczewa oraz tunel kolejowy pod Mostami. Oba przedsięwzięcia były przygotowywane już od dawna, a 25 sierpnia przystąpiono do ich realizacji wskutek przedwcześnie wydanego rozkazu do ataku. Z jednym wyjątkiem udało się w samą porę zatrzymać zaplanowane operacje. Żadna z akcji, które miały zostać przeprowadzone w nocy z 31 sierpnia na 1 września, nie zakończyła się powodzeniem.

### **Incydenty graniczne w Mostach i Tczewie**

Plan ataku na Polskę przewidywał szybkie przedostanie się wojsk niemieckich w głąb kraju, by uniemożliwić lwiej części polskich sił zbrojnych wycofywanie się na wschód. Realizacja tego planu zależała jednak w dużym stopniu od tego, czy uda się w błyskawicznym tempie zająć dwie kluczowe z militarnego punktu widzenia pozycje na pograniczu polsko-niemieckim. Most na Wiśle w Tczewie na północnym zachodzie i tunel kolejowy znajdujący się pod siodłem Przełęczy Jabłonkowskiej w okolicach Mostów na południowym zachodzie stanowiły wąskie gardła, przez które musiały przejść oddziały niemieckie. Gdyby Polakom udało się zniszczyć owe newralgiczne

punkty, ofensywa nie mogłaby posuwać się w głąb kraju z pierwotnie założoną szybkością. Dlatego też Wehrmacht przygotował akcje, które zakładały zajęcie tych dwóch pozycji niejako w drodze zamachu, zanim doszłoby do rozpoczęcia właściwych działań bojowych.

W Beskidach Zachodnich, gdzie w ramach przygotowań do wojny zbierały się pod koniec sierpnia 1939 roku siły stacjonującej po słowackiej stronie granicy 7. Dywizji Piechoty, powołana przez wojskowy wywiad organizacja bojowa „Jabłonków” pod dowództwem podporucznika rezerwy dr. Hansa-Albrechta Herznera miała zająć tunel kolejowy i dworzec w Mostach. Oddział szturmowy Herznera był nieregularną jednostką bojową, której członkowie przebrani za zwykłych bandytów (*Räuberzivil*) działali niezależnie od stacjonujących w okolicy jednostek Wehrmachtu. Do zadań oddziału należało jednak utrzymywanie łączności z regularnymi siłami i przekazywanie im wyników pracy zwiadowczej.

Przedwczesny rozkaz do ataku, który został wyznaczony przez Hitlera po południu 25 sierpnia na następny dzień, okazał się dla ludzi Herznera fałstartem. Opuścili oni zajmowane pozycje około godziny 21, dlatego też wydany godzinę później rozkaz wstrzymujący atak nie zdążył do nich dotrzeć. Między północą a wpół do pierwszej przekroczyli granicę polsko-słowacką, a trzy godziny później zajęli stację kolejową oraz południowy wylot tunelu, gdzie daremnie czekali na przybycie niemieckich oddziałów. Krótco po piątej nad ranem Herzner wysłał parowozem gońca do 7. Dywizji Piechoty. Tymczasem stacjonujący w okolicy polscy żołnierze otoczyli budynek dworca. Niemieckiemu podporucznikowi rezerwy i kilku jego ludziom udało się zbiec w ostatniej chwili, inni zaś członkowie organizacji „Jabłonków” zostali wypuszczeni na wolność kilka dni później wskutek prowadzonych wówczas negocjacji polsko-niemieckich. Niemcy udali, że to przykre zajęcie było tylko „pomyłką” spowodowaną faktem, że „w zalesionej okolicy trudno rozpoznać przebieg granicy”.

Ma ironię losu zakrawa fakt, że prawdopodobnie w dniu niemieckiej napaści na Polskę tunel kolejowy w pobliżu Mostów dostałby

się w nienaruszonym stanie w ręce Niemców, gdyby wojsko polskie nie zostało ostrzeżone przed niebezpieczeństwem po nieudanej operacji niemieckich dywersantów sprzed kilku dni. Cała sprawa miała szybko pójść w zapomnienie. Nie zachowała się oficjalna dokumentacja przeprowadzonej akcji. Herzner przechowywał dokumenty dotyczące zajścia pod Mostami na poddaszu w swoim domu w Berlinie. W 1942 roku podporucznik utonął na skutek wypadku w kąpeli podczas rekonwalescencji w sanatorium SS w Hohenlychen. Nie wyjaśniono dokładnych okoliczności jego śmierci.

Także drugie z zaplanowanych przedsięwzięć - atak na most samochodowo-kolejowy na Wiśle w Tczewie - nie doszło do skutku. W tym miejscu Wisła wyznaczała granicę między Polską a Wolnym Miastem Gdańskiem, niecałe 20 kilometrów dalej na wschód leżał - na ziemiach Rzeszy Niemieckiej - wschodniopruski Malbork. Już w maju 1939 roku polskie wojsko zajęło most i obłożyło go na wszelki wypadek ładunkami wybuchowymi. Niemiecki plan przewidywał przejście parowozu ciągnącego wyruszający z Malborka pociąg towarowy oraz aresztowanie polskiej załogi. Niemieccy saperzy i oddziały bojowe miały następnie pojechać tym pociągiem do Tczewa i zająć tamtejszy most, zanim zostanie on zniszczony przez Polaków. W tym samym czasie niemieckie sztuki miały przypuszczać ataki lotnicze na Tczew.

Hitler przywiązywał ogromną wagę do tego przedsięwzięcia, a nawet sam przejął nadzór nad przeprowadzeniem akcji. O zaplanowanym ataku został poinformowany stacjonujący w Królewcu I Korpus Armijny. W Tczewie, w przeciwieństwie do akcji na Przełęczy Jabłonkowskiej, udało się zapobiec falstartowi w nocy z 25 na 26 sierpnia dosłownie w ostatniej sekundzie.

31 sierpnia o północy z tczewskiego dworca wyruszył parowóz z mechanikiem i jednym z pomocników. Zgodnie z planem mężczyźni zostali aresztowani w Malborku i zmuszeni do oddania swoich mundurów. Pociąg z niemiecką załogą wyruszył z Malborka z ponadgodzinnym opóźnieniem. Za radą Himmlera za pociągiem

towarowym pojechał pociąg pancerny z oddziałem wyposażonym w karabiny maszynowe. Aresztowano także załogę pociągu nadjeżdżającego z naprzeciwka oraz polskiego celnika, który przed Malborkiem dostrzegł ten podejrzany konwój.

Tymczasem w Tczewie odpowiadający za bezpieczeństwo ruchu urzędnik kolejowy Jan Ernst dziwił się, że pociąg towarowy nie wjechał jeszcze na dworzec. Zaniepokojony Ernst zadzwonił w tej sprawie do położonej w połowie drogi między Malborkiem a Tczewem stacji kolejowej w Szymankowie. Tamtejszy kolejarz zdołał jeszcze tylko przekazać komunikat: „Uważajcie! Nie mogę z wami dłużej rozmawiać. Pilnują mnie. Pociąg właśnie poszedł”. Ponieważ Ernstowi nie udało się już nawiązać łączności z Szymankowem, kazał zablokować tory kolejowe i wysadzić most w powietrze. Między załogą pilnującą mostu i przybyłą w tym czasie niemiecką załogą pociągu wywiązała się zacięta bitwa, podczas której Luftwaffe przystąpiła do bombardowania miasta.

Tczew skapitulował przed oddziałami niemieckimi rankiem 2 września. Jeszcze w nocy z 31 sierpnia na 1 września bojówkarze z SA zamordowali w Szymankowie w akcie zemsty za udaremnienie planu ataku na most trzynastu kolejarzy wraz z dwojgiem członków ich rodzin, w tym kobietę w ciąży, a także pięciu lub sześciu celników. W niemieckiej broszurze propagandowej z 1940 roku zamieszczono informację, iż „członkowie SS spełnili swoją powinność i wykonali całą robotę. [...] Akcja nie wiązała się z najmniejszymi choćby stratami po stronie SA”.

## Radiostacja gliwicka

Nie sposób zrozumieć, dlaczego Hitler zadawał sobie tyle trudu, by - aranżując kolejne „incydenty polskie” - dostarczyć Niemcom pretekst do napadu na Polskę. Ostatecznie sam twierdził, że jest mu raczej obojętne, czy wszystkie zaplanowane fortele przekonają światową

opinię publiczną. Być może poprzez taką prowokację, dokonaną rzekomo przez polską stronę, mimo wszystko chciał powstrzymać mocarstwa zachodnie przed dotrzymaniem Polsce gwarancji, a tym samym przed wypowiedzeniem wojny III Rzeszy.

Podobnie jak inne przedsięwzięcia tego typu - zajęcie tunelu kolejowego pod Mostami, mostu tczewskiego czy gdańskiego Westerplatte (zob. s. 83-87 i s. 129-134) - także operacja przeprowadzona w Gliwicach przypominała w znacznym stopniu raczej robotę amatorów niż profesjonalistów. Przyczyn takiego stanu rzeczy nie należy dopatrywać się wyłącznie w nawykach Führera, który miał w zwyczaju mieszać się w planowanie przygotowywanych operacji. Przesunięcie terminu niemieckiej inwazji na Polskę nastąpiło w ostatniej chwili, co utrudniło przeprowadzenie akcji zgodnie z planem. Światowa opinia publiczna miałaby niezłą rozrywkę, gdyby niemiecka napaść na Polskę nie uniemożliwiła ujawnienia przykrych szczegółów dotyczących zakończonych niepowodzeniem zabaw Wehrmachtu i Policji Bezpieczeństwa, których ludzie bawili się w policjantów i złodziei.

W sierpniu 1939 roku pracownicy Głównego Urzędu Policji Bezpieczeństwa w Berlinie przystąpili do gorączkowych przygotowań. Akcję miał zaplanować osobiście szef Policji Bezpieczeństwa Reinhard Heydrich, którego zainspirowała wysoko przezeń ceniona angielska literatura szpiegowska. Na Śląsku wybrano po niemieckiej stronie granicy trzy punkty, w których miały zostać upozorowane ataki Polaków. Były to: urząd celny w Stodołach (Hochlinden), leśniczówka w Byczynie (Pitschen) oraz radiostacja w Gliwicach. „Napastników” i „obrońców” do planowanej operacji rekrutowano spośród funkcjonariuszy policji i SS. Członkowie grupy operacyjnej byli zakwaterowani od połowy sierpnia w pobliżu granicy, gdzie „Polacy” zapuszczali brody i baki. Ponieważ część jednostki miała udawać polskich żołnierzy, kierownik Wydziału Kontrwywiadu przy Głównym Urzędzie Służby Bezpieczeństwa SS-Brigadeführer Jost wystarał się u odpowiadającego za specjalne misje wojskowe przeprowadzane

na terytorium wroga podpułkownika Erwina Lahousena o mundury Wojska Polskiego, podając jako cel użycia „akcję specjalną SS”. Hitler osobiście wyjaśnił potrzebę zachowania ścisłej tajemnicy: zależało mu, by „Wehrmacht trzymać z dala od wszystkich poczynań, które mają ewidentnie nielegalny charakter”.

Przedwczesne wydanie rozkazu do ataku 25 sierpnia 1939 roku i późne wycofanie go przysporzyło tylko problemów „napastnikom” ze Stodół. Dowódca grupy operacyjnej, komendant elitarniej szkoły Policji Bezpieczeństwa w Berlinie-Charlottenburgu SS-Obersturmbannführer Otto Hellwig, nie czekał bowiem na hasło do ataku, lecz od razu przekroczył wraz ze swoimi ludźmi granicę z Polską. „Chybaście poszaleli!” - napisał Reinhard Heydrich w swej depeszy do gliwickiego prezydium policji, gdzie wiadomości doszły w tym samym czasie. W ostatniej chwili udało się jeszcze zawrócić nadgorliwców, sam Hellwig zaś został pozbawiony stanowiska dowódcy.

Także wydarzenia nocy z 31 sierpnia na 1 września, kiedy rzeczywiście przeprowadzono operację w Gliwicach, nie przebiegały zgodnie z planem. Urząd celny i leśniczówka, których mieszkańców uprzedzono i częściowo ewakuowano, zostały z powodzeniem „zatakowane”, a samej akcji towarzyszyły odpowiednie „efekty specjalne”: wielki hałas, strzały oddawane w powietrze, polskie rozkazy i przekleństwa, a także szczęk rozbijanych okien. Jednak okoliczna ludność w ogóle nie dostrzegła tego zajścia. Nieuprzedzeni pracownicy radiostacji obezwładnili i zwięzali „napastników”. Dopiero teraz okazało się, że radiostacja nie nadaje własnego programu już od 1935 roku. Odpowiedni komunikat podano do wiadomości w obu wersjach językowych przez tak zwany mikrofon burzowy, używany kilka razy w roku do zawiadamiania radiosłuchaczy o nadciągającej burzy. W komunikacie ogłoszono, że radiostacja została przejęta przez Polaków, a jego tekst kończył się słowami: „Niech żyje Polska!” Ponieważ radio było odbierane tylko w okolicach Gliwic, Heydrich daremnie czekał przed swoim aparatem w Berlinie na sygnał od „insurgentów”. Szef Policji Bezpieczeństwa myślał nawet przez chwilę, że z jakichś



względów w ogóle nie przystąpiono do operacji. Bo właściwie chodziło o to, by komunikat został odebrany w całym kraju. Ze zrozumiałych względów wyłączono lokalną policję z prowadzenia „śledztwa” w sprawie zająć w Gliwicach. Odpowiednie „dowody” obciążające polskich „partyzantów” zostały sfabrykowane przez Gestapo. Aby wzmocnić efekt propagandowy, wykorzystano więźniów z obozów koncentracyjnych, których określano w cynicznym języku organizatorów jako „konserwy”. Ludzi tych, odurzonych, zawieziono do Stodół i Gliwic, przebrano za „polskich insurgentów”, rozstrzelano, a następnie odpowiednio „zaaranżowanych” sfotografowano, zatrudniając do tej czynności policyjnych fotografów. Wśród ofiar znajdował się także Ślązak Franciszek Honiok, który jest dzisiaj czczony w regionie jako bohater narodowy.

Wprawdzie w dokumentacji wewnętrznej niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych odnotowano 1 września 1939 roku atak na radiostację w Gliwicach jako „poważny incydent graniczny”, ale Hitler - przemawiając tego samego dnia w Reichstagu - przezornie mówił tylko ogólnie o 14 „okrutnych czynach”, których w nocy mieli się dopuścić Polacy na granicy, „w tym trzech szczególnie poważnych”. Skompletowany przez SS „materiał dowodowy” nie przeszedłby pozytywnie badań niezależnej komisji śledczej. Powołanie takiej komisji uniemożliwił zawrotny rozwój wydarzeń w teatrze działań wojennych w Polsce oraz na arenie międzynarodowej. Kwestia prowokacji granicznych została wyjaśniona dopiero w okresie powojennym, gdy w Niemczech Zachodnich toczyły się śledztwa i postępowania w tej sprawie. Prowodyrzy incydentów rekrutowali się głównie spośród wyższych rangą członków grup operacyjnych, które w owym czasie stacjonowały na Górnym Śląsku, szykując się do operacji specjalnej „Aktion Tannenberg” (zob. s. 162-168). Dla tych ludzi akcja w Gliwicach, którą również przeprowadzono pod tym samym kryptonimem, stanowiła najwidoczniej jedynie „rozgrzewkę”. W Polsce atak na radiostację w Gliwicach określa się mianem prowokacji gliwickiej, a na podstawie ówczesnych wydarzeń nakręcono pod koniec lat sześćdziesiątych film pod tytułem *Operacja Himmler*.

## „Wypowiedzenie wojny”

Rankiem 1 września 1939 roku Hitler wystąpił w gmachu Opery Krolla przed deputowanymi do Reichstagu<sup>1</sup>. Jego przemowa została wyemitowana przez radio o godzinie 10. Jeśli spojrzeć na to wydarzenie z historycznym dystansem, to ów krok Führera należałoby potraktować jako istną komedię odgrywaną na oczach całego świata. W swojej przemowie Hitler utrzymywał, że do ostatniej chwili był skłonny podjąć negocjacje z Polską, na które ta odpowiedziała naruszeniem granic. Wielu obywateli Rzeszy, wsłuchując się w transmisję radiową, wierzyło w każde słowo swojego „wodza”.

Wraz z niemiecką agresją na Polskę zakończył się ostatecznie półtoraroczny okres pokojowych aneksji III Rzeszy. Od tej pory swoje imperialne plany Hitler będzie realizował z zastosowaniem siły militarnej. Być może nawet Führerowi nie uśmiechał się zbytnio taki rozwój wydarzeń, jednak nie zamierzał dopuścić do sytuacji, w której wskutek zagrożenia wybuchem nowej europejskiej wojny musiałby zrezygnować z dążenia do osiągnięcia własnych celów w polityce zagranicznej. Dla niego wojna — zgodnie z definicją Carla von Clausewitza — była „kontynuacją polityki przy użyciu innych środków”.

I pod tym względem zasadniczo mylono się co do mnie! Moje umiłowanie pokoju i moją bezkresną cierpliwość opacznie uznano za słabość lub nawet tchórzostwo! Dlatego też wczoraj wieczorem podjąłem decyzję, by powiadomić rząd brytyjski, że w takich okolicznościach nie odnajduję już po stronie polskiej szczerzej woli do prowadzenia z nami poważnych rozmów. Tym samym misja mediacji się powiodła. Bo w tym czasie na jej propozycję Polska odpowiedziała najpierw ogłoszeniem powszechnej mobilizacji, a później nowymi okrucieństwami. Te zajścia znowu miały miejsce dziś w nocy. Podczas gdy nie tak dawno

<sup>1</sup> Po pożarze Reichstagu deputowani niemieckiego parlamentu zbierali się na obrady w Operze Krolla w Berlinie (przyp. tłum.).

temu w ciągu tylko jednej nocy odnotowano 21 takich incydentów granicznych, dziś w nocy było ich 14, w tym trzy całkiem poważne.

**Dlatego też zostałem zmuszony do podjęcia decyzji, aby prowadzić rozmowy z Polską w tym samym języku, w jakim Polacy rozmawiają z nami! [...]**

Nasze cele: jestem zdecydowany, po pierwsze — rozwiązać sprawę Gdańska, po drugie — rozwiązać sprawę korytarza, i po trzecie — zadbać o to, żeby w stosunku Niemiec do Polski nastąpił przełom, zmiana, która zapewni [wszystkim] pokojowe współistnienie.

Jednocześnie jestem zdecydowany walczyć tak długo, aż obecny rząd polski będzie skłonny spełnić nasze warunki, albo do momentu, aż inny rząd polski będzie do tego skłonny. Chcę usunąć znad niemieckiej granicy ten element niebezpieczeństwa, tę atmosferę stanu przypominającego wieczną wojnę domową. Chcę zadbać o to, by pokój na wschodniej granicy nie różnił się pod żadnym względem od pokoju na innych naszych granicach.

Chcę przy tym podjąć konieczne działania w zakresie, który nie będzie sprzeczny z tym, co sam ujawniłem Panom jako propozycje dla reszty świata w tym właśnie miejscu, Panowie Posłowie, w Reichstagu. Oznacza to, iż nie chcę prowadzić wojny z kobietami i dziećmi. Zleciłem mojej Luftwaffe, by skoncentrowała swoje ataki na obiektach wojskowych. Jeśli jednak nieprzyjaciół uzna, że moje zapewnienia upoważniają go do walki przy użyciu innych metod, to otrzyma taką odpowiedź, że aż go zamuruję!

Dziś w nocy Polska po raz pierwszy użyła także swoich regularnych oddziałów, by strzelać do nas na naszym własnym terytorium. Od 5.45 [w rzeczywistości od 4.45] odpowiadamy na strzał strzałem! I od tej pory będziemy odpłacać bombą za bombę! Kto walczy przy użyciu trucizny, ten będzie zwalczany trującym gazem. Jeśli ktoś sam nie stosuje się do reguł humanitarnego prowadzenia wojny, niech nie oczekuje od nas niczego innego, niż tego, że wykonamy taki sam ruch. Będę prowadził tę walkę — nieważne, przeciwko komu — tak długo, aż zagwarantuję bezpieczeństwo i prawa Rzeszy.

Przez ponad sześć lat pracowałem nad budową niemieckiego Wehrmachtu. W tym czasie zużyliśmy ponad 90 miliardów [marek] na budowę tych sił zbrojnych. Dziś Wehrmacht jest najlepiej uzbrojoną armią, i pod tym względem zdecydowanie przewyższa wszelkie porównania ze stanem w 1914 roku. Moje zaufanie do niemieckiego wojska jest niezłomne.

Jeśli więc zawezwałem teraz Wehrmacht i jeśli teraz żądam od niemieckiego narodu ofiary, być może nawet największych ofiar, to mam do tego prawo. Bo dziś sam jestem dokładnie tak samo gotowy, jak wcześniej, do poniesienia każdej osobistej ofiary. Nie wymagam od żadnego Niemca niczego innego, niż sam byłem gotów dobrowolnie uczynić w ciągu tych czterech lat. W Niemczech nie będzie takiego niedostatku, którego nie wziąłbym sam na siebie. Od tej chwili całe moje życie należy w pełni do niemieckiego narodu. Nie pragnę być teraz nikim innym, jak tylko pierwszym żołnierzem niemieckiej Rzeszy.

Tym samym przywdziałem znów ten mundur, który był niegdyś dla mnie rzeczą najświętszą i najdroższą. I zdejmę go dopiero po osiągnięciu zwycięstwa albo nie dożyję tego końca!

Wystąpienie Hitlera przed niemieckim parlamentem 1 września 1939 roku. Nagranie dźwiękowe: [www.nationalsozialismus.de](http://www.nationalsozialismus.de).

Ostatnie dni sierpnia oba narody — Polacy na równi z Niemcami — przeżywały jako ciszę przed burzą. Wraz z atakiem Niemiec na Polskę we wczesnych godzinach porannych 1 września 1939 roku dobiegi kresu dwudziestoletni okres pokoju w Europie, tyle bowiem czasu mijalo właśnie od zakończenia I wojny światowej. Gwałtowne przejście od oczekiwania w napięciu na wybuch wojny do wojennej zawieruchy na polskim teatrze działań wojennych ludzie w III Rzeszy śledzili na bieżąco w wiadomościach radiowych i w gazetach. To przejście zapadło głęboko w pamięć ówczesnym pokoleniom. Chyba nie było wtedy Polaka czy Niemca, który nie mógłby sobie po latach przypomnieć, gdzie przebywał rankiem 1 września 1939 roku, co wówczas robił i o czym myślał, gdy docierała

do niego ta informacja. Nawet jeśli nie wszyscy liczyli się od razu z możliwością wybuchu kolejnej wojny światowej, to jednak z większości powstałych wówczas zapisków można wyczytać katastroficzne przeczucia, przeplatające się często z ironicznymi komentarzami na temat gorączkowych reakcji ludności i nowych zarządzeń władz. Puszka Pandory została otwarta. Wojna wkroczyła w życie wszystkich Polaków i Niemców, zmieniając je w drastyczny sposób. Milionom ludzi nie było dane przeżyć tej katastrofy.

*Berlin. Czwartek, 31 sierpnia 1939*

[...] Dziś w południe o drugiej zerwano negocjacje z Anglią. Wojsko niemieckie wyrusza do boju. W redakcji panuje katastroficzny nastrój. „Od jutra przemawiać będą żelazne rury” — powiedział ponuro Hollner. Większość mężczyzn zdolnych do pełnienia służby wojskowej została już powołana do Wehrmachtu. Tyczkowaty Meyer, nasz „polityczny”, paraduje dziś w mundurze esesmana; chce uczcić ten dzień. Nie sprawia jednak wrażenia człowieka, który cieszyłby się z nadciągającej wojny. A gdy Hollner wyciąga butelkę koniaku i każe nam z niej pić za pożegnanie z pokojem, Meyer również pociąga porządnego tyka. A że napił się ze szczerego serca, musimy go odprowadzić do taksówki i podać jego adres kierowcy. Erich Tuch prawie już w ogóle nie wychodzi z Kancelarii Rzeszy. „Dziś w nocy między czwartą a piątą” — informuje nas w pośpiechu przez telefon.

*Berlin. Piątek, 1 września 1939*

O godzinie 4.45 niemieckie wojsko przekroczyło na szerokiej linii granicy z Polską. Rząd zasypuje nas całym mnóstwem nowych zarządzeń. Mamy obowiązek zaciemniania ulic, sklepów i mieszkań, a także obrony przeciwlotniczej. Od dzisiaj słuchanie zagranicznych rozgłośni jest zabronione, a za złamanie zakazu grożą surowe kary. Zgrzeszyliśmy już trzy razy, z kocem narzuconym na radio i za zamkniętymi drzwiami. Francja i Anglia przeprowadzają mobilizację, Włochy ogłaszają neutralność. *Iacta alea est*. Kiedy te kości zostaną rzucone dla Hitlera?

Po południu wybieramy się z wizytą do dr. Flamma. Były sędzia Sądu Krajowego zaprosił nas na herbatę. Odkąd naziści uznali jego poglądy za wątpliwe politycznie i wysłali go na przymusową emeryturę, zarabia na utrzymanie, prowadząc repertorium prawnicze. Dokłada wszelkich starań, by w ostrożny i mądry sposób wyjaśnić swoim uczniom błędność narodowosocjalistycznych idei. Andrik uważa go za swojego najinteligentniejszego przyjaciela. Teraz widzimy, jak balansuje na drabinie, starając się zasłonić okna ciemnobrązowym papierem palcowym. „Niemcu, zaciemniaj!” - woła na powitanie w naszą stronę, wbijając ostatni gwóźdź. Siedzimy dookoła stołu i mieszamy herbatę w filiżankach. „To będzie długa wojna” - mówi melancholijnym głosem Flamm. - „Bóg raczy wiedzieć, kto ostanie się przy życiu u jej kresu”. - „Na pewno nie pan Hitler!” — twarz Flamma wykrzywia się w grymasie. - „Co nam przyjdzie ze śmierci Hitlera, gdy będziemy wachać kwiadd od spodu?!?”.

Na dworze słychać dziwne buczenie. Coś wyje na zmianę, raz wysoko, raz nisko. Przeciągająca się sekwencja wysokich i niskich dźwięków. Andrik zrywa się z miejsca. „Alarm przeciwlotniczy!” — krzyczy przerażony. Patrzymy na siebie i nie bardzo wiemy, jak powinniśmy się zachować. „Do piwnicy” — radzi Flamm. Jakoś się wstydzimy; wydaje nam się, że jesteśmy tchórzami. Gdy już jesteśmy na dole, widzimy zgromadzonych sąsiadów. Na twarzach mają maski przeciwgazowe, a przez ramię przepisowo przewieszzone torby. „To straszne!” - mruczy pod nosem Andrik. Nad nami warkot jednego tylko samolotu. W napięciu obserwujemy maszynę przez otwarte okna od piwnicy. Po 20 minutach zjawia znika. Znow rozbrzmiewa nieznany dotąd sygnał. Przenikliwe, przeciągłe buczenie. „Odwołanie alarmu” - stwierdzają „eksperci”, odpinają maski i ruszają zadowoleni z powrotem do mieszkań. My nie wypowiadamy się na temat tego wydarzenia, które wydaje się nam przykre i niemal kompromitujące.

W drodze do domu po raz pierwszy widzimy gwiazdy na niebie nad Berlinem. Nie takie jak zazwyczaj, posępnie wyblakłe, schowane za kolorową reklamą świetlną, lecz błyszczące na czystym niebie. Księżyc rzuca swoją mleczną poświatę na płaskie i spiczaste dachy.

Na ulice nie przedostaje się ani jeden promień sztucznego światła. „Wielkie miasto powraca na łono natury” — stwierdza Andrić, uśmiechając się. „Aż chciałoby się zostać romantykiem”. Bierze mnie pod ramię i ściska mocno. Boże, jak ja go Kocham! — myślę rozczulona.

Ruth Andreas-Friedrich, *Der Schattenmann, Tagebuchaufzeichnungen 1938-1945*, Frankfurt am Main 1984, s. 60-62.

*Berlin*

*29 sierpnia, wtorek*

[...] W niedzielę przed południem przyszedł niespodziewanie Morał: Chce „zniknąć” w Berlinie, zaszyć się u jakiegoś aryjskiego przyjaciela; liczy się z wybuchem wojny, a w takim przypadku z możliwością rozstrzeliwań - może nie dziki pogrom, lecz zorganizowana akcja: spędzą ludzi do koszar i postawią pod ścianą. — Po południu zaczęli wydawać kartki żywnościowe; w ten sposób powstrzymali wyjazdy i próby ukrycia się. - Wieczorem pojechałem na dworzec. Publika wyglądała na dość przygnębioną (gdy wróciłem, Eva opowiadała, że i tutaj wracający do miasta spacerowicze zachowywali się inaczej niż zwykle: rozmawiali po cichu, nie śmiali się i nie dokazywali. Ludzie przede wszystkim tłoczyli się wokół ogłoszenia informującego o zmniejszeniu liczby połączeń kolejowych. Dziesięciodniowy zakaz korespondencji dla wszystkich oddziałów znajdujących się „poza stałym miejscem stacjonowania” ogłosili już w sobotę wieczorem [...]. Sytuacja zdaje się zmieniać z godziny na godzinę: raz bliżej wojny, raz bliżej pokoju; perspektywy i konfiguracje w ewentualnej wojnie nie są jasne. Każdy zgaduje, każdy czeka; ale zbyt duże napięcie znowu przeradza się w ośpienie [...]. Niewykluczone, że optymizm już znowu teraz rośnie. Ale może być i tale, że narasta obojętność. Kto potrafi ocenić nastrój narodu, gdy liczy on 80 milionów, gdy knebluje się prasę, a ludzie boją się cokolwiek mówić? [...].

*Lingua*: Zjazd partii mieli obsługiwać nie sanitariusze, lecz felczerzy. Teraz już się nie mówi o bolszewikach — mówi się o rosyjskim narodzie. A Hess, przemawiając ostatnio, powiedział: Wojny z nami chcą „Żydzi i wolnomularze”. — Właśnie przejrzałem gazetę: ostateczne

decyzje jeszcze nie zapadły, biorąc jednak pod uwagę temperaturę minionych wydarzeń, wydaje się niemal pewne, że w najbliższych godzinach rozpocznie się wojna; wskazują na to wszystkie podejmowane w Niemczech, Francji i Anglii działania. [...]

*3 września, niedziela przed południem*

Tortury psychiczne coraz trudniejsze do zniesienia. W piątek rano zarządził stałe zaciemnienie. Siedzimy w piwnicy. Ciasno, potwornie wilgotno, duszno, nieustannie się pocimy i mamy dreszcze, woń pleśni, niedostatek żywności — wszystko to razem przyczynia się jeszcze do pogłębienia udręki. (Masło i mięso przeznaczam przede wszystkim dla Evy i [kota] Muschela, ja odżywiam się chlebem i rybą, które przynajmniej na razie można jeszcze dostać w wolnej sprzedaży). Ale to wszystko, samo w sobie, byłoby bez znaczenia; rzecz w tym, że są to tylko uboczne skutki. Co dalej? Niemal co godzinę powtarzamy sobie, że teraz rozstrzygnie się ostatecznie, czy Hitler jest wszechwładny, a jego rządy będą trwać nie wiadomo jak długo, czy może teraz, właśnie teraz, nastąpi kres jego panowania.

W piątek rano, 1 września, przyszedł młody czeladnik rzeźniczy i oznajmił: „W radiu mówili, że zajęliśmy już Gdańsk i mamy korytarz, toczy się wojna z Polską, Anglia i Francja zachowują się neutralnie”. Powiedziałem do Evy, że wobec tego najlepszy byłby dla nas zastrzyk morfiny albo coś podobnego, bo to już pewnie nasz koniec. Ale potem uznaliśmy, że to niemożliwe, żeby tak się sprawy miały, chłopak już wiele razy opowiadał głupstwa (mógłby służyć za typowy wzór ludowego stosunku do informacji). Nieco później usłyszeliśmy dobiegający skądś histeryczny głos Hitlera, po czym rozległ się jak zwykle ryk entuzjazmu, ale nic nie można było zrozumieć. Powiedzieliśmy sobie, że pojawiłyby się już flagi, gdyby wiadomość była choć w połowie prawdziwa. Potem, na dole, zobaczyłem depeszę o rozpoczęciu wojny. Próbowałem się dowiedzieć, czy ogłoszono już neutralność Anglii. Tylko jakaś inteligentna sprzedawczyni w sklepie z cygarami na Chemnitzer Platz powiedziała: „Nie — to by dopiero był dowcip!”.



U piekarza Vogla: „Zachowują się, jakby ogłosili: za parę dni będzie koniec!”. Jakiś młody człowiek przed wywieszoną gazetą: „Anglicy są za bardzo tchórzliwi, nic nie zrobią!”. Wszyscy myślą mniej więcej tale samo, *vox populi* (handlarz masłem, gazeciarz, inkasent z gazowni *etc., etc.*). Po południu przeczytałem przemówienie Führera. Wydało mi się na wskroś pesymistyczne, i to zarówno jeśli chodzi o sprawy zagraniczne, jak i wewnętrzne. Wszystkie podjęte działania także wskazywały i wskazują, że chodzi o coś więcej niż tylko ekspedycję karną przeciwko Polsce. — Dopiero trzeci dzień, a mam wrażenie, jakby to trwało już trzy lata: oczekiwanie, rozpacz, nadzieja, domysły, niewiedza... Wczorajsza gazeta, z soboty, niewyraźnie, ale jednak Uczy się z możliwością wojny na większą skalę: „Anglia agresorem; mobilizacja w Anglii, mobilizacja we Francji; wykrwawia się!” *etc., etc.* Ale z tamtej strony nikt jeszcze nie wypowiedział wojny. Ogłoszą ją czy zrezygnują z oporu i ograniczą się do demonstracji?

Victor Klemperer, *Chcę dawać świadectwo aż do końca. Dzienniki 1939—1942*, t. 2, tłum. Anna i Antoni Klubowie, Kraków 2000, s. 33-37.

### *Wrocław*

Świta. Na niebie nad Śląskiem pojawiają się barwne smugi — czerwone miesza się z matowoniebieskim.

Gorąca noc późnego lata dobiega kresu. Jest bezwietrznie. Zlany potem czternastolatek budzi się w swojej mansardzie na poddaszu we wrocławskiej dzielnicy Muchobór.

W powietrzu unosi się dobiegający z oddali śpiew ptaków, które dają właśnie poranny koncert.

Z pobliskiego dworca towarowego dochodzi przenikliwy gwizd lokomotywy. Zaraz potem huk uderzenia zderzaków o górkę.

Senne spojrzenie na świecąca tarczę budzika: jest czwarta.

Na Strzegomskiej huk wysokich dźwigów stalowych, montujących element)' przepustu kolejowego. Po szynach przetaczają się wagon za wagonem, jadą na wschód.

Obraz tych ostatnich dni: machający żołnierze, którzy stoją w szeroldch drzwiach, ozdobione kwiatami wagony kolejowe, obok wozy zaprzęgnięte w konie, furmanki, czołgi, działa na pociągach wyposażonych w baterie przeciwlotnicze, czterolufowe, wielkokalibrowe karabiny maszynowe.

Zaraz za nimi jadą pociągi sanitarne. Ludzie z zaskoczeniem spoglądają do góry, w kierunku nasypu kolejowego.

Poranek przerywają raptownie odgłosy silników. Ławica samolotów. Na niebie pojawiają się ich setki. Musiały wystartować przed kilkoma minutami z lotniska w Schöngarten. Niski przelot tych żelaznych ptaków nad koronami drzew po obu stronach szosy sprawia groźne wrażenie.

Czternastolatek zaszywa się trwożliwie w kącie. Potem jednak podbiega znów do okna. Widzi junlcersy Ju 87, bombowce nurkujące z wielkimi czarnymi krzyżami z białą obwódką. Krótkie rozbłyśnięcie śmigiel towarzyszących im meserszmitów Me 109.

Jeszcze wczorajszego wieczoru oficerowie stali w autobusie, wracając z przepustki, lub rozmawiali żywo na peronie, starając się jednocześnie powściągnąć emocje; ich białe halsztuki błyszczwały figlarnie. Dziarsko nasunięte czapki „beniaminków Göringa” z eskadr meserszmitów i sztukasów typu Immelmann. Samoloty są wciąż jeszcze na wyciągnięcie dłoni. Nie można rozpoznać twarzy pilotów w szklanych kabinach. [...]

W poniedziałek skończyły się wakacje. Dziś jest piątek, 1 września 1939 roku.

Claus Weyrosta, *Ein Vierzebnjähriger in Breslau*, s. 157—158.

*Wrocław, 1 września 1939*

Wrocław. Piątek. [...] Dziś o piątej nad ranem w stronę Górnego Śląska leciało na tej samej wysokości kilka eskadr; a tak poza tym w nocy nie wydarzyło się nic szczególnego, no, może z wyjątkiem podanego wielokrotnie przez radio zakazu lotów pasażerskich. Z nieba ciągle dochodzą do nas odgłosy silników!

Okolo godziny ósmej. Niestety wygląda na co, że wojna jednak wybuchła. Polacy mieli rzekomo przekroczyć granicę w okolicach Gliwic. Führer miał postawić Polsce ultimatum z czternastoma żądaniami, nie uzyskał jednak żadnej odpowiedzi. Właśnie podali w radiu wiadomość, że Gdańsk został ogłoszony częścią Rzeszy. Sprawy potoczyły się własnym torem. Inni pewnie też podejmą teraz interwencję, a to oznacza wojnę światową. Wręcz trudno sobie to wyobrazić. Niezależnie od spraw wielkiej polityki, jestem myślami przy Wölflu i Ernście; boję się zwłaszcza o pierwszego. Boże, miej go w swojej opiece!

Niektóre rzeczy przedstawiają się inaczej niż w pogłoskach krążących od dzisiejszego poranka. Gliwice nic zostały zajęte przez Polaków; w radiostacji miało dojść tylko do zamachu, a rozgłośnia została już odbita przez Niemców. Gazety szeroko rozpisują się na temat różnych propozycji Hitlera w kwestii korytarza, jednak Polacy zupełnie je ignorują. Dlatego też Niemcy musiały przystąpić do działania; tymczasem ogłoszono, że Gdańsk jest częścią Rzeszy Niemieckiej; na Kremlu uroczyście podpisano pakt niemiecko-rosyjski.

Ulice sprawiają dziś cokolwiek bojowe wrażenie; widziałem też, jak esesmani z oddziału Trupiej Czaszki zaciągali się do służby; spotkałem na ulicy radcę prawnego dr. Tarnowskiego, który wracał właśnie z urzędu powierniczego; wydano rozporządzenie, zgodnie z którym Żydom zakazano obracania własnym majątkiem. Dla wielu będzie się to wiązało z poważnymi kłopotami. Szpital żydowski został całkowicie zlikwidowany i przekazany pod zarząd armii. Zarządzono także obronę przeciwlotniczą, a od dziś Wrocław ma być zaciemniany. W prezydium policji włączy do piwnicy zapchano workami z piaskiem, f...] Pojechałem z rynku do domu. Ani śladu patriotycznej euforii na ulicach. Ludzie chodzą zamyśleni w milczeniu. Trudi urządziła bunkier w piwnicy.

Willy Cohn, *Kein Recht, nirgends. Tagebuch vom Untergang des Breslauer Judentums 1933-1941*, t. 2, wyd. Norbert Conrad, Köln  
u.a. 2007, s. 682—683.

*Leszno*

Jak się wydaje, II wojna światowa wybuchła także z mojego powodu. Należałem do Niemców, którzy mieszkali wówczas Polsce. Nazywano nas „volksdeuschami”. Latem 1939 roku przyszła kolej na nas i zostaliśmy sprowadzeni do ojczyzny — przyłączeni do Rzeszy. Miałem wtedy piętnaście lat i uczęszczałem do prywatnego gimnazjum niemieckiego w Lesznie, mieście położonym w byłej prowincji poznańskiej. [...]

W letnich miesiącach 1939 roku ruszyła niemiecka kampania propagandowa, która miała doprowadzić do zdyskredytowania Polski w oczach światowej opinii publicznej oraz wykazać, iż rząd polski nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa i porządku we własnym kraju. A założone cele zamierzano osiągnąć przy użyciu tych samych środków, które zostały zastosowane dziewięć miesięcy wcześniej względem Czechosłowacji. Niemieckie gazety, które można było kupić także u nas w Polsce, rozpisywały się coraz obszerniej na temat okrucieństwa, ataków i mordów, których mieli się dopuszczać Polacy na etnicznych Niemcach. Podobne doniesienia były emitowane przez wrocławską radiostację, której transmisję mogliśmy odbierać w naszych domach. Każdy nadawany przez rozgłośnię serwis informacyjny kończył się pieśnią marszową, którą stworzono tylko po to, by zwrócić na nas uwagę. Piosenka miała tytuł *Das Lied der Deutschen in Polen* („Pieśń Niemców w Polsce”).

Niemiecka propaganda przyczyniła się do tego, iż Polacy postrzegali istnienie mniejszości niemieckiej w ich kraju jako główne źródło zagrożenia dla własnej wolności i suwerenności. Teraz wydawali się im forpocztą i pomagierami niemieckiego parcia na wschód. Dawali nam odczuć swoją niechęć. Zdarzało się, że wzywano nas rozdrażnionym i szorstkim tonem, byśmy mówili po polsku, gdy jesteśmy na ulicy. Przemawiało przez nich szyderstwo, gdy krzyczeli w naszą stronę, żebyśmy zmykali do Hitlera. Aby nie zwracać na siebie uwagi, zdejmowaliśmy z głów nasze kolorowe czapła uczniowskie, a mimo to od razu na każdym kroku rozpoznawano nas jako Niemców. [...]

Kolejne dni spędziłem u mojej ciotki w Bojanowie, małym mieście położonym w niewielkiej odległości od granicy z Niemcami.

Rankiem 1 września około godziny 6 do mojego łóżka podbiegła wzburzona ciotka, krzycząc: „Zbudź się, zbudź się, jest wojna!”. Nie mogłem uwierzyć, że to prawda. Nikt z nas nie liczył się z takim rozwojem wydarzeń. Do tej pory wszystkie kryzysy zażegnowano pokojowo. Wtedy wyrzalem przez okno i zobaczyłem polskich mieszkańców przechodzących przez rynek. Niektórzy z nich mieli przy sobie broń. Prawdopodobnie sami nawet nie wiedzieli, dokąd zmierzają. Wszyscy byli podenerwowani. Dwie godziny później po raz pierwszy dane było nam odczuć, że wojna oznacza niszczenie i zabijanie. Nasze miasto zostało ostrzelane przez niemiecką artylerię. Pobiegliśmy do domu sąsiadów, by schować się w piwnicy, która była solidniej zbudowana od naszej. Przy każdej eksplozji podrywaliśmy się ze strachu. Domy trzęsły się w posadach. Z przerażeniem pytaliśmy się nawzajem, dlaczego do nas strzelają. W mieście nie było ani jednego polskiego żołnierza, a my sami byliśmy przecież Niemcami. Jednak granaty trafiały zarówno w polskie, jak i w niemieckie domy, zabijając na równi mieszkańców polskiego i niemieckiego pochodzenia. Gdy było już po wszystkim, miasto wyglądało jak wymarłe. Ze strachu przed kolejnym ostrzałem nikt nie odważył się wyjść na wyludnione ulice. Jednak późnym wieczorem usłyszeliśmy przeraźliwe wycie. Wiatr przyniósł je ze sobą z najbliższej wsi. Mieszkający tam niemieccy chłopcy tak bardzo obawiali się o swoje życie, że porzucili gospodarstwa i uciekli przez granicę do Niemiec. W oborach stały niewydojone krowy, ryczące z bólu. [...]

Czekaliśmy na wkroczenie wojsk niemieckich. Ale pierwsi żołnierze Wehrmachtu pojawili się na naszym rynku dopiero w piątym dniu wojny, na krótko przed północą. W okamgnieniu wszyscy znaleźliśmy się na rynku. Pewien niemiecki mieszkaniec rozwinął flagę ze swastyką. Dziwilem się, że zrobił to tak szybko. Inny Niemiec z naszego miasta pobiegł do zboru i zaczął bić w dzwony. Wykrzykniliśmy wtedy: „*Sieg Heil!*”. Tak rozpoczął się nasz powrót do Rzeszy.

Gerhard Blottner, *Heim ins Reich*, s. 13—15.

*Chodzież*

Mimo że od tamtego czasu minęło już prawie 50 lat, nie udało mi się zapomnieć owego dnia. Nie miałem wtedy nawet skończonych siedemnastu lat, a jednak wiedziałem, że do tego dojdzie. Dobrze przypominam sobie rozwój wydarzeń, które poprzedziły katastrofę, a także zdecydowaną postawę wszystkich moich polskich znajomych, nieważne, czy byli wysokiego czy niskiego wykształcenia. Uważali, że nie można ugiąć się pod naporem żądań Hitlera i że trzeba walczyć o niepodległość kraju za wszelką cenę.

Szczególnie napięta atmosfera panowała w okolicy, gdzie mieszkali moi najbliżsi krewni, do których przyjechałem na wakacje jako uczeń gimnazjum w czerwcu 1939 roku. Mieszkaliśmy we wsi Jabłonowo, w gminie Ujście, w powiecie chodzieskim. Miejscowość była położona na pograniczu polsko-niemieckim. W pobliskich wioskach Węglewie i Nowej Wsi Ujskiej mieszkali w większości Niemcy. Wiedzieliśmy, że organizują tam grupy bojowe i że przeprowadzają ćwiczenia w pobliskiej Puszczy Notecldej. Słyszeliśmy, jak śpiewali piosenki, obserwowaliśmy ich, jak przejeżdżali obok naszego domu na rowerach, umundurowani, z opaskami ze swastyką na ramieniu. Dziwiliśmy się, że państwo, które tak bardzo bało się prowokacji, nie interweniowało w tej sprawie. Pierwsze patrole wojskowe pojawiły się w okolicy na krótko przed 1 września. Niektórzy spośród moich niemieckich znajomych spotykanych po drodze, w sklepie lub przed kościołem stawali się coraz bardziej zarozumiali i pewni siebie. Dawali nam do zrozumienia, że to oni wkrótce będą jedynymi panami w okolicy.

Niebawem dotarła do nas wiadomość, iż - „gdy dojdzie co do czego” — zostanie wysadzony w powietrze most kolejowy na Noteci, gdzie przebiegała wówczas granica. Miał to być sygnał do ewakuacji ludności cywilnej na wschód, do położonego w odległości kilkudziesięciu kilometrów Wągrowca, gdzie została przygotowana pierwsza najbliższa linia obrony.

Po ogłoszeniu powszechnej mobilizacji — zawiadowca stacji miał radio - mój ojciec usiłował, zgodnie z przydziałem, dostać się do

wskazanej miejscowości. Pożegnał się z nami 30 sierpnia, pozostawiając w domu moją matkę wraz z siedmiorgiem dzieci. [...]

Dzień później usłyszeliśmy zapowiadaną eksplozję. Zgodnie z planem trzeba było zaprząć konie, wsadzić najmłodszych na wóz i załadować najważniejsze rzeczy, między innymi zapasy żywności. Poza tym należało jeszcze przywiązać krowy do wozów. Ze łzami w oczach rozstawaliśmy się z naszym gospodarstwem, pozostawiając je na pastwę losu. Podobnie postąpiła większość mieszkańców. Oczywiście we wsi pozostali miejscowi Niemcy, jak również członkowie mieszanych rodzin polsko-niemieckich i kilku byłych robotników, którzy pracowali na folwarku u barona Scharnbergera. Wszyscy oni umieli mówić po niemiecku i uznali, że korzystniejsze będzie dla nich pozostanie we wsi niż ucieczka w nieznane.

Gdy nasza karawana wozów z uciekinierami przejeżdżała przez wieś Węgłowo, tamtejsi mieszkańcy przyglądali się nam z ukrycia, chowając się za płotami. Na ich twarzach malowało się zadowolenie, choć zdarzali się i tacy, którzy nam współczuli, a nawet starali się nas przekonać, byśmy zostali w swoich gospodarstwach i dalej byli ich sąsiadami.

Karol Gawłowski, *Mein 1. September 1939*, s. 58—59.

#### *Warszawa*

Co roku 1 września dzieci szły do szkoły — rozpoczynał się nowy rok szkolny. Tego pamiętnego roku wakacje były wyjątkowo piękne. Spędziłam je wraz z rodzicami i młodszą siostrą w ośrodku Stowarzyszenia Urzędników Skarbowych w Łaskarzewie pod Garwolinem. W sierpniu ojciec musiał wrócić do Warszawy ze względu na obowiązki służbowe. Zaraz potem pojechała tam także mama, a my zostałyśmy pod opieką babci. Dzięki temu miałyśmy na wakacjach całkowitą swobodę. Całymi dniami laziłyśmy z naszymi rówieśnikami do późnego wieczoru po lesie. W połowie miesiąca wróciła mama. Mimo mojego gwałtownego protestu spakowała nasze rzeczy i pojechałyśmy do domu. Powodował nią jakiś bliżej nieokreślony

niepokój; nie chciała zostać w ośrodku wczasowym, mimo że mieliśmy opłacony pensjonat do końca sierpnia. Lato było wciąż bardzo gorące. Furmanka powoli toczyła się w kierunku dworca, podczas gdy ja po raz ostatni spoglądałam na lasy w okolicach Sosnowca, a także na dziewanny i wrzosy, które kwitły tego roku nadzwyczaj wcześnie. Słoneczny obraz tamtego sierpniowego dnia na długo pozostał w mojej pamięci, mimo że wtedy jeszcze nie wiedziałam, iż za kilka dni będą się tu rozgrywać krwawe bitwy i że na garwolińskich polach zginie jeden z moich nauczycieli, bardzo utalentowany malarz, pan Henryk Szlucha, oficer rezerwy Wojska Polskiego.

W Warszawie szybko wyzbyłam się tego dziecięcego poczucia niechęć, które powstało wskutek nieco zbyt wczesnego powrotu z lasów.

Wkrótce potem ojciec został powołany jako oficer rezerwy do wojska, a mama wróciła przerażona z dworca, gdzie widziała odjeżdżające pociągi, przepelnione mężczyznami w mundurach. Muszę uczciwie przyznać, że nie niepokoiłam się wtedy o ojca. Tata często jeździł na ćwiczenia wojskowe i zawsze byłam wtedy z niego dumna, bo doskonale wyglądał w swoim oficerskim mundurze i wypolerowanych do połysku butach jeździeckich. Dosłownie w przededniu wybuchu wojny poszliśmy z mamą do kina na jakiś francuski film o 1 wojnie światowej, którego tematem przewodnim była znana piosenka *Madelon*. Jadłyśmy lody w ogródku pewnej kawiarenki i zrobiłyśmy mojej siostrze prezent, kupując jej zabawkę. Z zadowoleniem patrzyłam na rodzinne miasto, na neonowe reklamy i elegancko ubranych ludzi. Wtedy też po raz ostatni widziałam odświętną Warszawę, nawet na słupach od latarni zawieszono skrzynia z kwiatami. Wracający z letniego urlopu opaleni ludzie uśmiechali się do siebie, zagadywali do mnie obcy, mówiąc na przykład, że mama jest ładną i elegancką kobietą... Był to ostatni dzień mojego prawdziwego dzieciństwa.

Wczesnym rankiem zbudził mnie huk strzałów polskiej artylerii, która miała nie dopuścić, by hitlerowskie samoloty dostały się nad stolicę. Moja idealnie wyposażona mama, trzymając blaszaną puszkę z maską gazową w ręku, udala się na swoją pozycję; na ramieniu



miała zawiązaną urocą zielono-żółtą opaskę służby obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej. W marcu 1939 roku wszyscy nauczyciele przeszli specjalne kursy szkoleniowe w tym zakresie. Radio nadawało zupełnie zaskakującą audycję, którą ciągle o tej samej porze przerywał jakiś tajemniczy szyfr: Uwaga, uwaga, nadchodzi... - następnie można było usłyszeć jakieś litery wraz z liczbami. Nad miastem wylły ponuro syreny zapowiadające alarm przeciwlotniczy i nadciągające bombowce.

Bożena Krzywobłodzka, *Die ersten Tage des Krieges*, s. 9—10.

### *Warszawa*

W dniu wybuchu II wojny światowej, jako 19-letni student chemii na Uniwersytecie Warszawskim, przebywałem w moim mieście rodzinnym, w Warszawie. Z powodu wakacji uczelnie były zamknięte. Większość studentów, jak również urlopowiczów przedwcześnie wróciła do swoich domów. Atmosfera polityczna była bardzo napięta. Nikt nie wiedział, czy wojna rzeczywiście wybuchnie. Każdy z nas liczył się jednalt z nieuchronnością konfliktu między III Rzeszą a Polską. Także nasza rodzina wróciła z urlopu wcześniej, niż to zaplanowaliśmy. Mój ojciec, który był przedstawicielem niemieckiej firmy chemicznej z siedzibą we Frankfurcie nad Menem I.G. Farbenindustrie A.G. w Warszawie, pracował już w swoim biurze, gdy wraz z mamą wracaliśmy do domu 20 sierpnia z miejscowości letniskowej Wisła, w powiecie cieszyńskim na Górnym Śląsku. Wyjechaliśmy z Wisły, gdy z lokalnego dworca kolejowego odjechał wagon salonowy prezydenta Rzeczypospolitej, co oznaczało, że przerwał on urlop i wrócił do Warszawy.

W drodze powrotnej do Warszawy widzieliśmy nowo wybudowane umocnienia, które wzniesiono w wielkim pośpiechu. Podobne rzeczy na temat budowy umocnień oraz koncentrowania się oddziałów Wojska Polskiego na północy opowiadał nam mój brat, który właśnie wracał z tamtych stron.

W Warszawie ludzie na różne sposoby przygotowywali się na wybuch wojny. Aby zapobiec wypadaniu rozbitych wskutek eksplozji

bomb szyb okiennych, naklejano na okna krzyżujące się ze sobą paski papieru. Z obawy przed zastosowaniem przez wroga chemicznych środków bojowych wielu ludzi zaopatrywało się w maski przeciwgazowe lub przynajmniej w bandaże z tamponami nasączonymi odtrutką. Władze nawoływały ludność, by w każdym mieszkaniu uszczelniono jeden z pokoi. W ten sposób mieliśmy zapobiec przedostaniu się chmur gazu do naszych mieszkań w razie ataku. Prawie wszyscy mieszkańcy robili dodatkowe zakupy żywności. Tak wyglądała sytuacja w Warszawie w ostatnich dniach sierpnia. Tuż przed 1 września ogromnie wzrosło zainteresowanie ludzi informacjami prasowymi i radiowymi. Słuchano nie tylko transmisji Polskiego Radia, lecz także rozgłośni w sąsiednich krajach, przede wszystkim niemieckiej stacji Königswusterhausen. [...]

Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, wiadomość o wybuchu wojny została podana przez Polskie Radio o 6 rano. Mniej więcej w tym samym czasie słychać było pierwsze strzały polskiej artylerii przeciwlotniczej. Jednocześnie na niebieskim, słonecznym niebie pojawiły się liczne siwe smugi dymu. Na ulicach ludzie przystawali, spierając się, czy wybuchła już wojna, czy to tylko ćwiczenia. Około godziny 9 wszyscy zdawali sobie sprawę, że Polska została zaatakowana i że kraj znajduje się w stanie wojny, mimo iż nie doszło do oficjalnego jej wypowiedzenia.

Stefan Fulde, *Ein Deutscher in Warschau*, s. 49-51.

Pod koniec sierpnia 1939 roku ogłoszono powszechną mobilizację. Miałem już za sobą niecały rok w mundurze. Ponieważ byliśmy zwykłymi żołnierzami, nie rozumieliśmy przyczyn rozwoju wydarzeń politycznych tuż przed wybuchem wojny. Nic nie wiedzieliśmy o tajnym protokole dodatkowym załączonym do paktu między Hitlerem a Stalinem stwarzającym decydującą przesłankę dla niemieckiej agresji na Polskę. Niemieckie gazety gęsto rozpisywały się na temat polskich prowokacji i ataków na mniejszość niemiecką. Kto mógł wtedy wiedzieć, czy te doniesienia są prawdziwe? W każdym razie wierzyliśmy w większość z tych informacji.

W nocy wyruszyliśmy z naszych koszar w kierunku stacji przeładunkowej. Na poboczu drogi stało kilku krewnych i przechodniów, tak wymownie milczących i zatroskanych, jak tylko to możliwe. Co za kontrast z entuzjazmem tłumów, który towarzyszył żołnierzom wyruszającym na I wojnę światową!

My, żołnierze, nie byliśmy ani lepszymi, ani gorszymi ludźmi od naszych ojców, którzy szli na wojnę dwadzieścia pięć lat wcześniej, ani też od naszych potomków, którzy nas dzisiaj oceniają. Jak wszyscy żołnierze na świecie, czuliśmy się związani z naszą ojczyzną. Zostaliśmy wychowani i zmuszeni do posłuszeństwa. I tak maszerowaliśmy bez entuzjazmu, mając wszakże świadomość, iż czynimy swoją powinność.

Wczesnym rankiem 1 września przekroczyliśmy polską granicę. Następnego dnia pod wieczór doszło do pierwszego starcia z polskimi oddziałami przy nasypie kolejowym w Kłonowie, w Borach Tucholskich. Jako pierwszy spośród oficerów pułku poległ Heinrich, który znajdował się w odległości kilkuset metrów ode mnie. W nocy czuwałem przy nim, moim ukochanym bracie, a nad ranem pogrzebaliśmy go wraz z innymi poległymi wówczas towarzyszami broni na skraju lasu. Potem znów musieliśmy ruszyć w drogę. Któż mógłby opisać swoje odczucia w tamtych godzinach? Ledwo wybuchła wojna, a już na zawsze odcisnęła piętno na moim życiu; nigdy nie było ono już takie jak przed wojną.

Richard von Weizsäcker, *Vier Zeiten. Erinnerungen*,  
Berlin 1997, s. 76-78.

### *Sucha Góra*

31 sierpnia o godzinie 22.00 przyszedł do nas — wyraźnie podenerwowany — były przyjaciel mojego ojca, Niemiec pracujący jako lekarz w Suchej Górze, by nas poinformować, że mój ojciec zostanie zaarrestowany przez Gestapo, lecz że on, jako członek NSDAP [przypuszczalnie chodzi o „Jungdeutsche Partei”], wyciągnie go z aresztu, bo w końcu jesteśmy — mimo wszystko — zaprzyjaźnionymi

rodzinami. Jednak ojciec miał mu w zamian wyświadczyć przysługę; miał chronić Niemca przed ewentualnymi środkami odwetowymi podejmowanymi przez organizacje działające w polskim podziemiu. Ojcu trudno było podjąć decyzję. Jak powinien się zachować w tej sytuacji? Przecież nie wyrządził nikomu krzywdy. Ojciec był 51-letnim polskim nauczycielem, przełożonym chóru w kościele katolickim, członkiem rady gminy, byłym oficerem armii austriackiej, podczas I wojny światowej w 1915 roku dostał się do niewoli rosyjskiej i spędził sześć lat na Syberii, od 1921 roku był szczęśliwym mężem pewnej Niemki, zawsze do dyspozycji innych ludzi, zawsze miał czas dla swoich dzieci, a teraz miał zostać aresztowany przez Gestapo bez powodu? Co powinien zrobić? Uciec wraz z rodziną? Jeśli tak, to dokąd? A może lepiej zostawić rodzinę w domu i zbiec w pojedynkę lub ukryć się i przeczekać? Po gorączkowej naradzie w kręgu rodzinnym podjął za naszą zgodą decyzję, że musi uciekać. Sądziliśmy, że naszej mamie, która była Niemką, babci i nam, dzieciom, nic złego grozić nie może. Mielśmy nadzieję, że być może sytuacja się zmieni i że znów będziemy mogli być razem. Jednak ojciec postanowił poczekać jeszcze z ucieczką do czasu, gdy zapowiedź stanie się rzeczywistością. Wojna wybuchła o czwartej nad ranem 1 września. Nadciągające z terytorium Protektoratu oddziały niemieckie zburzyły szlabany na granicy w Pietwaldzie. Ponieważ mieszkaliśmy w odległości co najwyżej dziesięciu kilometrów od granicy, wyraźnie słyszeliśmy salwy oddawane z karabinów maszynowych oraz wybuchy granatów. Ojciec pożegnał się z nami wszystkimi w wielkim pośpiechu, zrobił nam znale krzyża na czole, wycalował, a później wziął przygotowany już plecak z prowiantem i ciepłą bielizną i wyszedł. Na granicy z Protektoratem Czech i Moraw [...] nie było żadnych żołnierzy polskich, którzy broniliby kraju przed nieprzyjacielem. Byli tu tylko polscy celnicy, którzy musieli ulec przeważającej sile niemieckiej armii, a tym samym droga w głąb kraju stała przed Niemcami otworem. [...] I mimo że ludność zachowywała spokój, SS i Gestapo od razu przystąpiły do pracy, wykazując się przy tym skrupulatnością i brutalnością.

Do nas SS przyszło o siódmej rano, esesmani obstawili kordonem dom, wdarli się do środka, przeczesywali wszystko, dom, ogród, stodołę, oborę, zaglądali wszędzie, szukając ojca, ale jego tu nie było. Gdy zapytano nas, gdzie jest ojciec, odpowiedzieliśmy, że wyszedł z domu o szóstej. Następnie poinstruowano nas, wyzywając i policzkując, że mamy niezwłocznie powiadomić SS, gdy tylko ojciec wróci do domu.

W ciągu pierwszych dni wojny w naszej gminie Sucha Górna aresztowano w ten sposób dwunastu mieszkańców, których 18 września poprowadzono do Icarwińskiego lasu i tam rozstrzelano.

Josef Maćkowski, *Ab 1939 waren viele Deutsche verändert*, s. 131-136. Jeśli nie zaznaczono inaczej, zamieszczone powyżej cytaty zostały przedrukowane z publikacji: *Wach auf, es ist Krieg! Wie Deutsche und Polen den 1. September erlebt haben*, wyd. Deutsch-Polnische Gesellschaft der Bundesrepublik Deutschland e.V., Bielefeld 1989.

ROZDZIAŁ TRZECI

# NAPAŚĆ

Mimo że przez całe lato 1939 roku dało się wyczuć napięcie w stosunkach polsko-niemieckich, napaść wojsk niemieckich na Polskę została przyjęta z zaskoczeniem przez mieszkańców obu krajów. Do ostatniej chwili nikt nie chciał się pogodzić z nieuchronną oczywistością. Po raz pierwszy od czasu zakończenia I wojny światowej w Europie Środkowej znów wojska jednego kraju wtargnęły na terytorium drugiego państwa. Oficjalnie nie doszło do bezpośredniego wypowiedzenia Polsce wojny. Dlatego też wielu ludzi wciąż oddawało się złudzeniom. Same zaś Niemcy sugerowały, że atak stanowił jedynie reakcję na „pogwałcenie granic terytorialnych”, którego mieli się dopuścić Polacy. Jednak wskutek szybkich postępów niemieckiej ofensywy w Polsce — najpóźniej w momencie wypowiedzenia Niemcom wojny przez Wielką Brytanię i Francję 3 września 1939 roku — dla wszystkich stało się jasne, jakie są rzeczywiste cele radykalnych środków podjętych przez III Rzeszę. Nawet jeśli nazi-stowska propaganda utrzymywała, że Niemcom chodzi jedynie o przeprowadzenie „operacji policyjnej” czy też o podjęcie „środków odwetowych”, nikt już nie miał złudzeń, że w Europie rozpętała się kolejna wojna.

### Wytrwać czy uciekać?

Niemiecka napaść na Polskę diametralnie zmieniła życie wszystkich obywateli tego kraju. Lawinowo następujące po sobie wydarzenia wojenne spadły na kraj, który odzyskał niepodległość zaledwie przed dwudziestoma laty. W pewnym sensie Polacy musieli z dnia na dzień zadbać

o własne bezpieczeństwo, zagrożone przez nadciągające oddziały niemieckiej armii. Mieszkająca na zachodnich obszarach Polski ludność cywilna stanęła wówczas przed dylematem, czy opuścić własne domy i udać się wraz z częścią dobytku w głąb kraju, żywiąc nadzieję, że spodziewane w najbliższym czasie przystąpienie zachodnich sojuszników Polski do wojny z III Rzeszą w odpowiednim momencie zatrzyma natarcie wojsk niemieckich. Poza tym należało rozważyć kwestię, w jakim kierunku powinna się ewentualnie udać fala uciekinierów. Jeśli dana osoba miała krewnych w jednym z pobliskich większych miast, mogła liczyć przynajmniej na tymczasowe wsparcie z ich strony. Ostatecznie rodziny przyjmujące uciekinierów ścieśniały się na mniejszej powierzchni mieszkalnej, zapewniając schronienie krewnym bezpośrednio poszkodowanym przez wojnę. Jednak miliony polskich obywateli były pozbawione takiej pomocy. Ci ludzie musieli dokonać wyboru między pozostaniem w swoich rodzinnych stronach a ucieczką w nieznaną.

Dodatkowo sytuację utrudniały szerzące się w pierwszych dniach września 1939 roku różnego rodzaju pogłoski, które uniemożliwiały wręcz trzeźwą ocenę własnego położenia. Zadawano sobie pytania typu: Czy Polska musi sobie radzić sama? A może sprzymierzeńcy wkroczyli już na zachodnie obszary Rzeszy? Czy polskie oddziały stoją już pod Berlinem? A może to niemieckie wojska zdołały się już przedrzeć w głąb terytorium Polski? Czy Niemcy będą się zachowywać obojętnie względem polskiej ludności cywilnej, tak jak miało to miejsce podczas I wojny światowej? A może należy spodziewać się zagrożenia z ich strony?

Jeszcze poważniejsze rozterki przeżywali wówczas polscy Żydzi, którzy w latach bezpośrednio poprzedzających wybuch wojny z rosnącym niepokojem przyjmowali do wiadomości doniesienia o prześladowaniach swych pobratymców mieszkających w nazistowskiej Rzeszy. Jednakże starali się jakoś zracjonalizować obawy. Ostatecznie także w Polsce na porządku dziennym były napięcia i konflikty między różnymi grupami etnicznymi. Poza tym Żydzi — z wyjątkiem zamieszkałych na pograniczu polsko-niemieckim — znajdowali się nawet w korzystniejszym położeniu niż chrześcijańska większość polskiego społeczeństwa. Ponieważ



porozumiewali się między sobą w języku jidysz, mogli od biedy nawiązać kontakt z niemieckimi najeźdźcami, posługując się swoją mową ojczystą. To właśnie z tego powodu Żydzi byli w pierwszej kolejności wykorzystywani jako tłumacze w czasie I wojny światowej.

Decyzja, czy pozostać na miejscu, czy uciekać przed nacierającymi wojskami niemieckimi, była kwestią indywidualnego wyboru, którego musiał dokonać każdy polski obywatel z osobna, za siebie i za swoją rodzinę. Kto chciał pozostać w rodzinnych stronach, ten wznosił barykady wokół domu, a okna zaklejał krzyżami z papieru, co miało uchronić szyby przed ewentualnymi detonacjami. Na wszystkich filmach i zdjęciach zrobionych w różnych polskich miejscowościach na początku września 1939 roku można dostrzec charakterystyczne znaki „X” na oknach domów. Ludzie nie mieli jeszcze wówczas pojęcia o rzeczywistej sile zniszczenia, którą niosła ze sobą armia agresora.

Prawdziwymi szczęściarzami byli ludzie mieszkający z dala od linii przemarszu wojsk niemieckich, a taiciele na obszarach, które nie znalazły się w bezpośrednim polu rażenia bombowców Luftwaffe. Tutaj działania bojowe docierały jedynie w formie odległego huków, krążących po okolicy pogłosek oraz gorączkowych doniesień Polskiego Radia. Jeśli w oddali pojawiały się oddziały Wehrmachtu, wielu Polaków uciekało do pobliskich lasów lub okolicznych miejscowości, by odczekać, aż przejdzie pierwsza fala uderzenia. Niektórzy szukali schronienia w piwnicach lub na poddaszu swoich domów. Często za kryjówki służyły kościoły lub synagoga, gdzie zbierała się dana wspólnota religijna, by wznosić modły w nadziei, że przeżywany koszmar wkrótce szczęśliwie się skończy.

Pod tym względem wyjątek stanowili jedynie przedstawiciele niemieckiej mniejszości. Polscy Niemcy nie mieli aż tak poważnych powodów do obaw, nawet jeśli bombardowania niemieckiego lotnictwa ani ostrzał niemieckiej artylerii nie oszczędzały nikogo. Nic więc dziwnego, że także pewna liczba etnicznych Niemców padła ofiarą działań wojennych. Tymczasem nazistowska propaganda organizowała kampanie, podczas których fotografowano wiwatujących obywateli polskich niemieckiego pochodzenia. Takich akcji nie trzeba było aranżować. Dla

wielu polskich Niemców „przyłączenie” do Rzeszy oznaczało w gruncie rzeczy spełnienie snutych już od dłuższego czasu marzeń o powrocie na łono niemieckiej ojczyzny. Oczywiście napięta sytuacja latem 1939 roku dawała się we znaki także mniejszości niemieckiej. Już przed wybuchem wojny Polacy podświadomie kojarzyli swoich niemieckich współobywateli z potencjalnym zagrożeniem. W przededniu niemieckiej agresji na Rzeczpospolitą przedstawiciele mniejszości niemieckiej często byli poddawani szykanom i aresztowaniom. Poza tym wśród polskich Niemców znajdowali się także fanatyczni zwolennicy narodowego socjalizmu, którzy podejmowali działalność konspiracyjną przeciwko Polsce, pełniąc funkcję informatorów, trudniąc się przemycaaniem broni lub zaciągając do jednostek specjalnych niemieckiej Abwehry oraz SS (zob. s. 58-63). Aktywność tych rzeczywistych wrogów państwa polskiego niekorzystnie wpływała na położenie pozostałych członków mniejszości niemieckiej. Tak więc organizowane przez polskich Niemców demonstracje poparcia dla wkraczającego Wehrmachtu stanowiły spontaniczny wyraz różnych przeżywanych przez nich emocji: poczucia ulgi z powodu zakończenia „wojny nerwów”, nadziei na awans społeczny i poprawę własnej sytuacji finansowej, korzyści, których mogli się spodziewać jako przyszli obywatele III Rzeszy. Przede wszystkim zaś odczuwali niewątpliwie satysfakcję wynikającą z faktu, że znajdowali się teraz po stronie silniejszego i że będą mogli wyrównać rachunki lub wzbogacić się kosztem zdegradowanych Polaków i Żydów. Skrajny przejaw tego nabytego z dnia na dzień poczucia wyższości stanowiły niechlubne działania Niemców zrzeszonych w Samoobronie Obywateli Narodowości Niemieckiej (Volksdeutscher Selbstschutz) we wrześniu i październiku 1939 roku. Wzięli oni wówczas czynny udział w prześladowaniach Polaków i Żydów, zwłaszcza na spornych obszarach Prus Zachodnich i Pomorza (zob. s. 169—172).

Charakteryzując postawy obywateli polskich w obliczu hitlerowskiej agresji, nie można jednak ograniczać się do samego tylko odtworzenia linii podziału społeczeństwa według klucza etnicznego. Abstrahując od powierzchowności takiego podziału, należy podkreślić to, że istniejące

między mieszkańcami polskich miast i wsi powiązania przybierały różne formy. Obywatele polscy — niezależnie od przynależności etnicznej, narodowej czy religijnej — odnosili się do siebie z życzliwością lub wrogością, nawiązywali ze sobą kontakty handlowe lub stanowili dla siebie konkurencję. Ponadto stosunki między nimi były określane także przez zawiść lub protekcyjność, porozumienie bądź spory światopoglądowe czy polityczne. Istotne znaczenie miał również charakter danej jednostki niejednokrotnie decydujący o jej zachowaniu w obliczu brutalnej agresji Niemiec na Polskę i załamania się dotychczasowego ładu.

### Wojna totalna

Straciwszy wszelkie złudzenia, ludzie opuszczali ojcowiznę, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Próbowali przedostać się w głąb kraju, wykorzystując do tego celu pojazdy, walcząc o miejsca w pociągach jadących na wschód lub ustawiając się w szeregu jednej z kolumn pieszych uciekinierów, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Już wkrótce drogi krajowe roily się od setek tysięcy - jeśli nie milionów - cywilów, zmierzających w nieznaną. Przez te masy ludzkie przebijały się niemieckie jednostki zmotoryzowane, usiłując przedostać się na linię frontu. Ludność cywilna w miastach, w wioskach czy na otwartej przestrzeni nieustannie musiała się liczyć z niebezpieczeństwem, że dostanie się w pole rażenia Luftwaffe. Bombardowania niemieckiego lotnictwa zagrażały nie tylko falam uchodźców zmieszanych z wycofującymi się oddziałami polskiej armii. Z zeznań licznych naocznych świadków wynika, że niemieckie bombowce i sztukasy atakowały kolumny uciekinierów oraz pociągi przewożące ludność cywilną także w sytuacji, gdy w okolicy nie było żadnych polskich żołnierzy.

Mieszkańcy miast i wsi, które zostały zajęte przez Wehrmacht dopiero po kilku dniach trwania wojny, przeżywali różne emocje. Odczuwali

napięcie i lęki egzystencjalne, a poczucie triumfu mieszało się z doznaniem wycofania. W zależności od aktualnego stosunku sił między obiema walczącymi stronami wahadło niebezpiecznie przechylało się raz w jedną, raz w drugą stronę. W miejscowościach, z których przedstawiciele polskich władz państwowych uciekali na leb na szyję, nie powołując nawet lokalnych oddziałów, choćby w postaci prowizorycznej straży obywatelskiej, powstawała krótkotrwała próżnia. Taka sytuacja zachęcała wręcz do grabieży, napadów i wyladowywania nagromadzonych agresywnych impulsów. Na zachowanie jednostek niekoniecznie miała wpływ przynależność etniczna danej osoby. Niektórzy Żydzi ocalali z Holokaustu donosili, że w tamtych dniach ich sklepy były płańdrowane przez polskich sąsiadów, jeszcze zanim do miejscowości wkroczyli niemieccy okupanci. Ten proceder kontynuowali później niemieccy żołnierze i policjanci. Ponieważ w niektórych miastach doszło nawet do otwarcia więzień, po kraju włączyły się — poza polskimi dezertarami - taicie bandy kryminalistów, którzy korzystali z nadarzającej się okazji do chwili, gdy ich praktykom położył kres niemiecki aparat władzy.

### **Atak polskiej kawalerii na niemieckie czołgi**

Według wciąż jeszcze pokutującej legendy we wrześniu 1939 roku polscy ułani wyruszyli konno naprzeciw atakującym niemieckim czołgom.

I rzeczywiście pokaźna część polskiej armii składała się wówczas z oddziałów konnych. Pod tym względem niemiecka broń pancerna i polska kawaleria symbolizowały dwie przeciwstawne formy prowadzenia wojny - nowoczesną i tradycyjną. We wrześniu 1939 roku doszło do zderzenia tych dwóch koncepcji. Stawa, którą się cieszyli polscy ułani, sięgała czasów ich zaangażowania w wojny napoleońskie oraz udziału w powstaniu listopadowym w 1830 roku. Tymczasem wysoko zmechanizowany Wehrmacht znaczył drogę ku „wojnie totalnej” przyszłości.

Nawiasem mówiąc, atak polskich kawalerzystów na niemieckie czołgi w rzeczywistości nigdy nie miał miejsca. Legenda opiera się

na relacjach z bitwy pod Krojantami w Borach Tucholskich, stoczony 1 września 1939 roku. Wtedy też pomorski 18. Pułk Ułanów pod dowództwem pułkownika Kazimierza Mastalerza miał przypuścić szarżę na zmotoryzowane oddziały XIX Korpusu Pancernego pod dowództwem generała Heinza Guderiana. Celem ataku było odciążenie wycofujących się oddziałów Armii „Pomorze”, które w ten sposób zyskałyby chwilę wytchnienia. Pod wieczór część pułku ułanów zaatakowała batalion 76. Pułku Piechoty Zmotoryzowanej. W tym samym czasie z pobliskiego lasu wyłoniły się nieoczekiwanie niemieckie czołgi, strzelając do kawalerzystów, którzy nie zdążyli na czas zawrócić koni. Pułk ułanów wycofał się, ponosząc wielkie straty. Mimo to cel operacyjny - a więc chwilowe powstrzymanie niemieckiej ofensywy - został osiągnięty.

Mit polskiego kawalerzysty atakującego z szablą w ręku niemieckie czołgi powstał następnego dnia, gdy pewien włoski korespondent wojenny wypytywał stacjonujących pod Krojantami żołnierzy Wehrmachtu o szczegóły związane z przebiegiem bitwy. Nazistowska propaganda podchwyciła ten wątek, kreśląc sugestywny obraz polskich żołnierzy, którzy mieli przeceniać własne możliwości i ulegać fali narodowego fanatyzmu. Na kanwie tego wydarzenia Andrzej Wajda stworzył w swoim filmie *Lotna* w 1959 roku alegoryczną wizję bezsensowności wojny. Pamięć po poległych w bitwie żołnierzach z pomorskiego 18. Pułku Ułanów uczczono, wznosząc po wojnie pomnik w okolicach Krojant. Co roku na początku września odbywają się tu inscenizacje szarży kawaleryjskiej z września 1939 roku.

W relacjach polskich żołnierzy z kampanii wrześniowej nieustannie przewija się zwłaszcza jeden motyw — w pierwszych dniach wojny wojsko zdominował element chaotycznego rozgorączkowania, wywołując u żołnierzy poczucie całkowitej bezradności i dezorientacji. Polska, która pod presją mocarstw zachodnich do ostatniej chwili zwlekąła z ogłoszeniem powszechnej mobilizacji, znalazła się nagle w obliczu gwałtownie następujących po sobie wydarzeń. Przeżycia związane z napaścią

Niemiec opisał w książce z lat siedemdziesiątych pod tytułem *Czas niespełnionych nadziei Tadeusz Becela*, 32-letni podoficer Wojska Polskiego, który w momencie wybuchu wojny był szeregowym żołnierzem. Oto fragment jego relacji: „Dzień, w którym odjeżdżaliśmy na wojnę, był piękny, prawdziwie letnia pogoda. Moja żona towarzyszyła mi w drodze na dworzec kolejowy. Mówiliśmy niewiele; wydaje mi się, że nie rozmawialiśmy wtedy jeszcze o wybuchu wojny. Moja żona też miała wrażenie, że wyjeżdżam po prostu na ćwiczenia, jak to miało już miejsce w styczniu”. Z niewielkim opóźnieniem spowodowanym chaosem na dworcu Becela odjeżdżał z Poznania wraz z innymi zmobilizowanymi rezerwistami ze swojego oddziału, „radośnie śpiewając i rozmawiając, jak gdyby chodziło o jakąś wycieczkę”. Ciągący się przez wiele godzin i przerywany licznymi postojami transport powoli docierał w kierunku Warszawy, a następnie dalej na wschód do Zamościa, gdzie mężczyźni dostali 5 września w miejscowych koszarach mundury i broń: „Nastąpiło to w dość nietypowy sposób. Każda z kompanii otrzymała stos mundurów, płaszczy, butów, koców i różnych elementów uzbrojenia. Wszystkie rzeczy wyrzucono po prostu z magazynów na dziedziniec koszar, nie dbając o ich posortowanie według rozmiaru czy jakości”. Oddział Beceli spędził beczynn timer kilka dni nad Wisłą, gdzie wojna była obecna jedynie w formie opowieści o przemierzających okolicę uciekinierach, następnie żołnierze ruszyli dalej w kierunku północnym i około 20 września — raczej przypadkiem — natknęli się na oddziały niemieckiej armii. Sam Becela został wkrótce ranny, a po zwolnieniu z lazaretu w dzień Wszystkich Świętych wrócił pociągiem towarowym do Poznania.

Jeśli chodzi o mnie, to mam konkretne powody do niepokoju. Kiedyśmy wychodzili z kasyna, cali jeszcze wzburzeni radością nieoczekiwanie szybkich sukcesów, Leszek złapał mnie za łokieć i odciągnął dyskretnie na bok. - Nie powtarzaj nikomu — dyszał mi w ucho — dziwne rzeczy dzieją się w koszarach. Major kazał spalić całą ewidencję. Sam

widziałem, jak nasze nominacje obracały się w popiół. Zresztą nominacje... Pal je lichu. Ale i wszystko inne: kartoteki, książki stanów ludzi, koni, sprzętu, raporty, spisy, wszystko. Cały kram, cała pamięć pułku. Ogień był jak jasna cholera.

Wyobraziłem sobie majora grzebiącego palcatem w stosie płonących papierków i wydało mi się to niesamowite.

— Dlaczego on to zrobił? — wykrzyknąłem.

— Ba! Dlaczego? Myślałeś, że go zapytam?... Zresztą wiesz, jak to jest: pali się to, co nie powinno wpaść w ręce nieprzyjaciela. — Mimo woli roześmiałem się. Takie rzeczy dzieją się tylko w wojennych powieściach i filmach.

— Daj spokój — rzekłem - słyszałeś przed chwilą: „Abraham podchodzi pod Gdańsk”, rano mówiono, że nasi są w Gliwicach...

Wzruszył ramionami. Zrobiło się nagle całkiem nieswojo. Szare budynki koszar tkwiły niewzruszenie, wkomponowane w jaskrawy błękit nieba i brutalną zieleń drzew. Może major zwariował. A może...

— Słuchaj, czy myślisz, że komunikaty są fałszywe?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Nie, nie sądzę... ale komunikaty podają tylko sukcesy... lokalne sukcesy. Tymczasem odwrót jest przewidziany w planie. Odwrót za Wisłę. Słyszałem o tym jeszcze przed wybuchem wojny.

— No dobrze... to z tą ewidencją też powinno być przewidziane. Znowu wzruszył ramionami.

— Jakaś gwałtowna ewakuacja?

Zatrzymaliśmy się na skraju małego skwerku przed dowództwem.

— Słyszałeś historię o poruczniku Mausie? — zapytał.

— Jak go ostrzelali przy braniu koni na Zaolziu? Tale. No więc co?

— Wiesz, ile czasu jechał od miejsca, w którym nadzieiał się na niemiecką piechotę? Dwie godziny! Dwie godziny, Pawełku. Radzę ci, pakuj walizkę - dodał po chwili.

Jan Józef Szczepański, *Polska jesień*, Kraków 1968, s. 23—24.

Rozwiązanie polskiej armii sprawiło, że w ciągu września wzrosło potencjalne zagrożenie ze strony rozproszonych, wyposażonych w broń żołnierzy. Z licznych relacji pochodzących z tego okresu wynika jednak, że niewielu z nich myślało o kontynuowaniu na własną rękę walki, która musiała im się wydawać beznadziejnym przedsięwzięciem. Jeśli ktoś koniecznie chciał jeszcze walczyć z najeźdźcą, to usiłował dołączyć do nie-dobitków, które organizowały się na nowo na terenach położonych bardziej na wschód. Najpóźniej w drugiej połowie września, gdy po całym kraju rozeszły się pogłoski o wkroczeniu wojsk sowieckich do wschodniej Polski, a także o ucieczce rządu do Rumunii, poczucie obowiązku i skrupuły moralne większości polskich żołnierzy posypały się niczym domek z kart. Dziesiątki tysięcy z nich usiłowały uniknąć wzięcia do niewoli, zmieniając mundur na ubranie cywilne. Zdradzała ich jednak obowiązkowa w polskiej armii fryzura. W razie niemieckiej kontroli krótko ostrzyżone włosy stanowiły wystarczającą podstawę do natychmiastowego aresztowania każdego młodego Polaka, jeśli ten nie mógł się wy-legitymować. To, czego żołnierze potrzebowali, po prostu brali sobie na własność, a jeśli dotychczasowy właściciel danej rzeczy nie wykazywał chęci współpracy, podkreślali wagę swoich życzeń, mierząc karabinem w opornego delikwenta. Ponieważ za posiadanie broni na obszarze okupowanej Polski od 12 września 1939 roku groziła kara śmierci, wiele oddziałów tworzyło składy z bronią, by zapobiec jej rozproszeniu po całym kraju. Dla ludności cywilnej odkrycie mundurów i broni w prywatnych domach lub w pobliżu zamieszkiwanej przez nią miejscowości stanowiło duże niebezpieczeństwo. W takich okolicznościach na cywilów łatwo mogło paść podejrzenie o wspieranie wojska lub nawet o czynny udział w walkach z niemieckim okupantem.

Na wielu Polaków wojna spadła dosłownie jak grom z jasnego nieba. 1 września 1939 roku był pięknym, słonecznym dniem późnego lata. Nad Polską znajdował się wówczas antycyklonalny wyż, którego centrum przesuwało się znad Morza Północnego i Islandii. Jednak już wkrótce na horyzoncie w wielu miejscach pojawiły się szwadrony niemieckich bombowców, które wystartowały ze znajdujących się w pobliżu granicy lotnisk,



by zrzucić na polskie miasta swoje śmiertelne ładunki. Poczynione przez pierwsze niemieckie bomby spustoszenia były nowym, traumatycznym doświadczeniem dla ludności cywilnej. Jak dotąd podobne przeżycia mieli jedynie mieszkańcy Hiszpanii, którzy w czasie wojny domowej w 1937 roku byli świadkami nalotów bombowych eskadr narodowosocjalistycznego Legionu Condor. Ponieważ już 1 września 1939 roku zbombardowano polskie miasta i wsie — i to niezależnie od tego, czy znajdowały się w nich wówczas oddziały wojskowe — Luftwaffe dała jednoznacznie do zrozumienia, że II wojna światowa od samego początku będzie „wojną totalną” skierowaną nie tylko przeciwko członkom wrogich sił zbrojnych, lecz także przeciw całej ludności kraju.

### **Bombardowanie Wielunia**

1 września 1939 roku na Polskę napadły skoncentrowane siły nowoczesnej, wysoce zmechanizowanej maszyneryi wojennej, składające się z oddziałów piechoty i dywizji pancernych, jednostek zmotoryzowanych i nowoczesnego lotnictwa. O niszczycielskim potencjale tych sił mogli się przekonać na własnej skórze mieszkańcy Wielunia, małego miasta położonego na zachód od Częstochowy, w pobliżu granicy z Rzeszą. W trakcie pierwszego z serii trzech nalotów 76. eskadra bombowców nurkujących 4. Floty Powietrznej zrzuciła na miasto we wczesnych godzinach porannych 1 września 1939 roku ładunek bombowy o łącznej masie ponad 20 ton. Przepelniony po brzegi szpital miejski został wówczas zrównany z ziemią. Po bombardowaniach niemieccy lotnicy umyślnie oddali z broni pokładowej salwy w stronę mieszkańców. Ataki powietrzne pochłonęły około 1200 ofiar, zabudowa miasta zaś została zniszczona w 70 procentach. „Prosto w rynek!” - tak brzmiał rozkaz dowodzącego eskadrą bombowców nurkujących Immelmann 2 podczas trzeciego już z rzędu nalotu na Wieluń.

Swoje wrażenia związane z przybyciem do Wielunia pięć dni po zbombardowaniu w następujący sposób zrelacjonował von Natzmer,

nowo mianowany niemiecki starosta powiatu: „Centrum miasta jest doszczętnie zniszczone. Tutejsze domy spaliły się i zawaliły, zostały zmiażdżone i zdmuchnięte przez bomby. Gdziegdzie krokwie unosily się w górę niczym ości. [...] Leje po bombach porozrywały ulice i place, przeorały działki, na ulicach leżały duże i małe niewypały. [...] W powietrzu unosił się słodkawy zapach. Musiały tu jeszcze leżeć pod gruzami ludzkie zwłoki. Wieluń miał 16 000 mieszkańców. Wszyscy - z wyjątkiem 200 osób - uciekli”.

Zniszczenie Wielunia przez niemieckich lotników rankiem 1 września 1939 roku szybko popadło w zapomnienie. Obecnie, od prawie dwóch dekad, pamięć o tych wydarzeniach podtrzymuje wieluński historyk Tadeusz Olejnik. Natomiast w Niemczech berliński dziennikarz Joachim Trenkner nakręcił na początku lat dziewięćdziesiątych film o niemieckich atakach lotniczych. Opublikował także kilka artykułów poświęconych tej tematyce. W tym kontekście warto wymienić jeszcze wystawę objazdową Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie w 2004 roku. Miała ona na celu popularyzację wiedzy o nalotach bombowych na Wieluń wśród polskich i niemieckich zwiedzających. Mimo to z bombardowaniem Wielunia w 1939 roku wiąże się nadal wiele niewyjaśnionych kwestii.

Polscy naoczni świadkowie opisywanych wydarzeń z początku września 1939 roku donoszą, że naloty na Wieluń miały miejsce, zanim okręt szkoleniowy Schleswig-Holstein otworzył ogień w kierunku Westerplatte (zob. s. 129-130). Czy zatem II wojna światowa rozpoczęła się w Wieluniu, a nie w Gdańsku? Według raportu z przeprowadzonego przez I grupę 76. eskadry bombowców nurkujących nalot na Wieluń nastąpił o godzinie 5.40, a więc prawie godzinę po tym, jak rozpoczął się dramat w Zatoce Gdańskiej.

Poważniejszych problemów nastroczają głosy niemieckich krytyków, którzy utrzymują, że do bombardowania Wielunia doszło przez przypadek. Według nich ataki lotnicze miały być skierowane przeciwko dywizji piechoty przebywającej wówczas rzekomo na terenie miasta oraz przeciwko brygadzie kawalerii znajdującej się poza

miastem. Do pomyłki miało dojść z powodu unoszącej się nad ziemią mgły. Przyjmując tę hipotezę, nie można jednak wyjaśnić, dlaczego bombardowania centrum Wielunia następowały po sobie w kilkugodzinnych odstępach. Poza tym podczas nalotów w mieście nie stacjonowały żadne oddziały polskie. Niemieccy piloci musieli o tym wiedzieć już po pierwszym ataku. Działająca w tym regionie polska 28. Dywizja Piechoty znajdowała się w chwili pierwszego nalotu w odległości około 5 kilometrów od miasta. Pierwszy raport z ataku eskadry bombowców nurkujących zawiera następującą informację: główny cel „miejscowość Wieluń”. Wprawdzie mgła rzeczywiście mogła utrudnić orientację, ale w raporcie czytamy ponadto: „Atak zwieńczony sukcesem: cel zniszczony, zaobserwowano pożary”, a także „nie dostrzeżono oddziałów wroga”. O 13.55 nastąpił kolejny atak, którego celem miały być „oddziały w lesie, pięć kilometrów na północny wschód od Wielunia”. Odpowiedzialność za zniszczenie Wielunia ponosi dowódca eskadry, generał brygady baron Wolfram von Richthofen. To właśnie on wydał rozkaz zbombardowania baskijskiego miasteczka Guernica w czasie hiszpańskiej wojny domowej.

## Gdańsk

W Gdańsku działania bojowe rozpoczęły się wczesnym rankiem 1 września 1939 roku od ataku na Westerplatte. Z przyczyn propagandowych Hitlerowi zależało na szybkim i sprawnym zdobyciu miasta oraz na zlikwidowaniu znajdujących się w nim polskich instytucji. Ostatecznie to właśnie wcielenie Gdańska do Rzeszy było jednym z głównych żądań, które Hitler przedstawił rok wcześniej Polsce, a które rząd w Warszawie wtedy odrzucił. Niemieccy agresorzy napotkali jednak w Gdańsku nieoczekiwane trudności i zacięty opór Polaków.

Mimo że w mieście wciąż trwały walki, „powrót Gdańska na lono Rzeszy” postępował w błyskawicznym tempie. Jeszcze 1 września *Gauleiter* Forster zarządził rozwieszenie przygotowanych już wcześniej plakatów propagandowych ze swoim obwieszczeniem. Powiadał w nim, iż znosi konstytucję Wolnego Miasta i że przejmuje całą władzę prawodawczą i wykonawczą. Natychmiast doszło też do aresztowania tysięcy mieszkających w Gdańsku Polaków i Żydów przez funkcjonariuszy Gestapo, Schutzpolizei i SS. Już następnego dnia naziści przystąpili do budowy opodal miasta przyszłego obozu koncentracyjnego Stutthof.

### Obrona Westerplatte

Podczas wojny polsko-bolszewickiej na początku lat dwudziestych gdańscy stoczniowcy odmówili rozładowania ładunków z bronią i amunicją przeznaczonych dla Polaków. Ta nieprzychylna postawa gdańskich Niemców stała się dla rządu polskiego powodem budowy w 1924 roku bezpośrednio u ujścia Wisły polskiej składnicy amunicji, „Westerplatte”, która została obsadzona stałą załogą 88 wartowników. W okresie od maja do sierpnia 1939 roku wzmocniono tutejsze fortyfikacje i przygotowywano się na atak Niemiec. Na Westerplatte przemycono wówczas broń, a liczebność załogi wartowniczej w polskiej placówce dyskretnie zwiększono - wbrew postanowieniom Ligi Narodów - do 210 osób.

W tym samym czasie również gdańscy Niemcy zbroili się w sposób mniej lub bardziej jawny. Powołano do życia lokalną Heimwehregę SS, w której skład weszło 1000 przybyłych z Rzeszy esesmanów oraz 500 ochotników spośród tutejszych mieszkańców. Niemieccy bojówkarze często paradowali odtąd ulicami Gdańska. Jednocześnie sprowadzano potajemnie broń z Rzeszy. 23 sierpnia 1939 roku *Gauleiter* Albert Forster został oficjalnie mianowany *Staatsführerem* Wolnego Miasta Gdańska. 25 sierpnia do gdańskiego portu wpłynął okręt szkoleniowy Schleswig-Holstein, który stanął na kotwicy

naprzeciwko Westerplatte. Tym samym spełniony został ostatni warunek umożliwiający przejęcie polskiej składnicy amunicji w drodze zamachu, zgodnie z wydanym dziewięć miesięcy wcześniej rozkazem Hitlera. W rzeczywistości bowiem ta wyposażona w ciężką artylerię jednostka o wyporności ponad ośmiu tysięcy ton była okrętem wojennym. Wizyta okrętu w porcie została zapowiedziana w czerwcu. Podczas gdy na pokładzie krzżeli się niebudzący najmniejszych podejrzeń kadeci, pod pokładem znajdowała się skrzętnie ukryta przed polskimi władzami kompania szturmowa niemieckiej marynarki wojennej w sile 225 ludzi przygotowująca się do przeprowadzenia akcji zbrojnej. Łącznie na okręcie przebywało 1197 osób.

O godzinie 1.45 dnia 1 września 1939 roku akcja schodzenia na ląd żołnierzy kompanii szturmowej dobiegła końca. O godzinie 4.47 Schleswig-Holstein otworzył ogień w stronę południowo-wschodniego przyczółka Westerplatte. Gdy wkrótce potem w murze powstały dwa wylomy, kompania wysadziła w powietrze bramę kolejową w południowej części polskiej składnicy. Niemców przywiły kule karabinowe wartowników tworzących załogę Westerplatte. Wywiązała się bitwa, podczas której niemieccy żołnierze stanowili dla Polaków łatwy cel. O 6.22 kompania nawiązała łączność radiową z okrętem, nadając komunikat następującej treści: „zbyt wielkie straty, wycofujemy się”. W trakcie pierwszego szturmu kompania straciła czwartą część swoich ludzi.

Wtedy okręt ponownie otworzył ogień artyleryjski w kierunku Westerplatte. Zasilona 60-osobowym oddziałem SS-Heimwehry kompania przypuściła kolejny szturm na polską placówkę. Niemcy przedzierali się teraz przez trudny do przebycia teren, na którym znajdowały się zasieki z drutu kolczastego oraz zwalone ostrzałem gałęzie. Tymczasem początkowo słaby opór Polaków ciągle się wzmacniał. Wkrótce niemiecka kompania straciła wszystkie karabiny maszynowe, a także łączność z konwojem esesmanów, sam zaś dowódca został śmiertelnie ranny. Gdy około południa *Gauleiter* Forster wszedł na pokład okrętu „Schleswig-Holstein”, by zorientować się w sytuacji, kapitan

Gustav Kleikamp zażądał od niego natychmiastowego dostarczenia posiłków. Niemcy ponownie musieli się wycofać - w przeciwnym razie groziło im okrążenie przez broniących się Polaków. Tak więc drugi atak na Westerplatte również zakończył się fiaskiem. Straty Niemców wynosiły wieczorem 82 poległych i rannych.

Po katastrofie w pierwszym dniu ataku po stronie niemieckiej wywiązał się spór kompetencyjny. Naczelny dowódca Luftwaffe Göring wydał rozkaz przypuszczenia 2 września ataku powietrznego przy użyciu bombowców nurkujących. Jednak rozkaz został odwołany w nocy przez naczelną dowództwo niemieckiej marynarki wojennej. Prawdopodobnie decyzja była podyktowana fałszywym założeniem, że na Westerplatte znajduje się 20 nowoczesnych bunkrów, które miały być rzekomo połączone ze sobą podziemnymi sztolniami. Do dziś nie jest jasne, skąd zaczerpnięto tę sensacyjną informację. Grupa Armii „Północ” nie widziała konieczności przedwczesnego ataku, którego datę Hitler - ze względów propagandowych - wyznaczył jeszcze na ten sam dzień. Zapanował istny chaos.

Późnym popołudniem zapadła jednak decyzja o przeprowadzeniu 40-minutowego nalotu sztukasów, które miały zrzucić na cel bomby burzące i zapalające. W tym samym czasie polskie stanowiska miały zostać ostrzelane z broni pokładowej. Mimo że w ciągu następnych dni nieustannie trwała wymiana ognia, a liczba żołnierzy oblegających polską placówkę ciągle rosła, w niemieckim dowództwie wciąż toczyły się zażarte spory. Także sam Führer zrozumiał, że lepiej robi, czekając na najkorzystniejszy moment do ataku, zamiast ryzykować dalsze straty w sprzęcie i ludziach. 6 września doszło do nieudanej próby podpalenia lasu na Westerplatte. Do tego celu użyto wypełnionego benzolem kolejowego wagonu-cysterny. Uczestnicy akcji zdołali się uratować w ostatniej chwili. Dopiero atak przeprowadzony 7 września przyniósł oczekiwany sukces. O godzinie 9.45 na Westerplatte wywieszono białe flagi.

Położenie obrońców polskiej składnicy amunicji było od samego początku beznadziejne. Już 31 sierpnia dowodzący major

i.

f.

{■

i,

j '

f.

UV

gf?v

ic:

Bf.:

::

f.

r

w.

p-

S.r.

f.

Henryk Sucharski otrzymał informację, że w razie niemieckiego ataku nie będzie mógł liczyć na posiłki. Z tego też powodu wyznaczono mu skromniejsze zadanie - w miarę możliwości miał pozostać na posterunku przez 12 godzin. Tymczasem Sucharski i jego ludzie bronili Westerplatte przez ponad sześć dni przeciwko dziesięciokrotnie większym siłom, i to w sytuacji, gdy stracili kontakt radiowy z polską armią - 2 września przestała działać ich stacja radiowa. Straty po stronie obrońców Westerplatte wynosiły 15 zabitych, 13 ciężko, a 25 do 40 lekko rannych. Sam major Sucharski otrzymał pozwolenie na noszenie szabli w niewoli. Udało mu się przetrwać wojnę w kilku obozach jenieckich dla oficerów. Niecałe siedem lat od rozpoczęcia ostrzału Westerplatte, 30 sierpnia 1946 roku, Sucharski zmarł nagle na zapalenie otrzewnej w brytyjskim szpitalu wojskowym w Neapolu.

Żołnierzy broniących Westerplatte otaczała odtąd aura wręcz świętości narodowej. Byli pierwszymi bojownikami polskiego ruchu oporu w czasie II wojny światowej. Ich legenda przetrwała okres niemieckiej okupacji i byli czczeni jako bohaterowie narodowi także w Polsce Ludowej. Dopiero po transformacji ustrojowej pojawiły się pierwsze głosy krytyczne. I tak na przykład zakwestionowano szczególne zasługi Sucharskiego. Wygłaszano nawet opinie, że major Sucharski został wykreowany na bohatera przez komunistów tylko z powodu swego niskiego pochodzenia społecznego. Tymczasem w rzeczywistości Sucharski stracił odwagę rzekomo już w pierwszym dniu walk. Podobno chciał wówczas kapitulować. Rzeczywiste zasługi należałoby natomiast przypisać jego zastępcy, wywodzącemu się ze szlacheckiej rodziny Franciszkowi Dąbrowskiemu. Niedokończony do tej pory film *Tajemnica Westerplatte*, w którym obrońcy zostali przedstawieni bez namaszczenia, jako przypadkowa zdemoralizowana i zdegenerowana tłuszcza, wywołał w polskim społeczeństwie w sierpniu 2008 roku prawdziwą falę oburzenia. Reakcje felietonistów uznano nawet za kolejną obronę Westerplatte. Autorzy doskonale zdawali sobie sprawę, że - stawiając tak kontrowersyjne tezy -

zapewnią sobie rozgłos w całym kraju. Można zatem przypuszczać, iż osiągnęli zamierzony efekt, mimo że ich twierdzenia opierały się na dość skąpym materiale źródłowym. To, co się naprawdę działo podczas siedmiodniowego oblężenia, można natomiast zrekonstruować na podstawie relacji naocznych świadków. Jednak i w tym wypadku do zeznań należy podejść z dużą dozą ostrożności. Chwała „bohaterów Westerplatte”, która znajdowała swój wyraz w licznych powstałych po wojnie filmach i książkach, nie były w stanie zaszkodzić żadne debaty odbywające się w ostatnich latach. Mit w dalszym ciągu funkcjonuje w świadomości wielu Polaków. Już w 1939 roku poeta Konstanty Ildefons Gałczyński poświęcił obrońcom Westerplatte wiersz zaczynający się od melancholijnej zwrotki: „Kiedy się wypełniły dni, i przyszło zginąć latem, prosto do nieba czwórkami szli żołnierze z Westerplatte. (A lato było piękne tego roku)”. Nawet dzisiaj wiele dzieci w polskiej szkole potrafi wyrecytować z pamięci linijki tego wiersza.

### Obrona Poczty Gdańskiej

Po zakończeniu I wojny światowej Gdańsk stał się wolnym miastem pod protektoratem Ligi Narodów. Mimo że zamieszkiwali je prawie wyłącznie Niemcy, istniało tu także kilka polskich urzędów. Wprawdzie należące do polskich instytucji państwowych budynki nie miały statusu eksterytorialności, to jednak, zgodnie z wykładnią przyjętą przez Ligę Narodów, były nienaruszalne. Na placu Heweliusza znajdował się wówczas gmach polskiej Poczty Głównej. Gdy późnym latem 1939 roku coraz wyraźniej odczuwano niebezpieczeństwo wybuchu wojny, Polacy przystąpili do umacniania i uzbrajania swoich enklaw na wypadek niemieckiej inwazji.

W kwietniu 1939 roku w znajdującym się w budynku Poczty mieszkaniu służbowym pracownika polskiej Dyrekcji Poczty i Telegrafów, podreferendarza urzędu pocztowego Alfonsa Flisykowskiego,



zakwaterowano niejakiego inspektora Konrada". Dopiero wiele lat po wojnie zidentyfikowano jego tożsamość - był to podporucznik rezerwy Konrad Guderski. W zajmowanym przezeń pokoju przez kilka kolejnych miesięcy składowano w workach pocztowych pochodzące z przemytu broń i amunicję. Urzędnicy pocztowi przygotowywali się na najgorsze w Klubie Sportowym Poczty Gdańskiej, który stanowił przykrywkę dla stowarzyszenia o charakterze sportowo-obronnym. W połowie sierpnia 1939 roku rodziny urzędników Poczty ewakuowano do Polski. Samym pracownikom urzędu wydano rozkaz, by bronili gmachu Poczty przez sześć godzin, zanim na miejsce dotrą regularne oddziały wojska. Pocztowcy nie zdawali sobie jednak sprawy z faktu, że polskie siły zbrojne, stacjonujące dotąd na wybrzeżu, zostały przeniesione 31 sierpnia do innego rejonu operacyjnego. Odnosna decyzja zapadła, gdy stało się jasne, że Niemcy nie zamierzają się ograniczyć do prowadzenia lokalnego konfliktu zbrojnego w okolicach Gdańska. Wskutek zamieszania i gorączkowych przygotowań do wojny nikt już jednak nie zdołał odwołać rozkazu wytrwania na posterunku. Rozkaz ten został oficjalnie odczytany wieczorem przez dyrektora Urzędu Pocztowego dr. Jana Michonia w obecności jego podwładnych. Pracownicy polskiej Poczty spędzili najbliższą noc w gmachu urzędu - w budynku znajdowało się wówczas 58 osób, łącznie z żoną woźnego i jej przybraną córką. Dowództwo wojskowe przejął „inspektor Konrad”. To właśnie on rozdał swoim ludziom amunicję i broń - pistolety, granaty, a także trzy lekkie karabiny maszynowe. Gdy 1 września we wczesnych godzinach porannych okręt szkoleniowy Schleswig-Holstein otworzył ogień w kierunku Westerplatte, gdańscy esesmani i policjanci również zaatakowali gmach Poczty. Udało im się wziąć szturmem magazyn z paczkami. Jednak już wkrótce musieli się z niego wycofać, ponosząc straty. Obrońcy, spośród których żaden nie został poważnie ranny, postanowili wytrwać na posterunku.

Drugi atak miał miejsce przed południem. Niemcy uzyskali wsparcie wchodzącej w skład 3. Armii Grupy „Eberhardtj paramilitarnej

dywizji utworzonej z dwóch pułków gdańskiej policji, jednego batalionu SS i oddziałów niemieckiej armii, pod dowództwem generała brygady Friedricha Eberhardta. Gdy urzędnicy nie odpowiedzieli na podane przez mikrofon i przetłumaczone wezwanie do kapitulacji, budynek Poczty znalazł się pod ciągłym ostrzałem dział i karabinów maszynowych. W trakcie walki zginął „inspektor Konrad”. Gdy Niemcy przypuścili po południu trzeci już z rzędu atak, obroną dowodził Alfons Flisykowski. W piwnicy eksplodowały ładunki wybuchowe, nieustannie padały strzały. Aby nie ryzykować dalszych strat, Niemcy zalali piwnicę benzyną, którą następnie podpalili za pomocą granatów ręcznych. Obrońcy - jeśli nie zginęli w ogniu - ratowali się, wyskakując z okien płonącego budynku. Dyrektor Michoń, który usiłował przedstawić się wrogom jako parlamentarzysta, używając w tym celu białego ręcznika kąpielowego, oraz poczmistrz Józef Wąsik zostali wtedy zastrzeleni. Reszta dostała się do niewoli. Część z nich trafiła do obozu przejściowego, innych przewieziono do szpitala. Urzędnikom Poczty, którym udało się przeżyć, sąd wojenny Grupy „Eberhardt” odmówił prawa do obrony z bronią w ręku. Uznano ich za insurgentów i stracono.

W okresie powojennym rodziny ofiar daremnie walczyły do połowy lat siedemdziesiątych o rehabilitację obrońców Poczty przed zachodniemieckimi sądami, które przeprowadziły w tej sprawie łącznie dziewięć postępowań sądowych. I w tym wypadku chodziło przede wszystkim o rozstrzygnięcie kwestii, czy opór zbrojny stawiany przez urzędników polskiej Poczty był zgodny z obowiązującym wówczas prawem. W opinii niemieckich sędziów polscy pocztowcy mieli prawo stawić opór jednostkom SS i policji podczas pierwszego ataku, gdyż wspomniane oddziały miały charakter organizacji paramilitarnych. Tymczasem od momentu drugiego ataku, który odbył się pod egidą Grupy „Eberhardt” a tym samym Wehrmachtu, działania urzędników Poczty uznano za nielegalne. Potwierdzono więc wyrok, który zapadł w 1939 roku. Oczywiście obrońcy nie mogli rozpoznać ze swych stanowisk w gmachu Poczty przynależności organizacyjnej

swoich wrogów. Zresztą sytuację dodatkowo komplikował fakt, że Grupa „Eberhardt” składała się także z jednostek policji i SS. Po opublikowaniu książki niemieckiego historyka Dietera Schenka pod tytułem *Die Post von Danzig* w 1995 roku (wydanej w Polsce jako *Poczta Polska w Gdańsku* cztery lata później) wszczęto kolejne postępowanie sądowe w sprawie obrońców Poczty - tym razem oczyszczono ich pośmiertnie z zarzutów. Autor książki zaś otrzymał tytuł honorowego obywatela miasta Gdańska.

Obrona Poczty polskiej została również przedstawiona w powieści Güntera Grassa *Blaszany bębenek*, która w 1959 roku przyniosła autorowi światowy rozgłos. Już rok wcześniej Stanisław Różewicz nakręcił film pod tytułem *Wolne Miasto*. Uchwycił w nim napiętą atmosferę ostatnich dni pokoju w Gdańsku oraz opowiedział historię walki o polską Poczta. Reżyser pominął w filmie wątek podpalenia zalanej benzyną piwnicy, fakt, który ostatecznie doprowadził do kapitulacji - na ekranie można zobaczyć jedynie esesmanów uzbrojonych w miotacze ognia. Tymczasem niemiecka propaganda niejasno ustosunkowała się do wydarzeń 1939 roku, mówiąc o „zastosowaniu innych środków wojskowych”.<sup>3</sup>

3 września Wielka Brytania i Francja w końcu wypowiedziały wojnę III Rzeszy. Obie deklaracje zostały przyjęte przez polskie społeczeństwo z wielką nadzieją, podczas gdy Niemcy zareagowały z przerażeniem. W Warszawie, która miała już za sobą pierwsze naloty bombowe Luftwaffe, tłumy wiwatujących ludzi wyszły na ulice i zebrały się przed ambasadami Wielkiej Brytanii i Francji. W tym czasie większość Polaków zdawała sobie sprawę, że Polska bez zewnętrznego wsparcia nie podda impetowi niemieckiego ataku. Plan obrony młodego państwa sprowadzał się do wytrwania w samodzielnej walce dopóty, dopóki nie nadejdzie pomoc sojuszników — opierał się zatem na nadziei, że mocarstwa zachodnie prędzej czy później przyjdą Polsce z odsieczą. Ratunek wiązano z wkroczeniem wojsk Francji i Wielkiej Brytanii do zachodnich Niemiec, gdyż oznaczałoby to związanie dodatkowych sił militarnych wroga na zachodzie

i osłabienie tym samym impetu niemieckiej inwazji na wschodzie. „Szalejemy z radości — zanotowała wówczas Halina Regulska w swoim *Dzienniku z oblężonej Warszawy*. - Rzucamy się sobie w objęcia, całujemy, ściskamy, tańczymy. Niech żyje Anglia! Nie zginiemy już w nierównej walce. W kilka godzin później także Francja wypowiada Niemcom wojnę. W Warszawie entuzjazm, manifestacje. Olbrzymi tłum zebrał się na placu Marszałka Piłsudskiego, skąd poszedł pod ambasady brytyjską i francuską i tam wznoszono okrzyki na cześć Wielkiej Brytanii, Francji, ministra Becka i marszałka Śmigłego-Rydza”. Musiało minąć dużo czasu, zanim w Polsce zorientowano się, iż słowne deklaracje sojuszników nie będą poparte czynami. Polacy, których nadzieje zostały zawiedzione, czuli się oszukani; popadali w nastroje fatalistyczne i narastała w nich chęć oporu. Gdy dwa tygodnie później do Polski wkroczyły oddziały Armii Czerwonej, a rząd i dowództwo armii uciekli do Rumunii, ostatecznie zgasł ostatni płomyk nadziei tłący się jeszcze dotąd w sercach narodu.

Tymczasem w Niemczech reakcje większości społeczeństwa zmieniały się w przeciwnym kierunku. Przystąpienie zachodnich sojuszników Polski do wojny przeciwko III Rzeszy wprowadziło wielu ludzi w szok. Okazało się, że Niemcy, które chciały zagarnąć możliwie jak największą część polskiego terytorium, prowadząc działania na ograniczoną skalę, niespodziewanie wplątały się w wielką wojnę, a ich wrogowie znajdowali się teraz na dwóch frontach. Dopiero gdy się okazało, że Francja poprzestała na skierowaniu swych wojsk na granicę francusko-niemiecką, gdzie żołnierze obu krajów stali następnie bezczynnie naprzeciwko siebie, i że w ramach tej „dziwnej wojny” nie padnie ani jeden strzał, ludzie w Niemczech odetchnęli z ulgą. A więc i tym razem wszystko potoczyło się po myśli Fiihrera! Gdy do Rzeszy dotarły wiadomości o szybko postępującej niemieckiej ofensywie w Polsce, paraliżujący strach został wyparty przez poczucie ulgi i satysfakcji. Okazało się bowiem, że żywiona przez szerokie masy niemieckiego społeczeństwa nadzieja na przeprowadzenie rewizji granicy polsko-niemieckiej niespodziewanie się spełniła.

3 września 1939 roku Anglia nie była przygotowana do prowadzenia długotrwałej wojny z Niemcami. Krytyczna ocena ówczesnej sytuacji

pozwała przyjąć, że brytyjskie zobowiązania względem Polski okazały się — zgodnie z oczekiwaniami Hitlera — zwykłym blefem. „Gdy już doszło do ostateczności, wyszło na jaw, że militarna siła uderzeniowa Wielkiej Brytanii była w momencie wybuchu wojny tak znikoma — z czego zresztą żartował sobie później Hitler - iż stanowcze zachowanie się brytyjskiej dyplomacji na arenie kontynentalnej niemalże graniczyło z hochsztaplerstwem” — tak skwitował poczynania angielskiego rządu niemiecki ekspert do spraw brytyjskich Lothar Kettenacker przed trzydziestoma laty. Także ówczesną postawę Francji określała raczej rezygnacja niż determinacja, a Paryżowi zależało przede wszystkim na ochronie własnego terytorium. Nikt we Francji nie myślał wówczas poważnie o uderzeniu na Niemcy, nawet jeśli wojna z Rzeszą mogłaby odciążyć rozpaczliwie broniącą się przed niemieckim agresorem Polskę. Tymczasem — wbrew szeroko rozpowszechnionej w owym czasie opinii — stosunek sił na granicy francusko-niemieckiej wcale nie przedstawiał się aż tak niekorzystnie. Za swoją defensywną postawę podczas wojny polsko-niemieckiej Paryż miał wkrótce drogo zapłacić. Po kilku miesiącach to właśnie Francja stała się kolejną ofiarą Hitlera.

### **Masowe aresztowania i marsze śmierci**

Położenie niemieckiej mniejszości narodowej w Polsce uległo na początku września 1939 roku drastycznemu pogorszeniu. Na Pomorzu i w Poznańskim polskie władze przeprowadzały wówczas na masową skalę aresztowania przede wszystkim niemieckiej inteligencji. Szacuje się, że liczba Niemców, których wysłano wówczas koleją lub innymi środkami transportu na wschód, a także — po załamaniu się infrastruktury wskutek postępów niemieckiej ofensywy — zmuszono do udziału w wyczerpujących marszach śmierci, wynosiła 10 000 do 15 000 osób. Wielu z nich nigdy nie dotarło do miejsc przeznaczenia położonych w głębi kraju. Panował

chaos, a zaopatrzenie w żywność było niewystarczające. Poza tym Niemcom dawali się we znaki także eskortujący ich strażnicy oraz polska ludność cywilna. Ci pierwsi dopuszczali się aktów agresji, natomiast cywile często traktowali maszerujących w niewybredny sposób. Przepędzani Niemcy padali również ofiarą znajdujących się w odwrocie i doganiających ich oddziałów Wojska Polskiego. Żołnierze niekiedy wyladowywali całą swoją frustrację i wściekłość na tych bezbronnych cywilach. Ocalałym zapadła w pamięć zwłaszcza trauma związana z tak zwanym łowickim marszem śmierci. Tymczasem ci spośród Niemców, którzy postanowili zostać w swych ojczystych stronach, musieli żyć w obliczu nieustannego zagrożenia — w każdej chwili mogli zostać pobici, a ich domy splądrowane. Dopiero wkroczenie wojsk niemieckich przyniosło poprawę ich sytuacji.

W piątek, 1 września tego roku, około godziny 18 przed budynek filii niemieckiego Konsulatu Generalnego w Bydgoszczy zajechał samochód, w którym siedzieli bydgoski starosta Sluski wraz z funkcjonariuszami policji. Podczas gdy część policjantów obstawiła kordonem wyjścia z budynku, dwóch funkcjonariuszy przekazało mi zarządzenie starosty. Z dokumentu wynikało, że jestem internowany. Przewieziono mnie do dzielnicy Bleichfelde [Bielawy], do budynku byłego sierocińca, który został teraz zaadaptowany przez policję na punkt zborny. Gdy byłem przyjmowany, komisarz odebrał mi paszport wbrew moim protestom. Poza tym musiałem oddać wszystkie pieniądze, które miałem przy sobie, łącznie 6300 złotych.

Przez całą noc trwało przyjmowanie aresztowanych reichs- i volksdeutschow z Bydgoszczy i okolic. Moimi towarzyszami niedoli okazali się asystent Hinz i pracownica Gertrud Müller. Aż do popołudnia następnego dnia (2 września) przetrzymywano nas w pomieszczeniach sierocińca pod ścisłym nadzorem policji. W sobotę 2 września, około godziny 17.30 poprowadzono nas na duży dziedziniec budynku i podzielono na mniejsze grupy, przygotowując do wymarszu. Komisarz wydał rozkaz eskortującym nas Polakom, by załadowali

broń. Następnie oświadczył nam, że ludzie z konwoju będą strzelać do każdego, kto będzie stawiał opór. Potem wyruszyliśmy w drogę. Z przyczyn czysto propagandowych poprowadzono nas przez miasto. Ponieważ tego dnia na Bydgoszcz zostały zrzucone bomby, atmosfera panująca w mieście była napięta. Podczas przemarszu mieszkańcy nie tylko traktowali nas obelżywie, lecz także rzucali w nas kamieniami. Niejednokrotnie dochodziło też do rękoczynów. Z uwagi na taki obrót sprawy policja uznała za stosowne, by przetrzymać nas tymczasowo na dziedzińcu bydgoskiego więzienia. Wtedy rozgoryczone tłumy usiłowały szturmem zdobyć budynek. Na szczęście bez rezultatu.

W sobotę (2 września) o godzinie 23 ruszyliśmy dalej w kierunku Schultz [Solca Kujawskiego] do Torunia. Maszerowaliśmy przez całą noc i cały dzień. Ponieważ w dzień był straszny upał, a my, internowani, taszczyliśmy ze sobą ciężkie walizki, wielu z nas miało poranione stopy. Starsi ludzie i kobiety tracili przytomność i padali z wycieńczenia. Ludzie z eskorty bili ich wtedy bez litości. W niedzielę, około godziny 22, po pięćdziesięciotrzykilometrowym marszu dotarliśmy wreszcie do Torunia. Tutaj dołączyli do nas internowani z powiatów świeckiego, grudziądzkiego i chełmińskiego, a taicie z samego Torunia. W nocy pomaszerowaliśmy z powrotem przez most na Wiśle. Minęliśmy zabudowania dworca kolejowego i skierowaliśmy się na południe w stronę kompleksu budynków, które miały posłużyć dużej izeszy internowanych za noclegownię. Ponieważ chodziło o około 6000 osób, w pomieszczeniach brakowało dla nas miejsca.

Z Torunia wyruszyliśmy do Ciechocinka, małej miejscowości uzdrowskiej. Tutaj zadbano o nas przynajmniej pod tym względem, że internowanym zapewniono godziwe miejsce do przemieszczania. Następnego dnia (5 września) pomaszerowaliśmy w kierunku Nieszawy. Za namową idącego z nami bydgoskiego lekarza dr. Staemmlera komendant policji zezwolił nam, byśmy własnym sumptem kupili chleb. Dopiero od 6 września dowódca transportu zabiegał w urzędzie wojskowym o chleb dla internowanych, których

liczba urosła tymczasem do około 8000. Otrzymywaliśmy odtąd trochę chleba, który krojono na cztery części, każda z nich przypadała na czwórkę osób maszerujących w jednym szeregu. W tych forsownych marszach pędzono nas przez Włocławek do Kutna i dalej, w kierunku Łowicza. Każdy z nas doskonale zdawał sobie sprawę, że pozostających w tyle czeka pewna śmierć. Poza tym było dla nas jasne, że polskie władze każą nam kontynuować wyczerpujące marsze z zamiarem wyniszczenia jak największej liczby Niemców poprzez wycieńczenie. Każdy, kto przeżyłby mimo to, i tak miał zostać zabity w obozie pod Pińskiem.

Wskutek trudów marszu, niedożywienia i nalotów bombowych niektórzy z internowanych dostawali pomieszania zmysłów. 9 września, w niedzielę wieczorem, stan internowanych był tak poważny, że nie mogli już dalej maszerować z powodu osłabienia lub poranionych stóp. Tymczasem każdy z nas musiał się liczyć z tym, iż w przypadku odmowy udziału w dalszym marszu, może zostać rozstrzelany przez policję.

9 września doszło do zmasowanych nalotów bombowych Luftwaffe na Łowicz. Schronienia przed atakami lotniczymi szukaliśmy w okopach przed Łowiczem. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że niemieckie oddziały odniosą sukces. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że niemieccy lotnicy rozpoznali nas, deportowanych w głąb kraju Niemców, pod Łowiczem. Gdy polskie oddziały zostały zmuszone do wycofania się, przysłano niemiecki czołg, którego załoga oznajmiła nam, że zostaliśmy wyzwoleni. Polska policja uciekła już wcześniej, jak tylko zdała sobie sprawę z własnego położenia.

W Łowiczu otrzymaliśmy zakwaterowanie w kościołach i więzieniu, możliwość przenocowania w mieście. W niedzielę, 10 września, podano nam po raz pierwszy od dłuższego czasu ciepłe jedzenie w postaci grochówki.

Jeszcze tej samej niedzieli wraz z sześcioma towarzyszami niedoli udało mi się dotrzeć do Łodzi samochodem komendantury łowickiej. W poniedziałek, 11 września, z Łodzi udałem się do Breslau



[Wrocławia], a stamtąd do Berlina. Do stolicy Rzeszy dotarłem całkowicie osłabiony i w opłakanym stanie w środę, 13 września.

Raport z aresztowania przez polską policję w Bydgoszczy i ewakuacji pieszo do Łowicza kierownika bydgoskiego oddziału konsulatu generalnego w Toruniu konsula Wengera, złożony w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Rzeszy 17 września 1939, Biuro Sekretarza Stanu, akta dotyczące wojny w 1939 roku, od 11 do 30 września 1939 roku, t. 4, niezarejestrowany mikrofilm w Archiwum Akt Nowych w Warszawie.

Deportacja członków mniejszości niemieckiej z obszarów pogranicznych przebiegała zbyt pośpiesznie i w nieskoordynowany sposób. Mimo że najprawdopodobniej wynikała z ogólnego nakazu, nie odbywała się zgodnie ze szczegółowo opracowanym planem. Polskim władzom zależało przede wszystkim na jak najszybszym ewakuowaniu jak największej liczby obywateli niemieckiego pochodzenia, których postrzegano jako potencjalnych sprzymierzeńców wroga, możliwie jak najdalej na wschód. Ta nieufność była spowodowana aktywnością podejmowaną przez małą część polskich Niemców, którzy tworzyli składy broni, organizowali zamachy na polskie instytucje na przedpolu niemieckiego natarcia lub brali udział w działaniach bojowych jako członkowie organizacji paramilitarnych. Minio że poczynania polskich władz miały charakter obronny, to jednak z reguły dotyczyły osób niezaangażowanych w konflikt polsko-niemiecki. Wśród tych ostatnich znajdowali się ludzie, ze strony których trudno było się spodziewać jakiegokolwiek zagrożenia, a więc dzieci, osoby starsze i kobiety. To właśnie oni najbardziej ucierpieli wskutek deportacji. Chaos panujący w ciągu pierwszych dni wojny przyczynił się do dalszego zaostrzenia środków stosowanych względem mniejszości niemieckiej, którą wykorzystano do kanalizowania złości szerokich mas polskiego społeczeństwa. Brak jakiegokolwiek kontroli wyższych instancji doprowadził do sytuacji, w której to właśnie w pewnym stopniu nieradzący sobie i podenerwowani wydarzeniami wojennymi strażnicy mieli decydować o życiu i śmierci znajdujących się pod ich nadzorem Niemców. Tymczasem dla polskich żołnierzy życie więźniów zaliczanych do obozu wroga nie przedstawiało większej wartości.

Wykroczenia przeciwko Niemcom zostały wprowadzić zaprogramowane z góry, jednak nie były jawnie propagowane przez rząd polski. W każdym razie lwia część winy spoczywa na urzędach III Rzeszy, które świadomie narażały na niebezpieczeństwo całą mniejszość niemiecką w Polsce, by wykorzystać do własnych celów lalka tysięcy volksdeutschow.

Hitler jeszcze przed zaatakowaniem Polski uwzględniał w swoich rachubach konieczność poniesienia takich ofiar. Można się nawet pokusić o stwierdzenie, że śmierć polskich Niemców pędzonych w „marszach śmierci” spadła Fiihrerowi jak z nieba. Mogła bowiem posłużyć jako pretekst usprawiedliwiający przeprowadzanie planowanych już od dawna czystek etnicznych w Polsce. Na początku 1940 roku niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych w dokumencie pod tytułem *Die polnischen Greuelthaten an den Volksdeutschen in Polen* („Polskie zbrodnie na volksdeutschach w Polsce”) donosiło o „5437 niezbitcie dowiedzionych morderstwach”. W drugim wydaniu pochodzącym jeszcze z tego samego roku liczbę tę zwiększono od rędł dziesięciokrotnie, to jest do „ponad 58 000 ofiar”. Jednocześnie pierwsze wydanie dokumentu przerobiono na makulaturę. Dzięki tym zabiegom mordy dokonane na mniejszości niemieckiej w Polsce miały być porównywalne do zbrodni na Polakach i Żydach, których dopuszczali się niemieccy żołnierze, policjanci i Volksdeutsche podczas pierwszych tygodni okupacji hitlerowskiej. Światowa opinia publiczna miała uwierzyć, że III Rzesza postępowała w tym czasie według zasady „oko za oko, ząb za ząb”. Obecnie liczbę ofiar po stronie niemieckiej mniejszości zgodnie szacuje się w badaniach polskich i niemieckich na 4500 osób. Należy zaznaczyć, iż w tej liczbie ujęto także ofiary, których śmierć została spowodowana działaniami bojowymi. Do najdrastyczniejszych ekscesów dochodziło w rejonie Bydgoszczy.

### **Bydgoska „krwawa niedziela”**

Najbardziej kontrowersyjny rozdział historii wojny polsko-niemieckiej w 1939 roku dotyczy wydarzeń, które miały miejsce 3 września w Bydgoszczy. Po I wojnie światowej Bydgoszcz znalazła się

w granicach państwa polskiego. W ciągu następnych dwóch dekad panujące w mieście stosunki ludnościowe uległy całkowitemu odwróceniu. O ile bowiem w 1919 roku Niemcy stanowili tu 80 procent całej populacji, o tyle w 1939 roku już tylko 6,4 procent mieszkańców, a więc nieco poniżej 10 000 osób przynależało do lokalnej mniejszości niemieckiej. Mimo to Bydgoszcz pozostawała ważnym niemieckim ośrodkiem kulturowym i politycznym. To właśnie tutaj mieściły się siedziby wielu organizacji mniejszościowych. Tutejsi Niemcy, którzy w 1937 roku posiadali 20 procent wszystkich nieruchomości w mieście, wciąż odgrywali w nim znaczącą rolę. Jeszcze w latach trzydziestych obie lokalne społeczności utrzymywały ze sobą z reguły dobre stosunki. Jednak wraz z rosnącym niebezpieczeństwem wybuchu wojny napięcia w relacjach polsko-niemieckich stopniowo narastały również w Bydgoszczy. W momencie wybuchu wojny aresztowano setki przedstawicieli lokalnej mniejszości niemieckiej podejrzewanych o komszachtę z wrogiem, a następnie - 2 września - zmuszono aresztantów do marszu w głąb kraju. Niemieckie samoloty, które ukazały się wkrótce nad miastem, zasiały trwogę wśród ludności. Tego samego dnia wieczorem oddziały niemieckiej armii zbliżyły się na odległość 15 kilometrów do jego granic.

W przededniu wybuchu wojny do obrony polskiego Pomorza sformowano Armię „Pomorze” pod rozkazami generała Władysława Bortnowskiego. Formacja ta obejmowała sześć dywizji piechoty i brygadę kawalerii. Po stoczeniu pierwszych bitew na obszarze pogranicznym część Armii „Pomorze” została 3 września okrążona w Borach Tucholskich i doszczętnie rozgromiona. Bydgoszcz stała się wąskim gardłem, przez które przedostawali się uchodźcy oraz żołnierze rozproszonych oddziałów Wojska Polskiego.

Rankiem 3 września, około godziny 10, w wielu miejscach na terenie miasta słychać było strzały, które wywołały panikę wśród maszerujących kolumn. Podenerwowani i zmordowani forsownym marszem żołnierze, wspierani przez polskich mieszkańców, wtargnęli do domów należących do członków mniejszości niemieckiej,

mordując bydgoskich Niemców. 4 września liczba niemieckich ofiar cywilnych wyniosła około 300 osób. Wśród pomordowanych znajdowali się także starcy, kobiety i dzieci. Do dalszych masakr doszło w pobliżu miasta.

Dotychczas nie udało się ustalić, kto pierwszy oddał strzałę raniącą 3 września. W powojennej historiografii polskiej przyjmowano jednomyślnie, że sprawców należy szukać w szeregach mniejszości niemieckiej. Ten scenariusz wydarzeń zakwestionowali jednak niemieccy historycy. Dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych odmiennie stanowisko zajął w tej kwestii Günter Schubert, uznając akty sabotażu ze strony przedstawicieli mniejszości niemieckiej za całkiem prawdopodobne. Natomiast polski historyk Włodzimierz Jastrzębski, który w czasach Polski Ludowej przez dziesięciolecia współtworzył legendę o „piątej kolumnie” rekrutującej się spośród członków mniejszości niemieckiej, zmienił zdanie na początku drugiego tysiąclecia, nie dopatrując się odtąd udziału niemieckich partyzantów w wydarzeniach bydgoskich.

W 2008 roku Instytut Pamięci Narodowej opublikował Białą Księgę, w której ponownie zebrano wszystkie poszlaki przemawiające za tezą o niemieckiej dywersji w Bydgoszczy. Wielką wagę przywiązano zwłaszcza do raportów Wojska Polskiego oraz do zeznań żołnierzy, z których jednoznacznie wynika, że w omawianym czasie widziano w tym mieście niemieckich insurgentów. Należy jednak powątpiewać w prawdziwość owych doniesień. Wystarczy je porównać z fałszywymi relacjami o polskich insurgentach, które w tym samym czasie trafiały do wyższych urzędów Wehrmachtu, a których autorami byli żołnierze stacjonujących w Polsce oddziałów niemieckiej armii (zob. s. 173-207). W obu przypadkach nerwowa atmosfera i osłabienie przyczyniały się do pobudzenia wyobraźni żołnierzy. Ostatecznie nie można z całą pewnością wykazać, że 3 września 1939 roku Niemcy jako pierwsi strzelali w Bydgoszczy do oddziałów Wojska Polskiego, prowokując tym samym wydarzenia określane mianem bydgoskiej „krwawej niedzieli”. Nawet autorzy najświeższych publikacji

poświęconych temu zagadnieniu przyznają, że na podstawie przedstawionych przez nich poszlak nie można z całą pewnością potwierdzić tej tezy. Nie można także wykluczyć, że odpowiedzialność za masakrę w Bydgoszczy spoczywa na niemieckich dywersantach.

Skoro przejrano już wszystkie dostępne w odpowiednich archiwach dokumenty, zarówno poświadczające, jak i dementujące doniesienia o działalności niemieckich partyzantów w Bydgoszczy, właściwie należałoby zamknąć akta owej sprawy. Obecnie także strona polska przyznaje, że ofiarami masakry w dniach 3 i 4 września 1939 roku padły w przeważającej mierze osoby nieuczestniczące bezpośrednio w konflikcie zbrojnym. Osiągnięcie porozumienia w tej kwestii mogłoby stanowić dobrą podstawę do znalezienia wspólnej formy uczczenia pamięci ofiar bydgoskiej „krwawej niedzieli”. Nie można przy tym zapomnieć o ofiarach przemocy grup operacyjnych niemieckiej Policji Bezpieczeństwa i Selbstschutzu. Tym ostatnim wydarzenia z 3 września 1939 roku dostarczyły dogodnego pretekstu do przeprowadzenia w ciągu kolejnych tygodni masowych rozstrzeliwań w Bydgoszczy i okolicach (zob. s. 162-172), w ramach odwetu na ludności polskiej.

### **„Wojna domowa” na Górnym Śląsku**

We wrześniu 1939 roku konflikt narodowościowy między Polakami i Niemcami nigdzie nie ujawnił się z taką siłą, jak na Górnym Śląsku. To właśnie tutaj już na początku lat dwudziestych XX wieku toczono zaciętą walkę o przebieg granicy polsko-niemieckiej. Tuż przed wybuchem II wojny światowej w polskiej części Górnego Śląska — w województwie śląskim liczącym około 1,4 miliona ludzi — żyło około 160 000 członków mniejszości niemieckiej. Sytuację komplikował dodatkowo fakt, że prawie trzecia część lokalnej społeczności nie identyfikowała się jednoznacznie

ani z Polską, ani z Niemcami. Ci ludzie mówili po polsku i po niemiecku, mieli zarówno polskie, jak i niemieckie korzenie, i poczuli się w mniejszym lub większym stopniu do wspólnoty z państwem polskim lub niemieckim. We wrześniu Ślązacy z rozgoryczeniem przyglądali się, jak urzędnicy, politycy i notable, którzy przybyli do tego województwa po I wojnie z centrum kraju, aby tam umacniać nowo ustanowioną II Rzeczpospolitą, jako pierwsi pakowali walizki i w popłochu uciekali z Górnego Śląska. „Patrzcie się, jak uciekają. Jalt nas zostawiają! Z walizeczką na Śląsk przyjechali, a uciekają z wyladowanymi do ostatnich granic autami ciężarowymi”.

Obrona górnośląskiego obszaru przemysłowego przypadła w udziale Grupie Operacyjnej „Śląsk”, składającej się z 23. i 55. Dywizji Piechoty, a także z Grupy Fortecznej Obszaru Warownego „Śląsk”. Te regularne oddziały Wojska Polskiego były wspierane przez cywilne Ochotnicze Oddziały Powstańcze, Straż Obywatelską i służby pomocnicze. Oddziały obronne były źle wyposażone. W 204. Pulku Piechoty tylko połowa żołnierzy miała broń. Całkowicie brakowało natomiast hełmów wojskowych. Gdy wskutek szybkich postępów niemieckiej ofensywy na południu i północy województwa jednostkom obrony na Śląsku groziło odcięcie od pozostałych oddziałów Wojska Polskiego, głównodowodzący polskich sił zbrojnych Edward Rydz-Śmigły wydał 2 września 1939 roku rozkaz wycofania się z obszaru przemysłowego. Na miejscu pozostały tylko jednostki złożone z ochotników, do których nie dotarł na czas rozkaz ewakuacji lub którzy na własną rękę podjęli decyzję o obronie ojczyzny. Podczas gdy żołnierze armii polskiej opuszczali Katowice, w mieście formował się oddział złożony z rozproszonych byłych uczestników powstań śląskich, ochotników i harcerzy, którzy jednak nie znali założeń polskiego planu obrony ani nie posiadali ciężkiej broni.

Nawet jeśli ta formacja nie stanowiła dla Niemców żadnego liczącego się zagrożenia militarnego, to jednak należy uwzględnić fakt, że górnośląski obszar przemysłowy był we wrześniu 1939 roku jedynym miejscem w Polsce, gdzie lęk przed polskimi „powstańcami”, „insurgentami” czy „partyzantami” okresowo wydawał się przystawać do rzeczywistości.

Jednak regularne oddziały Wehrmachtu prawie w ogóle nie starły się z obrońcami Górnego Śląska. 3 września peryferie Katowic zdobyły składające się w znacznej mierze z członków mniejszości niemieckiej paramilitarne oddziały niemieckiego wywiadu wojskowego. Polski historyk Grzegorz Bębniak niedawno ujął to w następujący sposób: „Jako swoisty grymas historii potraktować należy okoliczność, że zarówno wśród obrońców miasta, jak i pośród atakujących znakomitą większość stanowili Górnoślązacy — z jednej lub drugiej strony granicy. Z tym większą zapewne zaciekłością trzeba było liczyć się w przypadku wzajemnej konfrontacji. W wielu aspektach bowiem walki pomiędzy oddziałami polskiej samoobrony a niemieckimi formacjami nieregularnymi noszą charakter starć wręcz bratobójczych, odbywających się obrębie jednej społeczności. Naprzeciw siebie stanęli nierzadko sąsiedzi, znajomi czy nawet członkowie tych samych rodzin”.

Przebieg działań zbrojnych 3 września 1939 roku do dziś jeszcze pozostaje niewyjaśniony. Ponieważ polska administracja już nie funkcjonowała, a w walkach nie brały udziału ani polskie, ani niemieckie regularne formacje wojskowe, zachowały się jedynie oficjalne relacje, które sporządzono dopiero następnego dnia, gdy witane przez wiwatującą proniemiecką część ludności oddziały Wehrmachtu zajmowały region wokół Katowic. Ponieważ brak jakichkolwiek relacji bezpośrednich agresorów, rekonstrukcja ówczesnych wydarzeń — siłą rzeczy — opiera się wyłącznie na spisanych po wojnie wspomnieniach byłych obrońców.

W Polsce jeszcze długo po zakończeniu wojny pieczołowicie pielęgnowano pamięć o kontrowersyjnych wydarzeniach, a determinacja, z jaką starano się forsować oficjalną wersję, przypominała uporczywą obronę górnośląskiej metropolii na początku wojny. Tymczasem już stosunkowo wcześniej podawano w wątpliwość powojenną legendę, zgodnie z którą około 3 września 1939 roku w Katowicach miało miejsce „czwarte powstanie śląskie”. Polski historyk Andrzej Szefer opublikował w 1974 roku fragmenty dziennika wojennego niemieckiego oddziału granicznego Grenzabschnittskommando 3. Natrafił nań w Federalnym Archiwum Wojskowym we Fryburgu Bryzgowijskim. Z zapisków wynika, że

największe straty w ludziach poniósł operujący w tamtym rejonie Freikorps „Ebbinghaus” podczas walk z oddziałami polskiej obrony pierwszego dnia wojny; zginęło wówczas 174 ludzi, a 135 osób zostało rannych. W ciągu kolejnych dni — do 5 września — zginęło już tylko dziewięciu członków Freikorpsu, a dwóch innych odniosło rany. Nie może być zatem mowy o okupionej licznymi stratami, ciągnącej się od 2 września 1939 roku przez kilka dni walce o Katowice, jak to sugeruje scenariusz wydarzeń propagowany w polskiej literaturze wojennej. Poza tym z badanych dokumentów wynika, że jednostki Wehrmachtu odegrały zaledwie marginalną rolę podczas zajmowania miasta.

Ustalenia Szefera spotkały się z dezaprobatą w kręgach polskich historyków. Dopiero po prawie trzech dekadach, w październiku 2003 roku, artykuł zamieszczony na łamach katowickiego wydania ponadregionalnego dziennika „Gazeta Wyborcza” wywołał burzliwą debatę, która dotyczyła odpowiedzi na następujące pytania: Kto właściwie bronił miasta na początku września 1939 roku? Jak długo trwała obrona? Kto był wrogiem? Odpowiednie badania przeprowadził Bębniak, który uwzględnił wszystkie dostępne źródła historyczne. Udało mu się ustalić, że 3 września w Katowicach rzeczywiście doszło do starć między niemieckimi bojówkarzami Freikorpsu i polskimi powstańcami, w których wzięły krótkotrwały udział wkraczające na Górny Śląsk oddziały Wehrmachtu. Za mocno przerysowane uznał natomiast doniesienia o intensywności ówczesnych działań bojowych, jakie można znaleźć w literackich świadectwach wspomnieniowych.

Rankiem 3 września 1939 roku dowodzący jednostkami powstańców w Katowicach komendant Emanuel Tomanek zwołał na radę podlegających mu dowódców poszczególnych oddziałów. Oznajmił on wówczas wszystkim zebranym, że władze wydały rozkaz ewakuacji Górnego Śląska. Komendant zaznaczył jednak, iż każdy powinien robić to, co uzna za słuszne, dopuszczając tym samym możliwość pozostania przynajmniej części obrońców na posterunku. Około 90 procent powstańców opuściło wtedy miasto, podążając za wycofującymi się oddziałami Wojska Polskiego. Wielu spośród tych, którzy byli w równym stopniu



zaskoczeni co rozczarowani odwrotem własnych jednostek wojskowych, podjęło decyzję o pozostaniu w swych domach w Katowicach do momentu wkroczenia Wehrmachtu. Reszta zebrała się wokół kilku zdeterminowanych mężczyzn, odpierając ataki Freikorpsu „Ebbinghaus”. Jego bojówkarze podjęli serię prób przedarcia się do Katowic. Przy tej okazji doszło do sporadycznych starć zbrojnych, które sam Bębniak określił mianem „umiarkowanych”.

Rano 4 września 1939 roku oddziały Wehrmachtu wkroczyły wraz z bojówkarzami Freikorpsu do Katowic. Wywiązała się wówczas pierwsza strzelanina, w którą była uwikłana także kompania Wojska Polskiego, wycofująca się z opóźnieniem w tamtym czasie z Górnego Śląska na wschód. Około godziny 11 żołnierzom Wehrmachtu udało się opanować sytuację w Katowicach do tego stopnia, że dowódca 239. Dywizji Piechoty generał brygady Ferdinand Neuling pojechał otwartym samochodem do centrum miasta. Niemniej jednak sporadyczne strzały oddawane z domów i dachów słychać było jeszcze do późna w nocy.

### **Wieża spadochronowa w Katowicach**

W południowej części Katowic, w parku imienia Tadeusza Kościuszki znajduje się trzydziestopięciometrowa wieża spadochronowa. Od 1937 roku w tym miejscu szkolono przyszłych spadochroniarzy, jednak pierwotnie wieża była o piętnaście metrów wyższa. Tę pierwszą wieżę spadochronową zdemontowano i prawdopodobnie przetopiono podczas wojny na mocy decyzji niemieckich władz okupacyjnych. Nowa wieża stanęła w tym samym miejscu w latach pięćdziesiątych, jednak używano jej tylko przez krótki czas. Dziś pełni zupełnie inną funkcję - jest stalowym pomnikiem powstałej w 1939 roku legendy, która została rozpowszechniona w całym kraju po zakończeniu wojny poprzez teksty literackie i aranżacje filmowe.

W sierpniu 1946 roku nauczyciel Kazimierz Gołba opublikował w katowickim „Gościu Niedzielnym” apel, w którym poprosił

czytelników o spisanie wspomnień związanych z obroną miasta w 1939 roku i o dostarczenie tekstów do redakcji. Wspomnienia naczynych świadków miały zostać następnie opracowane w formie książkowej. Golba urodził się w 1904 roku w Rzeszowie, ostatnie lata pokoju i pierwsze dni wojny przeżył w Katowicach, a okupację - w pobliskim Sosnowcu. W ciągu kolejnych tygodni po ogłoszeniu apelu do redakcji „Gościa Niedzielnego” napłynęła masa listów, które zostały przeanalizowane i ocenione, a następnie opublikowane w formie artykułów na łamach dwóch śląskich czasopism kulturalnych. W 1947 roku wyszła oparta na faktach historycznych powieść Golby pod tytułem *Wieża spadochronowa. Opowiadanie z 1939 roku*. Autor opisał między innymi, jak garstka harcerzy obu płci wspinała się na opuszczoną przez 73. Dywizję Piechoty wieżę spadochronową, gdzie natknęła się na pozostawiony tu przez polskich żołnierzy karabin maszynowy. Według Golby, ta mała grupa przez cały dzień broniła wieży przed niemieckim atakiem, dysponując tylko jednym karabinem. Podczas obrony harcerze mieli zadać nieprzyjacielowi dotkliwe straty, a nawet zestrzelić jeden z niemieckich samolotów. W jaki sposób nieprzeszkoleni w obsłudze broni młodzi ludzie byli w stanie dokonać takiego wyczynu, pozostało tajemnicą autora powieści. Mimo to książka ugruntowała powojenny mit o bohaterkiej obronie Katowic, a harcerze z wieży spadochronowej urosli do rangi symbolu tej legendy.

Jeśli dokładniej się przyjrzeć książce *Wieża spadochronowa*, okaże się, że powieść miała przeciwdziałać innej czarnej legendzie. Otóż Ślązacy w czasie wojny jakoby sympatyzowali i kolaborowali z niemieckimi okupantami. Fotografie przedstawiające katowiczanki wiwatujących na cześć wkraczających do miasta oddziałów Wehrmachtu zdawały się potwierdzać tę tezę. Należy jednak zauważyć, że tego typu zdjęcia robiono wszędzie tam, gdzie na okupowanych obszarach żyła większa liczba członków mniejszości niemieckiej. Trzeba przy tym pamiętać, że sam Golba padł ofiarą nazistowskiego terrorku. W pierwszych dniach wojny został aresztowany przez Gestapo,

a po ciężkich torturach w niemieckim więzieniu do końca życia był częściowo sparaliżowany. Własnym przykładem zaprzeczył więc stereotypowi Ślązaka kolaboranta. Po wojnie Gołba uznał za swoją życiową misję zbieranie i upublicznianie dowodów zaświadczających o polskim patriotyzmie ludności Śląska. Jednakże nie można w tym miejscu pominąć milczeniem tego, że w książce nie tylko posłużył się gatunkiem powieściowym, lecz także bezkrytycznie podszedł do nadesłanych relacji naocznych świadków. Jako historyk z wykształcenia powinien uwzględnić także pochodzące z 1939 roku oficjalne oraz prywatne dokumenty zarówno polskiej, jak i niemieckiej proweniencji. Dopiero zestawienie relacji polskich świadków z tymi dokumentami pozwoliłoby mu na zbliżenie się do prawdy historycznej.

Obraz walczącej z wrogiem młodzieży szybko zyskał w Polsce popularność. Pierwsza ciesząca się sukcesem powieść, w której protagoniści są polskimi harcerzami, *Kamienie na szaniec*, została opublikowana we fragmentach w 1943 roku przez Aleksandra Kamińskiego pod pseudonimem „Juliusz Górecki” i również opierała się na wspomnieniach młodych uczestników wojny. W porównaniu z powieścią Gołby książka Kamińskiego wykazuje o wiele większe związki z leżącymi u jej podstaw wydarzeniami historycznymi i jeszcze dzisiaj jest nieoficjalną lekturą obowiązkową w polskich szkołach. Autor uważany za ikonę ruchu oporu i harcerstwa w Polsce scharakteryzował obie książki na równi jako „dokumenty, którym nadano formę opowieści”. Podobne stanowisko w tej kwestii zajęła Krystyna Heska-Kwaśniewicz, profesor bibliotekoznawstwa na uniwersytecie w Katowicach i harcmistrzyni. W posłowie do piątego wydania *Wieży spadochronowej* z 1983 roku Heska-Kwaśniewicz utrzymywała, iż przedstawione w powieści wydarzenia są oparte na faktach - tyle tylko, że harcerze mieli wytrwać na wieży pod niemieckim ostrzałem niejeden, lecz dwa dni: „Co stałoby się, gdyby nie napisał Gołba w 1946 roku swej książki, pytała, kto ocalałby z miłością i pietyzmem pamięć o śląskich orlętach?” W rzekomych atakach na książkę doszukiwała się intryg knutych przez funkcjonariuszy polskich tajnych

służb, którzy mieli w latach pięćdziesiątych zarekwirować materiały zebrane przez Gołbę. Jednak część dokumentów uznawanych za zaginione pojawiła się nagle, gdy Biblioteka Śląska przejmowała spuściznę po zmarłym w 1952 roku autorze. Poza tym, według Heskiej-Kwaśniewicz, książka była solą w oku polskich władz, ponieważ opublikowano ją w Poznaniu, a nie w Katowicach. I rzeczywiście historia polskich harcerzy nie pasowała do linii przyjętej przez oficjalną propagandę w czasach stalinowskich, gdy Katowice zostały na krótki okres przemianowane na Stalinogród. Nic więc dziwnego, że ludzie rządowej propagandy odnosili się z dużą dozą nieufności do tej nazbyt „burżuazyjnej” organizacji młodzieżowej. Oficjalne stanowisko władz polskich w sprawie powieści Gołby miało ulec zmianie dopiero po śmierci Stalina. Wtedy też okazało się, że książka ma duże szanse stać się bestsellerem i że można ją z powodzeniem wykorzystać w walce o „polonizację” Ziemi Odzyskanych.

Gdy pojawiły się wątpliwości co do intensywności walk prowadzonych w obronie Katowic, sama legenda wieży spadochronowej zaczęła się coraz bardziej chwiać w osadach. Pod koniec zeszłego tysiąclecia uwagę opinii publicznej przykuło wystąpienie byłego członka komórki harcerstwa działającej w Gimnazjum imienia Tadeusza Kościuszki, który utrzymywał, że znajduje się w posiadaniu listy z nazwiskami obrońców wieży spadochronowej. Przeprowadzona natychmiast weryfikacja Komisji Historycznej Chorągwi Śląskiej Związku Harcerstwa Polskiego wykazała, iż zamieszczone na liście osoby nie mogły znajdować się na wieży spadochronowej podczas jej obrony. W ostatnim czasie polscy historycy: Andrzej Szefer, Ryszard Kaczmarek i Grzegorz Bębnik dokonali możliwie jak najwierniejszej rekonstrukcji ówczesnych wydarzeń, porównując ze sobą odnośne polskie i niemieckie dokumenty, powojenne relacje świadków i wspomnienia. Z badań wynika, iż 4 września 1939 roku, w godzinach przedpołudniowych, gdy jednostki należące do niemieckiej 239. Dywizji Piechoty zbliżały się już do miasta, z wieży spadochronowej oddano na oślep salwę z karabinu maszynowego.

Ogień ustał, gdy wieża została ostrzelana z armaty przeciwpancernej lub z karabinu maszynowego przez żołnierzy Wehrmachtu. Do dziś nie udało się natomiast ustalić, kto obsługiwał wówczas karabin maszynowy na wieży. Mogli to być polscy harcerze, których w owym czasie wielokrotnie widziano w okolicach parku imienia Tadeusza Kościuszki. Pewna kobieta, która obserwowała ówczesne wydarzenia, twierdzi, że po zdobyciu miasta przez Niemców widziała na własne oczy pod wieżą spadochronową nienaturalnie powyginane ciała harcerzy. Tę jedną z wielu możliwych wersji wydarzeń można zobaczyć w filmie *Ptaki ptakom* z 1977 roku.

Tak więc legenda mówiąca o wielogodzinnej lub nawet ciągnącej się przez kilka dni obronie wieży spadochronowej, opowieść, zgodnie z którą polscy harcerze, mając do dyspozycji tylko jeden karabin maszynowy, skutecznie odpierali ataki żołnierzy Wehrmachtu, bojówkarzy Freikorpsu i lotników Luftwaffe, została w znacznej mierze obalona. Mimo to należy podkreślić, że harcerze rzeczywiście brali udział w obronie miasta, choć podejmowane wówczas przez nich działania nie odbywały się na tak dużą skalę ani w ten sposób i nie miały takich skutków, jak przyjmowano w okresie powojennym. Hufiec ZHP Katowice w dalszym ciągu nosi imię Bohaterów Wieży Spadochronowej. Gdyby zaangażowaniu polskich harcerzy w walkę o Katowice w 1939 roku przydano przede wszystkim symboliczne znaczenie, odłożono *ad acta* debaty na temat obrony miasta podczas kampanii wrześniowej oraz spory, których mityczne centrum stanowi walka o wieżę spadochronową, i gdyby wydarzenia te zaakceptowano jako część historii Śląska, nie budziłyby to żadnych zastrzeżeń.

*Mieli myśli rozczochrane jak my dzisiaj,  
I mundury te dzisiejsze mieli też.  
Lecz stanęli w pogotowiu, gdy padł wystrzał,  
I bronili tej najwyższej z wszystkich wież.*

Fragment pieśni polskich harcerzy *Wieża spadochronowa*.

Stosunkowo słaby opór, na który natrafiły przede wszystkim niemieckie formacje paramilitarne, bynajmniej nie przeszkodził dowódcom operujących w tym rejonie oddziałów w relacjonowaniu rzekomych doświadczeń wyniesionych z Górnego Śląska. Relacje te przesyłano w formie raportów wyższym instancjom wojskowym do Rzeszy. Zawierały one informacje o domniemanym, zakrojonym na wielką skalę powstaniu polskich partyzantów przeciwko Wehrmachtowi. Niemieccy dowódcy chcieli w ten sposób dostarczyć pretekstu do ściągnięcia posiłków w postaci dodatkowych jednostek policji. „Na Górnym Śląsku wszędzie toczą się zacięte walki z bandami partyzantów, którym można położyć kres tylko poprzez zastosowanie drakońskich środków” — zanotował pułkownik w sztabie generalnym Eduard Wagner 3 września, gdy Wehrmacht obserwował, wtedy jeszcze z bezpiecznej odległości, jak Freikorps „Ebbinghaus” podejmuje próby zajęcia Katowic. General broni Franz Haider stwierdził tego samego dnia, że działająca w tym rejonie 14. Armia będzie potrzebowała posiłków w postaci dodatkowych oddziałów policji do zabezpieczenia obszarów znajdujących się na tyłach. Reichsführer SS Heinrich Himmler wyraził wówczas zgodę na wysłanie dodatkowych batalionów policji na Górny Śląsk. „Wieczorem o godzinie 21 mam jeszcze konsultacje w sprawie oddelegowania jednostek policji ze sprowadzonym przeze mnie w trybie pilnym generałem von Bomhardem i szefem Daluege — zanotował Wagner 5 września. — Zbierają wszystkich ludzi, jakich jeszcze mają, a my zawieziemy zebranych jutro wieczorem z Hamburga, Münsteru i Monachium w ekspresowych transportach na front wschodni”. O tym, jak drastyczne środki podejmowały świeżo przybyłe oddziały policji, może świadczyć zalecenie, które szef Policji Porządkowej (Ordnungspolizei) Kurt Daluege miał przekazać funkcjonariuszom wysłanego 5 września do Częstochowy batalionu policji. Tam też miały być zastosowane te same środki co we wschodniej części górnośląskiego obszaru przemysłowego: „wieszanie polskich partyzantów na słupach latarni, a więc w miejscach dobrze widocznych dla mieszkańców”.

Wraz z jednostkami Freikorpsów i Wehrmachtu 4 września 1939 roku do Katowic przybyli także ludzie z Einsatzkommando 1 (I Oddziału

Operacyjnego) należącego do Einsatzgruppe I (I Grupy Operacyjnej). Wszystkie trzy formacje ściśle współpracowały ze sobą 4 września 1939 roku w zakresie wspólnego polowania na ewentualnych obrońców miasta oraz ich „osądzania”. Wtedy też na ulicach Katowic miały miejsce zupełnie arbitralne aresztowania rzekomo podejrzanych lub zadenuncjowanych osób. W rzeczywistości akcję przeprowadzano na podstawie list osób ściganych, sporządzonych w Głównym Urzędzie Policji Bezpieczeństwa w Berlinie, zanim jeszcze doszło do niemieckiej agresji na Polskę. Bezpośrednio po aresztowaniach dokonywano masowych rozstrzeliwań, które czasem poprzedzało krótkie przesłuchanie. W wielu przypadkach rezygnowano nawet z tej formalności. Nie sposób dzisiaj ustalić dokładnej liczby pomordowanych w trakcie tych masowych egzekucji. Nie udało się także zlokalizować wszystkich masowych grobów. Po wojnie przeprowadzono zakrojoną na dużą skalę akcję ekshumacji zwłok w lasach panewnickich. W latach sześćdziesiątych Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce oszacowała liczbę ofiar na około 750 osób. Straty poniesione przez stronę niemiecką ocenia się na dziewięciu żołnierzy i sześciu bojówkarzy Freikorpsu. Ponadto dzień wcześniej Freikorps „Ebbinghaus” odnotował trzy ofiary śmiertelne w Katowicach.

Dysproporcja między liczbą polskich i niemieckich ofiar działań wojennych w Katowicach nie była we wrześniu 1939 roku przypadkiem osobnym. Na przykład w rejonie Poznania praktykowano podobne akcje. W Trzemesznie i Mogilnie, w Gnieźnie i Klecku zorganizowały się grupy polskich ochotników, które miały wypełnić próżnię powstałą po wycofaniu się z tych terenów Wojska Polskiego. 9 września 1939 roku dotarł tutaj niemiecki oddział graniczny Grenzabschnittskommando 2. 10 września naczelné dowództwo 4. Armii zwróciło mu uwagę na „konieczność dostatecznego zabezpieczenia większych miast na tym odcinku granicznym przed partyzantami”. Następnego dnia oddział wkroczył do Gniezna, nie natrafiając na opór. Mogilno zostało zdobyte dopiero „po stoczeniu walki z bandami partyzantów”.

Mimo że członkowie straży obywatelskich — zgodnie z prawem wojennym — podlegali wspólnemu dowództwu, nosili jawnie broń i nosili

oznalö kombatantów, wielu z nich zostało rozstrzelanych zaraz po wkroczeniu Grenzabschnittskommanda 2. Polskich cywilów zamordowanych w dniach 9 i 11 września w czterech położonych na wschód od Poznania miejscowościach było około 500. „Miejscowy opór stawiany przez bandy” - depeszę tej treści przekazał oddział graniczny Grenzabschnittskommando dowództwu armii — „własne straty: pięciu rannych”. Z kolei naczelne dowództwo 4. Armii wyraziło wdzięczność jednostce za to, że „przy zaangażowaniu wszystkich dowódców i oddziałów [...] zajęła ten prastary niemiecki kraj”.

Uf  
k  
h ■

**„Oczyszczanie przedpola:  
Żydzi, inteligencja, duchowni i szlachta”  
— „Aktion Tannenberg”**

20 października 1941 roku radca budowlany z Miejskiego Urzędu Budowlanego w Bydgoszczy Franz Froese zwrócił się listownie do szefa miejscowej placówki Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa SS-Sturmbannführera Karla-Heinza Ruxa z następującą, bądź co bądź niezwykle prośbą: „Zamierzam sporządzić kronikę Bydgoszczy i chciałbym przy tej okazji wymienić kilka danych i wydarzeń związanych z pracą Pańskiego Urzędu, oczywiście, jeśli tylko uzna Pan za stosowne, żeby te informacje zostały spisane w planowanej przeze mnie kronice”. Urzędnik natychmiast otrzymał szorstką odmowę. „Szef Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa z zasady nie życzy sobie publikacji na temat organów Policji Bezpieczeństwa — poinformował go Rux — z esesmańskim koleżeńskim pozdrowieniem i Fleil Hitler!”.

Froese nie dał się jednak zastraszyć. W ciągu następnych miesięcy pieczołowicie zbierał informacje dotyczące pierwszych jednostek policji i Wehrmachtu, jakie wkroczyły do Bydgoszczy we wrześniu 1939 roku. Początkowo badania urzędnika nie mogły ruszyć z miejsca. W marcu 1942 roku udało mu się jednak przybliżyć do celu. Wtedy też - znajdując

Uf  
k  
h ■



się już w stanie widocznego wyczerpania nerwowego — przedstawił się oficerowi śledczemu Horstowi Eichlerowi w Berlinie-Charlottenburgu jako „nieszczęsny wariat [...], który ma sporządzić kronikę miasta Bydgoszczy”. Natychmiast dodał także, uspokajając — „oczywiście nie chcę zamieszczać w kronice rzeczy, o których dyskutuje się za zamkniętymi drzwiami lub gdziekolwiek indziej jako o środkach nadzwyczajnych”.

Radca miał przed oczami wizję poszerzenia swojej kroniki o rozdział opisujący pierwsze dni i tygodnie po zajęciu miasta przez Niemców. O tym — jeśli w ogóle — mówiło się jedynie w tajemnicy. Jesienią 1939 roku Eichler pełnił służbę jako asesor radcy kryminalnego Jakoba Lölgena, który dowodził Einsatzkommando 16. „Likwidacja - taka adnotacja znajduje się w raporcie jednostki — może zostać przeprowadzona tylko w krótkim czasie. [...] W każdym razie, pomijając kwestię surowości zastosowanych środków, ostatecznie zgładzony zostanie tylko niewielki odsetek Polaków mieszkających w Prusach Zachodnich (około 20 000 osób)”. Niebagatelną rolę w realizacji tej misji odegrał Volksdeutscher Selbstschutz (zob. s. 169—172), który — jak wynika z meldunku jego dowódcy Ludolfa von Alvenslebena - już na początku października miał na swoim sumieniu życie ponad 4000 „byłych obywateli polskich”. Samo tylko Einsatzkommando 16 rozstrzelało w Bydgoszczy i okolicach przy czynnym wsparciu lokalnego Selbstschutzu od 22 września do 17 listopada łącznie 349 osób. „Polskiej inteligencji — jak donosi Lölgen — nie ma już w Bydgoszczy. Także w Nakle i w Fordonie akcja likwidacji polskiej inteligencji oraz kombatantów zrzeszonych w związku weteranów powstań narodowych została przeprowadzona do końca”.

Froese doskonale zdawał sobie sprawę z kontrowersyjności prowadzonych przez niego badań i zapewniał, że interesują go jedynie rozstrzeliwania przeprowadzone publicznie na terenie miasta. „Nie obchodzi mnie inne sprawy”. Wtedy Eichler podał mu kilka innych nazwisk. W ten sposób Froese natrafił na byłego dowódcę Einsatzkommando 1, wchodzącego w skład Einsatzgruppe IV. Komando przybyło do Bydgoszczy wraz z Wehrmachtem dwa dni po bydgoskiej „krwawej niedzieli” (zob. s. 145-149) jako jedna z pierwszych

jednostek Wehrmachtu. Natychmiast przystąpiono do rozstrzelania Polaków i Żydów, a liczba ofiar wkrótce sięgnęła setek istnień ludzkich.

SS-Sturmbannführer Helmuth Bischoff, który tymczasem awansował na szefa Oddziału Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa w Magdeburgu, nawet nie krył się ze swoim zachwytem na myśl o tym, że utrzymywane dotychczas w ścisłej tajemnicy poufne informacje o mordach dokonanych przez jego jednostkę na polskiej ludności cywilnej zostaną udostępnione późniejszym pokoleniom „Tysiącletniej Rzeszy”. Ochoczo przekazał Froesemu kopię swoich prywatnych notatek pod tytułem *Einsatzkommando im Polenfeldzug von SS-Sturmbannführer und Regierungsrat Bischoff* („Działania oddziału operacyjnego pod dowództwem SS-Sturmbannführera i radcy rządowego Bischoffa podczas kampanii w Polsce”).

Radca budowlany mógł teraz przystąpić do szczegółowej rekonstrukcji wydarzeń rozgrywających się w Bydgoszczy we wrześniu i październiku 1939 roku. Nie wiadomo, dlaczego ostatecznie nie doszło do spisania tej historii. Dopiero po upływie ćwierćwiecza projekt został dokończony przez polskich historyków Tadeusza Esmana i Włodzimierza Jastrzębskiego, którzy opublikowali wtedy materiały zebrane przez Froesego w ramach serii źródeł traktujących o historii miasta nakładem Bydgoskiego Towarzystwa Naukowego. Przedrukowane po polsku i po niemiecku dokumenty umożliwiają wgląd w niechlubne działania grup operacyjnych Policji Bezpieczeństwa i Selbstschutzu w Polsce. Szef sztabu generalnego Wehrmachtu Franz Flalder w notatce ze swojego dziennika, datowanej na 18 września 1939 roku, określił je lakonicznie: „oczyszczanie przedpola: Żydzi, inteligencja, kler i szlachta”.

Według Helmutha Bischoffa opisywane wydarzenia były „zrzędzeniem losu”. To los „wybrał właśnie jego oddział operacyjny [...], by jako pierwszy dotarł do tego fatalnego miasta, by jako pierwszy zobaczył niezliczone ofiary i mógł podjąć pierwsze akcje odwetowe”. Bischoff i jego ludzie mieli doznać „wewnętrznej przemiany, której rozmiary i następstwa przekraczały ich wszelkie wyobrażenia na temat swojej misji jeszcze tydzień przed realizacją powierzonego im zadania”. Gdy w nocy z 6 na 7 września nieznanymi sprawcami zastrzelili Funkcjonariusza

niemieckiej Policji Porządkowej oraz żołnierza Wehrmachtu, Bischoff i jego ludzie przysięgli „krwawą zemstę! Nasza decyzja, by definitywnie rozprawić się z tą holotą, była ostateczna”.

8 września Bischoff uzyskał od komendanta miasta z dowództwa 586. Obszaru Tyłowego Armii pełną swobodę działania w zakresie przeprowadzania masowych rozstrzeliwań ludności cywilnej bez wyroku sądu doraźnego pod płaszczykiem rzekomych egzekucji zakładników. Bischoff natychmiast przystąpił do dzieła. W osobie dowódcy 580. Obszaru Tyłowego niemieckiej 4. Armii SS-Brigadeführera i majora Waltera Braemera jeszcze tego samego dnia władzę wykonawczą na okupowanym terytorium przejął oficer Wehrmachtu podzielający przekonania Bischoffa. Swoje rządy Braemer rozpoczął od podsumowania pierwszych dni niemieckiej okupacji w Bydgoszczy: „W wyniku przeprowadzonych dotychczas przez poszczególne oddziały akcji oczyszczania rozstrzelano od 200 do 300 polskich cywilów. Informacja ta pochodzi z komendantury w Bydgoszczy. Nadburmistrz komisaryczny Kampe szacuje, że liczba rozstrzelanych wynosi co najmniej 400 osób. Nie sposób ustalić dokładnych liczb. Alce je zostały przeprowadzone przez policję, grupę operacyjną Służby Bezpieczeństwa oraz oddziały wojska”. W ramach wyznaczonej na 10 września — a więc dokładnie tydzień po bydgoskiej „krwawej niedzieli” — łapanki w robotniczej dzielnicy Szwederowo (Schwedenhöhe), oblawy, w której wzięły udział lokalne jednostki Wehrmachtu i policji, między innymi cała Einsatzgruppe IV, Braemer zarządził rozstrzelanie każdego, „kto zostanie przyłapany na noszeniu przy sobie broni lub innego narzędzia, które mogłoby zostać użyte do ataku”, albo „kto w jakikolwiek sposób będzie stawiał opór”.

Tuż przed przystąpieniem do akcji Bischoff wygłosił do ludzi ze swojego oddziału przemowę, w której wyjaśnił konieczność wzięcia pomsty za zbrodnie. „Wszyscy napotkani przez was Polacy płci męskiej mają zostać rozstrzelani, i nieważne, czy będą nosić przy sobie broń czy też nie”. Oświadczył ponadto, że nie może oficjalnie zarządzić takiego właśnie postępowania, gdyż nie zostało ono wyraźnie nakazane przez centralę w Berlinie. Niemniej jednak oczekuje od wszystkich podkomendnych, że udowodnią w trakcie oblawy, iż są „prawdziwymi mężczyznami”. Tym samym

dał swoim ludziom wolną rękę. Również on sam — wraz z innymi dowódcami oddziałów — otrzymał w połowie sierpnia pełną swobodę działania (zob. s. 61—62). Najwidoczniej liczył na to, że napięta atmosfera zrobi swoje. I rzeczywiście jego kalkulacje sprawdziły się, przynajmniej częściowo. Po wojnie jeden z członków oddziału operacyjnego zeznał, „że dla nas wszystkich było jasne, co Bischoff miał przez to na myśli. Chcieliśmy zatem rygorystycznie przeprowadzić tę akcję”. Do południa w niedzielę ludzie Bischoffa razem z funkcjonariuszami Policji Porządkowej i żołnierzami Wehrmachtu zabili w dzielnicy Szwederowo 50 do 60 Polaków. Jeden z członków Einsatzkommando 1/IV zastrzelił ze swojego pistoletu maszynowego starszego mężczyznę w jego łóżku, inny z kolei zabił jakiegoś polskiego cywila, strzelając do niego od tyłu na ulicy. Nieszczęśnika dobił członek 6. batalionu policji. Do wieczora liczba zamordowanych ofiar wzrosła do 120. Dalszych 120 do 150 Polaków, którzy zostali zatrzymani tego dnia poza granicami miasta, stracono w ciągu kolejnych dwóch dni, gdy porozumieli się między sobą w tej kwestii dowódca Einsatzgruppe IV Lothar Beutel i Braemer. Po wkroczeniu Wehrmachtu do Bydgoszczy po stronie niemieckiej zginęło tylko tych dwóch mężczyzn, których wymienił Bischoff.

*[8 września 1939]*

Po tym jak jeszcze tej samej nocy na prawie wszystkich ulicach Bydgoszczy, a zwłaszcza w pobliżu zajmowanego przez nas, otoczonego małym ogrodem budynku, nieznani sprawcy strzelali bez przerwy z ukrycia, udaliśmy się następnego dnia rano do ratusza, by wymóc na komendancie zgodę na zastosowanie energicznych i surowych środków odstrasżających. Niestety pierwszy komendant, energiczny generał von Gablentz, został przeniesiony wraz ze swoim oddziałem do innego rejonu. Zamiast niego zastaliśmy bezradnego, przebranego w mundur majora człowieka, który pełnił swoje obowiązki, jakby sprawował służbę w czasie pokoju. Ów jegomość był przerażony żądaniem, z którymi wystąpiła do niego Policja Bezpieczeństwa, a także dowódca Policji Porządkowej generał von Mülverstedt. Odpowiadając na nasze żądania publicznego rozstrzelania 50 zakładników, oświadczył, że każe rozstrzelać 10 zakładników,

i to dopiero w sytuacji, gdy ponownie otrzyma meldunek, iż kolejny niemiecki żołnierz został podstępnie zabity przez Polaków. Jeśli jednali my sami zechcemy wziąć na siebie odpowiedzialność za tego typu środki, to on nie będzie nam stawiał żadnych przeszkód; on sam nie może wziąć odpowiedzialności za tak ostrą interwencję. Ta wiadomość wystarczyła nam w zupełności. Po tym jak popatrzyliśmy sobie krótko i porozumiewawczo w oczy, pożegnaliśmy się z panem komendantem. Niezwłocznie przystąpiliśmy do przygotowania egzekucji zakładników oraz do przeprowadzenia ich selekcji spośród wszystkich internowanych według przynależności do klasy społecznej. Gdy Polacy mieli jeszcze czelność strzelać z położonego na rynku kościoła w samo południe, odbyły się wreszcie pierwsze rozstrzeliwania zakładników na oczach zgromadzonej na rynku publiczności. Wraz z pierwszymi zakładnikami stracono także wyciągnięte z kościoła osoby, które strzelały z dachu, a także proboszcza. Ten pobożny jegomość jeszcze dzień wcześniej zapewniał moich ludzi, że w kościele wszystko jest w porządku i że na plebanii nie ma żadnych obcych osób...

Gdy nastąpiła trzecia noc naszego pobytu w Bydgoszczy, a mogliśmy z pewnością liczyć się z nowymi nawałami ognia, sięgnęliśmy po metodę, która miała zapewnić naszym kwaterom bezpieczeństwo, a która zrodziła się z potrzeby chwili. Już w biały dzień o godzinie 5 po południu przed kwaterami naszych ludzi, przed wejściem do hotelu stało 14 zakładników, Żydów i Polaków. Sami zakładnicy i wszyscy przechodzący obok Polacy wiedzieli, że za każdy strzał oddany tej nocy na naszej ulicy, jeden z zakładników kopnie w kalendarz. Ponieważ nawet takie środki nie odstraszyły strzelających z ukrycia Polaków, przeznaczenie zatrzymanych zakładników wypełniło się.

Helmuth Bischoff, *Einsatzkommando im Polnizug (undat./Ende 1939)* / Oddział operacyjny w czasie kampanii w Polsce (niedat. / koniec 1939 r.), w; Klaus-Michael Mallmann, Jochen Böhrer, Jürgen Matthäus, *Einsatzgruppen in Polen. Darstellung und Dokumentation*, Darmstadt 2008, s. 125—126.

### Volksdeutscher Selbstschutz — organ terroru SS

Podczas gdy grupy operacyjne Policji Bezpieczeństwa sformowano, zanim doszło do niemieckiej agresji na Polskę, a każda z nich została przydzielona do jednej z wkraczających do tego kraju armii, w pierwszych dniach września w wielu miejscach na terenach zajętych przez Wehrmacht samorzutnie tworzyły się jednostki paramilitarne, których członkowie rekrutowali się spośród polskich Niemców. Mimo że esesmani z Rzeszy, którzy przybyli do Polski wraz z wkraczającymi oddziałami Wehrmachtu, brali niekiedy udział w tworzeniu tych jednostek, wydaje się mało prawdopodobne, by członkowie mniejszości niemieckiej organizowali się zgodnie z jakimś centralnym planem przygotowanym przez SS. Poza ochroną polskich Niemców przed atakami Polaków grupy te miały przejąć zadania policji, takie jak ochrona poszczególnych obiektów czy kierowanie ruchem drogowym do czasu utworzenia regularnych organów administracji. Często ich oddziały były wykorzystywane i uzbrajane przez komendantów lokalnych garnizonów Wehrmachtu, zdanych z powodu braku kadr na wsparcie niemieckojęzycznych cywilów.

Jednak już po upływie pierwszego tygodnia wojny postanowiono położyć kres prowizorycznemu charakterowi oddziałów pomocniczych. Na tajnej naradzie w głównej kwaterze Führera z udziałem najwyższych dowódców SS przewodniczący spotkaniu Himmler ogłosił decyzję Hidera w tej sprawie. Zgodnie z nią Heimwehry miały zostać sformalizowane, a także przekształcone w podlegające SS oddziały, które zapewniłyby ochronę mniejszości niemieckiej w Polsce. W tym celu miały zostać wyposażone w zdobyczną broń.

Samoobrona Obywateli Polskich Niemieckiego Pochodzenia (Volksdeutscher Selbstschutz) — tale brzmiała nazwa tej nowej, scentralizowanej organizacji, która bynajmniej nie odznaczyła się w nadchodzącym czasie jako gwarant spokoju i porządku. Jej zasadniczo radykalniejsze zadanie wyluszczył podczas odprawy w drugim tygodniu września późniejszy Gauleiter okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie Albert Forster, wtedy jeszcze szef zarządu cywilnego przy 3. Armii. Stwierdził, że podlegające mu jednostki paramilitarne -

do których zaliczał się wówczas również Selbstschutz — mają usunąć z zarządzanego obszaru „wszystkich niebezpiecznych Polaków, wszystkich Żydów i polskich duchownych”, tale aby można było zapobiec wybuchowi powstania.

Główną rolę w przekształceniu jednostek paramilitarnych grupujących członków mniejszości niemieckiej w organ terroru SS odegrał pierwszy adiutant Himmlera — Ludolf von Alvensleben. Pod jego egidą Selbstschutz energicznie przystąpił do pełnienia misji, którą określały dwa zadania. Po pierwsze, systematycznie rozrastał się do organizacji zrzeszającej wszystkich mężczyzn „zdalnych do służby w SS”. Po drugie, przeprowadzał „akcje odwetowe za wydarzenia określane mianem bydgoskiej «krwawej niedzieli», a także za wszystkie inne ekscesy, których mieli się dopuścić Polacy jeszcze przed wkroczeniem Wehrmachtu do Polski”. Odpowiednie instrukcje były przekazywane ustnie podczas odpraw i nie wolno ich było protokolować. Do końca roku 1939 szwadrony śmierci Selbstschutzu wraz z grupami operacyjnymi Policji Bezpieczeństwa zamordowały łącznie ponad 40 000 osób, z czego około 30 000 ofiar zginęło w okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie, 10 000 - w okręgu Rzeszy Kraj Warty, 1500 - na wschodnim Górnym Śląsku i 1000 — w rejencji ciechanowskiej. W Generalnym Gubernatorstwie dla okupowanych ziem polskich ofiarą egzekucji padło około 5000 osób. Poza tym do końca roku na zajętych obszarach Polski zamordowano co najmniej 7000 Żydów, a główną rolę odegrały wówczas jednostki Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa. Warto przy tym dodać, że dzięki masowe aresztowania i rozstrzelania na jesieni 1939 roku dotyczyły czasami przez pomyłkę taiciele przedstawicieli mniejszości niemieckiej, mimo że w pierwszych miesiącach okupacji niemieckie sądy i władze policyjne starały się ustalić ich miejsca pobytu.

Sąd Rejonowy

A.R. 70/40

Krone a.[n] cl.[er] Br.[alte] [Koronowo], 31 sierpnia 1940

Obecni:

Radca sądowy Warnecke

Prokuratura w Bydgoszczy, 4 września 1940

Sprawa karna przeciwko więźniowi Harry'emu S.

[-]

Data i miejsce urodzenia:

dzień, miesiąc i rok: 20.4.1910

gmina: Litzmannstadt [Łódź]

[•••]

Oskarżony na pytanie, czy chciałby odpowiedzieć na wniesione przeciw niemu oskarżenia, oświadczył:

Nie przypominam sobie nazwiska małżeństwa Jaworskich. Być może znam ich osobiście. Mimo to nie jestem w stanie złożyć dokładniejszych wyjaśnień, gdyż nie podano mi ich rysopisu. Gdyby przedstawiono mi jakieś zdjęcie lub jakiś bliższy opis, być może mógłbym złożyć takie wyjaśnienia. Do Łobżenicy zostałem oddelegowany przez Selbstschutz. Dowoziliśmy wtedy Żydów do zarekwirowanego przez SS Idasztoru w Górcie. Poza tym w klasztorze więziono także duchownych katolickich. Byłem dowódcą strażników Selbstschutzu. Przebywający w klasztorze duchowni i Żydzi zostali rozstrzelani w listopadzie 1939 roku. Żydów rozstrzelano na terenie klasztoru w Górcie, a duchownych stracono w Nakle. W tej grupie było około 30 Żydów z żonami i dziećmi oraz około 60 duchownych. Spośród Żydów [...] osobiście zastrzeliłem około pięciu ludzi, w tym także kobiety. Nie mogę podać dokładnej liczby. Rozstrzeliwania przeprowadziłem przy użyciu pistoletu 08. Ludzie przeznaczeni do rozstrzelania musieli ustawić się przed odpowiednią liczbą uzbrojonych członków Selbstschutzu. Zabiliśmy ich, oddając strzał w potylicę. Przy tej okazji rozstrzelaliśmy jeszcze dwóch Polaków. Nie potrafię sobie dokładnie przypomnieć, ilu było Polaków. Do egzekucji doszło na rozkaz SS-Obersturmführera Luppriana z Nakła. W każdym razie burmistrz Seehafer poinformował mnie w Łobżenicy, że to Lupprian wydał taki rozkaz. Nie miałem żadnych wątpliwości, że rozkaz rzeczywiście został wydany. Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na fakt, że zawsze najpierw przesyłaliśmy listy z rozstrzelanymi Lupprianowi do Nakła. Listy te zawierały



ich dane osobowe i ich wykroczenia. Lupprian zagroził nam, że nie zostaniemy przyjęci do struktur partii, jeśli nie będziemy stosować się do jego rozkazów. I rzeczywiście kupiec Walter Fechner z Łobżenicy został wykluczony z Selbstschutzu za odmówienie wykonania rozkazu.

W październiku 1939 roku rozstrzelano 22 ludzi. Byli to Polacy, w tym dwie kobiety o nazwisku Konrad i jeszcze jedna ze wsi Liszkowo. Te 22 osoby zostały rozstrzelane przez esesmanów przy użyciu lekkich karabinów maszynowych. Ja sam też chciałem zastrzelić jedną z nich, ale mój pistolet odmówił posłuszeństwa, a Polakowi udało się uciec. Cała akcja została zarządzona przez powiatowego dowódcę Selbstschutzu Köpenicka. Znowu sporządziliśmy listy z nazwiskami ofiar przekazane następnie Köpenickowi. Na podstawie tych list zarządzono następnie rozstrzelanie tych osób. Wszyscy straceni wtedy ludzie przebywali wcześniej w więzieniu sądowym w Łobżenicy. Pani Konrad została aresztowana z polecenia burmistrza Seehafera w Łobżenicy i przewieziona do więzienia sądowego. Seehafer wypuścił ją na wolność, by następnie znowu kazać ją aresztować, ponieważ pozwoliła sobie na niewybredne wypowiedzi na temat Führera, a wcześniej podburzała okoliczną ludność przeciwko Niemcom.

Nic mi o tym nie wiadomo, by wśród rozstrzelanych znajdowało się także małżeństwo Jaworskich. Jestem przekonany, że Jaworskich nie było w grupie rozstrzelanych przez nas osób. Pochodząca z Liszkowa kobieta, która została wtedy stracona, była podobno niezamężną dziewczyną.

Odczytane, zatwierdzone i podpisane

Harry S.

*Strafsache gegen den Strafgefangenen Harry S.*, Bundesarchiv Berlin, R 137-1/3 („Sprawa karna przeciwko więźniowi Harry’emu S.”, Archiwum Federalne w Berlinie, R 137-1/3).

### Obsesja na punkcie polskich partyzantów

Apel Hitlera do najwyższych dowódców Wehrmachtu z 22 sierpnia 1939 roku, by ci w trakcie zbliżającej się wojny przeciwko Polsce zdobyli się na „jak największą surowość” (zob. s. 74—76), bynajmniej nie natrafił na mur milczenia i sprzeciwu, jak to starali się wmówić przyszłym pokoleniom w swoich wspomnieniach niektórzy generałowie Wehrmachtu po 1945 roku. Hitler jako najwyższy dowódca Wehrmachtu wymógł na swojej generalicji, że ta będzie bezwzględnie postępować względem Polaków. Również żołnierze Wehrmachtu byli szczegółowo instruowani przez swoich przełożonych, jak mają się zachowywać wobec mieszkańców okupowanego kraju. 26 sierpnia oficer wywiadu 208. Dywizji Piechoty odpowiedzialny za rozpoznanie wroga zanotował następujące słowa: „Stosownie do swego podstępного charakteru słowiańskiego Polacy będą próbowali wyrządzić wrogowi szkodę poprzez [...] akty sabotażu. Wojnie partyzanckiej będą w wielu [przypadkach] przewodzili duchowni, którzy znani są ze swej fanatycznej nienawiści do Niemców. [...] Działalności buntowniczej należy się spodziewać także w szerszych kręgach ludności. Ludność należy traktować surowo [...],wrazie konieczności należy interweniować z bezwzględnością”. Taicie dowódca 7. Dywizji Piechoty uważał, że polska ludność jest „usposobiona fanatycznie, podburzona przeciwko Niemcom i zdolna do sabotażu oraz napadów; należy liczyć się z różnymi działaniami podjazdowymi”. Podejrzani wydali mu się zwłaszcza „pozostający na tyłach niemieckiej armii żołnierze polscy w cywilu [...], a także katoliccy duchowni, inteligenci i ćwierćinteligenci”. W naczelnym dowództwie 8. Armii odnotowano 24 sierpnia, że nie należy ufać Polakom i Żydom zamieszkującym na okupowanych terytoriach. Należy ich wszystkich postrzegać jako wrogów i traktować w odpowiedni sposób. Takie zalecenia były zgodne z opinią zaprezentowaną dwa miesiące wcześniej w dokumencie *Merkblatt über Eigenarten der polnischen Kriegsführung* („Instrukcja dotycząca polskiego

sposobu prowadzenia wojny”) przez naczelne dowództwo niemieckiej armii, iż Polacy są „fanatycznie podburzeni” i gotowi do podjęcia aktów sabotażu. „Uprzejme traktowanie wkrótce zostanie zinterpretowane jako słabos'ć. Przywódcą narodowej nagonki jest — ogólnie rzecz biorąc — katolickie duchowieństwo [...]. Liczni Żydzi postrzegają Niemców jako swych osobistych wrogów, dla pieniędzy są zdolni do wszystkiego”. W pewnym sensie ze względów profilaktycznych naczelne dowództwo armii zarządziło aresztowanie na okupowanych terenach wszystkich mężczyzn zdolnych do służby wojskowej od lat 17 do 45.

W zaleceniach wydawanych na wszystkich szczeblach hierarchii wojska niemieckiego w przededniu wybuchu II wojny światowej przejawiała się niebezpieczna mieszanka ideologiczna, złożona ze starych uprzedzeń względem Słowian i Żydów, z dodatkiem słusznej porcji resentymentu w stosunku do państwa, z którym toczono zacięte walki graniczne tuż po klęsce wojennej w 1918 roku. Poza tym w okresie międzywojennym w niemieckich kręgach wojskowych krążył slogan mówiący o Polsce jako o „państwie sezonowym”, bez żadnych racji istnienia. Podczas wojny z Polską te uprzedzenia względem jej mieszkańców fatalnie wpłynęły na zachowanie walczących w tym kraju oddziałów wojska niemieckiego.

W sierpniu położona w odległości około 30 kilometrów od granicy z III Rzeszą Częstochowa, licząca wówczas 138 000 mieszkańców, przygotowywała się na ewentualność wybuchu wojny. Już w czasie I wojny światowej Częstochowa była miastem frontowym. Gdy wskutek rosnącej dynamiki wojny propagandowej w lecie 1939 roku coraz wyraźniej zarysowywał się konflikt militarny między Rzeczpospolitą a Rzeszą, z miasta ewakuowano na wschód kobiety i dzieci. Przystąpiono do prac związanych z przygotowaniem okopów przeciwlotniczych, a osobom pozostającym w mieście rozdawano maski przeciwgazowe. Jednak nikt jeszcze nie przypuszczał, jak straszne oblicze ukaże „wojna totalna” już w pierwszych dniach.

"We wczesnych godzinach porannych 1 września 1939 roku niemieckie oddziały lądowe przekroczyły granicę z Polską na północy i na południu. Polski plan obrony, nieuwzględniający ataku Związku Sowieckiego

na wschodzie, przewidywał obronę centralnej Polski do czasu spodziewanej interwencji militarnej Brytyjczyków i Francuzów na zachodniej granicy III Rzeszy. Jednakże samo wypowiedzenie wojny przez aliantów, które nastąpiło 3 września, nie mogło już pohamować impetu niemieckiej ofensywy. W obliczu przewagi wojsk niemieckich odpowiadające za obronę Częstochowy jednostki 7. Dywizji Piechoty wycofały się z miasta już 2 września. Wraz z polskimi oddziałami miasto opuściła także większa część męskiej populacji, która udała się na wschód. Tymczasem ludzie pozostający na miejscu z niepokojem wyczekiwali momentu wkroczenia wojsk niemieckich.

Niemieccy żołnierze 42. Pułku Piechoty mający zgodnie z planem zająć miasto 3 września pokonali pieszo w ciągu pierwszych trzech dni wojny dobre sto kilometrów w drodze z Opoła do Częstochowy. Brali udział w forsownych marszach — „z odsłoniętym sprzętem, w straszliwym upale; trzeba by to przeżyć na własnej skórze” - taki komentarz zamieścił wtedy jeden z żołnierzy pułku w swoim prywatnym dzienniku wojennym. 2 września w IV Korpusie Armijnym zwracano uwagę w kontekście planowanego zajęcia Częstochowy, że trzeba uwzględnić zwłaszcza fakt, iż miasto wraz z przedmieściami jest [...] w gruncie rzeczy miastem robotniczym”. Dlatego też w Częstochowie „należy stworzyć szczególnie ośrodek władzy”.

Po południu tego samego dnia 2. batalion 42. Pułku Piechoty doniósł z położonego nieopodal Częstochowy Dźbowa, iż w owej miejscowości „najprawdopodobniej jest pełno partyzantów”. Po początkowym okresie spokoju, gdy saperzy przystąpili już do rozbijania terenu, miało dojść do strzelaniny, wkraczające zaś kompanie poniosły straty wskutek eksplozji polskich min talerzowych. We wczesnych godzinach porannych 3 września dowódcy batalionów odbyli naradę dotyczącą ataku na Częstochowę. Poczyniono wówczas następujące ustalenia: „podział najbardziej wysuniętych jednostek jak w przypadku niepokojów wewnętrznych, saperzy wyposażeni w miotacze ognia”. Niespełna trzy godziny później decyzja ta fatalnie zaważyła na losach miejscowości Ostrowa: „8.00 [...] saperzy zostali ostrzelani z domów, nie udało się jednak zlokalizować strzelających.

W trakcie przeszukiwania u pięciu cywili w kieszeniach znaleziono amunicję. Natychmiast ich rozstrzelano. Gdy ponownie doszło do strzelaniny, część miejscowości na wschód od rzeki spalono”.

Błędne wyobrażenie, że na terenach okupowanych niemieccy żołnierze wszędzie są narażeni na ataki wrogo do nich nastawionej ludności cywilnej, było fatalnym następstwem instrukcji wydawanych jeszcze przed agresją na Polskę. Obawy te, w połączeniu z uprzedzeniami względem Słowian i Żydów kołatającymi się w głowach młodych żołnierzy frontowych, wywołały obserwowaną w pierwszych dniach września 1939 roku u wszystkich jednostek Wehrmachtu obsesję na punkcie polskich partyzantów. Rzeczywistą przyczyną niekontrolowanej strzelaniny były nerwowe strzały padające głównie nocą lub podczas odpoczynku.

Niezaprawiony w boju oddział za przyczynę tego *friendly fire* zawsze uznawał działania miejscowej ludności cywilnej. W rzeczywistości jednak Wehrmacht walczył wtedy nie z jakimś realnym wrogiem, lecz z chimera. Późnym latem 1939 roku ruch partyzancki, w który zaangażowana byłaby polska ludność cywilna, jeszcze nie powstał. Na istniejące jedynie w fantazji niemieckich żołnierzy działania partyzantów odpowiedziano rozstrzelaniami tysięcy polskich i żydowskich cywilów.

Wczesnym przedpołudniem 3 września do opuszczonej przez oddziały Wojska Polskiego Częstochowy wkroczyły pierwsze jednostki niemieckiego 42. Pułku Piechoty, nie natrafiając na żaden liczący się opór miejscowej ludności. Zgodnie z wpisem w dzienniku działań bojowych sztab pułku dotarł do centrum miasta o godzinie 12, nie doznając po drodze najmniejszego uszczerbku, i rozlokował się w ratuszu. „12.30 [...] Żołnierze oddziału są w wyśmienitym nastroju. Mimo trudów i znojów ostatnich dni [...] cieszą się ze swojego «zwycięstwa». [...] Ludność cywilna jest spokojna” — czytamy we wspomnianym dzienniku. Także w ciągu dnia pozostała w Częstochowie ludność cywilna nie przysparzała Niemcom żadnych problemów. 1. batalion 42. Pułku Piechoty rozlokował się w mieście, podczas gdy pozostałe jednostki ruszyły około 18.30 dalej na wschód. Wieczorem następnego dnia do sztabu pułku, którego kwatera znajdowała się wówczas około 20 kilometrów na wschód od Częstochowy,

dotarły jednak niepokojące raporty z miasta. Według tych doniesień, 4 września około południa miało dojść jednocześnie do dwóch ataków ogniowych ze strony polskich partyzantów na niemiecki oddział. Czyżby mieszkańcy — którzy początkowo pokojowo podchodzili do intruzów — zdecydowali się jednak na przeprowadzenie skoncentrowanej akcji i rzeczywiście uderzyli w kilku miejscach?

Takie wrażenie mogli przynajmniej odnieść stacjonujący w Częstochowie żołnierze Wehrmachtu. W latach osiemdziesiątych wypytywano byłych członków 42. Pułku Piechoty przede wszystkim o rzekomy atak na stacjonującą w budynku Szkoły Handlowej 2. kompanię. Ci twierdzili zgodnie, iż około południa 4 września, gdy rozlokowani na szkolnym dziedzińcu żołnierze kompanii odłożyli broń i czekali na wydanie posiłku, rozpoczęła się dzika strzelanina. Według zeznań złożonych przez większość naocznych świadków kompania została ostrzelana z budynków położonych naprzeciwko szkoły. Co znamienne, żaden spośród składających zeznania świadków nie był w stanie opisać domniemanych sprawców. „W całym tym zamieszaniu nie można było stwierdzić, czy napastnikami byli żołnierze, partyzanci czy cywile” — powiedział jeden ze świadków Alfred H., który w swej opinii bynajmniej nie był odosobniony. Wśród żołnierzy wybuchła panika. „Aby się osłonić, pobiegliśmy po naszą broń, i pamiętam, jakby to było dziś, że szef kompanii porucznik G. krzyczał do nas: «strzelajcie, strzelajcie, strzelajcie!»” — tak wspomina te wydarzenia Johann D. Inny żołnierz, Hans L., zeznał do protokołu: „Nasza kompania była całkowicie zaskoczona nagłym atakiem. W rezultacie na początku wywiązało się straszne zamieszanie”.

Gdy po raz pierwszy przerwano ostrzał, jednostki 1. batalionu niezwłocznie przystąpiły do rewizji mieszkań. Po wojnie nikt z zaangażowanych w akcję przeszukiwania okolicznych domów nie mógł — na podstawie własnego doświadczenia - donieść o odkryciu broni w którymś z rewidowanych mieszkań. Jak mówią zgodnie świadkowie, przeszukiwania przebiegały bezowocnie: „W tych domach nie natrafiliśmy jednak na żadne podejrzane osoby. Nie znaleźliśmy też żadnej broni. W mieszkaniach były kobiety i dzieci, a także kilku bardzo starych mężczyzn,

których zostawiliśmy w spokoju”. Znamienne jest natomiast podsumowanie przeprowadzone przez Hansa M.: „4 września 1939 roku nie widziałem w Częstochowie żadnych partyzantów. Moja jednostka również nie przyłapała żadnych partyzantów. Ja i moi towarzysze widzieliśmy tylko naszych własnych zabitych”.

### „Krwawy poniedziałek” w Częstochowie

Wrażenia z forsownego posuwania się naprzód przez obszary, na których zgodnie z przekonaniem operujących tam niemieckich jednostek — grasowali partyzanci, przyczyniły się do rozchwiania emocjonalnego żołnierzyki. Tuż po zajęciach w Częstochowie urzędy wojskowe i policyjne skrytykowały nerwowość żołnierzy uwikłanych w strzelaninę. Jedną z grup operacyjnych Policji Bezpieczeństwa przesłano do Berlina depechę, w której czytamy: „Nawet jeśli prawdą jest, iż niemieckie oddziały zostały zaatakowane przez cywilów, to ostatecznie nie sposób ustalić, kto do kogo strzelał”. Natomiast weterynarz 14. Pułku Piechoty stwierdził lapidarnie: „Walki uliczne w mieście, dzikie strzelaniny, panika, komendantura zawiodła na całej linii”, a lekarz IV Korpusu Armijnego zanotował w swoim dzienniku wojennym następujące informacje, które odnoszą się do wczesnych godzin wieczornych 4 września: „Bezsensowna strzelanina w samym środku miasta. Dowódcy poszczególnych kolumn próbują wstrzymać ogień. Udaje im się to po około półgodzinie. Jedną obserwacją: amunicja smugowa na ścianach domów sprawia wrażenie, jakby strzelano z olden. Uformowani w kolumny żołnierze stają się coraz bardziej podenerwowani”. Wspomniany lekarz był 4 i 5 września w Częstochowie i wiedział, co mówi. Jakiś oznajmił swojemu koledze w rozmowie telefonicznej, że strzelaniny nie mają nic wspólnego z atakami uzbrojonej ludności cywilnej. „Połączenie telefoniczne z lekarzem 46. Dywizji. [...] Twierdzi, że w Częstochowie ma miejsce wojna z bandami [...]. Został uspokojony”.

Stacjonujący w Częstochowie żołnierze niemieckiego 42. Pułku Piechoty widzieli to zgoła inaczej. Niezależnie od faktu, że w trakcie przeprowadzania rewizji okolicznych domów nie znaleziono żadnej broni, siłą wywiekli z domów i spędzili na pobliski rynek całą ludność cywilną. W marcu 1985 roku świadek Fritz S. zeznał do protokołu: „Wydano rozkaz, by wszyscy cywile położyli się na ulicy z twarzą do ziemi. Poza tym mieliśmy rozkaz, by strzelać do wszystkiego, co się poruszy. Ten rozkaz przekazano nam ustnie”. Wśród prawie 30 000 żydowskich mieszkańców na rynku znajdowała się wówczas taicie Helena Szpilman, która — zeznając po wojnie przed Żydowską Komisją Historyczną — zdała relację dotyczącą spędzenia mieszkańców na plac przed katedrą: „Już 4 września 1939 roku Niemcy w [mundurach] Wehrmachtu chodzili po podwórkach i wołali: *«Alles heraus»*. Chodzili również po mieszkaniach; grozili zastrzeleniem osobom, które nie wyjdą. Wszyscy musieliśmy iść pod ich konwojem z rękoma podniesionymi do góry. Szli Polacy i Żydzi. Zaprowadzili nas na plac Magnacki. Było tam zebranych kilka tysięcy osób, mężczyzn, kobiet, i dzieci. Cały plac otoczony wojskiem niemieckim. Niemcy trzymali karabiny w rękę gotowe do strzału. Najpierw oddzielili :■ mężczyzn od kobiet i dzieci. Następnie szczegółowo zrewidowali mężczyzn Żydów i Polaków. Gdy znaleźli u kogoś żyłkę, brzytwę lub nożyk kieszonkowy, odprowadzili do pobliskiego rowu przeciwlotniczego i natychmiast zastrzelili”.

Z oficjalnego raportu dowódcy 1. batalionu 42. Dywizji Piechoty wynika, że rozstrzeliwania Polaków i Żydów przeprowadzone na terenie miasta 4 września 1939 roku pochłonęły życie trzech kobiet i 96 mężczyzn i że należy je potraktować jako akcje odwetowe za wcześniejsze strzelaniny o niejasnej motywacji. W toku zarządzanej przez niemieckiego starostę ekshumacji zwłok wiosną 1940 roku w różnych miejscach na terenie miasta wydobyto szczątki łącznie 227 mężczyzn, kobiet i dzieci. Natomiast straty poniesione przez stronę niemiecką zostały oszacowane na 14 rannych i ośmiu zabitych żołnierzy.

Przełożeni 42. Pułku Piechoty zdali sobie wkrótce sprawę z faktu, iż ludność cywilna Polski w żadnym razie nie sięgnęła po broń, by walczyć



przeciwko wkraczającym oddziałom Wehrmachtu. Dwa dni po masakrze <urządzonej w Częstochowie w IV Korpusie Armijnym kroki podjęte do- tej pory na całym obszarze operacyjnym podsumowano w następujący. ■ sposób: „W przypadku działających na tyłach armii niedoświadczonych żołnierzy i ich dowódców istnieje realne niebezpieczeństwo wybuchu ‘psychozy na punkcie partyzantów’”. Wkrótce po tym głównodowodzący 10. Armii generał artylerii von Reichenau zarządził w swoim piśmie skierowanym do generałów podległych mu korpusów armijnych, co; następuje: „Należy położyć kres spowodowanej strzelaninami nerwowo-,, ści żołnierzy oddziałów działających na tyłach armii. Odosobnione przyC. padki rzeczywistych wrogich kroków nie mogą doprowadzić do sytuacji, w której cały oddział z byle powodu wszczyna niekontrolowaną strzecz- ninę. Palenie domów w ramach akcji odwetowych jest zabronione”.

Tymczasem generał broni Fedor von Bock, głównodowodzący Grupy / Armii „Północ”, wydał zgola odmienne zarządzenie w tej sprawie: „Jeśli ; w jakiejś wsi znajdującej się na tyłach frontu padną strzały i uda się usta-; lić, z którego domu strzelano, należy spalić całą wieś — jeśli tylko dana; miejscowość nie służy jako miejsce zakwaterowania oddziału”. Pewien- , niemiecki starszy szeregowy pisał tego samego dnia do ojczyzny: „Wojna jest ciężka i jest prowadzona przez Polaków przy użyciu najpodlejszych środków. Sami zostaliśmy ostrzelani przez partyzantów i doszliśmy osta- tecznie do wniosku, iż nasza wielkoduszność jest za duża. [...] Wkrótce skończy się regularna wojna z oddziałami polskiej armii. Jednak walki z bandami mogą jeszcze potrwać i nie będą ani mniej krwawe, ani mniej- okrutne, gdyż często ich ofiarą będą padły kobiety i dzieci”.

We wrześniu 1939 roku światowa opinia publiczna nie miała pojęcia o masowych rozstrzelaniach, jakich Wehrmacht dopuszczał się w Pol- sce. Gdy 5 września szef biura Associated Press w Berlinie Louis P. Loch- ner za namową niemieckiego ministra propagandy przyleciał bombow- cem z wizytą do Częstochowy, nie natrafił już na żadne ślady dokonanych zbrodni. I tak Lochner zrelacjonował tylko, że słynna „Czarna Madon- na” — wbrew doniesieniom prasy — nie ucierpiała wskutek zajęcia miasta, przez wojska Wehrmachtu. „Tym samym definitywnie rozprawilem się

z najgorszym, angielskim, przede wszystkim zaś z polskim zbrodniczym lgarstwem” — zanotował wtedy Goebbels w swoim dzienniku. Kalka dni później minister propagandy napisał: „Najwyższe dowództwo Wehrmachtu wydaje ostre oświadczenie przeciwko wojnie partyzanckiej. Użyjemy wszelkich środków, by zdławić tę wojnę”.

### Mit o „polskich partyzantach”

We wrześniu 1939 roku nie było żadnej „wojny partyzanckiej” prowadzonej przez polską ludność cywilną przeciwko wkraczającym oddziałom Wehrmachtu. Jeśli porównamy potok doniesień, które napływały do sztabów poszczególnych niemieckich oddziałów już od pierwszych godzin wojny, z liczbą rzeczywiście schwytanych partyzantów dającą się zrekonstruować na podstawie sporządzonych wówczas niemieckich akt śledczych, to uzyskamy zaskakujący bilans. Gdyby niemieckie raporty rozpoznawcze wroga odpowiadały pod tym względem rzeczywistej sytuacji, to we wrześniu '1939 roku właściwie tysiące polskich cywilów musiałyby z bronią w ręku przenosić się z miejsca na miejsce. Tymczasem w aktach władz wojskowych i policyjnych nie figuruje żadne nazwisko choćby jednego „partyzanta”, którego przyłapano by na gorącym uczynku. Wyjątek stanowią „oddziały powstańców”, które wzięły udział w obronie Górnego Śląska, między innymi walcząc z niemieckimi formacjami paramilitarnymi i organizacjami dywersyjnymi (takimi jak Freikorps „Ebbinghaus”) o Katowice. Te sformowane w ramach Wojska Polskiego jednostki skupiające byłych powstańców śląskich nie wycofały się z boju nawet wtedy, gdy polskie dowództwo wojskowe w znacznym stopniu zrezygnowało już z obrony tych terenów (zob. s. 149-162).

Najwidoczniej Wehrmacht nie przywiązywał większej wagi do przeprowadzenia dowodów. Nawet jeśli domniemyanych partyzantów nie likwidowano na miejscu, lecz stawiano przed sądem, to przedstawiane świadectwa często nie stanowiły dostatecznej

podstawy do orzeczenia wyroku skazującego. Trudno dostarczyć „dowody świadczące o zaangażowaniu w działalność partyzancką” - takie stanowisko zajął sąd wojenny przy XVII Korpusie Armijnym 7 września. „W swym podenerwowaniu żołnierze oddziału nie są w stanie poczynić niezbędnych ustaleń na miejscu wydarzenia. Brakuje danych o tym, czy w ogóle stwierdzono u kogoś posiadanie broni, a jeśli tak, to u kogo, czy dany dom zrewidowano w poszukiwaniu broni, a jeśli tak, to z jakim skutkiem”. Tego samego dnia Grupa Armii „Południe” poinformowała telegraficznie 14., -10. i 8. Armię, że do sztabu napływają wprawdzie codziennie raporty donoszące o „aktach terroru polskich powstańców przeciwko członkom Wehrmachtu”, jednak nie można przekazywać tych informacji, ponieważ brak jest „odnośnych meldunków zaatakowanych oddziałów”.

Jednak po dogłębniejszym zbadaniu takich przypadków szybko ulatniały się podejrzania względem polskich cywilów. W tym samym czasie na tyłach frontu działały także grupy operacyjne Tajnej Policji Polowej (Geheime Feldpolizei). Ich zadanie polegało na badaniu zgłaszanych przypadków aktywności partyzanckiej. I tak na przykład funkcjonariusze Policji Polowej sprawdzali informacje o znalezieniu broni, wypytyjąc świadków oraz biorąc udział w operacjach zwiadowczych. W pierwszym tygodniu września dowództwo 14. Armii doniosło funkcjonariuszom Policji Polowej o nocnym ataku partyzantów w Bielsku (Wapienica), w którego wyniku między „insurgentami” a żołnierzami miała się wywiązać wymiana ognia. Natychmiast wszczęto śledztwo, które wykazało, że awanturujący się żołnierze podpalili w miejscowości jeden z domów, co z kolei wywołało panikę wśród mieszkańców. Także działającym na zlecenie naczelnych dowódców 10. i 8. Armii grupom operacyjnym 520. i 545. Tajnej Policji Polowej nie udało się ujawnić żadnych istotnych faktów, które potwierdziłyby zaangażowanie polskiej ludności cywilnej w działalność partyzancką. Obie formacje przeprowadziły we wrześniu 1939 roku odpowiednie, zakrojone na wielką skalę śledztwo, które również nie przyniosło żadnych rezultatów. Ustalenia poczynione przez

niemiecką 30. Dywizję Piechoty pozwoliły stwierdzić z perspektywy czasu, iż „często na kwaterach dochodziło - zwłaszcza po zapadnięciu zmroku - do dzikich strzelanin. [...] Za ich przyczynę należy uznać nerwowość żołnierzy naszych własnych oddziałów. Zaraz po wydaniu rozkazu dotyczącego rozładowania broni strzelaniny szybko ustawały. W żadnym z takich przypadków nie stwierdzono, że strzelającymi byli mieszkańcy”.

Ostrzeżenia przed polskimi organizacjami terrorystycznymi, takie jak na przykład instrukcje przekazane tuż po ataku III Rzeszy na Polskę przez dowództwo 8. Armii podległym oddziałom, były zupełnie bezpodstawne i miały na celu zwiększenie gotowości żołnierzy do stosowania brutalnej przemocy względem cywilów. Także podane do wiadomości wszystkich armii oświadczenie dowództwa Wehrmachtu z 3 września 1939 roku, *Erklärung für den ausländischen Nachrichtendienst* („Oświadczenie dla zagranicznej prasy”), w którym informowano żołnierzy niemieckich, że „polska ludność cywilna para się działalnością partyzancką” i „w wielu miejscach bierze udział w akcjach bojowych z bronią w ręku”, nie przystawało do rzeczywistości. Niewątpliwie pouczenie zachęciło jednak żołnierzy do podejmowania drastycznych środków w rejonach operacyjnych ich oddziałów.

Wprawdzie jednostki partyzanckie odegrały w okresie niemieckiej okupacji kraju podczas II wojny światowej znaczącą rolę, niemniej jednak do uformowania się pierwszych takich grup doszło dopiero w zimie na przełomie 1939 i 1940 roku, a ich szeregi zasilił początkowo żołnierz rozproszonego Wojska Polskiego. Tak więc przejście od regularnych oddziałów wojska do nieregularnych jednostek partyzanckich rzeczywiście miało miejsce, tyle tylko, że nastąpiło po dłuższym czasie od ustania działań bojowych. Pierwszym polskim partyzantem z czasów II wojny światowej, który uzyskał status ikony narodowej, był Henryk „Hubal” Dobrzański. „Hubal” nie był cywilem, lecz oficerem Wojska Polskiego, a działalność dywersyjną podjął wraz ze swoimi ludźmi dopiero w październiku 1939 roku.

### „Jedno wielkie ludobójstwo” — Torzeniec i Wyszanów

Kilka miesięcy po zakończeniu II wojny światowej powołano do życia Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce (dzisiejszy Instytut Pamięci Narodowej). Siedziba Komisji znajdowała się w Warszawie, a jej okręgowe oddziały były rozlokowane na terenie całego kraju. W ciągu kolejnych lat pracujący w Komisji prokuratorzy wysłuchiwali zeznań tysięcy naocznych świadków z miast i wsi na temat zbrodni popełnionych przez Niemców podczas okupacji. Na tej podstawie sporządzono dość schematyczne protokoły, które pozostawiły jednak wiele pytań bez odpowiedzi. Nie wyjaśniono zwłaszcza wielu spraw, które być może nie mają większego znaczenia dla prawnika, lecz historykowi mogą się wydać nader interesujące.

Fakt, że obecnie wiemy znacznie więcej o kulisach dokonanych zbrodni, zawdzięczamy przede wszystkim Karolowi Marianowi Pospieszalskiemu. Pospieszalski przyszedł na świat w 1909 roku w Bremie jako potomek mieszanej rodziny polsko-niemieckiej. W 1927 roku ukończył gimnazjum w Poznaniu. Po studiach w latach trzydziestych pracował na stanowisku asesora sądowego, a także przez osiem miesięcy jako stypendysta studiował na wydziale prawa uniwersytetu w Paryżu. W 1937 roku został mianowany sędzią w Sądzie Okręgowym w Tczewie. W chwili wybuchu wojny Pospieszalski powrócił do Poznania, następnie — pod koniec 1939 roku — wraz z rodzicami został wysiedlony do Generalnego Gubernatorstwa, gdzie przyłączył się do działającej w podziemiu organizacji Ojczyzna. Po wojnie Pospieszalski był jednym z głównych inicjatorów utworzenia Instytutu Zachodniego w Poznaniu, w którym do dziś są prowadzone badania dotyczące spraw niemieckich i europejskich. W ramach Instytutu Pospieszalski przejął kierownictwo nad działem Okupacja Hitlerowska. Jak wynika z niedawno udostępnionych akt polskich tajnych służb, Pospieszalski był inwigilowany i represjonowany już od roku 1947. Mimo to odmówił nawiązania współpracy z bezpieczeństwem.

Na krótko przed śmiercią w 2005 roku Pospieszalski otrzymał honorowe obywatelstwo miasta Poznania. Setna rocznica jego urodzin przypadała 11 września 2009 roku.

Od połowy lat pięćdziesiątych Pospieszalski i inni pracownicy Instytutu Zachodniego podróżowali po całym kraju — nierzadko autobusami dalekobieżnymi i z referencjami pracodawcy w kieszeni - wypytując naczynych świadków i lokalnych notabli o ich wspomnienia związane ze zbrodniami popełnionymi przez Niemców we wrześniu 1939 roku. Ponieważ podczas tych rozmów (mimo że sam Pospieszalski działał także jako prokurator w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich) pytania zadawali tym razem nie prokuratorzy, lecz historycy, zeznania okazały się bardziej szczegółowe, sami zaś świadkowie swobodniej udzielali odpowiedzi; sytuacja, w której się znaleźli, wydała im się mniej oficjalna. W kwietniu 1955 roku Pospieszalski przeprowadzał jedno z takich śledztw w Torzeńcu i Wyszanowie. Dzięki zestawieniu rezultatów własnej pracy z aktami sporządzonymi przez operujące w tym rejonie jednostki Wehrmachtu oraz z wynikami postępowań toczących się przed niemieckimi sądami po wojnie Pospieszalskiemu udało się na konkretnym przykładzie zrekonstruowanych wydarzeń w Torzeńcu i Wyszanowie narysować zbliżony do prawdy obraz rozstrzeliwań i podpaleń, których dopuścili się niemieccy żołnierze w Polsce w 1939 roku.

Torzeniec jest niewielką wsią-ulicówką niedaleko Prosnego, rzeki, która w przeszłości stanowiła naturalną granicę między zaborami pruskim i rosyjskim. Miejscowość jest położona nieopodal Kępna i Ostrzeszowa, małych miast przyłączonych po I wojnie światowej do Polski. Na początku wojny w 1939 roku Torzeniec znalazł się w rejonie operacyjnym 8. Armii, a więc w pewnym sensie w samym centrum jednego z obszarów, z których nadchodziły meldunki o „partyzantach”; doniesienia o „insurgentach” zdominowały niemieckie raporty wojenne z pierwszych dni kampanii.

1 września we wsi nie toczyły się żadne działania bojowe. W nocy z 1 na 2 września rozlokowali się w niej żołnierze 4. Pułku Piechoty. Zraz potem rozwój wydarzeń nabrał tempa. Z zapisków w dzienniku działań bojowych jednostki wynika, że około północy w wiosce nagle rozpetęła się

strzelanina, w którą mieli być zaangażowani w mniejszym lub większym zakresie *wszyscy miejscowi mężczyźni*, ponadto ustalono ponad wszelką wątpliwość, że w walkach sporadycznie brały udział także kobiety”. Strzelano rzekomo z domów, ogrodów i pobliskich lasów. Zupełnie wyczerpani żołnierze niemieccy nie mogli się uspokoić, a ich dowódcom z wielkim trudem udało się zapobiec wybuchowi paniki. Żołnierze stacjonującego w pobliżu 10. Pułku Artylerii również byli przekonani, że w Torzeńcu toczą się walki z partyzantami. Odnotowali ponadto strzały z polskich karabinów maszynowych, które miały dochodzić nie z samej miejscowości, lecz znad Proсны. Po ustaniu strzelaniny po stronie niemieckiej doliczono się trzech ofiar śmiertelnych i czterech ciężko rannych.

Tymczasem naocznym świadkom, których Pospieszalski wypytywał o nocne zajście w Torzeńcu, nic nie było wiadomo o zaplanowanej rzekomo akcji mieszkańców. Także scenariusz wydarzeń opisany w oficjalnym dzienniku działań bojowych pułku wykazuje w kilku punktach pewne nieścisłości. Zgodnie z tą wersją udział w strzelaninie mieli wziąć wszyscy mieszkańcy Torzeńca. Trzeba jednak pamiętać, że chodzi o sytuację, w której — ze zrozumiałych względów — „nie można było odróżnić wroga od przyjaciela”. W dzienniku nie ma mowy o znalezieniu broni ani tym bardziej o cywilach, którzy zostaliby ujęci z karabinem lub granatem w rękę. Dopiero później zidentyfikowano domniemanego sprawcę całego zajścia; okazała się nim „osoba cywilna”. Nasuwa się zatem wniosek, że stronie niemieckiej zależało na tym, by za wszelką cenę wskazać winnych nocnego incydentu w Torzeńcu. Straty poniesione wówczas przez niemiecki pułk okazały się zaskakująco niewielkie, tym bardziej że według oficjalnej wersji wydarzeń żołnierze niemieccy byli wyczerpani, a w rzekomo zaplanowanej akcji dywersyjnej mieli wziąć udział wszyscy mieszkańcy wsi. Jednak straty poniesione przez Niemców były zbyt duże, by za ich przyczynę można uznać brak doświadczenia, nerwowość czy przypadkowe, wzajemne ostrzeliwanie się żołnierzy

Prawie trzydzieści lat po niemieckiej agresji na Polskę do Centrali Badań Zbrodni Nazistowskich w Ludwigsburgu dotarł list Ferdinanda D., w którym autor sformułował ciężkie zarzuty pod adresem własnej jednostki:

„Działania 4L Pułku Piechoty pod dowództwem wtedy j'eszcze pułkownika Gollwitzera, obecnie generała w stanie spoczynku zamieszkałego w Ambergu, były jednym wielkim ludobójstwem. Mimo że w Polsce nie było jeszcze wtedy żadnych partyzantów, nie oszczędzono prawie żadnej miejscowości na odcinku od Kalisza do Warszawy, ponieważ Gollwitzer wywoływał i podsyczał u swoich podkomendnych «psychozę na punkcie partyzantów»”.

Na podstawie dokumentów zgromadzonych przez Centralę w Ludwigsburgu oraz zapisków w dzienniku działań bojowych 4l. Pułku Piechoty można nakreślić plastyczny obraz masowych egzekucji, które przeprowadzono — na rozkaz i pod kontrolą pułkownika Gollwitzera — o świcie 2 września 1939 roku w Torzeńcu jako odwet na mieszkańcach wsi. Ze źródeł tych wynika, że w bezpośredniej reakcji na nocne zajście „dowódca pułku zdecydował się na przeprowadzenie radykalnej czystki w ramach akcji odwetowej”. Wszystkich mieszkańców, łącznie z kobietami i dziećmi, zebrano w północno-wschodniej części wsi. Sąd doraźny skazał mężczyzn na śmierć, a wyrok został wykonany zaraz potem na co drugim spośród nich. Jednocześnie „spłonęło kilka domów”. Wyrok sądu polowego zachował się w pełnym brzmieniu w aktach oddziału Archiwum Federalnego w Ludwigsburgu. Na uwagę zasługuje fakt, iż w uzasadnieniu nie ma żadnej wzmianki o cywilu, który według dziennika działań bojowych 4l. Pułku Piechoty miał sprowokować strzelanie. Ponieważ w toku procesu nie udało się ustalić, kto wziął bezpośredni udział w strzelaniu, uwzględniono zeznania tylko świadków oskarżających wszystkich mieszkańców, bez podawania bliższych danych. Należy jednocześnie przyjąć, iż świadkami, których nazwisk nawet nie wymieniono w aktach, byli niemieccy żołnierze stacjonujący w Torzeńcu. Wywody sądu wojennego kończyła lista 17 rozstrzelanych w odwecie mieszkańców wsi. Egzekucję grupy mężczyzn z Torzeńca poświadczają ponad wszelką wątpliwość również zeznania polskich naocznych świadków tamtych wydarzeń, z tą jednak różnicą, iż według nich ofiar było 18.

Odpowiadając na zarzuty sformułowane przez Ferdinanda **D.**, w 1969 roku prokuratura w Ambergu wszczęła postępowanie przeciwko



Friedrichowi Gollwitzerowi. Po dogłębnej analizie zajścia stwierdzono, że wymierzenie mężczyznom z Torzeńca kary śmierci pozostawało w rażącej sprzeczności z obowiązującym wówczas prawem międzynarodowym. Obwinionym nie dano bowiem możliwości złożenia wyjaśnień przed ogłoszeniem wyroku w ich sprawie. Gollwitzer sam wyznaczył się przewodniczącym sądu wojennego, mimo że zgodnie z prawem sądowi powinno przewodniczyć trzech niezależnych sędziów. Skazani później podsądni, których „schwymano dopiero podczas posiedzenia «sądu» [...], nie zostali wysłuchani ani dopuszczeni do ostatniego słowa”. Nie zapewniono im także obrońcy. Wyrok nie był zatem „orzeczeniem sądowym, lecz stanowił autorytatywną decyzję zwierzchnika, podjętą z pominięciem procedur formalnoprawnych, a tym samym nie dawał podstaw do pozbawienia życia 17 polskich cywilów”. W związku z tym orzeczono, iż w rozważanym przypadku nie można uznać za konieczne zastosowania tak bezwzględnych środków przemocy. Mimo to nie udało się wykazać, że Gollwitzera do popełnienia zarzucanego mu czynu skłoniła „nienaturalna radość płynąca z niszczenia ludzkiego życia”. Ponadto „ataki niebiorących udziału w wojnie cywilów miały na celu zadanie strat agresorowi i powstrzymanie, a przynajmniej opóźnienie, jego dalszej ofensywy”. Z tego też powodu nie można udowodnić Gollwitzerowi popełnienia morderstwa. Tym samym w znacznym stopniu podtrzymano wówczas argumentację operujących w Polsce we wrześniu 1939 roku oddziałów Wehrmachtu, które podejmowane przez siebie działania odwetowe usprawiedliwiali rzecką aktywnością polskich partyzantów i — podobnie jak trzydzieści lat później Sąd Okręgowy w Ambergu — nie uznały za konieczne prowadzenia dalszych śledztw na miejscu zbrodni. Postępowanie przeciwko Gollwitzerowi umorzono.

W dzienniku działań bojowych pułku egzekucję przeprowadzoną ranDEM 2 września usprawiedliwiano tym, że podjęte środki miały podzielać odstrasżająco na otoczenie i „ustrzec oddział przed kolejnymi atakami tego typu nie tylko podczas jego wymarszu z miejsca zakwaterowania, lecz także w ciągu następnych dni, gdyż wieść o egzekucji dla przykładu błyskawicznie rozeszła się po okolicy”. Mimo to najwidoczniej

nie odniosło to przewidywanego skutku, skoro jeszcze tego samego dnia w rejonie operacyjnym pułku odnotowano ataki partyzantów i ponownie zarządzone działania odwetowe. „Ledwo co pierwsza część pułku opuściła Węglewice, a już z wielu domów padły strzały w kierunku pozostałych żołnierzy, zwłaszcza w stronę artylerii. W rezultacie cała wieś została ostrzelana z moździerzy i spalona”. Jeśli za przyczynę atakowania pułku uzna się nie tyle udział polskiej ludności w walkach, ile raczej rozpowszechnione wśród żołnierzy jednostki urojenie, to trudno się dziwić takiemu obrotowi sprawy.

Wkraczając 1 września po południu do leżącego nad Prosną i sąsiadującego z Torzeńcem Wyszana, wojska niemieckie również nie natknęły się na żadne zwarte jednostki Wojska Polskiego. Jedynie od czasu do czasu przez wieś przechodzili żołnierze z rozproszonych polskich oddziałów. Rankiem 2 września Niemcy wywieźli z Wyszana ostatnich zdolnych do walki mężczyzn, którzy pozostawali jeszcze we wsi. Do południa panował spokój. Wtedy jednak do Wyszana wkroczyły nowe jednostki niemieckiej armii. Także na ten temat Pospieszalski wypytywał naocznych świadków ówczesnych wydarzeń w 1955 roku. „Jeden z przybyłych żołnierzy zwrócił się do żołnierza (nie wiem, czy był oficerem) stajonującego w moim domu z zapytaniem, czy tu jest wojsko polskie, gdyż na nich strzelają. Ów żołnierz odpowiedział, że tu wojska polskiego nie ma. Żołnierze ustawili się za narożnikami budynków i strzelali jeden do drugiego”. Gdy część miejscowości stanęła w płomieniach, Niemcy wyprowadzili z domów kobiety i dzieci i zapędzili je do miejscowej karczmy.

2 września niemieccy żołnierze obrócili w perzynę połowę wsi. Tego dnia niektórzy mieszkańcy Wyszana szukali schronienia w piwnicach domów. Jedną z takich osób była Stanisława Woś: „Okolo południa 2 września [...] rozpoczął się nagle wielki ruch. Niemcy zaczęli strzelać i po kolei podpalali poszczególne gospodarstwa. Moja teściowa, szwagierka, moje dzieci i ja schroniliśmy się do piwnicy w domu Szyszków [...]. W piwnicy było razem 21 osób, w tym osiem kobiet i trzynaścioro dzieci. Dzieci ciągle płakały, co z zewnątrz na pewno było słychać. W pewnej chwili wpadł do piwnicy granat, a wkrótce potem drugi i trzeci. Czy

wpadały jeszcze dalsze granaty, nie wiem, gdyż straciłam przytomność. Odzyskałam przytomność dopiero wieczorem [...]. Tego samego dnia wieczorem odwieziono mnie, Kanicką i Stępniakową do szpitala w Kępnie. W piwnicy zginęły wszystkie tam znajdujące się osoby z wyjątkiem trzech”.

Dysponując jedynie zeznaniami złożonymi po wojnie przez polskich naocznych świadków, nie da się z całą pewnością ustalić, które jednostki niemieckie spaliły 2 września 1939 roku Wyszanów i kto wrzucił granat do piwnicy w domu Szyszków. Mimo to można zidentyfikować oddział odpowiedzialny za spalenie wsi, gdyż sam pozostawił jednoznaczny dowód własnej zbrodni. Wydarzenia w Wyszanowie opisał w swoim raporcie *Brückenschlag und Häuserkampf in Ostrówek* („Zniszczenie mostu i walki w budynku w Ostrówku”) sierżant Simmet, dowódca pododdziału 3- kompanii zmotoryzowanej 10. batalionu saperów z Ingolstadt.

„3. kompania do samochodów!” — rozkazał donośnym głosem jadący w pierwszym samochodzie dowódca. [...] Słysząc warkot ciężarówek. Nasza masywna kolumna powoli przetacza się przez to nieszczęsne miejsce. Buchające płomienie liżą domy niespokojnymi, upiornymi jęczorami — są jednym wielkim ostrzeżeniem przeciwko wyszanowskiemu mordercom czyhającym w oknach i zasadzkach. Te typy spod ciemnej gwiazdy myślały, że zdołają powstrzymać nas, saperów, w naszym zwycięskim pochodzie. Nie wiedzieli, że jesteśmy tu po to, by usuwać przeszkody. Nie znali naszego hasła: „szybko i bezwzględnie”. Prawo międzynarodowe przewiduje dla partyzantów tylko jedną karę — karę śmierci. I bardzo dobrze. Nawet ich pogrzebaliśmy, wprawdzie nie po chrześcijańsku, bo każdego w osobnym krematorium! Zmusili nas do walki, ale to my ustalamy reguły, zapisując je krwawymi zgłoskami!

Federalne Archiwum Wojskowe we Fryburgu Bryzgowijskim,  
RH 12-5/339.

Przesłuchiwany w tej sprawie w 1955 roku świadek Franciszek Sikora stanowczo zapewnił, że „w Wyszanowie nikt do wojska niemieckiego nie strzelał. Nie zginął tu ani też pod Wyszanowem żaden żołnierz

niemiecki”. O poległych lub rannych nie doniósł żaden z operujących wówczas na tym obszarze oddziałów ani też żadne nadrzędne względem nich formacje wojska niemieckiego. Jeszcze tego samego dnia po południu 3. kompania zmotoryzowana 10. batalionu saperów wyruszyła w dalszą drogę. Nocą obok zniszczonego mostu w leżącym 10 kilometrów nas wschód od Wyszanowa Ostrówku żołnierze zbudowali przeprawę przez Strugę Węgiewską. Także tę miejscowość spalono z powodu rzekomych ataków partyzantów. Sierżant Simmet skomentował: „Z dachu dochodzi terkot pistoletu maszynowego jednego z partyzantów. Ale i na to znajdzie się lekarstwo! Otoczyliśmy tę norę, wyważyliśmy drzwi kolbami karabinów, odbezpieczyliśmy granaty i złamaliśmy opór ukrywających się w niej partyzantów. Z płonących stert słomy i żarzących się dachów domów biła ciepła poświata. Nasz wróg — tam, gdzie to w ogóle było jeszcze możliwe — rzucił się tchórzliwie do ucieczki! Oto polski sposób prowadzenia wojny!”.

Ale zapomniałem opowiedzieć, że - gdy nadjechały motocykle z tymi lufami [...], usłyszałem tylko rozkaz: „*Hände hoch!*”. Ale nie zrozumiałem. Wtedy ktoś ze starszych osób powiedział „Ręce do góry!”. Unieśliśmy więc ręce i wykonaliśmy taki gest, by krzyczący w naszą stronę mężczyzna przekonał się na własne oczy, że nasze ręce, te lewe i te prawe, są czyste. Po chwili opuściliśmy je. Wtedy ten facet krzyknął jeszcze raz: „*Hände hoch!*”. A my znowu musieliśmy je tak trzymać i pokazywać. Gdy wszyscy ci Niemcy odwrócili się i odjechali, szkolni koledzy zaczęli mówić między sobą: „Widzisz, [...] jacy oni są; przyjechali z tak daleka, by sprawdzić, czy my — uczniowie — mamy czyste ręce”. [...] Tale, przerażeni, mama bała się, a my poszliśmy przez pola do Torzeńca, gdzie mieszkali dziadkowie. [...] Powiedzieli, że tutaj — wTorzeńcu — nikt nie zagląda do pobliskiego lasu. Nie ma tu żadnych utwardzonych dróg, są tylko wiejskie drogi polne. [...] Wszyscy ujęci podczas pacyfikacji w Białej Nodze ludzie zostali zapędzeni przed budynek, gdzie znajdował się sztab. O piątej z Wyszanowa i Nowego Pana wyruszył drugi oddział liczący około

30 do 40 żołnierzy, którzy spędzili wszystkich mieszkańców w środku wsi. Potem oficer mówiący po polsku odczytał rozkaz: „Za stawianie oporu cała ludność zostanie rozstrzelana”. Rozpoczęły się przetargi, którym przewodzili pan Brylak, pani Wójcik i Weronika Wójcik z domu Pietrzyk. Wtedy oficer powiedział: „Sztab udaje się na nara-dę”. Wtedy też dokonano wyboru i wybrano do rozstrzelania 18 męż-czyzn, pozostało tylko czterech. To znaczy co drugi... wyglądało to w następujący sposób... nie wiem, jak powinienem to wyrazić... co piąty, czy jakoś tak, nieprawda? Wtedy popędzono wszystkie kobie-ty i dzieci na podwórze pod drugi mur. Tu miały miejsce egzekucje, w ten sposób wszyscy mieszkańcy, matki, dzieci widzieli, jak strzelano do ich ojców, braci. Do każdego jednego strzelało dwóch żołnierzy, jeden z nich stał, drugi kłęczał. Rozkaz wydał oficer, który mówił po polsku. Miał przy sobie mały kij, różgę i krzyknął: „Ognia!”. Wtedy strzelili pierwszy... ten na kłęczkach i inni. Po tym, jak oddali strzał, wszyscy przewrócili się na ziemię. Wtedy przyprowadzono następ-nych dziewięciu i zrobiono z nimi to samo. Ten oficer wziął później pistolet i zastrzelił wszystkich, którzy się jeszcze ruszali. Po wykona-niu egzekucji wybrano jeszcze dwóch młodych, 14-letnich chłopców i tych czterech, którzy nie zostali rozstrzelani, i kazano im wykopać kwadratowy rów za chlewem. I w tym kwadratowym rowie ułożono warstwami [zabitych]. Łącznie powstały trzy warstwy ciał. A ludność cywilną popędzono na łąkę przed dom, w którym znajdował się sztab, gdzie pilnowali ją strażnicy.

Wywiad Radia Północnoniemieckiego (Norddeutscher Rundfunk)  
z Jackiem Maklesem, Warszawa, 18 lutego 2008.

Posuwając się naprzód, żołnierze 41. Pułku Piechoty także obchodzili się brutalnie z cywilami. 10 września na rozkaz komendanta Gollwitze-ra zajęli się „oczyszczaniem miejscowości [Słomków], które zajęło dużo czasu”. Wcześniej słyhać było „walki partyzantów”. Trzy dni później jeden z żołnierzy pułku pisał o kolejnej „akcji oczyszczania” w okolicy Pludwin. „Zewsząd wyciągamy polskich cywilów i żołnierzy. Gdy akcja

dobiega końca, cała wieś płonie. Nikt nie pozostał przy życiu, zastrzeliliśmy też wszystkie psy. F. potrzebuje na jednego mężczyznę sześciu sztuk amunicji”.

W pierwszych tygodniach września 1939 roku „obsesję na punkcie partyzantów” oznaczającą przekonanie, że szerokie masy ludności polskiej powstaną przeciwko niemieckim oddziałom, można było zaobserwować nie tylko w rejonie operacyjnym 4L i 42. Pułku Piechoty. We wszystkich pięciu wkraczających do Polski armiach niemieckich podległe jednostki codziennie składały odpowiednie meldunki. Zdarzali się przy tym żołnierze, którzy przyczyny strzelanin i akcji odwetowych doszukiwali się raczej w braku doświadczenia własnego oddziału, a nie zrzucali odpowiedzialności na miejscową ludność. Zachowały się dokumenty poświadczające, że podobne głosy krytyki pojawiły się także w odniesieniu do wydarzeń, które miały miejsce w Torzeńcu i Wyszanowie. Według dziennika działań bojowych 24. Dywizji Piechoty 2 września w Grabowie wkraczające do miejscowości oddziały niemieckie zostały ostrzelane rzekomo z piwnic, okien i dachów przez partyzantów. W latach pięćdziesiątych pewien naoczny świadek tany tych zdarzeń wypowiedział się w następujący sposób: „«Partyzanci» to pomyłka. Niedoświadczeni [żołnierze] uznali dochodzący z Prosnego huk wystrzałów z polskich pistoletów i karabinów maszynowych za wystrzały w miejscowości. Bylem jednym z pierwszych w Grabowie [...] i swego czasu wyjaśniłem już tę pomyłkę”. Podporucznik Hans Weicker ze 102. Pułku Piechoty pisał wieczorem 2 września w swoim dzienniku wojennym: „Huk strzałów właśnie przeszył wieś [Bukownice], Być może jakimś posterunkowemu puściły nerwy, strzelano po drugiej stronie w 12. [kompanii]. [...] To był napad na dwa z naszych samochodów [*sic*], towarzyszyło temu dużo huku wystrzałów i krzyku. Teraz przeszukują domy, i niczego nie mogą znaleźć”. Ze stacjonującego nieopodal 85. Pułku Piechoty doniesiono tego samego dnia: „Wszyscy strzelają jak w amoku na oślep. Oficerowie usiłują uspokoić żołnierzy, którzy w swej ślepej nerwowości zagrażają sobie wzajemnie, i zmusić ich do wstrzymania ognia”.

Komendant poszedł ze mną do wioski. Tu panuje istny zamęt — wszyscy wołają do nas. Jakaś stodoła stoi w płomieniach, a nad nami unosi się czerwono-żółta poświata. Major musi podjąć energiczne działania, by powstrzymać grupkę bojaźliwych mężczyzn siedzących w kucki przy murze cmentarza przed otwarciem ognia w naszą stronę. W kościele mają być partyzanci, którzy podobno wcześniej strzelali. Witte łapie jakiegoś polskiego chłopca i trzymając go jedną ręką, a w drugiej pistolet, przeszukuje teraz kościół. Ja idę z odbezpieczonym pistoletem w ręce tuż za nim. Chłopca trzęsie się [ze strachu] i krzyczy po polsku: „Nie strzelać. Jeśli ktoś jest w środku, to na pewno wyjdzie”. Nie ma nikogo. Z poczuciem ulgi wychodzimy z kościoła, gdzie w ciemnych zakamarkach straszą nasze latarki.

Na zewnątrz na dziedzińcu leży umierający" podoficer. Jęczy w agonii. Nagle znowu słychać huk. Nie wiadomo, skąd dochodzi. Naraz wywiązuje się dzika strzelanina, kule i rykoszety sypią się gradem przy murze i w powietrzu. To straszne. Nagle ktoś krzyczy po drugiej stronie. Gdy tam idę, widzę leżącego w trawie przy płocie — jest już całkiem blady. Nikt z nas nie wiedział, kto do nas strzelał. Do lulku domów wrzucono granaty. Jakiś żołnierz z raną postrzałową brzucha leży na skrzyżowaniu dróg. Po piętnastu minutach on też umiera. Straty batalionu to dwóch zabitych i dwóch ciężko rannych. Zostali pogrzebani następnego dnia o poranku. Oficerowie sztabu spali na klepisku w stodole. Ja spałem dobrze, miałem głęboki sen i nie słyszałem już żadnych nerwowych strzałów, które miały paść jeszcze tej samej nocy.

Dziennik wojenny podporucznika Hansa Weickera  
*Mit dem Infanterieregiment 102 im Polenfeldzug* („Na wojnie  
polskiej ze 102. Pułkiem Piechoty”), notatka z 4 września 1939 roku,  
Federalne Archiwum Wojskowe we Fryburgu Bryzgowijskim,  
Msg 1/ 1631.

## Masowe egzekucje na jeńcach wojennych

Podczas kampanii polskiej we wrześniu 1939 roku Wehrmacht traktował ze szczególną bezwzględnością nie tylko ludność cywilną. Także jeńcy wojenni padli ofiarą okrucieństw dokonywanych przez niemieckich żołnierzy. Podobnie jak w przypadku podejrzewanych o działalność partyzancką cywilów, także sposób postępowania względem polskich jeńców wojennych nie został określony w żadnych stosownych zarządzeniach dowództwa Wehrmachtu przed wybuchem wojny. Zazwyczaj złe obchodzenie się z jeńcami miało więc charakter samorzutny — następowało w rezultacie eskalacji wydarzeń na miejscu, ta zaś mogła mieć różne przyczyny.

Ogólna nieufność zwróciła się przede wszystkim przeciwko polskim żołnierzom, których bynajmniej nie postrzegano jako równych przeciwników. Niemieckim oddziałom wydawało się, że do Słowian i Żydów należy odnosić się z największą ostrożnością, co wynikało z rzekomo najniższych cech charakteru tych grup etnicznych, przede wszystkim zaś z przypisywanej im skłonności do podstępu. Jeśli dany żołnierz polski działał z ukrycia, wykorzystując jako osłonę domy, drzewa lub zarośla, to nie uznawano tego za przykład „honorowej” walki. W niemieckich dziennikach wojennych, w listach przesyłanych pocztą polową i w rozkazach określano wrogów — stosownie do przypisywanej im powszechnie taktyki — jako „strzelających zza drzewa”, „strzelających z zarośli”, „strzelających z dachów” czy „strzelających z piwnicy”. W niemieckim żargonie wojskowym z okresu kampanii wrześniowej owe epitety oznaczały tyle samo co „partyzanci”. Kto walczył w taki sposób, ten musiał swoją „niehonorowość” przyplacić życiem.

Ta pokrętna i niedorzeczna zarazem interpretacja prawa wojennego znalazła jednak potwierdzenie w oficjalnych stanowiskach wyższych rangą dowódców wojskowych. I tak na przykład 12 września 1939 roku pułkownik przy sztabie generalnym Eduard Wagner wydał „zarządzenie



o posiadaniu broni”, zgodnie z którym na obszarach okupowanych — położonych na zachód od Sanu i środkowej Wisły oraz na północ od Narwi — posiadanie jakiegokolwiek broni miało podlegać karze. Podjęta wówczas decyzja została uzasadniona faktem, że ziemie te „nie są już obszarem prowadzenia działań bojowych”. Jednak na wymienionych terenach - wskutek szybkich postępów niemieckiej ofensywy - za linią frontu pozostawały tysiące żołnierzy polskich, którzy na mocy wyżej -wymienionego zarządzenia zostali uznani za partyzantów. Był to środek podjęty przez sztab generalny na życzenie samego Hitlera.

We wrześniu 1939 roku doszło do kilku przypadków zmasakrowania polskich żołnierzy jednego z batalionów 7. Dywizji Piechoty, gdy tylko dostali się oni do niemieckiej niewoli. Najwidoczniej chodziło o akt zemsty za stawiany wcześniej opór. W sierpniu 1950 roku do polskiego konsulatu w Monachium wpłynął anonimowy list będący najprawdopodobniej fragmentem prywatnego dziennika wojennego niemieckiego żołnierza. Pismo zawiera opis egzekucji polskich jeńców pod Ciepiewem dokonanej 8 września przez 11. kompanię 15. Pułku Piechoty Zmotoryzowanej wchodzącego w skład 29. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej. Egzekucję polskich jeńców poprzedziły zażarte walki w pobliskim lesie, w których od strzału w głowę zginął niemiecki kapitan.

Byliśmy wtedy w lesie pod Ciepiewem, nieopodal Zwolenia. Naprzód wysunęła się 11. kompania naszego batalionu. My podążaliśmy za nią. Usłyszałem strzały z karabinów maszynowych. Ostrzelano przód. Padł rozkaz: Zsiadać! Obleciał mnie strach. Wcale tego nie chciałem — nie jest jednak dobrze być odważnym, gdy nawet nie wiadomo, po co. Nerwowość, rozkazy, łańcuch strzelców (*Schützenkette*). [...] Poszedłem z innymi [i] nie zobaczyłem żadnych Polaków. Strzelec z karabinem maszynowym na ramieniu strzelał jak oszalały. W powietrzu świstały rykoszety. Świst przeleciał tuż obok mojego prawego ucha. Wtedy jako pierwszy odwrócił się kapitan von Lewiński. Dostał kulą w głowę, strzelano z góry. A więc strzelali z drzew. Podziwiałem odwagę tych partyzantów. Jednego z nich udało nam się

zlokalizować. Sanitariusz zestrzelił go pistoletem z drzewa. [...] Godzinę później wszyscy zebrali się na drodze. Kompania straciła 14 ludzi, w tym kapitana von Lewińskiego. Dowódca pułku pułkownik Wessel (z Kassel), z monoklem w oku, szaleje ze złości: „Co za bezczelność z ich strony, że chcieli nas zatrzymać i zabili mojego Lewińskiego”. Żołnierze się dla niego nie liczyli wcale. Stwierdził, że mamy do czynienia z partyzantami, mimo iż każdy z 300 wziętych do niewoli Polaków miał na sobie mundur. Kazano im zdjąć bluzy. Np, teraz rzeczywiście wyglądali na partyzantów. [...] Pięć minut później usłyszałem serię z tuzina karabinów maszynowych. Pobiegnęłam w tamtą stronę i zobaczyłam [...] 300 zastrzelonych polskich jeńców leżących w przydrożnym rowie. Zaryzykowałam zrobienie dwóch zdjęć.

Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie, DS 15/67

Pod koniec lat sześćdziesiątych Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce przesłała Centrali Badań Zbrodni Narodowosocjalistycznych w Ludwigsburgu zdjęcia z masakry pod Ciepiewem, dołączone do anonimowego listu z 1950 roku. Jednak przesłuchanie byłych żołnierzy 15. Pułku Piechoty Zmotoryzowanej nie wniosło do sprawy nic nowego. 10 stycznia 1971 roku wydano postanowienie o umorzeniu postępowania. W uzasadnieniu tej decyzji stwierdzono, że: „w starciu w lesie pod Ciepiewem [...] po stronie niemieckiej zginęło trzynastu żołnierzy (w tym kapitan von Lewiński), a po stronie polskiej dwustu pięćdziesięciu”. Umyślnie zignorowano rażącą dysproporcję między stratami poniesionymi przez obie strony. Jednocześnie widoczne na zdjęciach zwłoki polskich żołnierzy uznano za ciała „poległych w walce”.

Mimo że poświadczono przypadki wykroczeń przeciwko polskim jeńcom wojennym we wrześniu 1939 roku przybierały różnorodne formy, a ich przebieg czasem pozostaje niewyjaśniony — wszystkie ekscesy tego typu wykazują pewien wzorzec: bariera psychiczna określająca stopień podatności na stosowanie przemocy była w przypadku niemieckich oficerów i ich podwładnych walczących we wrześniu 1939 roku w Polsce bardzo niska. Z powodu bardzo słabego udokumentowania większości

z tych zajęć stosunkowo niewiele można powiedzieć na temat motywacji uwikłanych w ekscesy niemieckich żołnierzy. Jednak i w tym wypadku pewną rolę odegrały czynniki podobne do tych, które można stwierdzić w odniesieniu do wykroczeń przeciwko cywilom. Niedostateczne przygotowanie, brak doświadczenia, nerwowość prowadziły do przesadnie gwałtownych reakcji. Styl walki nieprzyjaciela był postrzegany — jak choćby podczas strzelaniny w lesie pod Ciepiewem - jako „niehonorowy”, a rozstrzeliwania poddających się żołnierzy Wojska Polskiego jawiły się niemieckim oddziałom jako usprawiedliwiona reakcja. Zebrane przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce zeznania świadków potwierdzają, iż w żadnym razie nie chodziło o pojedyncze ekscesy, lecz o pewne zjawisko, które występowało masowo na obszarach operacyjnych Wehrmachtu w Polsce we wrześniu 1939 roku.

### **Warszawa w ogniu**

We wczesnych godzinach porannych 1 września 1939 roku z lotnisk znajdujących się w pobliżu granicy z Polską wystartowały niemieckie bombowce, obierając kurs na sąsiedni kraj. Pierwsze bomby Luftwaffe zrzuciła na położony blisko Wrocławia Wieluń (zob. s. 125-128). Jednak Wieluń bynajmniej nie był pod tym względem odosobnionym przypadkiem. Podczas kampanii w Polsce w 1939 roku Luftwaffe zniszczyła — częściowo lub doszczętnie — ponad 150 polskich miast i mniejszych miejscowości.

Operacja pod kryptonimem „Wasserkante” (Pobrzeże), a więc plan przypuszczenia zmasowanego ataku lotniczego na Warszawę, przewidywała, że Luftwaffe już pierwszego dnia wojny zbombarduje centra przemysłowe i zaopatrzeniowe stolicy Polski. Jednak warunki pogodowe były wówczas niekorzystne. Ponadto zaistniała pilna potrzeba użycia jednostek Luftwaffe w innych rejonach operacyjnych. Dlatego też trzeba było przesunąć datę generalnego ataku, zadowalając się tymczasem sporadycznymi

nalotami, które pochłonęły jednak wiele ofiar cywilnych. 10 września bombardowania Warszawy gwałtownie przybrały na sile. To właśnie tego dnia stolica Polski — jako pierwsze spośród europejskich dużych miast — doświadczyła okropności systematycznego terronu bombowego. „Krwawa niedziela. 17 nalotów, z czego popołudniowy trwał przeszło dwie godziny. Z pasją i zaciętością znęcali się lotnicy niemieccy nad okolicami mostów. Praga stoi w łunie. [...] Nad szosą grochowską, na której ruch olbrzymi, lotnicy niemieccy latają na wysokości stu metrów, prażąc z karabinów maszynowych uchodźców, oddziały wojska nadciągające do Warszawy i kobiety, które wyszły w pole, aby nakopać kartofli. [...] Na ulicach trupy ludzi i koni leżą do wieczora, bo co chwila nowy nalot”. Tale po raz pierwszy przedstawiono te wydarzenia w książce *Warszawa w ogniu*, która ukazała się w konspiracji w 1942 roku w Warszawie. Autorką była Halszka Buczyńska ukrywająca się pod pseudonimem „Nemo”.

Czynnikiem bezpośrednio wywołującym falę nalotów bombowych był rozkaz dzienny sztabu generalnego Luftwaffe z 10 września: „Atak należy postrzegać jako odwet za zbrodnie popełnione na niemieckich żołnierzach i ma on na celu zniszczenie «pobrzeża». Chodzi o to, by — już w trakcie pierwszego nalotu — poczynić daleko idące zniszczenia w gęsto zasiedlonych dzielnicach miasta”. Bombardowania przeprowadzone w ciągu następnych dni pochłonęły setki ofiar śmiertelnych i spustoszyły całe dzielnice. Na Pradze 10 września załamał się system zaopatrzenia w wodę, a następnego dnia doniesiono stamtąd o 170 zniszczonych domach. 13 września w całym mieście odnotowano 250 ognisk pożaru, większość z nich znajdowała się w dzielnicach mieszkaniowych. Tego samego dnia zginęło około 120 ludzi, a blisko 300 osób odniosło ciężkie rany. 15 września artylerzyści z 3. Armii pod dowództwem generała Georga von Küchlera otworzyli ogień także w stronę Śródmieścia. Od 19 września mieszkańcy byli zmuszeni grzebać zmarłych na skwerach, gdyż zabrakło już wolnego miejsca na cmentarzach. Cztery dni później ostatecznie załamało się zaopatrzenie w wodę i prąd.

Mimo terronu niemieckiego lotnictwa nie można odmalować obrazu bombardowania Warszawy w tamtych dniach jedynie w białych

i czarnych barwach. Obrońcy stolicy podlegający dowódcy Armii „Warszawa” generałowi Juliuszowi Rómmłowi byli zdecydowani kontynuować walkę niezależnie od sytuacji. Jeden z niemieckich parlamentarzysty nawet nie został dopuszczony do Rómmła 16 września. Ponieważ na wschodnie ziemie II Rzeczypospolitej nie wkroczyły jeszcze oddziały Armii Czerwonej, wciąż żywiono nadzieję, że dojdzie do interwencji mocarstw zachodnich. Poza tym głównodowodzący polskimi siłami zbrojnymi marszałek Edward Rydz-Śmigły zarządził obronę stolicy za wszelką cenę.

„Teraz przyjdzie Polsce przyplacić tę decyzję bombardowaniem Warszawy — tak brzmiał komentarz Goebbelsa — musimy zająć to miasto, i jeśli będzie ono bronione przy użyciu wszelkich możliwych środków, będziemy musieli je zaatakować przy użyciu wszelkich możliwych środków”. Wielokrotnie zrzucano nad Warszawę ulotki, w których nawoływano polskich żołnierzy do złożenia broni, a ludność cywilną do opuszczenia miasta, jednak nie zaprzestano ataku. Tymczasem ludność cywilna mimo wszystko w dalszym ciągu brała udział w sypaniu szańców i przygotowywała się do obrony. Mieszkańcy Warszawy zignorowali zupełnie wezwania do kapitulacji. Halina Regulska pisała: „Propaganda niemiecka zapomniała tylko o tym, że lotnicy niemieccy zniżali swój lot nad rolnikami pracującymi w polu i nie mającymi nic wspólnego z wojną i ostrzeliwali ich”.

Tymczasem Warszawa była czymś więcej niż tylko miastem, o które walczone — stolica Polski stała się symbolem polskiej wytrzymałości. „W mojej armii, Armii «Lublin», każdy dzień zaczynał się do pytania: Czy Warszawa się jeszcze broni? [...] Z uwagą śledzono informacje dotyczące obrony Warszawy. Westerplatte już dawno skapitulowało. [...] W gruncie rzeczy Warszawa była jedynym miejscem, gdzie trwała obrona” — tak wspomina tamte dni były uczestnik wojny w wywiadzie przeprowadzonym dla Radia Północnoniemieckiego (Norddeutscher Rundfunk).

Niektóre spośród nazbyt radykalnych propozycji dotyczących zniszczenia Warszawy jak popadnie nie zostały zrealizowane. I tak na przykład dowódca grupy lotniczej wydzielonej do przeprowadzenia operacji bombardowania Warszawy Wolfram von Richthofen, odpowiedzialny

także za zniszczenie Wielunia, zarządził wprawdzie 11 września samowolnie bombardowanie Warszawy na całym jej obszarze, jednak dowódca szwadronu, któremu poruczono pełnienie tej misji, pokierował nalotem w taki sposób, że zaatakowane zostały wyłącznie cele wojskowe, co przypłacił utratą stanowiska. Jedenaście dni później von Richthofen przedstawił propozycję „starcia z powierzchnią ziemi całej Warszawy przy użyciu wszystkich dostępnych sił”, a także „pilnego wykorzystania ostatniej możliwości przeprowadzenia ataków ogniowych i bombowych na wielką skalę”. Dowództwo Luftwaffe odrzuciło jednak ten wniosek. W tym samym czasie dowódca Grupy Armii „Południe” nosił się raczej z zamiarem zagłodzenia ludności cywilnej obleganego miasta wskutek nieustannego ostrzału artyleryjskiego i bombardowania.

### **„Piekielna niedziela”**

22 września niemiecka 8. Armia zajęła pozycje na przedpolach Warszawy, przygotowując się do stoczenia decydującej bitwy. „Chodzi o to, by oszczędzić dywizjom piechoty niepotrzebnych ofiar w walkach ulicznych poprzez przypuszczenie ataku przy wzmożonym zastosowaniu technicznych środków bojowych” — odnotowano wówczas w rozkazie dotyczącym uderzenia. Luftwaffe miała ostrzelać przede wszystkim cele położone w centrum miasta, aby uniemożliwić w odpowiednim czasie ucieczkę ludności cywilnej i przyspieszyć kapitulację. W tym celu Niemcy byli gotowi użyć wszelkich środków bojowych. „Pozostaje kwestią otwartą, do jakiego stopnia nasze działania można uzasadnić, opierając się na prawie międzynarodowym, a także w jakim stopniu możemy zdać się na możliwości naszych oddziałów za dnia” — takie było stanowisko Grupy Armii „Południe” w kwestii natarcia na Warszawę, natomiast głównodowodzący 8. Armii generał broni von Blaskowitz dał hasło: „Mamy teraz tylko jeden cel, a jest nim kapitulacja miasta!”.

24 września rozpoczęło się trwające łącznie trzy dni nieustanne bombardowanie, a rankiem 25 września Hitler dał do zrozumienia, że ze względów politycznych zależy mu na upadku Warszawy najpóźniej w ciągu tygodnia. Ten dzień przeszedł do historii miasta jako „piekielna niedziela”. Wtedy też Luftwaffe zrzuciła na Warszawę 560 ton bomb burzących i 72 tony bomb zapalających. Spłonęły wówczas całe szlaki komunikacyjne w centrum. Niepoślednią rolę w zniszczeniu celów cywilnych odegrał fala, iż stanowiące siódmą część całego ładunku bomby zapalające z wkładem węglowym zrzucano z nienadających się do przeprowadzenia tego typu operacji samolotów transportowych Junkers Ju 52 (nazwanych żartobliwie „Tante Ju”, „Ciotka Ju”). Wskutek bombardowania gdzie popadnie ucierpiały także niemieckie oddziały lądowe. Gdy nalot osiągnął punkt kulminacyjny, zrzucano ulotki, w których wzywano ludność cywilną, by ratowała się, uciekając na prawy brzeg Wisły.

Obrońcy Warszawy przekonali się w końcu o beznadziejności własnego położenia — bomby sypały się gradem, istniało niebezpieczeństwo wybuchu epidemii, brakowało wody pitnej i żywności. Podczas oblężenia zginęło około 25 000 cywilów i 6000 żołnierzy, większość z nich padła ofiarą niemieckich bomb. Pozostałe straty spowodowały ostrzał artylerii oraz walki uliczne. Rankiem 27 września generał Rómmel złożył propozycję bezwarunkowej kapitulacji. Oficjalne zakończenie bitwy o Warszawę nastąpiło wraz z podpisaniem aktu kapitulacji 28 września.

Setki tysięcy ton bomb burzących i zapalających nie tylko spustoszyły cele wojskowe i centra zaopatrzenia, lecz także gęsto zasiedlone dzielnice. Mimo to warszawiacy wydawali się zachowywać spokój i szybko opanowali chaos spowodowany wzmożonymi atakami oraz gwałtowną śmiercią tysięcy ludzi. W obliczu codziennych nalotów większość mieszkańców przyjęła postawę batalistyczną. „Wszyscy my Amerykanie, zgrupowani w ambasadzie, którzy mieliśmy możliwość przyjrzenia się życiu oblężonej stolicy, nie mamy dość słów podziwu dla wytrzymałości i cichego bohaterstwa cywilnej ludności Polski” — pisał wówczas w „Kurierze Warszawskim” amerykański dokumentalista Julien Bryan. „Imponuje nam wasz spokój, wasz humor, wasza zaciętość. Zdawałoby się, że pod wpływem

nieustannego bombardowania niemieckiego duch cen załame się, że zrodzi się myśl poddania stolicy, jednakże nie tylko nie zdarzyło mi się spotkać z takim zdaniem nawet u najbardziej skrzywdzonych przez wojnę ludzi, lecz przeciwnie, im więcej nęka was wróg, tym mocniejsza jest wasza postawa”.

Niemniej jednak doświadczenia związane z codziennymi nalotami spowodowały traumę wśród mieszkańców. „Nad nami rozszalało się piekło. Samoloty wciąż jeden za drugim pikują. Za każdym razem wydaje się, że tym razem to już w nas. Serce zamiera w śmiertelnym oczekiwaniu” — zanotowała w swoim dzienniku Halina Regulska 24 września.

Następnego dnia pewien anonimowy autor opisał swoje przeżycia podczas niekończącego się bombardowania tysięcy niemieckich bombowców w następujący sposób: „Bomby zapalające lecą przed naszymi oknami, trzy bomby zapalające tlą się na strychu [...]. Wszystkie szyby wylatują w całym domu. [...] Już nam wszystko jedno, jesteśmy zobojętniali. Tak czy owak, bomba na pewno spadnie na nasz dom, co za różnica czy 5 minut wcześniej, czy później. Niech się już stanie! Niech już będzie koniec!”.

Podczas oblężenia miasta uczucia i myśli cywilnej ludności zdominowały — poza wszechobecną przemocą — bliżej nieokreślone lęki. Pewien wgląd w życie wewnętrzne warszawiaków w tamtym czasie można uzyskać na podstawie książki Joanny Ewy Urbanek *Lęk i strach. Warszawiacy wobec zagrożenia września 1939 r.* W domach poszczególne pomieszczenia, łazienki lub nawet szafy zamieniano na prowizoryczne „komory przeciwgazowe”. Kto tylko mógł, zaopatrywał siebie i swoją rodzinę w maski przeciwgazowe lub tworzył ich namiastki przy użyciu zwilżonych ręczników i bandaży. Jednak te prowizoryczne przygotowania bynajmniej nie budziły zbyt wielkiej ufności. Prawie nikt spośród mieszkańców nie posiadał dostatecznej ochrony przed nalotami bombowymi w postaci bojowych środków chemicznych, mimo że w latach trzydziestych przeprowadzono intensywne szkolenia ludności cywilnej w zakresie ochrony przeciwlotniczej. Wprawdzie niemieckie samoloty nie przypuszczały wówczas ataków gazowych na miasto, to jednak chmury kurzu powstające wskutek detonacji bomb, a także towarzyszące im zapachy nieznanego pochodzenia



wywoływały na początku wojny ataki masowej paniki. Ponadto obawiano się także innych trujących substancji, które miały być zrzucane przez niemieckich pilotów — na przykład ukrytych w słodyczach czy kielbasie — lub które rozdawano rzekomo potajemnie mieszkańcom. Pojawiły się także ostrzeżenia przed celowym skażeniem zapasów wody bakteriami przez niemieckich szpiegów lądujących ze spadochronami; ich obecności dopatrywano się na każdym kroku.

Późniejszy przewodniczący warszawskiego Judenratu (Rady Żydowskiej w getcie) Adam Czerniaków donosił nawet o swego rodzaju „psychozie” mającej się wówczas szerzyć w całym mieście. Obcych, co do których istniało podejrzenie, że mogą być Niemcami, zmuszano w opryskliwy sposób do legitymowania się. Krążyły w okolicy pogłoski, jakoby za niebudzącym podejrzeń wyglądem kominiarza czy księdza ukrywali się w rzeczywistości agenci Abwehry. Głównymi podejrzanymi z urojenia stawali się zwłaszcza żyjący w Warszawie ewangelicy. Wszystkie te pogłoski i podejrzenia były jednak wyssane z palca. Nie zachowały się bowiem żadne świadectwa potwierdzające przypadła rzeczywistej działalności niemieckich szpiegów podczas walk toczonych o Warszawę. Poza tym, jaki interes miałby mieć Wehrmacht lub Służba Bezpieczeństwa SS w wysyłaniu swoich agentów do miasta, które w tym samym czasie było obiektem nalotów dywanowych?

W przeciwieństwie do innych części kraju w Warszawie administracja cywilna pod przewodnictwem prezydenta Stefana Starzyńskiego skrupulatnie pełniła swoje funkcje aż do przejścia władzy przez odpowiednie niemieckie urzędy. Wojsko Polskie organizowało różne akcje angażujące cywilów w obronę stolicy, takie jak wznoszenie barykad czy wykopywanie okopów przeciwlotniczych. Ludność Warszawy tylko na pozór panicznie reagowała na ciężkie ataki lotnicze oraz na nieprzerwany ostrzał niemieckiej artylerii. Z jednej strony mieszkańcy poddawali się temu, co nieuchronne, i z nadzwyczajną szybkością dopasowywali się do ekstremalnej sytuacji. Z drugiej zaś warszawiacy byli zastraszeni i prawie sparaliżowani nowym doświadczeniem wszechobecnego terroru. Impet i brutalność niemieckiego ataku wprawiały ludzi w stan agonii. Nienawiść do niemieckiego okupanta,

która zjednoczyła zróżnicowane społeczeństwo polskie podczas II wojny światowej, żywiła się stosowanym przez Niemców terrorem, który cechował kampanię przeciwko Polsce od samych jej początków.

### Losy prezydenta Warszawy

Urodzony w 1893 roku i będący rodowitym warszawiakiem prezydent miasta stołecznego Stefan Starzyński przygotowywał w ostatnim tygodniu sierpnia 1939 roku stolicę na spodziewany atak hitlerowskich Niemiec, zlecając tworzenie schronów i wykopywanie okopów przeciwlotniczych. 8 września został mianowany komisarzem cywilnym obrony Warszawy, a jego zwierzchnikiem był odtąd generał Walerian Czuma. Przemawiając przez radio do mieszkańców, Starzyński podtrzymywał ich morale. W legendarnej wypowiedzi z czasów oblężenia stwierdził: „Chciałem, by Warszawa była wielka. [...]! dziś widzę ją wielką”. Po poddaniu miasta - podpisanie aktu kapitulacji zostało odroczone do następnego dnia, gdyż niemiecka delegacja nalegała, by akt ten odbył się w obecności Starzyńskiego - prezydenta Warszawy stał się jednym z głównych organizatorów polskiego państwa podziemnego. Starzyński odrzucił wiele składanych mu propozycji opuszczenia miasta. Nie jest natomiast jasne, czy przyjął propozycję współpracy złożoną mu 2 października przez szefa zarządu cywilnego przy 8. Armii SS-Standartenführera dr. Harry'ego von Craushaara mającą służyć „bezpieczeństwu ludności i jej zaopatrzeniu”. W każdym razie Starzyński został aresztowany wraz z innymi warszawskimi notablami, którzy byli zaliczani do „inteligencji” i postrzegani jako „potencjalni członkowie polskiego ruchu oporu”, podczas oblawy urządzonej z okazji przybycia Führera na paradę zwycięstwa 6 października przez ludzi z Einsatzgruppe IV Policji Bezpieczeństwa.

W okresie powojennym w Polsce krążyły różne wersje dotyczące dalszych losów prezydenta Warszawy. I tak Starzyński miał umrzeć

w jednym z niemieckich obozów koncentracyjnych - w Dachau, w Dorze lub Flossenbürgu - według innych w obozie pracy w Baalberge; jeszcze inni utrzymywali, że zginął w „jednej z cel tortur”. Wszystkie te spekulacje opierały się jednak na wzajemnie sprzecznych zeznaniach świadków. Do tej pory nie znaleziono żadnych dokumentów urzędowych, które potwierdzałyby domniemywaną „drogę krzyżową” Starzyńskiego’ przez niemieckie obozy. Przypuszczalnie w 1939 roku nie mógł już opuścić Warszawy. Prokuratura w Bielefeld, która prowadziła w latach sześćdziesiątych dochodzenie przeciwko IV Grupie Operacyjnej, wyszła z założenia, iż Starzyński został rozstrzelany tuż po aresztowaniu. W 1978 roku Andrzej Trzostawiecki poświęcił Starzyńskiemu swój film pod tytułem *Gdziekolwiek jesteś, Panie Prezydencie*. W 2003 roku Stefan Starzyński został wybrany zdecydowaną większością głosów „warszawiakiem stulecia”.

23 września grałem po raz ostatni przed mikrofonami Polskiego Radia. Sam nie wiem, jak znalazłem się w rozgłośni. Przemykałem od bramy do bramy, kryłem się na chwilę i biegłem dalej, gdy nie słyszałem w najbliższym otoczeniu gwizdu bomb. W drzwiach spotkałem prezydenta Starzyńskiego. Był niedbale ubrany, nieogolony, a na jego twarzy odmalowywał się wyraz śmiertelnego zmęczenia. Nie sypiał od wielu dni, był duszą obrony i bohaterem miasta. Na jego barkach spoczywała odpowiedzialność za los Warszawy. Był wszędzie: kontrolował pierwsze linie okopów, prowadził budowę barykad, zajmował się szpitalami, sprawiedliwym rozdziałem skromnych zapasów żywności, organizacją obrony przeciwlotniczej i straży pożarnej, a mimo to znajdował czas, by codziennie mówić przez radio do ludności. Wszyscy oczekiwali tych przemówień i czerpali z nich optymizm. Nikt nie miał powodu tracić odwagi, dopóki nie wyczuwało się zwątpienia Prezydenta. Sytuacja miała być poza tym nie najgorsza. Francuzi przekroczyli linię Zygryda, Anglicy zbombardowali Hamburg i w każdej chwili oczekiwano inwazji na Niemcy. Tak przynajmniej wszystkim się wydawało.

Tego dnia miałem grać Chopina. Była to, jak się później okazało, ostatnia audycja żywej muzyki na antenie Polskiego Radia. Bomby spadały co chwilę w bezpośredniej bliskości studia, okoliczne zaś domy stały w ogniu. W talom huku nie słyszałem prawie dźwięku własnego fortepianu.

Władysław Szpilman, *Pianista. Warszawskie wspomnienia 1939—1945*, Kraków 2002, s. 23—24.

## Pacyfikacja przez terror

Porównanie działań Luftwaffe w Wieluniu i Warszawie dostarcza wielu cennych informacji na temat przyczyn zastosowania przemocy przez niemieckie siły zbrojne. W obu wymienionych przypadkach terror posłużył jako środek pacyfikacji ludności i jako taki został uwzględniony jeszcze w przedwojennych planach. Niczym nieusprawiedliwiony atak lotniczy na Wieluń w pierwszych godzinach II wojny światowej doprowadził do prawie całkowitego zniszczenia tego miasta. Tymczasem analogiczny nalot na Warszawę musiał zostać odroczony z powodu wystąpienia niekorzystnej pogody. Gdy 8 września niemieckie jednostki pancerne dotarły na przedpola Warszawy, dowództwo Luftwaffe postanowiło przystąpić do krótkotrwałego zintensyfikowania ataków 10 września, a zarządzone przez Hitlera taicie na następny dzień bombardowanie zostało przekierowane przez Grupę Armii „Południe” na most na Wiśle, gdyż tymczasem zmieniło się położenie taktyczne niemieckich oddziałów. Dopiero gdy ustały ostatnie działania bojowe na zachód od Warszawy, niemieckie siły zbrojne — poczynając od 24 września — ponownie wzmocniły ataki na priorytetowy wówczas cel, jakim była stolica Polski. Podczas gdy zniszczenie Wielunia zostało ujęte w planach agresorów, zmieniająca się intensywność nalotów bombowych na Warszawę była uwarunkowana w znacznym stopniu względami strategicznymi, a w kalkulacjach strony niemieckiej los narażonej na cierpienia ludności cywilnej miał jedynie drugorzędne znaczenie.

Ponieważ w Wieluniu nie stacjonowały żadne polskie oddziały, prawie całkowite zniszczenie miasta można z pewnością zakwalifikować jako zbrodnię wojenną. Natomiast Warszawa najpóźniej w drugiej połowie września była postrzegana przez niemieckich najeźdźców jako miasto bronione. Wskazują na to między innymi ulotki, w których wzywano ludność do poddania się. Kwestia zgodności bądź niezgodności z prawem wojennym ataków lotniczych na Warszawę jest przedmiotem wielu kontrowersji między polskimi i niemieckimi historykami wojskowości. Już w dniu kapitulacji głównodowodzący Armii „Poznań” generał Tadeusz Kutrzeba zwrócił uwagę generałowi broni von Blaskowitzowi na niestosowność użytego w akcie kapitulacji wyrażenia „twierdza Warszawa”, gdyż pochodząca z XIX wieku obręcz fortyfikacji wokół miasta została zburzona w 1913 roku. Sam zaś Blaskowitz postrzegał Warszawę jako twierdzę dlatego, że w mieście znajdowały się oddziały Wojska Polskiego, które nie poddały się mimo kilkakrotnie ponawianego wezwania do kapitulacji. W jego opinii bombardowanie na oślep centrum milionowego miasta nie stanowiło zbrodni wojennej. Szef sztabu generalnego Haider już 30 sierpnia 1939 roku zanotował w swoim dzienniku wojennym: „atak na Warszawę nie terrorystyczny (tylko wojskowy)”. Ta notatka poświadcza jednocześnie, że Luftwaffe od samego początku przewidywała w swych planach wojennych także niszczycielskie naloty na polskie miasta — takie jak na przykład bombardowanie Wielunia.

Jednak rozważania natury prawnej nie zaprowadzą nas zbyt daleko w poszukiwaniach przyczyn brutalności Luftwaffe. Ważniejsze jest raczej pytanie, jakie miejsce w hierarchii celów wojskowych zajmowało zniszczenie Warszawy i dlaczego zamiar ten zrealizowano mimo pojawiających się zastrzeżeń. Zdobyć miasta we wrześniu 1939 roku towarzyszyło stosowanie brutalnej przemocy na niespotykaną — jak dotąd — skalę. W jaki sposób Niemcy wojskowi usprawiedliwiali tę nową „jakość” prowadzonej w Polsce wojny? Pewne istotne informacje na ten temat można znaleźć w osobistych zapiskach szefa sztabu 8. Armii, generała dywizji Hansa-Gustava Felbera.

22 września Felber zanotował w swoim dzienniku: „Jutro ruszymy nieco bardziej na wschód, teraz to my będziemy musieli zająć się zapowiedzianą strzelaniną i nie będzie to mile żołnierzom zadanie”. Mimo że nie miał dobrej opinii o obrońcach miasta („Polacy są fanatykami i mają nadzieję, że zaimponują światu, broniąc swojej stolicy”), ubolewał nad losem mieszkańców („Biednej ludności cywilnej można [tylko] szczerze współczuć”). Cztery dni później Felber — wyraźnie poruszony widokiem płonącej Warszawy — spisał wrażenia w swoim dzienniku: „To był niesamowicie piękny widok — te ogromne chmury dymu nad oświetlonym słońcem miastem. Ale nie sposób wyobrazić sobie, co też musiała przejść wówczas niewinna ludność cywilna. Możemy mieć tylko nadzieję, że żadnego niemieckiego miasta nigdy nie spotka taki los. To zwyrodnienie podyktowane koniecznością prowadzenia wojny jest niemiłe żołnierzom”. Wyczuwalne poczucie dyskomfortu, które dopadło Felbera na widok zniszczonej stolicy Polski, sam generał usprawiedliwiał nowymi warunkami prowadzenia wojny przez wysoko stehnicyzowaną armię, niedopuszczającymi już jakichkolwiek względów w tradycyjnym, wojskowym sensie: „Widok ruin miasta nie napawał radością. Ale skuteczne prowadzenie wojny wymaga dziś zastosowania surowych środków”.

Ta ostatnia uwaga pozwala na uzyskanie wglądu w przekonania, które były wówczas szeroko rozpowszechnione w kręgach wyższych rangą członków Wehrmachtu. W rzeczywistości bowiem różnica między nalotami na Wieluń — zamierzonym aktem terroru — a bombardowaniem Warszawy — wojskowym podbojem miasta — nie była aż tak wielka, jak by się mogło wydawać przy pobieżnej analizie wydarzeń. Jeśli zignorować różne warunki określone prawem międzynarodowym, to w obu przypadkach skuteczność przeprowadzanych operacji wojskowych miałaby pierwszeństwo przed spowodowanymi przez te operacje cierpieniami ludności cywilnej. A jednak to właśnie te cierpienia cywilów miały posłużyć jako test, dzięki któremu można było po raz pierwszy sprawdzić w praktyce możliwości techniczne nowoczesnych sił powietrznych. Dwa miesiące po zdobyciu Warszawy w dowództwie

Luftwaffe stwierdzono: „Doskonała skuteczność [bomby zapalającej BI Fe] w przypadku wielkomiejskich bloków mieszkalnych nie ulega żadnej wątpliwości. [...] zrzucenie wielkich ilości, by stworzyć jednocześnie wiele ognisk pożaru. Do tego dochodzą bomby burzące i odłamkowe [...] by utrzymać ludność w schronach; w rezultacie poszczególne ogniska pożaru rozprzestrzeniają się i powstaje jedna wielka katastrofa pożarowa”.

Utworzenie silnej Luftwaffe było — poza rozbudową zmotoryzowanych jednostek wojsk lądowych — najambitniejszym projektem realizowanym przez młody Wehrmacht. Po próbie generalnej podczas hiszpańskiej wojny domowej to właśnie teatr działań wojennych w Polsce miał stworzyć okazję do wypróbowania potencjału Luftwaffe w praktyce. Jak żadna inna część sił zbrojnych, Luftwaffe stała się ucieleśnieniem wizji „wojny przyszłości”, snutej już od czasów Republiki Weimarskiej przez czołowych przedstawicieli wojska. Poza tym niemieckie siły powietrzne w szczególnym stopniu nadawały się do realizacji planu możliwie najszybszego podboju Polski mającego ogromne znaczenie dla celów polityki zagranicznej III Rzeszy. Cierpienia tysięcy polskich cywilów, którzy padli ofiarą tego nowego sposobu prowadzenia wojny, były tylko jednym z elementów uwzględnianego przez niemieckie kierownictwo wojskowe ryzyka. Nawet w najnowszych debatach poświęconych tematyce prowadzenia wojny w powietrzu podczas II wojny światowej w znacznym stopniu pomija się ten wątek.

Widok zniszczonego miasta wywarł w listopadzie 1939 roku ogromne wrażenie na niemieckim ministrze propagandy Josefie Goebbelsie: „Warszawa: istne piekło. Zdevastowane miasto. Nasze bomby i granaty odwalily całą robotę. Nie ma domu, który by nie ucierpiał. Cienie zrezygnowanych ludzi snują się ulicami miasta niczym insekty”. Próba wykreowania bombardowania Warszawy jako „imponującego osiągnięcia Luftwaffe” w filmie propagandowym *Die Feuertaufe* („Chrzest bojowy”) z kwietnia 1940 roku okazała się jednak porażką. W szczególności zdjęcia zbombardowanej metropolii wyprowadziły widzów do tego stopnia z równowagi, że „przede wszystkim kobiety wyraziły Polakom swoje

współczucie, a widok zniszczonej Warszawy nie wzbudził u widzów heroicznej dumy, lecz wytworzyła się atmosfera przygnębienia i trwogi z powodu «okropności wojny» — takie informacje na temat recepcji filmu u niemieckiej widowni można wyczytać z meldunków funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa SS.

### Warszawa — miasto zdewastowane

W niedzielę 1 października 1939 roku do Warszawy wkroczyła 10. Armia pod dowództwem generała Reichenaua. Na placu Piłsudskiego odbyła się wówczas parada wojskowa na cześć niemieckiego komendanta miasta Conrada von Cochenhausena. Pięć dni później Adolf Hitler, który odbierał wówczas w Warszawie wyprawioną z jeszcze większą pompą defiladę zwycięstwa, przejeżdżał ulicami miasta, stojąc w otwartym samochodzie. Mieszkańcom zabroniono — pod groźbą użycia broni — zbliżać się do defilujących żołnierzy. Zastosowanie takich środków bezpieczeństwa było uzasadnione, gdyż wraz z klęską wojenną wybiła godzina narodzin polskiego podziemia. Jan Nowak-Jeziorański, który - przez wzgląd na pełnioną w czasie Powstania Warszawskiego funkcję łącznika między walczącą w okupowanym kraju Armią Krajową a rządem emigracyjnym w Londynie — przeszedł do historii jako „kurier z Warszawy”, po wojnie ujawnił szczegóły nieudanej próby zamachu na Hitlera. Według Nowaka-Jeziorańskiego działająca w podziemiu organizacja zbrojna Służba Zwycięstwu Polski, która została powołana do życia w dniu złożenia aktu kapitulacji przez generała Rómmla, planowała wysadzić w powietrze konwój Hitlera podczas jego przejazdu przez centrum miasta, na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata. Detonacja nie powiodła się, gdyż — z powodu blokad ulicznych — jednemu z zamachowców nie udało się dotrzeć punktualnie na miejsce.



Tymczasem napływającym do Warszawy od czasu kapitulacji jednostkom Wehrmachtu przedstawiał się przerażający scenariusz: „Podczas przejazdu nie widziałem ani jednego domu, który nie uległby zniszczeniu choćby w formie zbitych szyb w oknach” - zanotował jeden z niemieckich żołnierzy dzień po triumfalnej defiladzie Hitlera w Warszawie. A jednak — pisał dalej piechur — ludność dostosowała się do nowej sytuacji: wśród osób, które przeżyły bombardowanie, przeważało poczucie ulgi z powodu ustania nalotów. Wszędzie widać było niekończące się kolejki, w których ustawiali się ludzie, aby kupić chleb i inną żywność. Tu i ówdzie sprzedawano wodę, którą pozyskiwano z wód gruntowych za pomocą szybko budowanych pomp.

Zachowanie oddziałów okupacyjnych było ambiwalentne. Podczas gdy zarządowi wojskowemu miasta zależało na utrzymaniu spokoju i porządku, niektórzy żołnierze wykorzystywali chaos pierwszych dni do wzbogacenia się: „Zabronione rekwizycje — a więc grabieże — przybrały na sile w Warszawie do tego stopnia, że stawały się plamą na honorze armii i prowadziły do daleko idącego rozluźnienia dyscypliny. Zdarzało się, że plądrujący piwnice z winem ostrzeliwali się wzajemnie na miejscu przestępstwa. Pewien oficer lotnictwa, który uniknął zatrzymania, posługiwał się fałszywym dowodem komendantury. Ekscesy pijanych oficerów były na porządku dziennym”. Komendant miasta von Cochenhausen zarządził stosowanie surowych środków w celu zwalczania dalszych wybryków, a także przyspieszył toczące się postępowania sądowe.

Sama Warszawa sprawia ponure wrażenie. Nie ma domu, który by nie ucierpiał. Całe dzielnice leżą w gruzach lub pozostały po nich tylko zgliszcza. Nadające się jeszcze do zamieszkania domy (około 50 procent) w mniejszym lub większym stopniu noszą ślady po ostrzale w postaci dziur po oknach zasłoniętych deskami lub tekturą, powstałych wskutek zrzucania bomb odłamkowych lub wybuchu pocisków artyleryjskich. Mieszkam na placu Piłsudskiego w Hotelu Europejskim, który - podobnie jak położony naprzeciwko hotel Bristol — został skonfiskowany na nasze potrzeby. Oznacza to, iż w hotelu

znów można korzystać z prądu, centralnego ogrzewania, ciepłej wody i restauracji. Oba hotele wykazują jednak ślady po celnych uderzeniach bomb i pocisków artyleryjskich, całe części nie nadają się do mieszkania, a na murach i sufitach widać duże rysy. W ścianę oddzielającą moją sypialnię od łazienki musiał uderzyć przelatujący przez okno odłamek, gdyż powstała tam dziura, przez którą widzę z łóżka wannę. [...] Najdziwniejsze jest chyba uczucie, że żyjemy wystawnie w ruinach, i to tylko dlatego, że jesteśmy okupantami. Milionowa masa ludności jakoś wegetuje gdzieś [w pobliżu] i nie wiadomo za co. Mieszkańcy przeżywają trudny do opisanego dramat. Nie wiadomo też za bardzo, jak to się wszystko dalej potoczy. Nawet bogaty naród i bogate państwo miałyby trudności z odbudowaniem tego wszystkiego, co wymagało wieloletniej pracy całego narodu, by w ogóle powstać. Tymczasem państwo polskie już nie istnieje, nie ma też żadnych możliwości zarobku, gdyż wszystkie zakłady produkcyjne zostały zniszczone. Jeśli nawet ktoś ma jeszcze pieniądze i kapitał, to ledwo starczy mu na chwilę obecną. Nie ma też kredytodawców, którzy wsparliby dzieło odbudowy, bo nawet przy najlepszych chęciach takie inwestycje przekraczają nasze możliwości. Brak także publicznej opieki społecznej, bo kto miałby niby wyłożyć na nią odpowiednie środki? Kto ma pieniądze na wstawienie nowych szyb do olden, na naprawę przewodów świetlnych w domach, na zreperowanie uszkodzonych dachów? Nikt! Warszawa to miasto i ludność skazane na zagładę. To takie straszne, że nawet przez chwilę nie można się cieszyć życiem, przebywając tutaj — że jest się przygnębionym, wcinając we wspaniałej sali hotelowej pieczoną gęś, podczas gdy damy, które być może jeszcze trzy miesiące temu należały do wykwintnego towarzystwa, muszą się teraz sprzedawać za komiśniak naszym ziomkom, by w ogóle móc dalej wegetować. Wojna — jeśli się wiąże z takimi następstwami — jest czymś strasznym, a podobnych konsekwencji ostatnia wojna nie miała. Wtedy jednak istniała pewność, iż po wszystkim rozpocznie się odbudowa, bo ktoś — czy to stare, czy nowe państwo — będzie tym zainteresowany lub będzie dysponował przynajmniej

odpowiednimi środkami na ten cel. Kto jednak na własne oczy ujrzał ruiny Warszawy, temu taki scenariusz wyda się nierealny. Poruszając się tutaj po ulicach, nie czujemy się zwycięzcami, lecz poczuwamy się do winy! I nie jest to bynajmniej tylko moje odczucie — także panowie, którzy muszą tu mieszkać, czują to samo co ja. Do tego dochodzą jeszcze -wszystkie te niewiarygodne wręcz rzeczy, które rozgrywają się niejako na marginesie, a którym my musimy się przyglądać z założonymi rękami! Nawet najbardziej wybujała wyobraźnia ludzi od wojennej propagandy wydaje się dość uboga, jeśli zestawi ją z rzeczami, których dopuszczają się tu zorganizowane grupy morderców, bandytów i grabieżców. W takiej sytuacji nie sposób mówić „o słusznym oburzeniu z powodu zbrodni popełnianych na polskich Niemcach”. Takiego tępienia całych rodzin wraz z kobietami i dziećmi mogą dopuszczać się tylko podludzie, którzy nie zasługują już na miano Niemców. Wstydzę się tego, że jestem Niemcem. Ta mniejszość, która poprzez mordy, grabieże i podpalenia kła nasze dobre imię, sprowadzi na naród niemiecki wielką katastrofę, jeśli nie ukroćmy tych praktyk na czas.

List generała brygady Helmutha Stieffa napisany z Warszawy do żony 21 listopada 1939 roku, przedrukowany w książce Hansa Rotfelsa pod tytułem: *Ausgewählte Briefe von Generalmajor Helmuth Stieff (hingerichtet am 8. August 1944). Dokumentation* [„Wybrane listy generała brygady Helmutha Stieffa (straconego 8 sierpnia 1944 roku). Dokumentacja”], „Vierteljahrshäfte für Zeitgeschichte”, t. 2 (1954), nr 3, s. 298-300.

### Śmierć generała von Fritscha

22 września 1939 roku szef 12. Pułku Artylerii, general broni baron Werner von Fritsch został śmiertelnie ranny w prawobrzeżnej części Warszawy, na położonej naprzeciwko Starówki Pradze. Jeszcze przed kilkoma miesiącami von Fritsch zajmował jedno z najwyższych stanowisk wojskowych, jakie tylko można było pełnić w III Rzeszy. Do

### III. NAPAŚĆ

końca 1938 roku - jako głównodowodzący wojsk lądowych - stał się architektem odbudowy Wehrmachtu, który awansował wówczas do drugiego - po NSDAP - filaru państwa. Już stosunkowo wcześnie został wtajemniczony w plany wojenne Fiihrera. W listopadzie 1937 roku von Fritsch wziął udział w protokołowanej naradzie Hitlera z najwyższymi doradcami politycznymi i wojskowymi (powstał wtedy słynny „raport Hossbacha”). Podczas tej narady wraz z głównodowodzącym Wehrmachtu feldmarszałkiem Blombergiem - kierując się względami strategicznymi - zgłosił zastrzeżenia dotyczące planów związanych z wielką wojną, jaka miała być prowadzona przez III Rzeszę w Europie w nieodległej przyszłości.

Hitler za jednym zamachem pozbył się obu oficerów przy pierwszej nadarzającej się okazji. Wdowca Blomberga, któryż reguły był wierny partyjnej linii, zgubiło jego małżeństwo z młodszą o trzydzieści lat kobietą wywodzącą się z berlińskiej „dzielnicy czerwonych latarni” - 25 stycznia 1938 roku stracił stanowisko. Tymczasem kawalera von Fritscha fałszywie posądzono o homoseksualizm. Himmler niezwłocznie zlecił Gestapo zbadanie tej sprawy, a stronniczo przeprowadzone dochodzenie potwierdziło podejrzenia. Na nic nie zdało się słowo honoru, które von Fritsch dał Führerowi - 4 lutego, a więc w tym samym czasie co Blomberg, ustąpił z urzędu. W rzeczywistości zeznania jedyne go świadka Gestapo nie obciążały barona von Fritscha, lecz Achima von Frischa, rotmistrza w stanie spoczynku. Jednak prawda wyszła na jaw dopiero później, podczas rozprawy głównej. Von Fritsch, który - tuż po oczyszczeniu ze stawianych mu zarzutów - został mianowany szefem 12. Pułku Artylerii, bynajmniej nie uznał swojej rehabilitacji w listopadzie 1938 roku za wystarczające zadośćuczynienie ani za przyczynek do odbudowy zrujnowanej kariery wojskowej.

Chociaż von Fritsch w dalszym ciągu obstawał przy swoim sceptycznym stanowisku w kwestii agresywnej polityki zagranicznej III Rzeszy, nawet skierowana przeciwko niemu kampania oszczerstw nie zdołała zachwiać jego wiary w „ideały” narodowego socjalizmu.

Pod koniec 1938 roku zwierzył się w liście, iż „bitwa [...] przeciwko Żydom” jest w jego opinii najcięższym bojem, jaki przyjdzie stoczyć Niemcom, które niechaj znów staną się potęgą. „Mam nadzieję, że wszyscy zdają sobie sprawę z wagi tego boju”. Rok po usunięciu z urzędu jeszcze raz stwierdził z dumą: zawsze „byłem i wciąż jestem dobrym narodowym socjalistą”.

Po otrzymaniu dymisji von Fritschowi obmierzło życie w stolicy, zwłaszcza że Gestapo zleciło jego dalszą inwigilację. We wrześniu 1938 roku wziął wraz z 12. Pułkiem Artylerii udział w zajęciu Kraju Sudeckiego. Także w sierpniu 1939 roku zwierzył „frontowe powietrze” i znowu dołączył do swojego pułku, który przygotowywał się teraz do ataku na Polskę z położonego w Prusach Wschodnich Szczytna (Ortelsburg). Ponieważ z honorowym stanowiskiem szefa pułku nie wiązały się żadne obowiązki, von Fritsch nie czuł się specjalnie obciążony na froncie. Dlatego też musiała nim kierować wola czynu, skoro przed planowanym powrotem do Szczytna 22 września wziął udział w „rozpoznaniu ogniem” na warszawskiej Pradze.

Około godziny 8 rano von Fritsch wsiadł w towarzystwie swojego adiutanta Rosenhagena do samochodu i opuścił punkt dowodzenia 48. Pułku Piechoty w Drewnicy. Wraz z należącą do pułku 1. kompanią o godzinie 9.05 opuścił pozycje wyjściowe. Nagle Polacy rozpoczęli intensywny ostrzał z broni i ciężkich karabinów maszynowych. Von Fritsch, który walczył już podczas I wojny światowej, z zaciekawieniem obserwował przedstawienie, koncentrując się zwłaszcza na skuteczności ostrzału niemieckiej artylerii. Gdy w końcu o godzinie 9.40 wycofywał się wraz z Rosenhagenem, obaj dostali się pod ostrzał karabinów maszynowych rozproszonych polskich żołnierzy. Szefa pułku trafił wtedy w udo rykoszetujący pocisk. Wszelkie próby ratowania okazały się bezcelowe, śmierć nastąpiła w przeciągu minuty. Von Fritsch przeczuwał, co się święci: „Niech Pan przestanie” - powiedział do swojego adiutanta, który usiłował zająć się obficie krwawiącą raną.

Wiadomość o śmierci generała rozeszła się lotem błyskawicy. „W Rzeszy krążą wszelkie możliwe niewiarygodne pogłoski mówiące na przykład, iż sam szukał śmierci...” - czytamy w listach dwóch oficerów Wehrmachtu z listopada 1939 roku. Poza tym rozpowiadano, iż von Fritsch został zlikwidowany przez SS na froncie. Jednak szczegółowy raport sporządzony przez adiutanta Rosenhagena bezpośrednio po zajściu pozwala włożyć tego typu dzikie spekulacje między bajki. Mimo to mit o pierwszym niemieckim generale poległym podczas II wojny światowej utrzymywał się nadal. Po wojnie warszawscy poszukiwacze skarbów skrupulatnie przeczesał okolicę, mając nadzieję, iż uda im się odnaleźć szablę barona. Tymczasem szabla ta została przewieziona na uroczysty pochówek państwowy zainscenizowany w Berlinie 26 września 1939 roku na rozkaz Hitlera - człowieka, który według słów samego von Fritscha z 1938 roku nie tylko „zdradził [go] i pozostawił własnemu losowi”, lecz także odmówił złożenia wieńca na grobie generała na cmentarzu inwalidów 22 września 1940 roku. Niemiecka komenda garnizonowa w Warszawie zleciła postawienie pomnika w miejscu, gdzie poległ von Fritsch. Pomnik ten został zniszczony pod koniec wojny, dlatego też dziś trudno ustalić dokładne jego usytuowanie. Najpewniej stał w miejscu, gdzie obecnie jest stacja benzynowa.

### Osiemnastodniowa kampania

Wkroczenie Wehrmachtu do Polski w 1939 roku było od samego początku dokumentowane przez niemieckich korespondentów wojennych. Kompanie propagandowe filmowały ostrzał Westerplatte lub towarzyszyły - tak jak Leni Riefenstahl, która przebywała przez krótki czas wraz ze swoją ekipą filmową w rejonie operacyjnym Grupy Armii „Południe” - oddziałom podczas przeprowadzanych przez nie operacji bojowych. Kamerzyści siedzieli w kokpitach niemieckich bombowców. Jednak również zwykli żołnierze robili zdjęcia,

a także byli instruowani przez swoich przełożonych, by sporządzać raporty opisujące przeżycia. Raporty te miały być następnie zamieszczane w pamiętniku jednostki lub przedrukowywane w prasie w ojczystych stronach autorów. Wojna w 1939 roku była jednocześnie wielkim przedsięwzięciem reklamowym, którego zdjęcia i opowieści docierały do pozostałych w domu rodaków w formie kronik filmowych *UfA-Tonwoche*, jak również zalewających rynek książek i artykułów prasowych.

To właśnie jeden z pisarzy i korespondentów wojennych - Rolf Bathe - już w październiku 1939 roku ukuł slogan „kampania osiemnastu dni”. Taki tytuł nosiła także jego książka poświęcona niemieckiej agresji na Polskę; w podtytule znalazło się sformułowanie „Kronika polskiego dramatu”. W przedmowie Bathe wyjaśnił, że decydujące znaczenie dla wyboru tytułu miał fakt, „iż dowództwu sił lądowych udało się - w ciągu 18 dni - śmiertelnie ugodzić, rozpędzić, wziąć do niewoli i zniszczyć Wojsko Polskie w *otwartym polu*, w toku sekwencji powiązanych ze sobą manewrów okrążających. Natomiast późniejsze akcje bojowe i czystki, które ciągnęły się do października 1939 roku, powinny w opinii autora zostać pominięte. Nietrudno było przy tym przejrzeć motyw skłaniający do tak znacznego skrócenia czasu kampanii (do mniej niż połowy rzeczywistego trwania działań wojennych) - chodziło mianowicie o umniejszenie roli Armii Czerwonej w pokonaniu polskich sił zbrojnych. Wojna w Polsce faktycznie rozwijała się z niespotykaną dotąd szybkością, a najważniejsze bitwy stoczono najpóźniej 18 września. We wczesnych godzinach porannych 1 września 1939 roku granicę z Polską na północy i południu przekroczyły wojska lądowe Wehrmachtu - dwie grupy armii o łącznej sile 1,5 miliona żołnierzy, wspierane przez dwie floty lotnicze: 1. Flota Powietrzna (Grupa Armii „Północ”) i 4. Flota Powietrzna (Grupa Armii „Południe”) wraz z prawie 2000 maszyn gotowych do wykorzystania bojowego - i siłom tym udało się wówczas ominąć lwią część operujących na pograniczu oddziałów wojska polskiego (armii: „Pomorze”; „Poznań”; „Modlin”; „Łódź”; „Prusy” i „Kraków”), które stopniowo

zostały odcięte od zaplecza wskutek nalotów bombowych Luftwaffe w trakcie pierwszych dni wojny. Dzięki temu - przy względnie słabej obronie wojsk polskich - Niemiec żołnierze mogli wdzierać się coraz bardziej w głąb kraju, zaciskając od północy i południa kleszcze wokół Warszawy. 6 września oddziały Grupy Armii „Południe” zajęły Kraków, a dwa dni później pierwsze jednostki 4. Dywizji Pancерnej dotarły na przedmieścia stolicy Polski.

Tym samym w ciągu pierwszego tygodnia działań wojennych oddziałom Wehrmachtu udało się zająć rozległe obszary Polski. Mimo to polskie siły zbrojne nie zamierzały poddawać się bez walki. Część wojsk Armii „Pomorze” i Armii „Poznań” wpędziła okresowo operujące na zachód od Warszawy jednostki niemieckich armii: 4., 8. i 10. w tarapaty. Prowadzone wówczas od 9 do 22 września walki przeszły do historii jako „bitwa nad Bzurą”, która miała rozstrzygające znaczenie dla kampanii wrześniowej. Jednak los Polski został przypieczętowany najpóźniej 17 września, gdy Armia Czerwona przekroczyła granicę polsko-sowiecką, oficjalnie usprawiedliwiając agresję ochroną zamieszkałych we wschodniej części kraju Ukraińców i Białorusinów. Warszawa i położona w jej pobliżu twierdza Modlin skapitulowały 28 września. Rozproszone niedobitki Wojska Polskiego, którym udało się przedostać do wschodniej Polski, stawiały opór aż do października. 5 października ostatnie oddziały pod dowództwem generała Franciszka Kleeberga złożyły broń pod Kockiem.

Wyczekująca postawa mocarstw zachodnich i wkroczenie Armii Czerwonej na wschodnie tereny Polski ostatecznie odebrały oddziałom Wojska Polskiego możliwość wycofywania się na wschód. Gdyby nie to, niemiecka agresja na Polskę w 1939 roku z pewnością nie przeszłaby do historii jako „kampania osiemnastu dni”. Szybkie zwycięstwo przyczyniło się do zapoznania poważnych braków, które się ujawniły podczas niemieckiej ofensywy. Przede wszystkim na częściowo nieprzezwyciężalne trudności było narażone zaopatrywanie niemieckich oddziałów operujących na rozległych obszarach. Poza tym wiele do życzenia pozostawiało także wyszkolenie żołnierzy.



W rezultacie trzeba było wyciszyć informacje o wykroczeniach przeciw cywilom i wziętym do niewoli jeńcom lub usprawiedliwić te ekscesy, przedstawiając je jako w pełni uzasadnioną reakcję na rzekome działania dywersyjne polskich partyzantów. Mit o „czystym Wehrmachcie” (zob. str. 253-256) ma swoje źródła w kampanii przeciwko Polsce w 1939 roku.

### **„Błyskawiczne pogromy” — polscy Żydzi pod niemiecką okupacją**

W drugiej połowie września 1939 roku w ciągu kilku następujących po sobie dni w położonym nad Sanem Przemyślu i okolicach rozstrzelano kilkuset miejscowych Żydów. Sprawcami mordów byli głównie wchodzący w skład Einsatzgruppe I i Einsatzgruppe von Woyrscha funkcjonariusze Policji Bezpieczeństwa. Już od pierwszego dnia niemieckiej inwazji na Polskę mieszkający w tym kraju Żydzi byli maltretowani i upokarzani; niemieccy agresorzy traktowali ich w pewnym sensie jak zwierzynę łowną. Pogromy przeprowadzone w listopadzie 1938 roku w Rzeszy przygotowały grunt pod powszechnie panujące przekonanie, że jawnie stosowana względem Żydów przemoc nie będzie ścigana przez prawo. Masakra przemyska (zob. s. 243-253) znaczyła tylko tymczasowy punkt kulminacyjny tego rozwoju wydarzeń. Gdy w lecie 1941 roku III Rzesza napadła na Związek Sowiecki, grupy operacyjne Policji Bezpieczeństwa od razu przystąpiły do pełnienia swojej „misji”. W krótkim czasie liczba ofiar wzrosła jeszcze bardziej. 29 września 1941 roku w samym tylko wąwozie Babi Jar pod Kijowem wymordowano ponad 30 000 Żydów.

Już podczas wojny książka *Book of Polish Jewry* przyczyniła się do ukućcia terminu „błyskawiczne pogromy” na określenie ekscesów antysemickich w tamtych czasach. I tak na przykład w Zgierzu 7 września aresztowano 500 Żydów, których przetrzymywano w miejscowym kościele

przez dwa kolejne dni. Lwia część uwięzionych przez większość czasu stała i nie miała nic do jedzenia. „W nawie kościoła jest pełno więźniów. Nie można ufać mieszkańcom, którzy w przeważającej większości są Żydami” — tale skomentował ówczesne wydarzenia jeden ze stacjonujących w tym miasteczku niemieckich żołnierzy. Ci ostatni opalali lub obcinali miejscowym Żydom brody, a taicie plądrowali ich sklepy oraz składy towarów. Żydów przepędzano z ich domów, a także zmuszano do płacenia wysokich „grzywn”. Gdy spłonęła synagoga, sam rabin musiał podpisać oświadczenie, iż sprawcami podpalenia byli Żydzi ze Zgierza.

Mimo niepokojącego rozwoju wydarzeń w Rzeszy we wrześniu 1939 roku wielu polskich Żydów miało jeszcze nadzieję, że okupacja okaże się względnie znośna; w tym złudnym przekonaniu utrzymywała ich pamięć o wyniesionych z I wojny światowej pozytywnych doświadczeniach w kontaktach z Niemcami. Postawieni przed koniecznością dokonania wyboru między porzuceniem dorobku całego życia i ucieczką do sowieckiej strefy okupacyjnej bądź emigracją do Palestyny a pozostaniem na miejscu, w większości polscy Żydzi postanowili nie opuszczać mimo wszystko swojej ojczyzny. Łudzili się w przekonaniu, że przecież nie będzie aż tak źle.

W archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie znajdują się dokumenty zawierające relacje polskich Żydów, które zostały sprowadzone z powstałego podczas niemieckiej okupacji w warszawskim getcie legendarnego Archiwum Ringelbluma bądź z archiwum Żydowskiej Komisji Historycznej; po wojnie komisja przyjmowała do protokołu zeznania naocznych świadków. W prawie wszystkich relacjach — pochodzących w równym stopniu od żołnierzy Wehrmachtu i funkcjonariuszy Policji Bezpieczeństwa — „błyskawiczne pogromy” w 1939 roku jawią się jako traumatyczne przeżycie i są przedstawiane jako preludium do przesładowania i niszczenia Żydów na wielką skalę. Marcel Reich-Ranicki, którego po wydaleniu z Berlina w listopadzie 1938 roku los rzucił do Warszawy, na własnej skórze doświadczył ekscesów antysemitycznych podczas niemieckiej ofensywy w Polsce. Ówczesne zachowania niemieckich agresorów Reich-Ranicki opisał w swoich wspomnieniach w kategoriach

swego rodzaju „rytu inicjacyjnego”, wprowadzającego sprawców do świata, w którym już wszystko jest dozwolone: „Żołnierze napadający co rusz na żydowskie mieszkania chcieli się wzbogacić. Lecz nie można nie doceniać także innego motywu: robili coś, co najwyraźniej sprawiało im przyjemność. Do owego pragnienia rozrywki dołączał często sadyzm, który wypadalo skrywać w ojczyźnie, natomiast w nieprzyjacielskiej Polsce, jid i o czym przekonani byli niezliczeni Niemcy, tłumienie go nie było potrzebne: z nikim i z niczym nie musieli się liczyć, nie podlegali żadnemu nadzorowi i żadnej kontroli. Inaczej niż nad Renem czy Menem naresz-: n. cie mogli czynić to, o czym od dawna marzyli: ześwinić się”.

Antysemicka nagonka oraz przedstawiane jako oczywistość wykroczenia przeciwko Żydom stanowią główny wątek także w pochodzących ... z września 1939 roku świadectwach niemieckich żołnierzy i policjantów. /; Ci ostatni po raz pierwszy natknęli się w miasteczkach i na wsi na przerysowanego propagandowo w „Stürmerze” „Żyda ze Wschodu” (*Ostjude*) wraz z jego tradycyjnym ubiorem, uczesaniem i brodą. Wygląd polskiego „sztetla” i jego mieszkańców zdawał się potwierdzać stereotypy nazistowskiej propagandy i wielowiekowe uprzedzenia, a w powiązaniu z wydanymi przed agresją na Polskę ostrzeżeniami wzbudzał w najeźdźcach niemieckich utajony lęk. Wkraczając do miast z wysokim odsetkiem ludności żydowskiej, żołnierze Wehrmachtu odnotowywali „żydowskie niebezpieczeństwo”, a przekonanie, że wszyscy Żydzi — łącznie z kobietami i dziećmi — są uzbrojeni, było szeroko rozpowszechnione. W prywatnym albumie wojennym pod tytułem *Mit dem SD im polnischen Feldzug* („Ze Służbą Bezpieczeństwa na wojnie w Polsce”) SS-Hauptsturmführera Ericha Ehlera, który przybył do Polski wraz ze sztabem Einsatzgruppe II — album znajduje się obecnie w zbiorach Centralnego Archiwum Wojskowego w Rembertowie pod Warszawą — pod datą 5 września jest szczegółowy opis egzekucji dwóch Żydów w Częstochowie: „po południu: egzekucja dwóch żydowskich nożowników na położonym naprzeciwko komisariatu skwerze. (...) Kilka minut później: przedstawiciele tej samej rasy grzebią zwłoki”. Podpisy pod zdjęciami (same fotografie się nie zachowały) zamieszczone na końcu albumu mówią same za siebie: „Żydzi, nic tylko



Żydzi”, „Ahaswer: jak przed tysiącami lat”, „Żydzi za ogrodzeniem z drutu kolczastego”, „Selekcja Żydów na głównej ulicy w Częstochowie”, „Teraz drżą o swoje życie”, „W jego oczach: nienawiść”.

W systemie wartości niemieckich okupantów polscy Żydzi znajdowali się na szarym końcu. O tym, jak niewiele znaczyło ich życie już w pierwszych dniach wojny, świadczy przypadek podporucznika rezerwy Brunona Kleinmichela. 12 września 1939 roku żołnierze Wehrmachtu zastrzelili w Kańskich 22 Żydów, których najpierw zmuszono do wykopania grobów dla niemieckich żołnierzy i ciężko przy tym pobito. Jednym ze świadków zajścia była Leni Riefenstahl, która przebywała wówczas w tej miejscowości wraz ze swoją ekipą filmową. Mimo że do Żydów strzelało wielu żołnierzy, przed sądem postawiono później tylko jednego z nich, oficera Kleinmichela, który został skazany na rok więzienia. Jako okoliczność łagodzącą przemawiającą na korzyść sprawcy uwzględniono fakt, że polska ludność brała udział w walkach przeciwko Wehrmachtowi, a tym samym złamała odnośne przepisy prawa wojennego. Tak więc formuła „Gdzie Żydzi, tam i partyzanci”, którą posłużono się w czasie ofensywy niemieckiej w Związku Sowieckim latem 1941 roku dla usprawiedliwienia masowych mordów dokonywanych wówczas przez grupy operacyjne, a która oznaczała początek Holokaustu, miała swoje źródła w kampanii polskiej w 1939 roku.

Krzepice (1 IX): „Z zaciekawieniem przyglądaliśmy się wielu sztywnym z brudu Żydom”; Mława (4 IX): „Miasto płonęło w wielu miejscach, ani śladu wroga. W uliczkach roilo się od Żydów, którzy pozdrawiali nasze wojska słowami «Chail Chitler» i plądrowali domy”; Malców (5 IX) „Żydowskie miasto [...]. Brudne i zaniedbane. Remonty widocznie nie wydawały się mieszkańcom konieczne. Boże, widzisz i nie grzmisz?! Ty brudny narodie wybrany!”; Piotrków Trybunalski (6 IX): „Uderzająca jest duża liczba wstrętnych Żydów”; Nowy Sącz (6 IX): „Było to typowe polskie miasto. Na każdym rogu stali Żydzi i z mieszanymi uczuciami przyglądali się naszemu przemarszowi. Niektórzy z szacunkiem zdejmowali kapelusze, inni prorokowali, że «Izrael jednak

zwycięży». Ci pseudo-Aryjczycy stanowili tu wyraźną większość. Iszaak Buchsbaum, Axon Leiber, Israel Fischlib i podobne nazwiska na szyldach sklepowych świadczyły o czystości rasowej tych typów”; Zduńska Wola (6 DC): „Zapadła żydowska dziura”; Stopnica (7 DC): „Żydowskie miasto”, w którym „niezliczona chmara Żydów powodowana fałszywą uprzejmością chciała nam dać gotowane jajka”; Tarnów (7 DC): „[Miasto] zostało zajęte [...] w zupełnym spokoju. Na ulicach stali ciasno stłoczeni mieszkańcy, w 95 procentach Żydzi. Dla bezpieczeństwa dowódca pułku rozkazał wziąć zakładników”; Lipno (8 DC): „Zapadła dziura pełna Żydów!”; Biecz (8 DC): „Jakieś niewiniądco uznało, że musi to być niemieckie miasto, wskazując na szyldy z pięknymi niemieckimi nazwiskami, takimi jak Rosenblatt i Osterduft. Potem naszym oczom ukazało się kilka takich typków. Żydzi w chałatach i z pejsami, jakich nie można zobaczyć nawet w «Stürmerze»”; Sierpc (9 IX): „Podczas wieczornej rekwizycji okazało się, że jest to zapuszczone żydowskie miasteczko, sprawiające raczej wrażenie wsi”; Krosno (9 IX): „Żydów było mnóstwo. Wszędzie widać było ich śmieszne postacie, brudne i ubrane w najdziwniejsze stroje”; Rawa Mazowiecki i Mszczonów (8/9 DC): „Żydowskie miasta”; Rymanów (9 IX): „Doprawdy wspaniałe okazy galicyjskich Żydów. Ilustrator «Stürmera» miałby niezły ubaw, obserwując nastrój i strach tych wzorcowych egzemplarzy [Żydów] na widok niemieckich oddziałów górskich błyskawicznie wkraczających do ich mieściny”; Raciąż (10 DC): „Żydowskie miasteczko najgorszego sortu. Rzut pieszy marszerował chodnikiem przez miasto, a żydowska hołota pierzchała z drogi jak małpy i wspinała się po swych domostwach przypominających klatki”; „Dzisiaj przechodziliśmy przez Raciąż, niewielką żydowską mieścinę w Polsce. Tylu Żydów naraz nikt z nas chyba jeszcze nie widział! Tę kolonię brudnych bud trudno właściwie nazwać miastem. Cywilizowanym ludziom nie mieści się w głowie, jak można mieszkać w takich warunkach! Z kolumny marszowej padały niekiedy ostre, ale trafne słowa pod adresem mieszkańców, którzy tępo gapili się na żołnierzy”; Węgrów (11 DC): „Rozłożyliśmy się na nocleg na podwórzach i w domach na skraju tego żydowskiego miasta, które znacznie przewyższało Malców

pod względem brudu i różnorodności typów ludzkich”; Lubraniec (11 IX): „Polska miścina, w której mieszkają chyba tylko Żydzi. Wokół rynku stoją jednopiętrowe budynki, które są raczej barakami niż domami”; Kraków (13 IX): „Zwiedziliśmy [...] dzielnicę żydowską, gdzie dotarło do nas wreszcie, jak niezwykle ważna i potrzebna była ustawa rasowa naszego Führera”; Szydłowiec (14 IX): „Okropna żydowska dziura (Icek z bujną brodą), która ze swym zaniedbanym cmentarzem żydowskim i kompletnie zdewastowanymi domami zrobiła na nas oplakane wrażenie”; Kraśnik (13 IX): „Duże żydowskie miasto, [...] zdecydowanie niezbyt zachęcające. Wszędzie unosił się wstrętny fetor ideoacny, będący oznaką brudu i braku kanalizacji. Jest dla nas zagadką, jak ludzie mogą się dobrze czuć w takich warunkach. Podczas rewizji żołnierze starali się zachowywać ostrożność, żeby nie pojawił się nowy wróg w postaci pluskiew i wszy”; Żelechów (16 IX): „W porównaniu z innymi [miejscowościami] w mieście pozostało jeszcze wielu mieszkańców, w tym oczywiście mnóstwo Żydów”; Lubień (16 IX): „Żydzi, których również tutaj jest bardzo wielu, zostali zatrudnieni do usuwania gruzów. Poza tym ludność jest przyjaźnie nastawiona do Niemców”; Jarosław (17 DC): „Strasznie dużo Żydów”; Piątek (17 IX): „Mnóstwo Żydów, wstrętne typy”; Włodowa (17 IX): „Nieprzyjemne żydowskie miasto”; Tarnów i Rzeszów (24 IX): „Miasta bez Aryjczyków — wszędzie przed drzwiami domów siedzą Żydzi z długimi brodami i nabiegłymi krwią oczami, ubrani w długie czarne chałaty”; Zarszyn (28 IX): „Jalt wszędzie w Polsce, także i tutaj urządzenia sanitarne pozostawiały wiele do życzenia. Domy, zwłaszcza te, w których mieszkali Żydzi, były strasznie zapuszczone, roilo się w nich od pluskiew i robactwa”; w okolicach Lwowa (koniec września): „Trasa przemarszu wiodła wzdłuż miejsc walk naszych wojsk, często przez nędzne okolice i miasta, w których widać było prawie samych Żydów”; na polach naftowych Drohobycz (koniec września): „Żydzi i nafta to [...] najbardziej rzucające się w oczy zjawiska [...]. Byliśmy świadkami wyjścia Izraelitów do ziemi obiecanej”; Łuków (8 X): „Straszna żydowska dziura, mimo że już 1000 Żydów opuściło miasto wraz z Rosjanami”; i w ogóle na całej

trasie ofensywy: „Obok nas przemykali brudni polscy Żydzi, służalczo wyciągając rękę w geście niemieckiego pozdrowienia i mamrocząc «*Heil Hitler*!» [...]. Uderzająca jest ogromna liczba wyjątkowo odrażających typów Żydów ze Wschodu. Ich postacie są najlepszą lekcją pogładową, jaką w kwestii żydowskiej mogli otrzymać nasi ludzie [...]. Płynąca ku nam fala uciekinierów zdaje się nie mieć końca. Polscy chłopci i mieszkańcy miast, w tym mnóstwo Żydów z długimi brodami i w futrzanych czapkach na głowach, podążają pieszo lub przeważnie na wozach w głąb kraju”; „W Birczy dotarło do nas, dlaczego konieczne jest radykalne rozwiązanie kwestii żydowskiej. Można tam było zobaczyć, w jakich warunkach gnieźdzą się te bestie w ludzkiej postaci. Brodaci, ubrani w chałaty, z twarzami wykrzywionymi diabelskim grymasem, zrobili na nas wstrętne wrażenie. Każdy, kto nie był przedtem radykalnym antysemitą, musiał stać się nim tutaj”; „By uniknąć strat spowodowanych przez powstańców, spędziliśmy wszystkich mieszkańców [Brześcia Kujawskiego] na rynek, sprawdziliśmy, czy nie mają przy sobie broni, po czym zamknęliśmy mężczyzn w kościele. [...] Ktoś strzelił w kierunku patrolu rozpoznawczego cyklistów. Poza tym żadnego oporu. Dużo Żydów”.

Jochen Böhrer, *Zbrodnie Wehrmachtu w Polsce. Wrzesień 1939, wojna totalna*, tłum. P. Pieńkowska-Wiederkehr, Kraków, 2009, s. 53-55.  
Wszystkie cytaty pochodzą z dzienników wojennych i listów z pola walki pisanych przez żołnierzy niemieckich podczas kampanii wrześniowej.

### Masakra przemyska

Niekontrolowane ekscesy przemocy szły ręką w rękę z systematycznymi prześladowaniami. Na celowniku grup operacyjnych Policji Bezpieczeństwa bynajmniej nie znajdowały się tylko polskie elity czy organizacje byłych powstańców. Przede wszystkim w południowej Polsce we wrześniu 1939 roku wszędzie płonęły synagogi, a sytuacja była na tyle poważna,

ie sam Himmler poczuł się zmuszony do interweniowania w tej sprawie — w drugim tygodniu wojny zarządził teleksem, by oszczędzono przynajmniej synagogi w Krakowie, Łodzi i Warszawie. W tym samym czasie Reinhard Heydrich zarządził (w swoim osławionym telefonogramie [„*Schnellbrief* z 21 września 1939 roku) sporządzenie list Żydów w poszczególnych gminach żydowskich; miało to umożliwić przygotowanie ich późniejszej deportacji i koncentracji w większych miastach. I w tym przypadku stosowanie brutalnej przemocy było na porządku dziennym. „Ci ludzie, oni stoją tu na rynku i krzyczą, wołają, i ci policjanci — padły już pierwsze strzały, kilka domów się pali” — donosił przez telefon pod koniec września z Mławy zdenerwowany kwatermistrz 3. Armii głównodowodzącemu, generałowi von Kuchlerowi, który zaraz potem zażądał zluzowania Einsatzgruppe V. Krok ów był spowodowany brakiem dyscypliny charakteryzującym tę formację policji — dwa tygodnie wcześniej grupa operacyjna „w porozumieniu z miejscowymi dowódcami oddziałów” wydalila z Mławy 350 Żydów.

Jeśli chodzi o wydalanie Żydów, to współpraca między grupami operacyjnymi i Wehrmachtem układała się z reguły bez zakłóceń. Wraz z podbiciem Polski kilka milionów Żydów za jednym zamachem znalazło się pod niemieckim panowaniem. Fakt ten także w ocenie wyższych oficerów Wehrmachtu stanowił pewien problem, dla którego „rozwiązanie” znalazł pułkownik w sztabie generalnym Eduard Wagner, zarządzając 12 września 1939 roku deportację Żydów ze wschodniego Górnego Śląska za rzekę San. Zgodnie z dodatkową tajną klauzulą do paktu Ribbentrop-Mołotow (zob. s. 77—79) terytoria na wschód od Sanu miały zostać zajęte przez Związek Sowiecki. Jednak w tamtym czasie Wehrmacht był zbyt zajęty podbojem kraju, by zrealizować ten cel w praktyce. Zamiast tego we wschodniej części Górnego Śląska szerzył się terror, głównie za sprawą działalności Einsatzgruppe von Woyscha i Einsatzgruppe I SS-Brigadeführera Brunona Steckenbacha, które systematycznie mordowały Żydów napotkanych na swojej drodze na wschód. Nieustannie rosnące liczby ofiar miały wywołać falę ucieczek Żydów w tym właśnie kierunku.



W połowie września doszło do masakry w Dynowie, która pochłonięła życie blisko 200 Żydów: „ustawiali szeregiem po dziesięć osób i oświetlając ich reflektorami z aut, strzelali do nich z karabinu maszynowego” — tak krwawą rzeź wspomina jeden z naocznych świadków, któremu udało się przeżyć. Następnie jednostki specjalne ruszyły dalej, w kierunku linii demarkacyjnej wyznaczającej granicę okupowanej przez Sowieców wschodniej Polski. Tutaj grupy operacyjne i Wehrmacht urządziły wspólnie polowanie na Żydów. Samo tylko Einsatzkommando 3/1 pod dowództwem SS-Sturmbannführera dr. Alfreda Hasselberga zepchnęło na odcinku między Jarosławiem a Sandomierzem 18 000 Żydów za rzekę San. Następnie oświadczono, że obszar ten jest *judenfrei* („wolny od Żydów”). Masakry dokonywane we wschodniej Polsce przez grupy operacyjne osiągnęły swój punkt kulminacyjny w Przemyślu. W ciągu dwóch tygodni von Woyrsch i Hasselberg, dwaj fanatyczni antysemita o psychopatycznych skłonnościach, zebrali wraz ze swoimi ludźmi doświadczenia w mordowaniu Żydów.

Gdy ojciec przyjechał na urlop, powiedział: „Jeśli musimy znosić jeszcze takie rzeczy, to czeka nas straszny, bardzo zły los”. (I ta jego obawa sprawdziła się!) Wtedy przyszła do nas Policja Bezpieczeństwa, funkcjonariusze, którzy również tam (w Polsce) stacjonowali. Powiedzieli: „E, chodź z nami, dziś znowu wykopali dziury. Jeśli chcesz, możesz się poprzyglądać”. Wtedy on powiedział: „Nie, nie chcę tam z wami iść”. Tam Żydzi musieli wykopać swoje groby, ustawiać się przed nimi, a wtedy byli rozstrzeliwani i wpadali do własnoręcznie wykopanych grobów. Tego wszystkiego doświadczył mój ojciec. Był przy tym obecny pewien mężczyzna ze Stuttgartu, niejaki W, który opowiadał, że poszli na dworzec i urządzili tam czystkę. Już wtedy wiedzieliśmy, co rozumiano przez czystki. Wśród Żydów znajdowało się trzyletnie dziecko. Ten mężczyzna ze Stuttgartu chwycił dziecko lewą ręką, w prawej trzymał pistolet, i powiedział: „Ty też już nie jesteś problemem!”. I nacisnął

spust. Już w 1939 roku wiedzieliśmy o wszystkim, co dzieje się w Polsce. Te fakty były powszechnie znane. Żołnierze opowiadali przecież o wszystkim w swoich domach.

Wywiad przeprowadzony 5 lipca 2006 roku z panią L.H. z Bietigheim (ur. 1926), w: *Feldpost, Briefe zwischen Heimat und Front. Eine Collage*, pod red. Christy Lieb, Stuttgart 2007 (Schriftenreihe des Archivs der Stadt Bietigheim-Bissingen, t. 7), s. 41.

Przed I wojną światową położony na Podkarpaciu Przemyśl został rozbudowany jako twierdza. Jej najbardziej zewnętrzny pierścień miał w obwodzie 45 kilometrów. Od 2 września 1939 roku twierdza była bombardowana przez Luftwaffe. 13 września do miasta zbliżyła się 7. Dywizja Piechoty, która — po krótkotrwałych walkach — została przekazana pod dowództwo komendanta 62. Pułku Piechoty. 16 września do miasta dotarły jednostki 11. i 24. Dywizji, i jeszcze tego samego dnia kontrolę nad wojskami przejęła 570. Komendantura Polowa. Innymi słowy — od połowy września Przemyśl znajdował się w rękach Niemców. Na ulicach kotłowały się teraz tysiące żołnierzy Wehrmachtu, którzy po trudach działań bojowych w ciągu pierwszych dwóch tygodni wojny korzystali ze słonecznego późnego lata w idyllicznym małym mieście położonym nad rzeką. 16 września 1939 roku swoje kwatery w Przemyślu zajęła Einsatzgruppe von Woyrscha wraz z wszystkimi wchodzącymi w jej skład jednostkami, a w tym samym czasie w mieście przebywało także Einsatzkommando 3/1 pod dowództwem Alfreda Hasselberga. To, co nastąpiło, nie zostało udokumentowane ani w raportach grup operacyjnych, ani w dziennikach działań bojowych jednostek Wehrmachtu stacjonujących w Przemyślu.

W dniach od 16 do 19 września grupy operacyjne przeprowadzały masowe aresztowania wśród żydowskich mężczyzn w mieście. Ofiary pędzono pieszo lub przewożono na ciężarówkach do różnych miejsc kaźni — zarówno w samym Przemyślu, jak i poza jego granicami — a następnie rozstrzeliwano. Masakra obejmowała wiele odrębnych akcji rozstrzeliwań, które ciągnęły się przez kilka dni. To właśnie dlatego w relacjach naocznych świadków tych zdarzeń, a także osób, które przeżyły

pogrom, pojawiają się tak różne dane dotyczące czasu i miejsca egzekucji oraz liczby ofiar. Do tej pory historykom nie udało się dogłębnie zbadać masakry Żydów w Przemyślu, dlatego też nakreślenie spójnego obrazu ówczesnych wydarzeń ze wszystkich elementów tej mozaiki następcza w dalszym ciągu wielu trudności. Z pewnością można stwierdzić, że liczba ofiar szła w setki. Niektóre źródła mówią o 500 do 800 zabitych. Według danych burmistrza Michała Wiślickiego z 1945 roku na samym tylko przedmieściu Przekopana w masowym grobie o wymiarach 3 metry na 200 metrów pogrzebano około 900 żydowskich mężczyzn, nazwiska 103 osób zawiera rejestr zmarłych prowadzony przez gminę żydowską w Przemyślu.

W każdym razie pogrom rozgrywał się na oczach stacjonujących w mieście żołnierzy Wehrmachtu. Chyba aby zapanować nad wymykającymi się spod kontroli rozstrzeliwaniami, dowództwo 14. Armii ustanowiło 19 września komendantem miasta doświadczonego oficera — generała artylerii Alfreda Strecciusa, któremu podporządkowano zarówno 570. Komendanturę Polową, jak i wszystkie siły policyjne w Przemyślu. Urodzony w 1874 roku Streccius w przeszłości brał udział w operacjach wojskowych w niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej, walczył także w I wojnie światowej, a w latach trzydziestych został wysłany do Chin jako doradca wojskowy. 25 września zameldował przełożonym z XVIII Korpusu Armijnego o „rozstrzeliwaniach przeprowadzanych bez postępowania sądowego oraz o przestępstwach dokonywanych przez członków jednej z formacji policyjnej SS”. Ten raport zaalarmował generała brygady Hingnoza pełniącego służbę w operującym w tym rejonie XVIII Korpusie Armijnym. Wezwał on SS-Obergruppenführera von Woyrscha do złożenia wyjaśnień w sprawie wspomnianych egzekucji. Hingnoz stwierdził, że „w rejonie operacyjnym wzajemnie sprzeczne instrukcje prowadzą do powstania sytuacji, której nie można zaakceptować”. Von Woyrsch energicznie zaprzeczył, jakoby przeprowadzane przez jego jednostkę operacje specjalne stały w sprzeczności z instrukcjami wojskowymi. „Z braku czasu” generał Hingnoz zrezygnował z dalszego dochodzenia w tej sprawie, a 30 września 1939 roku XVIII Korpus Armijny przekazał do rozpatrzenia dowództwu armii tylko dwa przypadki — rozstrzelanie czterech Żydów i trzech polskich

chłopów oraz 18 Żydów z powodu podejrzenia o działalność partyzancką. Oba przypadki nie wykazywały jednak bezpośredniego związku z rozstrzelaniami, o których komendant miasta prawie z pewnością nie wspomniał w swoim — nie zachowanym — raporcie z 25 września 1939 roku.

Nasuwa się więc pytanie, co skłoniło odpowiedzialne instancje wojskowe do tego, by pominąć milczeniem masowe rozstrzelania w Przemyślu. Czyżby za ekscesami stały nie tylko grupy operacyjne Policji Bezpieczeństwa? W wydanym 18 września tajnym piśmie głównodowodzącego 14. Armią generała broni Wilhelma Lista czytamy: „W ostatnich dniach mnożą się meldunki o braku dyscypliny, jak również o wybrykach i aktach samowoli skierowanych przeciwko ludności cywilnej. Przykładem niech będą grabieże, samowolne włamania do sklepów i przywłaszczanie sobie dóbr niebędących towarami pietwszej potrzeby, [...] samowolne rozstrzelania bez wyroku odpowiedniego sądu wojennego lub polowego, znęcanie się nad bezbronnymi, gwałty i palenie synagog. [...] Wszystkie te incydenty świadczą o rozluźnieniu dyscypliny i osłabieniu norm moralnych, przede wszystkim w oddziałach operujących na tyłach frontu”.

Stosowanie przemocy, dające się zaobserwować u wielu żołnierzy, gotowość do znęcania się zwłaszcza nad polskimi Żydami, a także szeroko rozpowszechniony pogląd, że ekscesy antysemickie nie są karane, nasuwają wniosek, iż wskutek wszystkich wymienionych powyżej wykroczeń niemieckich żołnierzy ucierpiała także w dużej mierze ludność pochodzenia żydowskiego. W każdym razie 19 września generał List poczuł się zmuszony do ukrócenia z całą surowością „wszelkich środków stosowanych przeciwko Żydom”. Jest to kolejna wskazówka sugerująca współudział żołnierzy Wehrmachtu w przeprowadzanych przez grupy operacyjne w Przemyślu ekscesach antysemickich. W tym kontekście warto jeszcze zwrócić uwagę na wydany 24 września przez głównodowodzącego armią von Brauchitscha rozkaz („w sprawie dyscypliny”), w którym ten ostatni również zajmuje stanowisko w kwestii ekscesów wojska. Odnośny zapis w punkcie 3 tekstu brzmi następująco: „Udział członków armii w egzekucjach przeprowadzanych przez policję jest zabroniony”.

Jeśli uwzględni się wszystkie te wskazówki, to staje się oczywiste, że masakra w Przemyślu nie została wymieniona w żadnym oficjalnym

raporcie Wehrmachtu, i to właśnie dlatego, że faktem powszechnie znanym było niebagatelne zaangażowanie własnych oddziałów w tym pogromie. Sami zaś sprawcy mniej troszczyli się o utrzymanie własnych czynów w tajemnicy. Sierżant żandarmerii polowej — formacji wchodzącej w skład Wehrmachtu — Hans Stange jeszcze w czasie wojny chwalił się przed polskim podporucznikiem Marianem Słomą, że w 1939 roku własnoręcznie zastrzelił w Przemyślu 50 Żydów. Aby uwiarygodnić swoje przechwałki, z dumą pokazał zdjęcie przedstawiające go z pistoletem w ręku, a także grupę Żydów ustawioną w szeregu pod murem. Łącznie, jak wynika z opowieści sierżanta, zastrzelono wówczas około 700 Żydów.

Kilka dni po wejściu Niemców jechałem w południe przez ulicę Mickiewicza. Była to jedna z najszerszych ulic w Przemyślu. Nagle zobaczyłem przed sobą grupę ludzi biegnących w szeregu środkiem jezdni. Zjechałem na bok i zatrzymałem się. Było może ze sto osób z rękami założonymi na karku. Kiedy mnie mijali, poznałem, że są to Żydzi.

Byli na pół rozebrani. Krzyczeli:

—*Juden sind Schweine!*

Po bolcach, z rewolwerami w rękach, biegli Niemcy. Młodzi chłopcy, w wieku mniej więcej od szesnastu do osiemnastu lat, ubrani w czarne mundury ze swastyką na rękawie. Jasnoblond włosy, różowe twarze. Poganiali swe ofiary, a kiedy ktoś ustął lub łamał szereg, bili go kolbą rewolweru lub nahaj ką utrzymaną w drugiej ręce albo kopali. Polacy przystawali na chodniku i oczom nie wierząc, żegnali się na ten przekropny widok. Twarze pędzonych starców były wykrzywione bólem, młodzieńcy chłopcy płakali. Niemcy biegli szczęśliwi, upojeni władzą.

Jak się okazało, wpadli rano do żydowskiej dzielnicy i biciem i kopaniem wygonili mężczyzn z domu. Najpierw dręczyli ich przez szereg godzin, zmuszając do wszelkiego rodzaju gimnastycznych ćwiczeń, a teraz pędzili ich w kierunku dworca towarowego, coraz dalej i dalej, skręcili na cmentarze i mury miejskie i znaleźli się poza obrębem miasta. Byłem wstrząśnięty. Pojechałem do domu i dopiero po południu, ochłonawszy trochę, wyszedłem na ulicę z zamiarem

odstawienia wozu do elektrowni. Ujrzałem nowy widok. Rozpacza-  
jące, płaczące kobiety biegły w stronę cmentarzy, gdyż oprawcy po-  
wysztrelali w Pikulicach, to jest w pierwszej wiosce poza miastem,  
wszystkich rano zebranych Żydów. Zabrałem na platformę ile się  
dało tych płaczących i krzyczących kobiet i ruszyłem w kierunku  
Pikulic. Zaraz na skraju wiosła, pod małym pagórkiem kłębiło się  
zbiegowisko. Podjechałem. To, co zobaczyłem, przechodziło wszelkie  
wyobrażenie. Leżeli tam pomordowani ci wszyscy, których przed po-  
łudniem pędziła niemiecka młodzież. Chłopi z okolicznych domów  
opowiedzieli mi, co tu się rozegrało. Podpędzono nieszczęśliwych pod  
pagórek i kazano odwrócić się tyłem. Stała tam już ciężarówka, spod  
brezentu ukazał się ciężki karabin maszynowy. Poszło kilkanaście salw.  
Na lewo i z powrotem. Znów na lewo i z powrotem. Koniec. Nie, do  
rzucających się ciał poszły dodatkowo jeszcze dwie salwy. Nikt nie  
został przy życiu. Niemcy wsiedli do ciężarówek i odjechali.

Podszedłem bliżej. Leżeli na wznak, twarzą do ziemi, na boku,  
w najprzeróżniejszych pozycjach, nawet jedni na drugich, z rękami  
rozrzuconymi, głowami roztrzaskanymi. Tu kałuże krwi, tam ziemia  
rdzawa, przesiąknięta krwią, trawa lśniąca od krwi, na ciałach skrzep-  
ła krew, zrozpaczone kobiety, umazane krwią, szukają ojców, mężów,  
synów. W powietrzu słodka wy, mdlący zapach.

Patrzyłem, słuchałem i czułem, że coś we mnie zamiera. I że coś  
we mnie pęcznieje, jakby wlewano cement w moje piersi. Dusilem  
się. Tale, dusilem się od zapachu, od tego widoku, od dochodzącego  
krzyku. Wzrokiem wchłaniałem wszystko, ale rozumem nie mogłem  
tego objąć. Przed oczami drugi obraz — śmiejących się niemieckich  
chłopców, po prostu jeszcze dzieci, wychowanków Hitlerjugend, tej  
ich hitlerowskiej młodzieży.

Bronisław Szatyn, *Na aryjskich papierach*, Kraków 1983, s. 156—157.

Jednak ogólny obraz zachowania niemieckich żołnierzy w Galicji Za-  
chodniej miał wiele odcieni. I tak na przykład, gdy admirał Canaris wi-  
zytował 14. Armię dzień po masowych rozstrzelaniach w Przemyślu

i okolicach, pierwszy oficer sztabu generalnego major Erich Schmidt-Richenberg doniósł mu „o niepokoju wśród żołnierzy powstałym w rejonie operacyjnym armii wskutek częściowo nielegalnych środków zastosowanych przez grupę operacyjną SS-Oberfuhrera Woyscha (masowe rozstrzelania, zwłaszcza Żydów). Przede wszystkim oddział jest poirytowany faktem, że młodzi ludzie próbują swojej odwagi na bezbronnych, zamiast walczyć na froncie”. Także generał List odnotował „jawne niezadowolenie” [...] przejawiające się w „wypowiedziach oficerów, podoficerów i szeregowców względem wszystkich osobistości noszących mundur połowy SS”. Za jego przyczynę należy uznać „rzekome” ataki oraz „nielegalne rozstrzelania”. Ta złość żołnierzy Wehrmachtu znalazła wyraz nawet w wybuchach agresji skierowanych przeciwko esesmanom z Einsatzgruppe I.

W rezultacie 22 września 1939 roku grupa operacyjna Woyscha została ponownie wysłana do wschodniogórnośląskiego obszaru przemysłowego. Jednak 1 października generał List położył kres szerzącej się w szeregach żołnierzy krytyce działań SS. Formacja von Woyscha miała „podjąć bezwzględne środki i spełnić swoje główne zadanie”. List pochwalil „przeprowadzane w interesie wojska, jak dotąd nadzwyczajnie skuteczne, działania grup operacyjnych”, a także wezwał dowódców swojej armii, by poinformowali podlegające im jednostki, że „udzielanie oddziałom operacyjnym daleko idącego wsparcia w zakresie realizacji pełnionych przez nie zadań policji granicznej i państwowej leży w interesie wojska”.

### **Mit o „czystym Wehrmachcie”**

Wkrótce po zakończeniu II wojny światowej byli dowódcy Wehrmachtu zaczęli utrzymywać, że podczas niemieckiej wojny totalnej we wschodniej i południowej Europie zbrodnie przeciwko cywilom i jeńcom wojennym popełniały jedynie jednostki SS. Tymczasem „tunika bojowa” walczącego Wehrmachtu rzekomo „pozostała nieskalana (krwią ludności cywilnej)”. Takie twierdzenia padały jako element obrony w trakcie procesów o zbrodnie wojenne oraz

we wspomnieniach niemieckich generałów z czasów wojny. Głównym rzecznikiem tej zakrojonej na wielką skalę kampanii propagandowej, która miała na celu rehabilitację dobrego imienia wojska, był Erich von Manstein, skazany w 1949 roku przez aliancki sąd na 18 lat więzienia i wypuszczony na wolność już w 1953 roku. Przyjęta przez Mansteina oraz innych byłych wysokich rangą oficerów Wehrmachtu strategia sprowadzała się do reinterpretowania agresji wojennej niemieckiej armii w kategoriach „wojny obronnej” przeciwko „bolszewizmowi” i „Azjatam”. W rozpoczynającej się właśnie erze zimnej wojny taki wzorzec argumentacji trafił na podatny grunt u zachodnich aliantów. Podzielone żelazną kurtyną Niemcy znalazły się w samym centrum wojny ideologicznej, ponowne zaś uzbrojenie Republiki Federalnej leżało w interesie Zachodu. Podczas tworzenia Bundeswehry raczej nie zamierzano rezygnować z doświadczenia byłych oficerów Wehrmachtu nabytego między innymi w walkach przeciwko Rosji. Jednak podstawowym warunkiem nawiązania z nimi współpracy była ich daleko idąca rehabilitacja. W tej atmosferze obraz rzekomo „dobrego” Wehrmachtu, który przeciwstawiano „złemu” SS, służył nie tylko narodowym, lecz także międzynarodowym interesom. Pomocny okazał się zwłaszcza fakt, że w trakcie procesów norymberskich ani naczelnego dowództwa, ani sztabu generalnego Wehrmachtu nie uznano - w przeciwieństwie do SS - za „organizację przestępczą”.

Jednak taki sposób postrzegania był kwestionowany przez historyków wojskowości po obu stronach żelaznej kurtyny najpóźniej od początku lat siedemdziesiątych. Gdy Stany Zjednoczone zwróciły zarekwirowane po wojnie akta cywilnych i wojskowych urzędów III Rzeszy, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zaczęły się mnożyć dowody świadczące o głębokim uwikłaniu Wehrmachtu w wojnę totalną i w Holokaust. NRD stosunkowo wcześniej podniosła ów punkt widzenia do rangi oficjalnej doktryny państwowej. Tymczasem w Niemczech Zachodnich odkrycie to ograniczało się do wąskiego kręgu specjalistów i ludzi interesujących się historią.



To właśnie dlatego objazdowa wystawa *Vernichtungskrieg. Verbrechen der Wehrmacht 1941-1944* („Wojna totalna. Zbrodnie Wehrmachtu w latach 1941 -1944”), którą można było obejrzeć w niemieckich miastach od 1995 roku, wywołała falę oburzenia w całym kraju. Mit mówiący o „czystym Wehrmachcie” pełnił nie tylko określoną funkcję polityczną, lecz także funkcję społeczną. Ponieważ po wojnie prawie nikt nie przyznawał się otwarcie do swojej dawnej przynależności do SS, odpowiedzialność za zbrodnie wojenne popełnione w czasie II wojny światowej zrzucano na kilku nielicznych sprawców - z Hitlerem, Himmlerem i Heydrichem na czele - spośród których wielu nie przeżyło wojny. Potępienie Wehrmachtu, w którego szeregach służyło w latach 1939-1945 łącznie około 18 milionów żołnierzy, oznaczałoby bowiem to, że wina za zbrodnie wojenne spada w mniejszym lub większym stopniu na prawie każdą rodzinę niemiecką. W NRD radzono sobie z tym faktem, posiłkując się absurdalnym skądinąd twierdzeniem, że wszyscy sprawcy zbrodni przebywają na terytorium Republiki Federalnej, w państwie będącym „bezpośrednim spadkobiercą” III Rzeszy.

Obecnie fakt, że bez współdziałania Wehrmachtu nie byłoby możliwe prowadzenie wojny totalnej, a więc także mordowanie sowieckich jeńców wojennych i cywilów - w szczególności zaś Żydów - na okupowanych terenach w Europie Wschodniej i Południowej, nie tylko nie jest już kwestionowany w kręgach niemieckich specjalistów, lecz także stanowi ogólnonarodowy konsens. Żaden poważny historyk w Niemczech nie broni już legendy o „czystym Wehrmachcie”. Warto podkreślić, że uznanie (współodpowiedzialności niemieckiej armii za zbrodnie wojenne nie oznacza jeszcze automatycznie, że każdy był żołnierz Wehrmachtu był/jest mordercą. Ponadto dokonano się także przewartościowanie oceny działań wojennych niemieckich oddziałów podczas kampanii w Polsce w 1939 roku. Istnieje wprawdzie powszechna zgoda co do tego, że już w czasie wojny z Polską jednostki Wehrmachtu, SS i policji dokonywały zbrodni na masową skalę, wciąż jednak toczą się spory, czy kampanię



polską należy postrzegać jako przełomowy punkt w procesie rozwoju od „tradycyjnego” do „radikalnego” sposobu prowadzenia wojny, czy też kampania ta stanowiła „preludium do wojny totalnej”. Debaty na ten temat ma charakter czysto akademicki i raczej nie należy się spodziewać, że zasadniczo wpłynie na stan wiedzy historycznej.

### **Niekontrolowane akty zemsty czy planowa eksterminacja?**

W grudniu 1939 roku SS-Sturmbannführer Alfred Hasselberg, który nakłonił swoich ludzi z Einsatzkommando 3/1 stacjonującego wówczas w dystrykcie lubelskim do ścigania i mordowania miejscowych Żydów, został wezwany do utworzonego właśnie w Berlinie Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (Reichssicherheitshauptamt, RSHA). Podobno Hasselberg dawał się we znaki swoim podkomendnym, zachowując się kapryśnie i ekscentrycznie, co z kolei miało wynikać z jego specyficznego pojmowania idei „nadczołowieczeństwa”. W rezultacie dochodziło do tarć w relacjach między komendantem a podlegającymi mu ludźmi. Dwóch funkcjonariuszy policji, których przydzielono do jednostki Hasselberga dopiero w listopadzie 1939 roku, zdezerterowało. Gdy dotarli do Berlina, donieśli odpowiednim władzom o nieznośnych warunkach, jakie miały panować w oddziale. Wtedy też od razu wszczęto postępowanie przeciwko SS-Sturmbannführerowi. W toku postępowania wielu członków formacji Einsatzkommando 3/1 podało swoje zeznania do protokołu.

Dzięki temu prowadzący śledztwo urzędnik mógł sobie stworzyć obraz działalności szwadronu śmierci, który wskutek ekscesów nieobliczalnego dowódcy wymknął się spod wszelkiej kontroli. Najpóźniej pod koniec września, gdy jednostka dotarła do Jarosławia nad Sanem, miasta znajdującego się na południowym wschodzie jej obszaru operacyjnego,

nastrój funkcjonariuszy przerodził się w ślełą nienawiść. Hasselberg swoim rozgorączkowaniem doprowadził własnych ludzi oraz przydzielony im sprzęt na skraj wydajności. Wkrótce samowola dowódcy jednostki oraz szczególny charakter powierzonej jej misji zaczęły wywierać wpływ na członków oddziału. Na porządku dziennym były przypadki grabieży. „Skoro [...] dr Hasselberg zniósł do swojego mieszkania wszystkie rzeczy, które mogły mu się jakoś przydać [...], jego ludzie - rzecz jasna - też nie cofnęli się przed dzikim, chaotycznym rekwirowaniem wszystkiego i wykorzystywaniem zrabowanych rzeczy do służbowych celów”. Jednak szczególnie trwałe ślady w psychice funkcjonariuszy pozostawił po sobie proceder dokonywania masowych egzekucji. W rezultacie członkowie oddziału zapadli na zdrowiu, najczęściej cierpieli na dolegliwości żołądkowe i wrzody, zdarzały się także dolegliwości nerwowe. Sam Hasselberg uczestniczył osobiście tylko w jednej egzekucji. Zgodnie z instrukcjami komendanta śmierć zadawano, strzelając w potylicę. Jednocześnie esesmani zostali zobowiązani do składania raportu komendantowi z przebiegu egzekucji bezpośrednio po wykonaniu wyroku.

Po kilku tygodniach pobytu w Polsce wśród członków Einsatzkommando 3/1 zaczęło się szerzyć poczucie rozgoryczenia i rozpacz. Wielu z nich, opowiadając z perspektywy czasu o działaniach operacyjnych w Polsce, często używało sformułowania, że „Hasselbergowi należy się kulka w leb”. Dowódcy poszczególnych jednostek wchodzących w skład oddziału mieli ręce pełne roboty — z ogromną determinacją dążyli do utrzymania kontroli nad swoimi ludźmi. Ci ostatni różnie reagowali na sytuację graniczną, w jakiej się znaleźli. Niektórzy rzucali, „przebywając w lokalach, kieliszkami o ścianę [...] tylko po to, by wreszcie dać ujście stłumionej wściekłości”. Inni symulowali różne choroby, by uzyskać zwolnienie ze służby w oddziale, a gdy im się to udawało, upijali się z radości i poczucia ulgi. Byli wreszcie i tacy, którzy pełnili służbę z poczucia obowiązku względem swoich towarzyszy lub z powodu nieokreślonego lęku.

Ogólnie jednak można stwierdzić, że negatywna postawa członków komanda nie wynikała tylko z morderczych zadań, których wykonania

się od nich domagano, lecz chodziło im raczej o brak profesjonalizmu w ich pełnieniu, a przede wszystkim o samowolę Hasselberga. Podczas gdy akty dzikiego plądrowania w samym Lublinie były krytykowane, systematyczne dręczenie Żydów przez oddziały specjalne Gestapo w dystrykcie lubelskim nie spotykały się już z negatywną oceną. Wręcz przeciwnie, Hasselberg nie pocztywał swoim podkomendnym takich działań za złe: „Uważam to za mój obowiązek — wyjaśniał jego adiutant, Alois Fischotter — by zaznaczyć na zakończenie, że dr Hasselberg nie tylko miał wiele wad, ale miał też swoje zalety: W okolicy Lublina, gdzie włóczyło się wielu Żydków [*sic!*], trzeba było twardej ręki, która zrobiłaby z nimi porządek, i dr. Hasselbergowi udało się tego dokonać”. Szef Policji Bezpieczeństwa Reinhard Heydrich, który sam wyznaczył Hasselberga na dowódcę komanda na okres przeprowadzania operacji podczas wojny z Polską, sam nie mógł pojąć, jak mogło dojść do sytuacji, w której ten 31-letni doktor prawa wykazał się całkowitym brakiem zdolności przywódczych. Ostatecznie Heydrich uznał, że jego protegowany nie zdał próby wytrzymałości. 3 stycznia 1940 roku wystąpił do Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS (SS-Rassen- und Siedlungshauptamt) z wnioskiem o sprawdzenie aryjskiego pochodzenia Hasselberga, a także o „zbadanie, czy [ten] nie jest obciążony genetycznie, w szczególności zaś o ustalenie, czy któryś z przodków H.[asselberga] nie cierpiał na chorobę psychiczną”.

Liebl: [...] na podstawie mojej działalności w oddziale operacyjnym Hasselberga doszedłem do wniosku, że w tej jednostce życie ludzkie w ogóle nie ma żadnej wartości. Na początku przeprowadzono pewną liczbę rozstrzeliwań bez wyroku sądu doraźnego. Dopiero później osoby przewidziane do egzekucji doprowadzano przed sąd doraźny, który skazywał je na śmierć. Osobiście najbardziej budził we mnie wstręt sposób, w jaki dokonywano rozstrzeliwań. Stracenie skazańców we wszystkich przypadkach odbywało się poprzez oddanie strzału w potylicę. Skazani musieli najpierw ustawić się na brzegu wykopanego wcześniej dołu, a następnie byli zabijani strzałem w tył głowy.

[Wysoki urzędnik] Mylius: Czy zdarzało się, iż skazani nie umierali od pierwszego strzału?

Liebl: Tak jest. W takich przypadkach oddawano kolejne strzały. Ludzie należący do plutonu egzekucyjnego nie byli w ogóle szkoleni w tym zakresie. Moim zdaniem istniała wówczas możliwość, by do wykonywania wyroków śmierci sprowadzać ludzi Wehrmachtu lub Policji Porządkowej. Według mnie należało przynajmniej *[sic]* pokazać ludziom, jak się powinno dokonywać rozstrzeliwania, a nie — jak miało ro miejsce — pozwalać, by ludzie strzelali w nieprze-myślany sposób w potylicę, tak iż - jak już wspomniałem - śmierć nie następowała od razu. Pewnego razu byłem obecny przy egzekucji, przy czym sam zastrzeliłem wtedy jednego ze skazanych. Na początku stałem tylko obok. Jednak po tym, jak oddano strzały, a skazańcy wpadli do dołu, zauważyłem, że jedna osoba nie została trafiona, ale — najwidoczniej z przerażenia — wpadła z innymi do dołu. Wtedy zastrzeliłem ją od góry, a mianowicie oddałem strzał w jej potylicę.

Przesłuchanie Fritza Liebla, należącego do Einsatzkommando 3/1,  
z grudnia 1939 roku, w: Klaus-Michael Mallmann,  
Jochen Böhrer, Jürgen Matthäus, *Einsatzgruppen in Polen.  
Darstellung und Dokumentation*, Darmstadt 2008, s. 196-197.

Zanim przeszli do służby w oddziale Hasselberga, tylko nieliczni spośród policjantów, którym zlecono dokonanie mordów w dystrykcie lubelskim, mogli zebrać doświadczenia związane z bezpośrednim zabijaniem ludzi. Większość z nich, przekraczając granicę z Polską, wchodziła też w innym sensie na nieznany im teren. Masowe egzekucje należały do zaaprobowanych metod mających na celu „zwalczanie przeciwnika” — przynajmniej takie oczekiwania stawiała berlińska centrala przed swoimi funkcjonariuszami grup operacyjnych. To właśnie z tego centrum dowodzenia obserwowano z zaciekawieniem reakcje większości policjantów zaangażowanych w przeprowadzanie operacji. W przypadku oddziału operacyjnego Hasselberga najwidoczniej to właśnie sposób postępowania — a więc bezpośrednio

zabijanie ofiar strzałem w potylicę — a także szykany komendanta doprowadziły do rozruchów i oburzenia, podczas gdy właściwy cel operacyjny, mordowanie Żydów zamieszkałych w rejonie operacyjnym, generalnie nie podlegał dyskusji. I tak na przykład SS-Sturmbannführer Helmuth Bischoff, którego Einsatzkommando 1/IV wkroczyło w pierwszym tygodniu wojny do Bydgoszczy, wygłaszał motywujące przemówienia do swoich podkomendnych, a także był obecny przy egzekucjach, których dokonywano, strzelając do ludzi z odległości. W tym przypadku masowy mord na Żydach i Polakach przebiegał bez zakłóceń.

Także wśród mężczyzn zrzeszonych w Selbstschutzu, którzy asystowali grupom operacyjnym przy rozstrzeliwaniach, można było odnotować dużą gotowość do współdziałania. Przede wszystkim w rejonie Bydgoszczy do takiej współpracy mogły motywować tamtejszych Niemców napady Polaków na przedstawicieli mniejszości niemieckiej w pierwszych dniach wojny. Jednakże rosnące w zawrotnym tempie w październiku i listopadzie 1939 roku liczby dokonywanych mordów wskazują raczej na planową realizację coraz wyraźniej zarysowującego się odtąd programu eksterminacji niż na niekontrolowane akty zemsty. Poza wyrównaniem rachunków w przypadku wielu etnicznych Niemców, którzy dopuszczali się w Polsce mordów, na ich przestępczej postawie mogły również zaważyć takie czynniki, jak chęć odegrania znaczącej roli i sprawdzenia się w służbie Rzeszy, co umożliwiłoby zapewnienie sobie uprzywilejowanej pozycji w „nowym porządku”. I na odwrót, ci spośród volksdeutschow, którzy wzbraniali się przed wzięciem udziału w mordach, musieli się liczyć z pogardliwym stosunkiem swych towarzyszy lub z wykluczeniem z szeregów partii.

Inaczej miały się sprawy, jeśli chodzi o żołnierzy Wehrmachtu, którzy — w przeciwieństwie do grup operacyjnych Policji Bezpieczeństwa i volksdeutschow z Selbstschutzu — dokonywali rozstrzeliwań i podpaleń na zajętych obszarach w Polsce bez odpowiedniego rozkazu. W tym przypadku — poza uprzedzeniami w stosunku do słowiańskich i żydowskich mieszkańców okupowanego kraju, wyraźnie obniżających próg skrupułów

przed atakowaniem ludności cywilnej u wszystkich wkraczających do Polski jednostek policji i Wehrmachtu — decydującą rolę odgrywało błędne przekonanie, że cała ludność bierze udział w walce z agresorem. Podobnie można określić różnice między egzekucjami przeprowadzanymi przez grupy operacyjne i tymi dokonywanymi przez żołnierzy Wehrmachtu. Niemieckie oddziały wojskowe od samego początku z największą bezwzględnością reagowały na opór rzekomo stawiany przez polską ludność cywilną. Gdy jednak po kilku dniach okazywało się, że w danej okolicy nie ma żadnych organizacji partyzanckich, liczba rozstrzeliwań raptownie spadała. W tym samym czasie, gdy odpowiedzialni dowódcy wojskowi starali się zapobiegać dalszym wybrykom podlegających im żołnierzy, wydając surowe rozkazy, w Berlinie zastrzano wydźwięk ustnych instrukcji kierowanych do policjantów i esesmanów w sprawie bezwzględnego ścigania i mordowania polskich elit oraz Żydów. Niezbędną do realizacji tych morderczych planów swobodę działania zapewniono im pod koniec września, gdy doszło do serii wyjaśniających rozmów z dowództwem Wehrmachtu. Wtedy też dowódcy wojskowi chętnie przekazali zarząd sprawowany dotąd nad okupowanymi terytoriami urzędowi administracji cywilnej, pozostawiając ludność cywilną własnemu losowi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

**SPOJRZENIE  
WYBIEGAJĄCE  
W PRZYSZŁOŚĆ**



Kampania w Polsce odcisnęła piętno na życiu wszystkich biorących w niej udział mężczyzn. Wkrótce po ustaniu działań bojowych w różnych formacjach Wehrmachtu, Waffen-SS i policji można było zaobserwować oznaki zdziczenia, które określano w żargonie wojskowym jako „upadek męskiej dyscypliny” (*Verfall der Manneszucht*). W okupowanej Polsce do szeroko rozpowszechnionych praktyk stosowanych przez żołnierzy niemieckich należały grabieże i gwałty. Już poprzedzające wojnę lata nazistowskiej dyktatury sprawiły, że samowola urzędników państwowych i przemoc stały się nieodłącznym elementem codzienności. To powszechne rozluźnienie obyczajów mściło się teraz na ludności okupowanej Polski i objawiało się zwłaszcza w niedbalości, z jaką Wehrmacht karał napady na ludność cywilną. Biorący udział w kampanii polskiej niemieccy żołnierze doszli do przekonania, że „na Wschodzie” wszystko jest dozwolone. Jednak w tej kwestii grubo się mylili. Na zajętych terenach za grabież lub dezercję groziła kara śmierci, którą wymierzano nawet w przypadku kradzieży srebrnych sztućców. Stosowanie tak radykalnych środków wymagało wyjaśnienia w obliczu bezkarności, z jaką Niemcy oddziały jawnie mordowały dziesiątki tysięcy cywilów.

Ta na pozór wewnętrznie sprzeczna postawa dowództwa Wehrmachtu względem zbrodni wobec ludności cywilnej na obszarach zarządzanych przez wojsko okupacyjne wynikała z cynicznego pragmatyzmu, który oznaczał w gruncie rzeczy konsekwentną realizację sformułowanych przez Hitlera 22 sierpnia 1939 roku na Obersalzbergu wytycznych w kwestii traktowania podbitej ludności: „Zamknąć serca przed litością. Postępować brutalnie. [...] Prawo jest po stronie silniejszego. Największa surowość” (zob. s. 76). Podczas niemieckiej ofensywy w Polsce Wehrmacht nie zajmował się wyjaśnieniem ewentualnych zbrodni popełnionych przez

swoich żołnierzy. Niemcy uważali się bowiem za „panów” okupowanego kraju, stawiając się jednocześnie ponad obowiązującym prawem. Setki postępowań przed sądami wojennymi, które należałoby wszcząć na miejscu, stanowiłyby tylko przeszkodę w błyskawicznym podboju wrogiego kraju. Dopóki niekontrolowane ekscesy niemieckich żołnierzy i esesmanów nie przynosiły szkody założonej misji wojskowej, dopóty wszelka interwencja uznawana była wręcz za niepożądaną. Można by pójść jeszcze o krok dalej i stwierdzić, iż na początku wojny niemieccy dowódcy wojskowi potraktowali wybryki podległych im żołnierzy jako środek służący szybkiej „pacyfikacji” kraju. Akty terroru miały łamać istniejący już opór ludności cywilnej lub odstraszać Polaków od podejmowania wrogiej działalności w przyszłości. Tak więc masowe rozstrzeliwania dokonywane przez oddziały wojskowe i naloty bombowe Luftwaffe stanowiły jedynie dwie strony tego samego medalu. Poprzez terror stosowany zarówno na lądzie, jak i z powietrza przekazywano ludności cywilnej jasny komunikat: wszelka forma oporu względem naszej władzy nie tylko nie ma najmniejszego sensu, lecz będzie także surowo karana.

### **„Zbrodniarz nieznający litości”**

Jak się później okazało, niemieccy przywódcy ludzili się w tej kwestii. To właśnie brutalne metody władz okupacyjnych w Polsce - a później ta leże we Francji, Serbii, Grecji, Związku Sowieckim czy we Włoszech — przysporzyły stopniowo tworzącym się ruchom oporu wielu sympatyków. „Zaatakował nas zbrodniarz, który nie zna litości i dla którego my też nie będziemy jej mieli. Dlatego wypowiedzieliśmy mu wojnę w podziemiu; z tej właśnie przyczyny w Polsce doszło do powstania tak silnego ruchu oporu” — w ten sposób wypowiedział się po latach jeden z byłych polskich uczestników wojny w sprawie genezy polskiego ruchu oporu. Napadając na Polskę, III Rzesza nie tylko się zaangażowała w wojnę z tym krajem,

lecz także — skutek owej agresji — uwikłała się w długotrwanie prowadzenie działań bojowych na dwóch frontach. Już zbombardowanie Wielunia i strzały oddziałów dokonujących egzekucji w Torzeńcu nosiły w sobie zalążki przyszłej klęski. Wydarzenia te zapoczątkowały bowiem okres nazistowskiego terrorku w Europie Wschodniej, a ich natężenie sprawiło, iż ludność cywilną na okupowanych terenach postawiono przed alternatywą: mogła się całkowicie podporządkować najeźdźcy albo wszcząć walkę z nieprzyjacielem na śmierć i życie; żadna trzecia opcja nie istniała. Setki tysięcy ludzi wybrało walkę z bezwzględny okupantem, wspierając swoją działalnością partyzancką walczących z Niemcami aliantów. Niecałe sześć lat później sprzymierzone siły koalicji antyhitlerowskiej ostatecznie położyły kres mrzonkom o „Tysiącletniej Rzeszy”.

Już w czasie niemieckiej ofensywy w Polsce niekiedy wydawano odpowiednie rozkazy mające utrzymać w ryzach walczące oddziały i zapobiegać stratom, które Wehrmacht mógł ponieść wskutek ostrzału ze strony własnych żołnierzy lub zniszczenia zapasów i kwater. Ochrona ludności cywilnej nigdy nie znajdowała się jednak w samym centrum zainteresowania niemieckich dowódców. Odpowiednie sądy wojenne pozostawały w głębi kraju, zbyt daleko od miejsca zbrodni, i nie były w stanie dokładnie zbadać aktów działalności dywersyjnej podejmowanej rzekomo przez podbitą ludność czy ekscesów dokonywanych przez niemieckie oddziały. Sąd wojenny przy 50. Dywizji Piechoty „nie cierpiał na nadmiar obowiązków”, gdyż nie dano mu żadnego urzędnika sądowego, który pełniłby funkcję przewodniczącego, a „nawiązanie kontaktu z sędziami przydzielonymi sąsiednim dywizjom nie zawsze mogło dojść do skutku — zbyt szybko zmieniały się miejscowości, w których stacjonowały te jednostki”. Niemieckie sądownictwo wojskowe zaczęło sprawnie funkcjonować dopiero wówczas, gdy podbito znaczne połacie kraju, wzięto do niewoli setki tysięcy żołnierzy Wojska Polskiego i stwierdzono, że na okupowanych terytoriach nie ma żadnych partyzantów. Aż do 4 października 1939 roku, kiedy to Hitler ogłosił powszechną amnestię obejmującą czyny popełnione rzekomo „wskutek rozgoryczenia dokonywanymi przez Polaków okropnościami”, masowe egzekucje

i podpalenia w Polsce tylko sporadycznie były przedmiotem rozpraw toczących się przed niemieckimi sądami wojennymi. Zdarzały się jednak — bardzo rzadko — wyjątki. I takie na przykład komendant III Oddziału 31. Pułku Artylerii podpułkownik Heinrich von Nordheim ostro skrytykował manewry przeprowadzone na tyłach frontu w Warszawie, a także wspominał o skazaniu dwóch sprawców w Łobodnie; dziennik działań bojowych 31. Dywizji Piechoty również zawiera informację o postępowaniu w tej sprawie.

Komunikat przekazany przez Wehrmacht zaangażowanym w działania bojowe oddziałom był jednoznaczny i znalazł podczas wojny wielu gorliwych wykonawców. W służbie „na rzecz narodu i ojczyzny” wszystkie środki były dozwolone, dopóki nie przynosiły szkody własnym ludziom. Zbrodnie wojenne wobec ludności cywilnej były ganione w najlepszym razie dopiero po fakcie, jednak z reguły obywano się bez wymierzania kary. Wydany w lecie 1941 roku „dekret o sądownictwie wojennym” (*Kriegsgerichtsbarkheitserlass*) *de facto* znosił obowiązek ścigania wykroczeń niemieckich oddziałów przeciwko obywatelom Związku Sowieckiego, a więc potwierdzał jedynie formalnie to, co już półtora roku wcześniej odpowiadało wyobrażeniom odpowiedzialnych niemieckich dowódców wojskowych i było powszechnie praktykowane na polskim obszarze działań wojennych w 1939 roku.

W Łobodnie początkowo płonęło tylko kilka domów, jednak pożar szybko się rozprzestrzenił, gdyż w te ciepłe letnie dni kryte słomą domy szybko zajmowały się ogniem. Na północnych obrzeżach wsi znajduje się kilkuset zbiegłych i spędzonych na łąkę mieszkańców, których pilnowanie niepotrzebnie angażuje dodatkowe siły. We wsi trzeba było ostro zainterweniować przeciwko strzelającym bez powodu podoficerom i szeregowcom. Tymi zajściami będzie musiał się jeszcze zająć sąd wojenny. Już pierwsze dni wojny ukazały, że żołnierzy oddziału i niedoświadczonych jeszcze w boju części oficerów nie poinstruowano wcale lub zrobiono to w niedostatecznym stopniu — czy to w trakcie szkolenia, czy w ramach udzielanych pouczeń — jak

wyglądają działania bojowe na początku wojny. Strzelaniny i podpalenia, do których dochodziło wskutek nerwowości, niepewności i chwiejności emocjonalnej, niekorzystnie wpływały na dyscyplinę żołnierzy i opinię armii, doprowadziły do bezsensownego niszczenia kwater i zapasów oraz do stosowania radykalnych środków względem ludności cywilnej, których — przynajmniej częściowo — można było uniknąć. Te doświadczenia powinny właściwie stanowić element wiedzy ogólnej oddziału od czasów I wojny światowej.

Okolo południa sztab dywizji musiał opuścić Łobodno, gdyż ogień zaczął się niebezpiecznie rozprzestrzeniać, a stanowisko dowodzenia dywizji stanęło w płomieniach. Dalszy pobyt we wsi jest niemożliwy, a przemarsz wydaje się utrudniony. Sztab dywizji pojechał do Ostrowów na północ.

Dziennik działań bojowych 31. Dywizji Piechoty, wpis z 3 września 1939 roku, Federalne Archiwum Wojskowe we Fryburgu Bryzgowijskim, RH 26-31/1.

Wieś Opatów w znacznym stopniu zniszczył ogień. Podobno cywile ostrzelali z pobliskich domów 17. Pułk, który przeszedł następnie do ataku. Oczywiście miejscowość została podpalona. Nie palił się bynajmniej sam tylko Opatów, lecz w płomieniach stanęły też zagrody, w których ktoś podłożył ogień — pozostaje niejasne, dlaczego to uczynił. Prawdopodobnie „bez zastanowienia”. Gdy 3 września zatrzymaliśmy się na odpoczynek we wsi Łobodno, przemaszerowała obok nas kompania sanitarna. Nagle padło kilka strzałów. Wtedy dwóch członków kompanii zastrzeliło dwóch idących drogą cywilów, prawdopodobnie również „nie zastanawiali się nad tym, co robią”. Tych dwóch zbrodniarzy aresztowano na miejscu, a sąd wojenny skazał ich na pięć lat więzienia. [...]

Dalej: Od 11 września stacjonujemy pod Warszawą. Znamy już z grubsza domy i zagrody znajdujące się w sąsiedztwie. Jak wiele z nich zostało zniszczonych, odkąd tu jesteśmy! Bez jakiegokolwiek militarnego uzasadnienia, byle tylko... sam już nie wiem po co. Dlaczego

w małych mieszkaniach lotników, które teraz zajmujemy, nie tylko wyważono drzwi — co jest w pełni uzasadnione, gdyż w środku mogli być żołnierze polskich oddziałów — ale zdemolowano także wszystkie szafy i biurka, w których nie mogło być przecież nic, czego żołnierz potrzebowałby do walki lub do zaspokojenia potrzeb fizjologicznych. - Prawdopodobnie oni też chcieli tylko zajrzeć do środka i nie zastanowili się nawet dlaczego. Widzieliśmy i byliśmy świadkami przykrych scen, jak niemieccy żołnierze podpalali, mordowali, grabili, nie zastanawiając się nawet nad tym, co właściwie czynią. Byli to dorośli ludzie, którzy nie uświadamiali sobie nawet konsekwencji swoich działań, którzy bez skrępowań pogwałcili wszelkie istniejące prawa i przepisy, hańbiąc honor niemieckiego żołnierza.

Wykład komendanta III Oddziału 31. Pułku Artylerii,  
podpułkownika Heinricha von Nordheima, wygłoszony  
12 października 1939 roku podczas zajęć szkoleniowych dla żołnierzy.  
Federalne Archiwum Wojskowe we Fryburgu Bryzgowijskim, RH  
41/1177.

Jeśli uprzytomnić sobie skalę zbrodni popełnionych przez żołnierzy Wehrmachtu w pierwszych tygodniach II wojny światowej, to dziwi fakt, iż publikacje poświęcone tej tematyce pojawiły się na Zachodzie dopiero w nowym tysiącleciu. Po ukazaniu się pierwszych krytycznych badań inni autorzy postawili wkrótce pytanie, czy postępowanie Wehrmachtu względem polskiej ludności cywilnej wtedy mogło być usprawiedliwione. Niektórzy badacze postulowali, zapoznając aktualny stan badań i ignorując zebrane materiały źródłowe, by przyjąć, że na początku września 1939 roku w okupowanej Polsce istniał jednak ruch partyzancki. Niekiedy zarzucano polskim historykom, którzy po wojnie zgłosili zastrzeżenia co do działalności wojsk niemieckich, iż ulegają „komunistycznej propagandzie”; starano się w ten sposób zdezwuować ich argumenty. Poza tym pojawiają się też studia formalnoprawne mające za zadanie udzielić odpowiedzi na pytanie, w których przypadkach rozstrzeliwania z wyroku sądu z 1939 roku można by uznać za zgodne z obowiązującym wówczas

prawem wojennym. Te po części zniekształcające, po części czysto akademickie rozważania mijają się z sednem sprawy. We wrześniu 1939 roku tysiące polskich cywilów i jeńców wojennych zostało rozstrzelanych, wysadzonych w powietrze bądź spalonych przez niemieckich żołnierzy bez własnej winy i z pominięciem postępowania przed sądem wojennym. Nie doszło też do prawnego rozliczenia tych zbrodni, ani bezpośrednio po zakończeniu wojny z Polską, ani w toku zorganizowanych przez aliantów procesów powojennych. Najnowsze tendencje w prowadzonych badaniach: umniejszanie pierwszych zbrodni popełnionych w czasie II wojny światowej, obarczanie polskiej ludności współodpowiedzialnością za te zbrodnie i insynuowanie, że polskimi prokuratorami oraz historykami, którzy ujawnili w latach pięćdziesiątych zbrodnie Wehrmachtu, kierowały względy czysto ideologiczne — stanowią kontynuację zmywu milczenia.

### **Brutalna samowola na rozkaz**

Dowództwo Wehrmachtu nie pozostawało wszakże bierne wobec wybryków wojska, policji i SS. Do interwencji dyscyplinarnych dochodziło jednak tylko wtedy, gdy uznano to za konieczne ze względu na dobro własnego oddziału. Na tyłach frontu poważne niebezpieczeństwo dla dyscypliny żołnierzy danej jednostki stanowiły przypadki kradzieży i gwałtu. Jeśli ktoś okradł Polaków i Żydów, to mógł wpaść na pomysł, by potraktować w ten sam sposób swoich własnych towarzyszy broni. W przypadku gwałtów na Żydówkach podczas postępowania przed sądem wojennym szczególną wagę przywiązywano do wyjaśnienia kwestii, czy rzeczywiście doszło do aktu plciowego, a tym samym, czy oskarżony dopuścił się zbrodni „pohańbienia rasy” (*Rassenschande*). Ku przestrodze skazywano zazwyczaj kilku delikwentów, a odpowiednie wyroki odczytywano w obecności wszystkich żołnierzy danego oddziału, co miało odstraszyć potencjalnych naśladowców od stosowania podobnych praktyk.

Jednak nie zawsze przewidywaną karą była w takich przypadkach kara śmierci. General Walter von Reichenau zarządził, by „osoby o szczególnie niesfornym temperamencie, w których przypadku kary honorowe czy pozbawienie wolności nie przynoszą spodziewanego efektu wychowawczego, [...] przywiązywać do pojazdów na wiele godzin”. Dzięki temu wszystko stopniowo wracało do normy, a niebagatelną rolę odegrał przy tym fakt, że wiele jednostek zostało zmienionych i przeniesionych na zachód.

Im staranniej Wehrmacht przymykał oczy na masakry dokonywane przez własnych żołnierzy, tym bardziej koncentrował uwagę na przypadkach niestosownego zachowania ludzi należących do nielubianej konkurencji - Oddziałów Bojowych SS (SS-Verfügungstruppe), które przekształcono później w Waffen-SS (Zbrojne Oddziały SS). W przededniu wybuchu wojny rozgorzał zacięty spór o to, czy oddziały niebędące faktycznie jednostkami Wehrmachtu mogą być zbrojne i brać udział w działaniach bojowych. Spór został rozstrzygnięty na korzyść najwyższego zwierzchnika SS, Heinricha Himmlera. Mimo to jednostki bojowe SS — „jako jednostki stacjonarne, znajdujące się pod bronią” — były podporządkowane najwyższemu dowódcy Wehrmachtu, a tym samym podlegały sądownictwu wojskowemu.

Ogromne stopy akt niemieckich sądów wojennych z 1939 roku zawierają tylko trzy przypadki masakr dokonanych na ludności cywilnej. W dwóch przypadkach oskarżono członków SS-Verfügungstruppe. I tak w Krasnosielcu, miejscowości położonej około stu kilometrów na północ od Warszawy, 5 września 1939 roku pewien *Sturmmann* (kapral) pułku artylerii SS wraz z żandarmem Tajnej Policji Polowej „zapędzili wieczorem do synagogi i bezpodstawnie rozstrzelali około 50 Żydów wyznaczonych do naprawy mostu, wówczas gdy nieszczęśnicy zakończyli tego dnia swoją pracę”. Wspomniany pułk należał organizacyjnie do dywizji pancernej o mieszanym składzie, noszącej nazwę swojego dowódcy, generała brygady Wernera Kempfa. Składała się ona z jednostek SS i Wehrmachtu. Mimo że w masakrze wzięli udział także inni esesmani i żołnierze, do odpowiedzialności pociągnięto wyłącznie *Sturmmanna* i żandarma. Gdy sąd polowy przy dywizji pancernej



nałożył na obu sprawców śmiesznie niskie kary, doszło w tej sprawie do interwencji dowództwa Wehrmachtu. Głównodowodzący 3. Armii general Georg von Küchler (zbrodnia miała miejsce na obszarze znajdującym się pod jego rozkazami) domagał się wymierzenia drakońskich kar, został jednak pohamowany przez Himmlera. Najwidoczniej von Küchlerowi chodziło przede wszystkim o to, by przedstawić nielubianą, działającą w obrębie dywizji pancerniej jednostkę SS jako „plamę na honorze armii”. Himmler miał mu to za złe jeszcze wiosną 1940 roku. W każdym razie latem 1940 roku — a więc w czasie gdy stosunki między Wehrmachtem i SS uległy w znacznej mierze normalizacji — von Küchler poinstruował oficerów i szeregowych żołnierzy podlegającej mu w Polsce 18. Armii, by powstrzymywali się od wszelkiej krytyki pod adresem jednostek SS i policji. Te ostatnie prowadziły w Generalnym Gubernatorstwie „walkę narodowościową” wymagającą zastosowania radykalnych środków: „Dlatego też żołnierze powinni trzymać się z dala od zadań realizowanych przez inne jednostki”.

Drugie postępowanie przed sądem polowym miało miejsce we wrześniu 1939 roku i było skierowane przeciwko jednemu z członków Leibstandarte SS „Adolf Hitler”. To właśnie kapelmistrz oddziału Ernst Müller-John kazał w nocy z 18 na 19 września rozstrzelać w położonych na zachód od Warszawy Błoniach 50 złapanych wówczas Żydów, powołując się przy tym na odgórny rozkaz. Odpowiedzialna za ukaranie tego wykroczenia 10. Armia starała się zrobić wszystko, by przewieźć esesmana do berlińskiego aresztu. Jednak wskutek interwencji dowódcy Leibstandarte SS, Obergruppenführera Josefa „Seppa” Dietricha, który miał nawet osobiście ująć się za podkomendnym u swojego serdecznego przyjaciela Adolfa Hitlera, Müller-John został wypuszczony z aresztu. Takie więc na jesieni 1939 roku Wehrmacht i SS konkurowały między sobą o wpływy na najwyższym szczeblu. Rywalizacja ta sprawiła, że na początku wojny upowszechnił się czarno-biały schemat, w którym było miejsce tylko dla „przyzwoitych żołnierzy” i „esesmanów-sadystów”. Przekonanie o „czystym Wehrmachcie” i brudnym „SS” utrzymywało się w świadomości zbiorowej niemieckiego społeczeństwa także po wojnie, aż do połowy lat dziewięćdziesiątych.

W ciągu kolejnych miesięcy dowództwo Wehrmachtu nadal starało się dokuczyć SS-Verfügungstruppe. Na początku października 1939 roku w sztabie 13. Armii, na której obszarze operacyjnym działała także Leibstandarte SS „Adolf Hitler”, został sporządzony raport zawierający druzgocący osąd o następującym brzmieniu: „Wyznaczone zadania niezrealizowane”. Już w pierwszym dniu wojny jednostka „zaprzepięła szansę na otoczenie nieprzyjaciela na wschód od Bolesławca; [...] ostrzeliwano tylko z ciężkich dział dom za domem, a działania kontynuowano dopiero wtedy, gdy wszelkie formy życia wydawały się zniszczone”. Poza tym należy dodać, iż Leibstandarte rozstrzeliwała także cywilów i spaliła tę część miejscowości, której nie zniszczyła artyleria. Ostala się tylko gospo- da, „nikt nie dowodził Leibstandarte [...]. W sytuacji, gdy sztab pułku coraz bardziej oddalał się od linii frontu, siłą rzeczy zabrakło jakiegokolwiek osobistej decyzji dowódcy”.

W wielu podaniach zebranych przez majora Helmutha Groscurtha w aktach prokuratorskich w Oddziale do Zadań Specjalnych Zarządu Wywiadu i Kontrwywiadu wyżsi rangą dowódcy Wehrmachtu zwrócili się na przełomie 1939 i 1940 roku przeciwko uchybieniom, których dopuścili się funkcjonariusze SS i policji na okupowanych obszarach, a swój sprzeciw wyrażali bez ogródek. W nadesłanych pismach jest mowa o „szale zabijania”, o „zjawiskach niepozostających bez wpływu na oddział”, oburzeniu z powodu „form, które przybiera realizacja zadań, a tym samym staje się — ogólnie rzecz biorąc — przeciwieństwem zarządu i partii”. Nawet jeśli w tym przypadku niektórzy oficerowie starej szkoły dawali upust swojemu szczeremu oburzeniu, to jednak słane przez nich podania nie uratowały życia ani jednemu Polakowi czy Żydowi. Poza tym, co znamienne, żaden z nich nie zajął porównywalnego stanowiska w kwestii dokonanych we wrześniu przez żołnierzy Wehrmachtu masowych rozstrzeliwań czy podpaleń. W lutym 1940 roku głównodowodzący obszaru „Wschód” generał broni Johannes Blaskowitz przyznał nawet, że zasadniczo aprobeuje cele „nazistowskiej polityki narodowościowej”, wyjaśniając jednak, iż „mordowanie 10 000 Żydów i Polaków, tak jak to ma miejsce obecnie, jest niedorzecznością. Jeśli bowiem uwzględnimy liczebność tej

populacji, to w ten sposób nie zniszczymy idei państwa polskiego ani nie usuniemy wszystkich Żydów”. Według tego najwyższego rangą przedstawiciela Wehrmachtu w okupowanej Polsce „Polak i Żyd, wspierani dodatkowo przez Kościół katolicki” są „naszymi najzacieklejszymi wrogami na wschodzie”. To stanowisko w znacznej mierze pokrywało się ze sformulowaną wówczas oceną głównodowodzącego wojsk lądowych Walthera von Brauchitscha: „zarządzone przez Führera i niezbędne dla zabezpieczenia niemieckiej przetrzeni życiowej rozwiązanie zadań polityki ludnościowej siłą rzeczy musi prowadzić do zastosowania nadzwyczajnych surowych środków względem polskiej ludności na okupowanych obszarach. Ponieważ stoimy przed decydującą walką, która rozstrzygnie losy narodu niemieckiego, konieczne stało się przyspieszenie realizacji tych zadań, co oczywiście pociągnęło za sobą dalsze zaostrenie stosowanych środków”. W tym kontekście Brauchitsch ponownie wyraził swoje z troskanie o utrzymanie dyscypliny w niemieckiej armii.

Zastrzeżenia dowództwa Wehrmachtu co do zachowania jednostek SS i policji, których maruderzy włóczyli się po okupowanych terenach, plądrując wszystko, co napotkali na swojej drodze, nie wynikały bynajmniej z ogólnego odrzucenia realizowanej w Polsce nazistowskiej polityki ludnościowej. Główną przyczynę rozbieżności między Wehrmachtem i SS jasno sformułował szef Policji Bezpieczeństwa Reinhard Heydrich. Zanotował on retrospektywnie w lecie 1940 roku: „[...] instrukcje, zgodnie z którymi działała policja [w Polsce w 1939 roku] były tak radykalne (na przykład rozkaz likwidacji polskich elit, w którego wyniku zginęły tysiące ofiar), że nie zostały przekazane głównym dowódcom armii [...]; w rezultacie działania policji i SS mogły jawić się na zewnątrz jako brutalne akty samowoli”. 13 marca 1940 roku generał von Brauchitsch umożliwił Himmlerowi złożenie odpowiednich wyjaśnień przed zbraną generalicją: „Chyba mogę powiedzieć zupełnie otwarcie w tym gronie najwyższych oficerów armii, że nie robię niczego, o czym nie wiedziałby Führer”. Masowe mordy zostały zatem zaaprobowane przez Hitlera, a w przypadku rzekomo samowolnych rozstrzeliwań chodziło w rzeczywistości o zakrojony na wielką skalę i zatwierdzony przez Führera program

eksterminacji. Gdy tylko prawda na ten temat wyszła na jaw, umilkły krytyczne głosy. Wkrótce po przemówieniu Himmlera głównodowodzący armią miał powiedzieć, iż w przypadku toczony wojny „bynajmniej nie chodzi o konflikt między rządami, lecz o rozstrzygnięcie [sic] konfliktu między światopoglądami”.

### Granice odwagi cywilnej

To, że zawiedli najwyżsi rangą przedstawiciele Wehrmachtu, nie jest jeszcze wystarczającą podstawą, by potępiać w czambuł wszystkich żołnierzy bezpośrednio zaangażowanych w działania bojowe. W każdym razie zachowane prywatne dzienniki i listy przesyłane z frontu pocztą polową we wrześniu 1939 roku zawierają taicie krytyczne uwagi, które padają jednak tylko sporadycznie i zazwyczaj odnoszą się do zachowania towarzyszy broni. Te oznaki odbiegających od forsowanej normy niezależnych zachowań i sposobów myślenia świadczą o tym, iż przy bardziej zróżnicowanej ocenie sytuacji możliwe było uwolnienie się od silnego prądu przemocy, który porwał oddziały brutalnie obchodzące się z ludnością cywilną. W tym sensie nieliczne znane przykłady ludzkiego traktowania cywilów, pojawiające się niejako na marginesie działań bojowych, ukazują szeroki zakres swobody działania, jaki utworzył się stosunkowo wcześniej przed żołnierzami; ci ostatni rzadko jednak korzystali z tych możliwości. Ten nieco inny rozdział okupacji niemieckiej w Polsce został odkryty przez historyków dopiero niedawno.

W połowie lat osiemdziesiątych dziennikarz Jan Turnau w swojej książce *Dziesięciu sprawiedliwych* wypytywał żyjących jeszcze polskich świadków wojny o ich wspomnienia dotyczące tego typu doświadczeń. Tak więc mamy opowieść o niemieckim oficerze, który w Warszawie na przełomie lat 1939 i 1940 ostentacyjnie, w obecności innych oficerów pozdrawiał Żydów napotkanych na warszawskich ulicach. „Miałem

wrażenie, że swoim zachowaniem oficer okazuje, że więcej go łączy z obdartymi, nędźnie ubranymi Żydami, niż z eleganckimi kolegami, którzy mu towarzyszą” — tak skonkludował tę opowieść jej autor. Ponadto czytamy także o niemieckim dezercerze Wilhelmie Frieeseckem z Torgau, wówczas 26-letnim mężczyźnie, którego zakwaterowano w domu rodziny Paślickich w Lublinie. Gdy wychudzony i schorowany ojciec rodziny przybył na początku listopada 1939 roku w transporcie jeńców na dworzec w Lublinie, Frieesecke odebrał go, ubrany w mundur i hełm wojskowy, a następnie poprowadził wśród dobiegających zewsząd krzyków i uderzeń przez teren dworca, opowiadając posterunkowemu, którego musieli minąć, wymyślone historyjki. Frieesecke był świadom, iż przy okazji mógł zostać zatrzymany i skontrolowany przez posterunkowego, a wtedy niechybnie przypłaciłby swoją odwagę życiem. Gdy obaj dotarli cali i zdrowi do domu Paślickich, Niemiec rozplakał się z ulgi. Frieesecke opuścił Lublin na początku grudnia 1939 roku, został jednak schwytywany przez żandarmerię i otrzymał kilkumiesięczną karę więzienia. Po wojnie odwiedził Paślickich, z którymi utrzymywał kontakty do lat siedemdziesiątych.

Szczególny przypadek odwagi cywilnej odnotowano na obszarze operacyjnym Grupy Armii „Południe”, gdzie Einsatzgruppe II i 682. batalion Żandarmerii Polowej przeprowadziły obławę w okolicach Lublińca, aresztując 164 cywilów, których uznano za członków organizacji powstańczych. 12 września trzeci oficer sztabu Grupy Armii „Południe” major Rudolf Langhaeuser dowiedział się z pogłosek, iż zatrzymani mają zostać rozstrzelani. Langhaeuser nie zastanawiał się zbyt długo — kazał ich niezwłocznie przekazać miejscowemu komendantowi. Następnego dnia odmówił ich wydania, czego domagał się SS-Untersturmführer. Langhaeuser pojechał do pobliskiej Częstochowy i wezwał na rozmowę komendanta Einsatzgruppe II SS-Obersturmbannführera dr. Emanuela Schäfera. Ten ostatni oświadczył mu, nie owijając w bawełnę, że na rozkaz Reichsführera SS „wszyscy członkowie organizacji powstańczych mają zostać rozstrzelani” i że w Tarnowie i Katowicach przeprowadzono już egzekucje.

Jednak Langhaeuser nie zamierzał dać za wygraną. Głównodowodzącą Grupy Armii „Południe” generał broni von Rundstedt — indagowany w tej kwestii przez majora — oświadczył, że nic mu nie wiadomo o takim rozkazie. Także Werner Best, funkcjonariusz w Głównym Urzędzie Służby Bezpieczeństwa pełniący funkcję organizatora przeprowadzanych już w Polsce przez grupy operacyjne masowych mordów (operacja nosiła kryptonim „Aktion Tannenberg”), w rozmowie z szefem policji wojskowej 17 września sprawiał wrażenie, jakby nie miał pojęcia o wspomnianej instrukcji. W końcu — po dwóch godzinach — nadeszła odpowiedź najwyższej instancji na niewygodne dociekania Lanhaeusera. Do głównego kwatermistrza Grupy Armii „Południe” Karla-Richarda Koßmanna w Lublińcu przybyło dwóch oficerów policji, którzy oświadczyli, „iż rozkaz natychmiastowego rozstrzelania wszystkich polskich powstańców (bez wyroku sądu doraźnego) przekazano bezpośrednio z *Führerzügen* (pociągu specjalnego Hitlera) oddziałom operacyjnym Gestapo”. Zatrzymani Polacy zostali następnie rozstrzelani przez funkcjonariuszy Einsatzgruppe II.

### Pociąg Führera

Zlecona przez Hitlera modernizacja nie ograniczyła się bynajmniej tylko do sił zbrojnych. Sam Führer był zapalonym entuzjastą wszelkich nowinek technicznych. Nic więc dziwnego, że zawsze szukał środków i sposobów, by wykorzystać najnowsze wynalazki techniczne z pożytkiem dla swojego „ruchu”. Dzięki „odbiornikom ludowym” (*Volksempfänger* - radioodbiornik) propaganda Goebbelsa docierała do wszystkich niemieckich gospodarstw domowych, z kolei *Volkswagen* („samochód ludowy”) miał uczynić społeczeństwo niemieckie mobilnym. Jako wzięty mówca często występujący na imprezach organizowanych przez partię, Hitler podróżował w latach dwudziestych po całych Niemczech motocyklem, a przed wyborami w 1932 roku po raz pierwszy użył w tym celu samolotu, dzięki

czemu w ciągu zaledwie kilku dni mógł wystąpić przed szerokimi masami potencjalnych wyborców w niemal wszystkich zakątkach Niemiec. Wraz z atakiem III Rzeszy na Polskę Hitler zaczął korzystać ze specjalnego pociągu, który służył mu za „ruchomą kwaterę główną”. To właśnie tym pociągiem Führer regularnie podróżował wraz ze swoimi najbliższymi doradcami i najbardziej zaufanymi współpracownikami między Rzeszą a linią frontu. W pociągu Hitlerowi towarzyszyli: szef głównego dowództwa Wehrmachtu generał broni Keitel wraz ze swoimi dwoma adiutantami, szef sztabu Wehrmachtu generał Jodl wraz z młodszym oficerem sztabowym, szef adiutantury Wehrmachtu przy Führerze pułkownik Schmudt i trzech adiutantów poszczególnych części Wehrmachtu, generał Bodenschatz jako oficer łącznikowy głównodowodzącego Luftwaffe z kwaterą główną Hitlera, SS-Obergruppenführer Wolff jako oficer łącznikowy Reichsführera SS, adiutant SA przy Führerze SS-Obergruppenführer Brückner, szef kancelarii partii Bormann, szef prasowy Rzeszy dr Dietrich, pełnomocnik ministra spraw zagranicznych Rzeszy von Ribbentrop - Hewel, dwóch osobistych lekarzy Hitlera - prof. Moreli i prof. Brandt, oficjalny fotograf Führera - Hoffmann, a także mała gwardia przyboczna SS. Funkcję dowódcy pełnił późniejszy „Lis Pustyni”, generał brygady Erwin Rommel, któremu podlegał *Führerbegleitbatallion* - batalion przyboczny Führera - jednostka w pełni zmotoryzowana, złożona z kompanii strzelców, kompanii rozpoznania pancernego i kompanii pancernych, a także mieszanego zmotoryzowanego oddziału przeciwlotniczego.

Pociąg specjalny Hitlera, *Führerzug*, był prowadzony przez dwie lokomotywy, za którymi ciągnęły się dwa otwarte wagony towarowe wyposażone w system obrony przeciwlotniczej. W pierwszym wagonie osobowym Hitler kazał urządzić salę konferencyjną, łazienkę i sypialnię, pozostałe przedziały były zarezerwowane dla jego adiutantów i asystentów. W drugim wagonie znajdowała się centrala dowodzenia wraz z dalekopisami i radiostacjami nadawczo-odbiorczymi, jak również pomieszczenie, w którym dwa razy dziennie

odbywały się przy stole z mapami narady mające na celu omówienie aktualnej sytuacji na froncie. Wojskowi byli zakwaterowani w trzecim wagonie, a inni pasażerowie w pozostałych. W dodatkowym wagonie specjalnym przewożono bagaże, agregaty elektryczne i inne urządzenia.

Stały kontakt z naczelnym dowództwem Wehrmachtu w Berlinie utrzymywano za pomocą dalekopisu. Co drugi dzień Führer-*zug* jeździł z placu ćwiczeniowego oddziałów w Bornem Sulinowie na front, do poszczególnych armii i sztabów korpusów armijnych, przy czym każdorazowa podróż trwała od wczesnego rana do późnych godzin nocnych. Przebywając na polskim froncie, Hitler kazał sobie osobiście zdawać raporty z sytuacji militarnej. Aby zwiększyć swoją mobilność, Führer przesiadał się na miejscu przeznaczenia do jednej z siedmiu limuzyn marki Mercedes z zamykanym dachem, które - jadąc w kolumnie - zawsze towarzyszyły pociągowi specjalnemu Hitlera. Poza tym za ruchomą kwaterą główną niemieckiego wodza podążała świta ciekawskich prominentów z szeregów partii i SS, podróżujących prywatnymi samochodami. Niekiedy Führer leciał na linię frontu samolotem. Wciągu września 1939 roku urządzono także stacjonarną kwaterę główną Hitlera, która mieściła się w sopockim hotelu Grand. W rejonie Gdańska kursował również pociąg specjalny „Heinrich” Reichsführera SS Himmlera, w którym zakwaterowani byli minister Rzeszy dr Lammers, szef biura Kancelarii Rzeszy, i niemiecki minister spraw zagranicznych von Ribbentrop. W październiku 1939 roku swój własny pociąg specjalny otrzymał nawet sztab dowództwa Wehrmachtu; pociąg dysponował początkowo trzema wagonami i w każdej chwili mógł w razie konieczności jechać za *Führerzugiem*. W pociągu Hitlera odbywały się narady, podczas których podejmowano najważniejsze decyzje określające kierunek niemieckiej polityki okupacyjnej. To właśnie tutaj szef wywiadu i kontrwywiadu wojskowego admirał Wilhelm Canaris zapoznał się w połowie września 1939 roku z rzeczywistą skalą rozstrzeliwań planowanych w Polsce. Tu miały miejsce także pod koniec września 1939 roku



negocjacje w sprawie kapitulacji Warszawy. Motoryzacja umożliwiła czołowym przedstawicielom III Rzeszy zaszczepienie „nowego porządku” w najodleglejszych zakątkach okupowanych obszarów, a działało się to w tempie i na skalę, jakich dotąd nie znano. Dzięki temu w krótkim czasie udało się pokryć zajęte tereny gęstą siecią organów kontroli i terroru. Ten nowy ład przybrał najniebezpieczniejszą formę w postaci zmotoryzowanych grup operacyjnych Policji Bezpieczeństwa, które zostały określone przed Norymberskim Trybunałem Wojskowym mianem „ruchomego Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy” oraz „Gestapo na kółkach”.

Langhaeuser nie mógł wiedzieć, że wszystkie jego starania były z góry skazane na niepowodzenie. 12 września 1939 roku — a więc w dniu, w którym dotarła doń wiadomość o zbliżającym się rozstrzelaniu — w *Führerzügen* przebywającym wówczas pod Jelową odbyła się narada między admirałem Wilhelmem Canarisem i szefem naczelnego dowództwa Wehrmachtu, generałem Wilhelmem Keitlem. Przy tej okazji Canaris ponownie przedłożył swojemu rozmówcy wyrażone już przed wybuchem wojny zastrzeżenia co do planowanych mordów w Polsce. Odpowiedź Keitla była równoznaczna z zapewnieniem z mocą przyrzeczenia kierownictwa Wehrmachtu: „Ta sprawa została już przesądzona przez Führera [...], który wyjaśnił głównodowodzącemu wojsk lądowych, że jeśli Wehrmacht nie chce mieć z tym nic wspólnego, to powinien pogodzić się z faktem, iż u boku żołnierzy będą się pojawiali funkcjonariusze SS i Gestapo”.

Dla części oficerów brutalna działalność Wehrmachtu i SS w okupowanej Polsce na początku wojny stała się kluczowym doświadczeniem wyniesionym z wojny. Sierżant Wilm Hosenfeld, który kierował oficerskim obozem jenieckim w Pabianicach pod Łodzią, pisał 16 września w liście do żony: „Każdego dnia przybywają tysiące [nowych jeńców]. [...] Nie daje się, rzecz jasna, uniknąć pewnych niegodności, ponieważ zbyt wielkie są te masy ludzkie. [...] Niemcy są natychmiast oddzielani, podobnie też oddzielani są od siebie Żydzi i Polacy. Niemców od razu zwalnia się do ich stron ojczystych. Żydom nie jest do śmiechu.

Oburza mnie brutalne traktowanie ich”. Jako oficer do spraw sportowych przy stacjonującym w Warszawie 660. batalionie wartowniczym, Hosenfeld — żyjąc w nieustannym niebezpieczeństwie, że zostanie zdemaskowany — uratował później przed prześladowaniami nie tylko żydowskiego wirtuoza fortepianu Władysława Szpilmana, lecz także wielu innych Polaków i Żydów. Yad Vashem, Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holokaustu z siedzibą w Jerozolimie, uznał go za jednego ze Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Wspomniani powyżej niemieccy oficerowie czuli się zobowiązani do działania, gdyż na bierność nie pozwalały im zwykła przyzwoitość, współczucie dla ofiar oraz przywiązanie do starego porządku. Jednocześnie nie mogli liczyć na wsparcie swoich dowódców, którzy bez większych problemów odnaleźli się w nowym systemie władzy, ochoczo pełniąc służbę zgodnie z odgórnymi wytycznymi. Ci oficerowie musieli dokonać wyboru między dopasowaniem się a przystąpieniem do ruchu oporu. Rudolf Langhaeuser i Wilm Hosenfeld mieli jednak szczęście — mimo iż całym sercem zaangażowali się w misję niesienia pomocy polskiej ludności cywilnej, udało im się przeżyć wojnę. Jednakże Hosenfeld nigdy już nie wrócił do ojczyzny z sowieckiej niewoli; zmarł w obozie jenieckim pod Stalingradem w 1952 roku. Tymczasem inni oficerowie, którzy — między innymi pod wrażeniem mordów dokonanych w Polsce w 1939 roku — przeżyli „bunt sumienia”, swój udział w ruchu oporu niejednokrotnie przyplacali życiem.

W sierpniu 1944 roku kapitan rezerwy, hrabia Ulrich-Wilhelm Schwanden von Schwandenfeld stanął przed Trybunałem Ludowym za udział w próbie zamachu na Hitlera 20 lipca. Składając zeznania, von Schwandenfeld zajął stanowisko w kwestii motywów swego działania: „Polityczne przeżycia, których osobiście doświadczyłem, miały dla mnie różne skutki, ponieważ przez długi czas pracowałem na rzecz niemieckości w Polsce i w tym czasie przeżyłem liczne zmiany w nastawieniu do Polaków. [...] W istocie miałem na myśli wiele mordów”. Przewodniczący Trybunału Ludowego Roland Freisler zareagował błyskawicznie: „Mordów? [...] Przecież pan jest nędznym lajdakiem! Załamał się pan pod



*Kapitan Wilm Hösenfeld w swoim gabinecie w warszawskim Domu Sportowca, na przełomie lat 1942 i 1943. Swój warszawski dziennik, w którym na bieżąco przedstawiał zagładę Żydów i akty terroru przeciwko Polakom i który z powodu niebezpiecznych treści nosił zawsze przy sobie, Hösenfeld wysłał podczas Powstania Warszawskiego w sierpniu 1944 roku do domu w paczce z bielizną. Motto zapisane przez Hösenfelda w tamtym czasie: „Staram się ratować każdego” Urząd Badań do spraw Historii Militarnej w Poczdamie wykorzystał jako tytuł imponującej edycji listów i zapisków z dziennika Hösenfelda z 2004 roku. Ukazały się one w polskim tłumaczeniu w 2007 roku.*

swoją podłością? [...] Nie, nie może się pan pod nią bardziej załamać, ponieważ jest pan tylko kupką nędzy, która nie ma już szacunku do samej siebie”. Mimo że Freisler znany był z tego, że upokarzał i zakrzykiwał oskarżonych, jego atak na von Schwanenfelda miał jeszcze drugie, ukryte dno. We wrześniu 1939 roku 37-letni wówczas hrabia był świadkiem egzekucji, która miała miejsce w lesie pod Sartowicami, nieopodal jego posiadłości rodowych. Zamordowano wówczas kilka tysięcy Polaków i Żydów. W tym samym czasie przebywający w pobliskiej Bydgoszczy Freisler zajmował się powoływaniem Sądu Specjalnego, który zarządzał takie właśnie rozstrzeliwania. Von Schwanefeld został skazany na śmierć przez powieszenie. Wyrok został wykonany 8 września 1944 roku. W swoim testamencie hrabia zarządził, by w miejscu kaźni postawiono wielki krzyż ku czci pomordowanych ofiar. Pod koniec wojny rezydencja rodowa von Schwanenfelda uległa poważnym zniszczeniom; dziś tylko park w stylu angielskim przypomina o jej dawnym przepychu. Lokalna gmina postanowiła uczcić pamięć członka ruchu oporu i jego rodziny, nadając jednemu z miejscowych dębów imię „Graf Schwerin”.

### **Abwehra ratuje warszawskiego rabina przed Zagładą**

Rabin Josef Icchak Schneersohn był duchowym przywódcą ruchu ortodoksyjnych chasydów Chabad, których nazywano także - od nazwy miejsca założenia wspólnoty - Lubawiczeraami. W momencie wybuchu wojny w 1939 roku rabin przebywał w podwarszawskim uzdrowisku Otwocku. Urodzony w 1880 roku w białoruskiej miejscowości Lubawicz Schneersohn był świadkiem wybuchu rewolucji rosyjskiej, a w latach dwudziestych wielokrotnie osadzano go w sowieckich więzieniach z powodu zaangażowania w krzewienie świadomości religijnej wśród rosyjskich Żydów. W 1927 roku amerykańscy członkowie wspólnoty Chabad umożliwili swemu duchowemu przywódcy wyjazd na Łotwę, skąd podjął on pierwsze kroki mające na celu przeniesienie centrum swojego ruchu religijnego do Stanów Zjednoczonych. W połowie

lat trzydziestych rabin osiadł wraz z niewielką grupą zwolenników na peryferiach stolicy Polski. We wrześniu 1939 roku grupa przeniosła się do centrum miasta, gdyż jej członkowie mieli nadzieję, że w ten sposób łatwiej wymkną się niemieckim agresorom.

Północnoamerykańscy Lubawiczerowie dostrzegli niebezpieczeństwo, w którym znalazł się ich duchowy przywódca wraz ze swoimi poplecznikami. Sytuacja stała się jeszcze bardziej dramatyczna, gdy 17 września 1939 roku do Polski wkroczyła Armia Czerwona; na horyzoncie pojawił się wtedy drugi niebezpieczny wróg - Związek Sowiecki. Dzięki zbiórce datków i działalności lobbystów wywierających presję na polityków amerykańskich - w 1930 roku doszło do spotkania Schneersohna z ówczesnym prezydentem Stanów Zjednoczonych Herbertem C. Hooverem - udało się zwrócić uwagę amerykańskiej opinii publicznej na los szóstego rabina wspólnoty, któremu ledwo udało się ująć z życiem podczas bombardowania jego warszawskiego domu i który wskutek nalotu doznał załamania nerwowego. Apele Lubawiczerów dotarły do amerykańskiego sekretarza stanu Cordella Hulla, a także - poprzez jednego z doradców prezydenta - do samego Franklina D. Roosevelta. Wreszcie w osobie Roberta T. Pella z Departamentu Spraw Europejskich w amerykańskim Departamencie Stanu udało się pozyskać dla sprawy człowieka, który był w stanie zainicjować udzielanie konkretnej pomocy.

Pell zaangażował się również energicznie co bezskutecznie na rzecz niesienia pomocy zagrożonym europejskim Żydom, którym chciał umożliwić emigrację do Stanów Zjednoczonych. Podobnie jak to miało miejsce w przypadku większości innych krajów, Stany Zjednoczone również nie były przygotowane do przyjęcia większej liczby żydowskich imigrantów z Europy jeszcze przed wybuchem wojny. Jednak uratowanie rabina Schneersohna, prominentnego Żyda z okupowanej przez nazistów Europy, stanowiło dogodną okazję do polepszenia nadszarpniętego wizerunku kraju. Jednocześnie można było dzięki temu uniknąć udzielenia-poważnych koncesji w zakresie polityki imigracyjnej. Poprzez konsula generalnego Stanów

Zjednoczonych w Berlinie Pell nawiązał kontakt z Helmuthem Wohltättern, dyrektorem ministerialnym odpowiedzialnym za realizację „planu czteroletniego” Hermanna Göringa. Pell pozna! Wohltata już wcześniej we francuskim uzdrowisku kąpielowym Evian, gdzie w 1938 roku obaj politycy wzięli udział w konferencji poświęconej tematyce uciekinierów. Tymczasem sam Wohltat, który swego czasu przebywał na stypendium w Stanach Zjednoczonych, a ponadto utrzymywał kontakty z niemieckim ruchem oporu, dostrzegł teraz szansę na uzdrowienie relacji niemiecko-amerykańskich. Stosunki między obydwoma krajami bardzo ucierpiały wskutek pogromów dokonanych w Niemczech podczas *Reichskristallnacht* w 1938 roku. Wtedy też rząd amerykański postanowił zaprotestować i odwołał swojego konsula generalnego w Berlinie. Poza tym Wohltatowi mogło zależeć także na amerykańskim pośrednictwie w pertraktacjach między Niemcami a Anglią po zakończeniu kampanii w Polsce. Wydawało się więc, iż wszyscy zaangażowani w plan uratowania rabina odniosą wymierne korzyści, sama zaś akcja była finansowana przez amerykańskich Lubawiczaków i mogła być przeprowadzona tylko w ścisłej tajemnicy.

Poszukując potencjalnych sprzymierzeńców, Wohltat zwrócił się na początku października 1939 roku do szefa wywiadu i kontrwywiadu wojskowego admirała Wilhelma Canarisa, który od razu wyraził zgodę na oddelegowanie swoich oficerów do Warszawy. Canaris jest bodaj najbardziej kontrowersyjną postacią w konserwatywnym kręgu ludzi należących do ruchu oporu. Urodził się w 1887 roku jako syn włoskiego imigranta pod Dortmundem. W czasie I wojny światowej pełnił służbę w cesarskiej marynarce wojennej, stosunkowo wcześniej wykazując się wyczuciem dyplomatycznym, talentem językowym i szczególną zręcznością w przeprowadzaniu ściśle tajnych misji. W 1918 roku - rozgoryczony klęską wojenną Niemiec - Canaris przyłączył się do ruchu Freikorpsów. Gdy w okresie Republiki Weimarskiej popadł w niełaskę dowództwa marynarki wojennej, zaczął sympatyzować z ruchem narodowosocjalistycznym. Po przejęciu

władzy przez Hitlera ówczesny niemiecki minister wojny Blomberg wprowadził w 1934 roku Canarisa do swojego urzędu, powierzając mu kierownictwo kontrwywiadu wojskowego. Rozbudowując swoje służby, Canaris wdał się w rywalizację ze Służbą Bezpieczeństwa SS, choć z szefem Urzędu Bezpieczeństwa Reinhardem Heydrichem łączyła go wieloletnia przyjaźń. Afera Blomberga-Fritscha, podpisanie paktu ze Związkiem Sowieckim i mordy dokonywane w okupowanej Polsce przez jednostki SS i policji sprawiły, iż szef kontrwywiadu wojskowego zbliżył się do ruchu oporu w kręgach Wehrmachtu, z którym utrzymywał potajemnie łączność przez bezpośrednio podlegającego mu pułkownika Hansa Oстера. Niebagatelną rolę w dziele pozyskiwania Canarisa dla idei ratowania rabina Schneersohna odegra) fakt, iż wołanie o pomoc pochodziło z najwyższych kręgów rządu amerykańskiego. Przystępując do spisku, Canaris nie tylko ryzykował swoją karierę i życie, lecz także narażał na to samo niebezpieczeństwo swoich wtajemniczonych w akcję podwładnych. Szef kontrwywiadu wojskowego musiał sobie zdawać sprawę z zagrożenia już od samego początku.

Tajną misję uratowania Schneersohna Canaris powierzył człowiekowi, którego darzył bezgranicznym zaufaniem - 41-letniemu majorowi Ernstowi Blochowi, weteranowi i inwalidzie z czasów I wojny światowej. Ponieważ ojciec Blocha był Żydem, sam major uchodził - zgodnie z norymberskimi ustawami rasowymi - za „pół-Żyda”. Jednak, na krótko przed realizacją misji, w 1939 roku admirał złożył wniosek o „zrównanie [swojego współpracownika] z Niemcami czystej krwi”. Wniosek ów został rozpatrzony pozytywnie przez wzgląd na zasługi wojenne samego zainteresowanego. Bloch miał teraz niezwłocznie udać się do Warszawy wraz z innymi agentami żydowskiego pochodzenia z kręgów Abwehry. Na miejscu oczekiwał go pochodzący z Górnego Śląska i biegle mówiący po polsku kierownik tamtejszego biura Abwehry major Johannes Horatzek.

Następnie oficerowie Abwehry wyruszyli na poszukiwanie rabina Schneersohna w okupowanej Warszawie. Ten przebywał wprawdzie

pod wskazanym przez amerykańskich Lubawiczaków adresem rabina Hirscha Gourary ego, jednak niedoinformowanych oficerów kilkakrotnie odprawiono spod drzwi mieszkania. Dopiero w listopadzie 1939 roku, gdy poprosili amerykańską ambasadę w Warszawie o interwencję w tej sprawie, udało im się przełamać nieufność grona osób ochraniających rabina, który - mimo nadszarpniętego zdrowia - 16 grudnia został przewieziony wraz ze swoimi zwolennikami przez Berlin na granicę litewską, a następnie cały i zdrowy dotarł do Rygi. 20 marca 1940 roku wiwatujące tłumy sympatyków Schneersohna (ponad tysiąc osób) przywitały go w nowojorskim porcie, do którego przybył na pokładzie szwedzkiego parowca „Drottningholm”. W ciągu najbliższych dni, tygodni i miesięcy Schneersohn niezmiernie przestrzegał amerykańską opinię publiczną przed niebezpieczeństwami grożącymi Żydom na obszarach zajętych przez nazistów, a o których sam mógł się swego czasu przekonać na własnej skórze: „Chodzi ni mniej, ni więcej, jak tylko o ratowanie życia”. Ostrzeżenia te natrafiły jednak w znacznej mierze na mur obojętności.

Tymczasem Zarząd Wywiadu i Kontrwywiadu w dalszym ciągu angażował się na rzecz ratowania Żydów. W ramach tajnej operacji pod kryptonimem „Unternehmen Sieben” („Operacja Siedem”) Hans von Dohnanyi wysyłał swoich żydowskich znajomych, którym groziła deportacja do jednego z obozów zagłady, do Szwajcarii jako rzekomych agentów Abwehry. Do akcji przystąpiono wiosną 1942 roku, a więc w czasie, gdy na terenach okupowanych na wschodzie trwał już Holokaust. Stojący za całą operacją Oster i Canaris zostali aresztowani jako spiskowcy po nieudanym zamachu na Hitlera w 1944 roku, a następnie straceni na terenie obozu koncentracyjnego we Flossenbürgu, miesiąc przed zakończeniem wojny. Autor biografii szefa Abwehry Heinz Höhne opisał ostatnie godziny jego życia w następujący sposób: „Zanim Wilhelm Canaris stanął następnego poranka przed swoimi mordercami, wystukał ostatnią wiadomość o ścianę swojej celi: «Mój czas minął. Nie jestem zdrajcą ojczyzny. Jako Niemiec spełniłem swój patriotyczny obowiązek»”.



## Bez skrupułów

Należy trzeźwo stwierdzić, że oburzenie oraz inicjatywa wykazywana przez poszczególnych oficerów niemieckich zimą na przełomie lat 1939 i 1940 nie wystarczyły, by nakłonić opozycję w szeregach Wehrmachtu do podjęcia zdecydowanych kroków. Zgodnie z oceną renomowanego niemieckiego historyka wojskowości Gerda R. Ueberschära, „niewykluczone, iż oficerowie działający w ruchu oporu, skupieni wokół Haidera, Canarisa i Oстера, mieli wątpliwości, czy umotywowane ideologią rasistowską zbrodnie jednostek SS i Służby Bezpieczeństwa rzeczywiście wychodzą naprzeciw oczekiwaniom [dowództwa Wehrmachtu], i czy oni sami będą stanowić wystarczająco solidny fundament dla ruchu oporu przeciwko Hitlerowi”. O wiele ważniejsze wydawały się wówczas plany Hitlera związane z ofensywą na zachodzie. Podsycaly one lęk kadr dowódczych niemieckiej armii przed niekontrolowanym rozszerzeniem się wojny. Wątpliwości te wynikały zapewne także ze świadomości, iż niemieccy żołnierze zabili w trakcie kampanii polskiej tysiące cywilów i jeńców wojennych. Patrząc wstecz, szef Policji Bezpieczeństwa Reinhard Heydrich przestrzegał Wehrmacht przed zarozumiałością w tej kwestii: „Jeśli porównać ataki, grabieże i ekscesy niemieckich żołnierzy z podobnymi działaniami funkcjonariuszy SS i policji, to SS i policja na pewno nie wypadają źle w tym porównaniu”.

Wymykająca się spod kontroli fala przemocy, która przetoczyła się przez Polskę w 1939 roku, pozostawiła wyraźne ślady w psychice żołnierzy oddziałów zaangażowanych wówczas w działania bojowe. Przede wszystkim słabło morale wśród członków niemieckich jednostek wojskowych. O ile jednak żołnierze dokonywali zbrodni wojennych w ramach lub na marginesie prowadzonych działań bojowych, o tyle funkcjonariusze grup operacyjnych Policji Bezpieczeństwa likwidowali ludzi rutynowo, co nie pozostawało bez wpływu na stan zdrowia esesmanów. Działający na tyłach armii esesmani często uskarżali się na

dolegliwości żołądkowe i wrzody. Ponadto często zadawali sobie napawające ich trwogą pytanie, „co by było, gdyby wrócili do ojczyzny, czy byłiby wtedy w stanie wyzbyć się swoich zbrodniczych nawyków”, a mieli na myśli „po części rozstrzeliwania, po części jednak także inne nieuzasadnione przestępstwa” — do takich wniosków można dojść przynajmniej na podstawie zeznań ludzi z oddziału operacyjnego Hasselberga. Jednak przekonanie o wyższości „rasy germańskiej”, które szło w parze z koniecznością zwalczania „niepełnowartościowych podludzi” zamieszkujących wschodnią Europę, nie stanowiło dostatecznych ram odniesienia, by z „całkiem normalnych ludzi” z dnia na dzień uczynić „morderców na skalę masową”. Specyfika służby na wschodzie doprowadziła, bądź co bądź, do stopniowej brutalizacji żołnierzy. I tak na przykład Leibstandarte „Adolf Hitler” przeszła w Polsce metamorfozę, przekształcając się z prywatnego „nadzoru sali” Führern w szwadron śmierci. Bo przecież wybryk kapelmistrza Leibstandarte nie pozostał odosobnionym przypadkiem. Podobnie jak oddziały Wehrmachtu, w których szeregach operowała, Leibstandarte uczestniczyła w podpaleniach i masowych mordach w Polsce. W samej tylko miejscowości Złoczew w dniach 3 i 4 września 1939 roku zginęło według szacunków blisko 200 mężczyzn, kobiet i dzieci.

Takiego rażąco odbiegającego od powszechnie przyjętych norm społecznych zachowania nie można było tak po prostu zarzucić. Mordercy z Leibstandarte wracali do swojej ojczyzny z zupełnie zmienionym systemem wartości. Trzymiesięczny urlop tej jednostki w zimowej kwaterze znajdującej się w kurorcie Bad Ems prześledził hanowerski dziennikarz i historyk Wilfried Dieterichs. Jego obserwacje rozpoczęły się z końcem listopada 1939 roku. Elitarne „wysokie chłopaki” z dowodem aryjskiego pochodzenia, noszący na mundurach jeszcze proch z frontu, cieszyły się u młodych kobiet z Bad Ems tale wielkim powodzeniem, że wkrótce wolano na nich w mieście *Unterleibstandarte* (*Unterleib* — podbrzusze). Nieopublikowany „rozkaz prokreacyjny” Himmlera z 28 października 1939 roku, który mógł zostać zrozumiany jako nawoływanie do cudzołóstwa i pozamałżeńskich stosunków seksualnych i który wkrótce obiegł

jako plotka całe społeczeństwo, okazał się zupełnie zbyteczny. Niejednemu „wołowi frontowemu” z wyraźnym trudem przychodziła przemiana w „buhaja na tyłach armii”. Pewnej żydowskiej rodzinie esesmani porozwalali w mieszkaniu meble; tej pierwszej w czasie wojny, srogiej zimy, gdy temperatura spadała nocą do około 30 stopni poniżej zera, esesmani bez namysłu użyli drogiego wyposażenia mieszkania na opał, ogrzewając nim swoje kwatery. Z dziennika formacji wynika, że jej członkowie raz po raz dewastowali swoimi ciężkimi samochodami „trawniki, grządki z różami i bukszpanowe żywopłoty” na terenie uzdrowiska. Jeden ze świadków przypomina sobie, jak pewnego razu esesmani chępnymi się przywinie „okrutnymi czynami, jakich dokonali w Warszawie. Następnego dnia przyszli znowu i grozili, że jeśli nie dotrzymamy tajemnicy, to będziemy musieli ponieść konsekwencje”. Najwidoczniej nawet nadmierne spożycie alkoholu nie było w stanie całkowicie stłumić ciągle jeszcze świeżych wspomnień o zbrodniach.

Komendant jednostki SS-Obergruppenführer Dietrich zadbał o dostarczenie swoim ludziom odpowiedniej rozrywki w długie zimowe wieczory. 23 grudnia 1939 roku Leibstandarte SS „Adolf Hitler” obchodziła w sali teatralnej domu uzdrowskiego Boże Narodzenie, które przemianowano oficjalnie na „jul”, germańskie święto przypadające na przesilenie zimowe. Wtedy też, przy dźwiękach wojskowej orkiestry, dyrygowanej przez masowego mordercę Müllera-Johna, Adolf Hider osobiście wręczał swoim esesmanom prezenty. Były to wyroby tytoniowe, strucla bożonarodzeniowa i butelka wina. Nie obyło się także bez komplementów: „Wy, żołnierze mojej gwardii przybocznej, jesteście wybrańcami losu, gwarantami zwycięstwa Niemiec!”. Poza tym dla członków Leibstandarte organizowano wieczory taneczne, koleżeńskie i bokserskie, a także wystawiano komedie poruszające tematykę żołnierską czy sztuki o „wschodniobrzmiących” tytułach, takich jak na przykład *Der Frontgockel* (Kogut frontowy), *Die Herrin von Mitrowa* (Pani z Mitrowy) czy *Der Zarenitsch* (Carewicz). Dla zabicia czasu ludzie, którzy jeszcze przed kilkoma tygodniami mordowali polskich i żydowskich cywilów, grali w skata, szachy i chińczyka.

Wymarsz w kierunku nowego obszaru mobilizacji Lüdinghausen pod koniec lutego 1940 roku w celu przygotowania się do kampanii na zachodzie niektórym z nich wydawał się pewnie prawdziwym wybawieniem. 28 maja 1940 roku członkowie Leibstandarte SS „Adolf Hitler” zamordowali pod Wormhoudt, w pobliżu wybrzeża kanału La Manche, 85 brytyjskich i francuskich jeńców wojennych. Swoje ofiary zapędzili do stodoły, kilku jeńców zabili przed budynkiem, innych uśmiercili, wrzucając granaty ręczne do środka. Zastosowali zatem technikę, której nauczyli się podczas kampanii w Polsce. Zbiec udało się tylko dwóm angielskim żołnierzom. Bad Ems miało zajmować — jako pierwsza „oaza spokoju” Leibstandarte w czasie pełnienia jej misji wojskowej — poczesne miejsce we wspomnieniach członków jednostki. W święta Bożego Narodzenia w 1940 roku przebywający wówczas we Francji esesmani z nostalgią wspominali „jul” obchodzony w 1939 roku w obecności Führera. Po zakończeniu wojny byli członkowie Leibstandarte wybrali uzdrowisko Bad Ems jako miejsce tradycyjnych spotkań w koleżeńskim gronie.

### **Polski dramat**

Wieści o tym, co działo się w Polsce w 1939 roku, szybko obieły III Rzeszę. Niemiecka propaganda uczciła kampanię polską jako próbę ogniową młodego Wehrmachtu w walce z polskimi żołnierzami i partyzantami, utrzymując, iż niemieccy żołnierze zdali egzamin. Minister propagandy Josef Goebbels był wręcz zafascynowany nowymi możliwościami, które odkrył w czasie prowadzenia wojny przeciwko Polsce: „Przejrzałem materiał kroniki filmowej z ostatniego tygodnia. Wspaniałe sceny walki i okropne zdjęcia przedstawiające grasujących partyzantów” — zanotował 12 września w swoim prywatnym dzienniku. Z kolei w październiku w monachijskim hotelu Continental dwóch czołowych przedstawicieli niemieckiego ruchu oporu rozmawiało o młodych mężczyznach

z niemieckiej Służby Pracy, którzy „[...] byli świadkami, jak (z powodu partyzantów) obstawiano kordonem i podpalano wsie, podczas gdy miejscowa ludność błąkała się po okolicy, przeraźliwie krzycząc”. Niekiedy meldunki donoszące o działalności partyzantów wracały niczym echo z ojczyzny na front. I tak na przykład odbywający w 1939 roku w Polsce obowiązkową „służbę pracy” Wolfgang Reischock przeczytał 21 września w liście od swojego przyjaciela, który z powodu bólów w krzyżu został uznany za niezdolnego do służby wojskowej: „Z Polski napisał też księgowy pracujący w naszym sklepie. [...] Poza tym pisze, że niemieccy żołnierze otrzymali rozkaz bezwzględnej postępowania. I tak na przykład, jeśli natrafia na uzbrojonego cywila, to powinni bez namysłu postawić delikwenta pod murem i rozstrzelać. Szczególnie bezwzględnie mieli się obchodzić z partyzantami”. Poza tym zawsze można było sięgnąć po oficjalne publikacje Wehrmachtu, by zapoznać się z zamieszczoną w nich wersją wydarzeń: „Wśród oddziałów biorących udział w kampanii przeciwko Polsce, [...] nie ma ani jednej jednostki, która nie natrafiłaby na działalność strzelających z ukrycia partyzantów. Jeszcze długo po zakończeniu kampanii przeciwko Polsce partyzanci grasowali w kraju i byli zwalczani przy użyciu środków, które przewiduje w takich przypadkach prawo międzynarodowe”.

Mimo to doniesienia tego typu prawie w ogóle nie rzucały się cieniem na zwieńczoną zwycięstwem pierwszą wojnę Wehrmachtu. W społeczeństwie niemieckim przeważało poczucie ulgi wywołane tym, że wbrew formalnemu wypowiedzeniu wojny Rzeszy przez Wielką Brytanię i Francję nie doszło do otwarcia drugiego frontu działań wojennych na zachodzie. Jednocześnie Gdańsk znów stał się niemieckim miastem, utworzenie nowych okręgów Rzeszy na wschodzie: „Gdańska-Prus Zachodnich” (*Reichsgau „Danzig-Westpreußen*) i „Kraju Warty” (*Reichsgau „Wartheland*), oznaczało likwidację „korytarza pomorskiego”, a Górny Śląsk został „wcielony” bezpośrednio do Niemiec. Poza tym to, co działo się „w Generalnym Gubernatorstwie dla okupowanych polskich obszarów”, początkowo nie docierało w znacznym stopniu do świadomości obywateli Rzeszy. Dawna granica polsko-niemiecka jeszcze przez długi okres funkcjonowała jako granica policyjna.

## „Sonderaktion Krakau"

3 listopada 1939 roku dowódca Einsatzkommando 2/1 SS-Sturm-bannführer Bruno Müller wezwał do siebie rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego profesora Tadeusza Lehra-Spławińskiego. Müller zapowiedział, iż w ciągu trzech najbliższych dni chciałby wraz z rektorem i innymi wykładowcami uniwersytetu odbyć konsultacje w celu „przedstawienia [zebranym] niemieckiego punktu widzenia w kwestiach związanych z nauką i szkolnictwem wyższym“. Gdy - zgodnie z poleceniem - pracownicy nauki uniwersytetu przybyli 6 listopada 1939 roku w południe do Collegium Novum, gmach został obstawiony kordonem oddziału operacyjnego. Oznajmiwszy bez ogródek zebranym, iż inauguracja nowego roku akademickiego na uniwersytecie stanowi „akt wrogi względem Rzeszy Niemieckiej“, Müller wydał rozkaz natychmiastowego aresztowania zgromadzonych na miejscu 183 profesorów i pracowników naukowych. Wykładowcy byli całkowicie zaskoczeni takim obrotem sprawy. Wskutek interwencji Polskiego Czerwonego Krzyża i wpływowych przyjaciół w ciągu kolejnych tygodni wypuszczono na wolność 14 osób spośród aresztowanych wówczas naukowców. Pozostałych 169 zatrzymanych przewieziono do Wrocławia, gdzie zostali osadzeni w miejscowych więzieniach. Aby utrzymać morale, kilku z nich wygłaszało w celi wykłady przed kolegami-współwięźniami. Pod koniec listopada krakowscy profesorowie dotarli do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Do października 1941 roku zmarło 17 deportowanych naukowców. Wskutek międzynarodowych protestów w lutym 1940 roku do Krakowa powróciło około stu profesorów powyżej czterdziestego roku życia. Większość spośród tych, którzy przeżyli pobyt w Sachsenhausen, została zwolniona z obozu najpóźniej na początku 1941 roku. Niewola odcisnęła piętno na niektórych z nich. Część osób zmarła wskutek strasznych warunków życia w obozie, inni byli ponownie aresztowani albo zostali zabici.

Podczas niemieckiej agresji na Związek Sowiecki, w nocy z 3 na 4 lipca 1941 roku, niemiecka Policja Bezpieczeństwa zastrzeliła we Lwowie 25 profesorów z tamtejszego uniwersytetu. Nikt już wtedy nie troszczył się w Rzeszy o poważanie Niemiec na arenie międzynarodowej. W Polsce mord na lwowskich profesorach uważa się za kontynuację „Sonderaktion Krakau”. Co roku 6 listopada na budynkach Uniwersytetu Jagiellońskiego są wywieszane czarne flagi ku czci represjonowanych i pomordowanych profesorów.

W ciągu kolejnych miesięcy i lat między ziemiami bezpośrednio wcielonymi do Rzeszy a Generalną Gubernią dokonywała się nieustanna wymiana ludności. Osadników niemieckiego pochodzenia z okupowanej Polski i krajów bałtyckich osiedlano na nowych terytoriach Rzeszy. Jednocześnie Polaków i Żydów zamieszkujących dotąd na ziemiach anektowanych wydalano do „sąsiedniego kraju”, który miał status niemieckiej kolonii. To właśnie tu, w Generalnym Gubernatorstwie, powstawały w większych miastach pierwsze getta. Fala przemocy, która przetoczyła się przez ziemie okupowane we wrześniu i październiku 1939 roku, bynajmniej nie ustawała. I tak na przykład 9 listopada 1939 roku warszawski batalion policji Polizeibataillon Warschau wymordował wszystkich żydowskich mieszkańców Ostrowi Mazowieckiej, nie oszczędzając nawet kobiet i dzieci. Grupy operacyjne Policji Bezpieczeństwa zostały przekształcone w stacjonarne komisariaty. Po „Akcji Inteligencja” w 1939 roku przeprowadzono „Akcję AB” (Außerordentliche Befriedungsaktion), podczas której do lata 1940 roku aresztowano i zamordowano około 7500 ludzi.

### Kłamstwo katyńskie

W 1939 roku Armia Czerwona wzięła do niewoli około ćwierci miliona polskich żołnierzy. 40 000 z nich znalazło się w połowie listopada w obozach podlegających sowieckim służbom bezpieczeństwa NKWD. Ponieważ sowieccy przywódcy z góry uznali wszystkich

członków polskiego korpusu oficerskiego za „kontrrewolucjonistów”, internowanych w obozach oficerów poddawano systematycznym przesłuchaniom w celu potwierdzenia tego podejrzenia. Wtedy też ważyły się losy jeńców wojennych; wiosną 1940 roku NKWD zamordowało 22 000 polskich oficerów.

5 marca 1940 roku Biuro Polityczne Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego pod przewodnictwem Stalina wydało odpowiedni rozkaz dotyczący przeprowadzenia egzekucji. W kwietniu i maju stracono 14 700 oficerów z różnych obozów jenieckich. Egzekucji dokonywano, strzelając w potylicę, a miejsca kaźni były rozproszone w różnych regionach. 4400 ofiar zamordowano w położonym na zachód od Smoleńska lesie, nieopodal miejscowości Katyń. Kolejnych 7300 polskich oficerów zabito w więzieniach NKWD na Białorusi i Ukrainie.

Przez dłuższy czas los polskich oficerów pozostawał nieznanym. Przełom w tej sprawie nastąpił dopiero podczas niemieckiej inwazji na Związek Sowiecki, po zajęciu obszaru wokół Katynia przez oddziały Wehrmachtu. W 1942 roku niemieccy żołnierze natrafili w pobliskim lesie na masowe groby. W marcu 1943 roku naczelne dowództwo Wehrmachtu zarządziło przeprowadzenie ekshumacji zwłok. Goebbels postanowił wykorzystać wiadomość o mordach NKWD do własnych celów propagandowych - informacja miała posłużyć nazistowskiemu ministrowi propagandy do skłócenia zachodnich aliantów ze Związkiem Sowieckim. Jak się okazało, starania Goebbelsa spełzyły na niczym. Moskwa zerwała stosunki dyplomatyczne z rządem polskim na wychodźstwie w Londynie, który wystąpił z żądaniem pełnego zbadania zbrodni, wydając jednocześnie oficjalne oświadczenie, iż polscy oficerowie zostali zabici dopiero w 1941 roku przez żołnierzy Wehrmachtu, a więc w trakcie niemieckiej agresji na Związek Sowiecki.

Gdy we wrześniu 1943 roku Armia Czerwona odzyskała rejon Smoleńska, powołano komisję specjalną, która potwierdziła oficjalną sowiecką wersję wydarzeń; zgodnie z nią masakry mieli się dopuścić



niemieccy żołnierze. Warto przy tym zwrócić uwagę na fakt, że pracę komisji nadzorowali wysocy rangą oficerowie NKWD, spośród których przynajmniej część była osobiście uwikłana w mord dokonany na polskich oficerach. Sowiecką wersję wydarzeń przedstawił również rosyjski oskarżyciel przed Międzynarodowym Trybunałem Wojennym w Norymberdze. Jednak wersja ta nie utrwaliła się w zbiorowej pamięci. W czasie zimnej wojny Sowieci konsekwentnie obstawali przy „kłamstwie katyńskim”, i dopiero w 1990 roku - a więc w okresie odwilży i pieriestrojki - Michaił Gorbaczow oficjalnie uznał wyłączną odpowiedzialność Związku Sowieckiego za zbrodnie popełnione w Katyniu. Z dokumentów tajnych służb sowieckich, przekazanych dwa lata później z inicjatywy Borysa Jelcyna ówczesnemu prezydentowi Polski Lechowi Wałęsie wynika, że oprócz Katynia istniały jeszcze inne masowe groby. Przez wiele lat rząd Władimira Putina wzbraniał się jednak przed uznaniem pomordowanych wówczas oficerów polskich za ofiary stalinowskiego terroru. Dopiero katastrofa prezydenckiego tupolewa w kwietniu 2010 doprowadziła do zmiany rosyjskiego stanowiska. W listopadzie tego samego roku Duma wydała oficjalne oświadczenie obarczające Stalina odpowiedzialnością za zbrodnię katyńską. Rodziny ofiar katyńskich do tej pory walczą o zadośćuczynienie w tej sprawie.

Także w Polsce Ludowej w czasie zimnej wojny masakrę katyńską uznawano za zbrodnię niemiecką, zaś wyrażanie odmiennych od oficjalnego stanowiska władz opinii w tej kwestii mogło pociągnąć za sobą niebezpieczne konsekwencje. Próbę szczegółowej rekonstrukcji mordów dokonanych przez NKWD, a także pogwałconej po 1945 roku polskiej pamięci zbiorowej podjął Andrzej Wajda, którego ojciec został zamordowany w Katyniu. Film *Katyń* był w 2008 roku nominowany do Oscara.

Po klęsce w 1939 roku wielu polskich żołnierzy przyłączyło się do powstających w podziemiu organizacji ruchu oporu lub uciekło za granicę, by kontynuować walkę z wrogiem w szeregach armii zachodnich

aliantów. We Francji już we wrześniu 1939 roku utworzono Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie, a na przelomie lat 1940 i 1941 polscy piloci wzięli udział w „bitwie o Anglię”, walcząc z niemieckimi lotnikami w dywizjonach Royal Air Force. Po niemieckiej agresji na Związek Radziecki wypuszczono na wolność przetrzymywanych dotąd w sowieckiej niewoli polskich żołnierzy, których wcielono następnie do Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS pod dowództwem generała Władysława Andersa. Formacja ta przeszła do historii jako legendarna „armia Andersa”. Układ zawarty między Moskwą a rządem polskim na wychodźstwie umożliwił ewakuację armii Andersa przez Iran, Palestynę i Afrykę Północną na front zachodni. Tutaj żołnierze polscy walczyli między innymi w bitwie pod Monte Cassino na początku 1944 roku. Ta seria walk przeszła do historii jako „bitwa narodów II wojny światowej”, gdyż po stronie aliantów walczyli wówczas przedstawiciele wielu narodowości. Położona w połowie drogi między Rzymem a Neapolem góra klasztorna Monte Cassino symbolizuje los tysięcy polskich żołnierzy, którzy po klęsce wojennej w 1939 roku — ponosząc ogromne straty — nieugięcie kontynuowali walkę o wolność Polski i pokonanie hitlerowskich Niemiec. Pochodząca z czasów wojny słynna pieśń żołnierska zawiera refren, który upamiętnia to poświęcenie:

*Czerwone maki na Monte Cassino  
Zamiast rosy pity polską krew...  
Po tych makach szedł żołnierz i ginął,  
Lecz od śmierci silniejszy był gniew!*

Jeszcze nie tak dawno w polskich lokalach goście wstawali, gdy rozbrzmiewały pierwsze dźwięki tej melancholijnej pieśni.

Rządowi polskiemu na emigracji — którego siedziba mieściła się najpierw w Paryżu, a później w Londynie — podlegała największa organizacja zbrojna polskiego podziemia - Armia Krajowa. Ta konspiracyjna formacja wojskowa kontynuowała działalność jeszcze długo po zakończeniu II wojny światowej. W Polsce Ludowej stała się symbolem walki o niepodległość

aż do roku 1990. Głównodowodzący armią Edward Rydz-Smigły, którego ostro krytykowano za podjęcie decyzji o ewakuacji dowództwa wojska polskiego do Rumunii we wrześniu 1939 roku, powrócił potajemnie do kraju pod koniec 1941 roku, by nawiązać kontakt z polskim podziemiem. Wkrótce potem zmarł w Warszawie wskutek powikłań po przebytym zawale serca. Do 1994 roku jego grób na warszawskich Powązkach był podpisany fałszywym nazwiskiem „Adam Zawisza”. Tym kryptonimem Rydz-Śmigły posługiwał się w czasie pełnienia swojej ostatniej misji. Jego nazwiskiem nazwano jeden z warszawskich parków.

Dla polskiego społeczeństwa szok związany z wydarzeniami z września 1939 roku stanowił traumatyczne przeżycie, które przesłoniło wszystkie dotychczasowe tragedie narodowe. Do tej pory nie prowadzono jeszcze żadnej wojny, która odznaczałaby się taką bezwzględnością i spowodowała taki ogrom spustoszeń na tak wielką skalę. Kraj jeszcze przez dziesięciolecie odczuwał skutki wojennego kataklizmu. Warszawa leżała w gruzach; zgodnie z planami Hitlera miała zostać przekształcona w prowincjonalne miasto, a tym samym stracić wszelkie znaczenie. Stolicą Generalnego Gubernatorstwa był Kraków, natomiast sam zamek królewski na Wawelu stał się siedzibą generalnego gubernatora Hansa Franka, który objął swój urząd w październiku 1939 roku.

Wywołana przez niemiecką agresję fala patriotyzmu z czasem ustąpiła miejsca gorzkiemu rozczarowaniu szybką klęską wojenną. Ciągące się tygodniami naloty bombowe na polskie miasta oraz codzienne doświadczanie terroru demoralizowały ludność, która wskutek masowych rozstrzeliwań i ucieczki władz państwowych z kraju za jednym zamachem straciła lwia część swoich elit. Oficer łącznikowy między polskim podziemiem a rządem emigracyjnym w Londynie Jan Nowak-Jeziorański napisał w swoich wspomnieniach: „Najgorsze było wysłuchiwanie nieustannych złorzeczeń nie tylko na winowajców klęski, ale na cały naród. Ludzi ogarnęła jakaś masochistyczna mania wylewania pomyj na własne społeczeństwo”. Historyk Jacek Andrzej Młynarczyk określił ten następujący bezpośrednio po wybuchu wojny proces rozpadu mianem „dekompozycji etnicznej”, która szła ręką w rękę z „erozją systemu wartości”. „Obywatele

Warszaw}!', zmuszeni do przeżywania uczuć szczutych zwierząt, osaczonych w kotłach i pułapkach bez wyjścia, skurczyli się w poczuciu niewątpliwej grozy swego położenia: samo wychodzenie na ulicę, wyjście do pracy, po zakupy, za interesem, stało się niebezpieczne” — w ten sposób pierwsze miesiące okupacji opisała jedna z mieszkanek Warszawy.

Upadkowi moralnemu towarzyszyła postępująca pauperyzacja społeczeństwa. Po zniszczeniach i grabieżach dokonywanych przez Wehrmacht i SS przyszła kolej na przymusowe świadczenia na rzecz okupanta w Generalnym Gubernatorstwie. Wskutek samowolnych aresztowań, rekrutowania do robót przymusowych i rozstrzeliwań wiele polskich rodzin straciło swoich ojców i synów, a tym samym materialną podstawę egzystencji. Poprzez wywieranie nieustannej presji polskie społeczeństwo poddawano próbie wytrzymałości, wskutek czego często ujawniały się jego najniższe instynkty. Okres rozkwitu przeżywały wówczas kolaboracja, donosicielstwo i spekulantwo. Chyba najbardziej przykrym przejawem tej degrengolady był pogardzany jeszcze dziś w Polsce proceder szmalcownictwa. Szmalcownikiem nazywano Polaka, który wyludzał pieniądze od ukrywających się Żydów. Gdy dana osoba nie mogła lub nie chciała płacić za milczenie szantażującego ją szmalcownika, ten wydawał swoją ofiarę niemieckim urzędom.

Jednak przeważająca większość polskiej ludności starała się po prostu przeżyć. Ponieważ Polska zniknęła z map Europy, wkrótce powstało nielegalne Polskie Państwo Podziemne, uznające rząd emigracyjny w Londynie i dysponujące własnym wojskiem, wymiarem sprawiedliwości i systemem edukacyjnym. Powstanie państwa podziemnego oznaczało odpowiedź na powszechnie stosowane przez niemieckie władze okupacyjne środki ucisku i terroru. Podziemie stanowiło jedyną możliwość zapobieżenia całkowitemu podporządkowaniu się i utracie tożsamości narodowej.

W systemie wartości niemieckich okupantów najniższą pozycję zajmowali polscy Żydzi. Około 300 000 obywateli polskich żydowskiego pochodzenia wymknęło się nazistom, uciekając na ziemie zajęte przez Sowiec. Po utworzeniu gett w polskich miastach i miejscowościach Żydzi, którzy pozostali na terenach okupowanych przez Niemcy, w miarę

możliwości starali się dostosować do coraz gorszych warunków życia. Setki tysięcy Żydów z Rzeszy i podbitych ziem stłoczono na niewielkich powierzchniach w przepelnionych *Judenviertel* („zamkniętych dzielnicach żydowskich”). W wielkich gettach, takich jak getto warszawskie czy łódzkie, z powodu niedostatku, wycieńczenia i epidemii wkrótce doszło do masowego wymierania odseparowanej ludności. Jako niewolnicy z gett Żydzi mogli zapewnić sobie przeżycie, pracując w licznych drobnych zakładach rzemieślniczych i w większych fabrykach. Często wykonywali zlecenia dla Wehrmachtu. W zamian otrzymywali nędzną zapłatę, która była jednak czasami wystarczająca, by utrzymać przy życiu siebie i swoich najbliższych członków rodziny, przynajmniej przez jakiś czas. Poza tym przedłożenie dowodu stałego zatrudnienia mogło zapobiec nieustannie zagrażającej deportacji do obozu zagłady. Żydzi, których Oskar Schindler uchronił przed takim losem, umieszczając ich nazwiska na osławionej „liście”, zostali zatrudnieni w Krakowie w jego fabryce wyrobów emalowanych, w której potem ta leże produkowano amunicję.

Mimo stosowania różnych strategii przetrwania i oporu śmierć i przemoc były nieodłącznym elementem codziennego życia w okupowanej przez Niemcy Polsce. Tworząc obozy zagłady na przełomie 1941 i 1942 roku, nazistowskie Niemcy mogły poszerzyć zakres prześladowań na niespotykaną dotąd skalę. Nie sposób dokładnie ustalić, jak wielkie straty ludnościowe poniosła Polska pod niemiecką okupacją. Pierwsze próby ich oszacowania podjęto jeszcze w czasie wojny. Po roku 1989 polskie władze zintensyfikowały działania mające na celu określenie w przybliżeniu niewyobrażalnych wręcz rozmiarów dokonanego w trakcie wojny ludobójstwa. Dziś przyjmuje się, że pod niemiecką okupacją wymordowano od 2,35 do 3 milionów Żydów oraz około 1,4 miliona Polaków, co oznacza, że zginął wówczas co siódmy obywatel II Rzeczypospolitej.

## Epilog

Można powiedzieć, że Władysław Szpilman cudem przeżył wojnę. W jednym z ostatnich ujęć filmu Polańskiego tytułowy pianista wygląda tak, jakby się postarzał o całe dziesięciolecie. Po pięciu latach niemieckiej okupacji Szpilman błąka się po doszczętnie zniszczonej, obecnie okupowanej przez Armię Czerwoną Warszawie, która przypomina księżycowy krajobraz. Z ziemią zrównano także Pałac Saski widoczny w pierwszych ujęciach filmu Polańskiego. W ocalałych ze zniszczeń wojennych arkadach kolumnowych znajduje się dziś Grób Nieznanego Żołnierza.

## Podziękowania

Andreas Kossert, Barbara Werner van Benthem i Carmen Kölz w znaczącym stopniu przyczynili się do tego, że z wielu pomysłów powstała książka. Z kolei Jacek Młynarczyk i Igor Kąkolewski cierpliwie wyostrzali moje spojrzenie przez „polskie okulary”. Prof. dr Jost Diilffer, prof. dr Klaus-Michael Mallmann, prof. dr Włodzimierz Borodziej i prof. dr Henryk Samsonowicz zawsze służyli mi niezawodną radą, będąc moimi mentorami w Kolonii, Ludwigsburgu i Warszawie. Wszystkim wyżej wymienionym serdecznie dziękuję.

W swej życzliwości Joanna Urbanek udostępniła mi własną, nieopublikowaną wówczas jeszcze pracę magisterską na temat *Lęk i strach warszawiaków w obliczu zagrożenia września 1939 roku* — złożoną na Uniwersytecie Warszawskim w sierpniu 2008 roku, a Wilfried Dieterichs udostępnił mi rozdział swojego nieopublikowanego jeszcze rękopisu, traktujący o Leibstandarte SS, Adolf Hitler” w Bad Ems na przełomie lat 1939 i 1940.

Dr Andrzej Wesolowski udzielił mi cennej wskazówki, odsyłając mnie do albumu wojennego Ericha Ehlera ze sztabu Einsatzgruppe II znajdującego się w zbiorach Centralnego Archiwum Wojskowego w podwarszawskim Rembertowie, z kolei Jan Bańbor zwrócił mi uwagę na źródła przechowywane w Archiwum Nowych Akt w Warszawie, poświęcone sytuacji mniejszości niemieckiej w Polsce na początku wojny, a Robert Nowak — na ślady związane ze śmiercią generała broni Wernera Fritscha na warszawskiej Pradze.

Niniejszy tom powstał na przełomie lat 2008 i 2009 jako Podprojekt nr 1, realizowany w Niemieckim Instytucie Historycznym w Warszawie w ramach zakrojonego na większą skalę projektu badawczego *Gewalt und Fremdherrschaft im „Zeitalter der Extreme”* (Przemoc i niewola w „epoce skrajności”).

## Katalog polskich i niemieckich mitów propagandowych

Legenda Freikorpsów (s. 22—25)  
„Wojna przewencyjna” (s. 29—30)  
Obersalzberg (s. 74-76)  
Pakt Hitler-Stalin (s. 77—79)  
Zamach bombowy w Tarnowie (s. 80—82)  
Incydenty graniczne w Mostach i Tczewie (s. 83-87)  
Radiostacja gliwicka (s. 87—91)  
Atak polskiej kawalerii na niemieckie czołgi (s. 120-121)  
Bombardowanie Wielunia (s. 125—128)  
Obrona Westerplatte (s. 129—134)  
Obrona Poczty Gdańskiej (s. 134-138)  
Bydgoska „krwawa niedziela” (s. 145-149)  
Wieża spadochronowa w Katowicach (s. 153-159)  
Mit o „polskich partyzantach” (s. 183—188)  
Losy prezydenta Warszawy (s. 217-218)  
Śmierć generała von Fritscha (s. 228—232)  
Osiemnastodniowa kampania (s. 232—235)  
Mit o „czystym Wehrmachcie” (s. 253—256)  
Pociąg Führern (s. 278-282)  
Abwehra ratuje warszawskiego rabina przed Zagładą (s. 287—291)  
„Sonderaktion Krakau” (s. 298-299)  
Kłamstwo katyńskie (s. 299—301)



## Wybrana bibliografia

1939. *An der Schwelle zum Weltkrieg. Die Entfesselung des Zweiten Weltkrieges und das internationale System*, red. Klaus Hildebrand, Jürgen Schmädke, Klaus Zernack, Berlin 1990.
- Akten der deutschen Auswärtigen Politik 1918—1945*. Z. Archivum niemieckiego federalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, seria D, t. V (X1938—III 1939), t. VI (III—VIII 1939), t. VII (9 VIII-3IX), Baden-Baden 1956.
- Alexander Manfred, *Kleine Geschichte Polens*, Stuttgart 2003.
- Archivum Prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego*, red. Marian Marek Drozdowski, Warszawa 2004.
- August Jochen, „Sonderaktion Krakau”. *Die Verhaftung der Krakauer Wissenschaftler am 6. November 1939*, Hamburg 1997.
- Barth Boris, *Dolchstoßlegenden und politische Desintegration. Das Trauma der deutschen Niederlage im Ersten Weltkrieg 1914—1933*, Düsseldorf 2003 (Schriften des Bundesarchivs, t. 61).
- Baumgart Winfried, *Zur Ansprache Hitlers vor den Führern der Wehrmacht am 22.8.1939. Eine quellenkritische Untersuchung*, „Vierteljahreshefte für Zeitgeschichte” 1968, t. 16, nr 2, s. 120-149-
- Becela Tadeusz, *Czas nie spełnionych nadziei*, w: *Wspomnienie wrześniowych dni. Wielkopole o kampanii wrześniowej 1939*, red. Edmund Makowski, Poznań 1975, s. 17-51-
- Berenstein Tatiana, Rutkowski Adam, *Prześladowanie ludności żydowskiej w okresie hitlerowskiej administracji wojennej na okupowanych ziemiach polskich. 1.9—25.10. 1939 r.*, cz. I, „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego” 1961, nr 38, s. 3—38; cz. II, „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego” 1961, nr 39, s. 63—87.
- Berlin im Zweiten Weltkrieg. Der Untergang der Reichshauptstadt in Augenzeugenberichten*, red. Hans Dieter Schäfer, München etc. 1985.
- Bębnik Grzegorz, *Katowice we wrześniu 39*, Katowice—Warszawa 2006.
- Białkowski Jakub, *Aspekty wojskowe polityki zagranicznej Polski w 1939 roku*, Toruń 2008.
- Bock Fedor von, *Zwischen Pflicht und Verweigerung. Das Kriegstagebuch*, red. Klaus Gerbet, München etc. 1995.

- Böhler Jochen, *Auftakt zum Vernichtungskrieg. Die Wehrmacht in Polen 1939*, Frankfurt am Main 2006. Wyd. pol.: *Zbrodnie Wehrmachtu w Polsce: wrzesień 1939: wojna totalna*, tłum. P. Pieńkowska-Wiederkehr, Kraków 2009.
- Bojarska Barbara, *Zniszczenie miasta Wielunia w dniu 1 września 1939 r.*, „Przegląd Zachodni” 1962, t. 18, nr 2, s. 305-317.
- Bojarska Barbara, *Napaść hitlerowskiego lotnictwa na Wieluń*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce” 1977, t. 27, s. 13-25.
- Boog Horst, *Bombenkriegslegenden*, „Militärgeschichtliche Beiträge” 1995, nr 9, s. 22—29.
- Brandes Detlef, *Die Sudetendeutschen im Kriegsjahr 1938*, München 2008 (Veröffentlichungen des Collegiums Carolinum, t. 107).
- Brausch Gerd, *Der Tod des Generalobersten Werner Freiherr von Fritsch*, „Militärgeschichtliche Mitteilungen” 1970, nr 7, s. 95—112.
- Broszat Martin, *Nationalsozialistische Polenpolitik 1939—1945*, Stuttgart 1961 (Schriftenreihe der „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte”, nr 2). Wyd. pol.: *Narodowo-socjalistyczna polityka w sprawie Polski 1939—1945*, Warszawa 1966 (*Archivum Przekładów Zachodniej Agencji Prasowej*, zeszyt 42).
- Bulhak Henryk, *Polska—Francja: z dziejów sojuszu 1933—1936*, Warszawa 2000.
- Bydgoszcz 3—4 września 1939. Studia i dokumenty*, red. Tomasz Chinciński, Paweł Machcewicz, Warszawa 2008 (Monografie / Instytut Pamięci Narodowej-Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, t. 45).
- Chalupczak Henryk, *II Rzeczpospolita a mniejszość polska w Niemczech*, Poznań 1992.
- Clark Christopher, *Josef „Sepp” Dietrich. Landsknecht im Dienste Hitlers*, w: *Die SS. Elite unter dem Totenkopf*, red. Roland Smelser, Enrico Syring, wyd. 2, Darmstadt 2003, s. 119—133.
- Cüppers Martin, *Wegbereiter der Shoah. Die Waffen-SS, der Kommandostab Reichsführer-SS und die Judenvernichtung 1939—1945*, Darmstadt 2005 (Veröffentlichungen der Forschungsstelle Ludwigsburg der Universität Stuttgart, t. 4).
- Ćwięk Henryk, *Przeciw Abwehrze*, Warszawa 2001.
- Deist Wilhelm, *Überlegungen zur „widerwilligen Loyalität” der Deutschen bei Kriegsbeginn*, w: tenże, *Militär, Staat und Gesellschaft. Studien zur preußisch-deutschen Militärgeschichte*, München 1991 (Schriftenreihe des militärgeschichtlichen Forschungsamtes, t. 34), s. 354—367.
- Deutsche und Polen zwischen den Kriegen. Minderheitenstatus und „Volkstumskampf” im Grenzgebiet. Amtliche Berichterstattung aus beiden Ländern*

- 1920—1939, red. Rolf Jaworski, Marian Wojciechowski, München etc. 1997 (Texte und Materialien zur Zeitgeschichte; t. 9/1 i 9/2).
- Deutschland-Berichte der Sozialdemokratischen Partei Deutschlands (Sopade) 1934—1940, t. 6 (1939)*, Frankfurt am Main 1980.
- Deutsch-polnische Beziehungen 1939—1949. Eine Einführung*, red. Włodzimierz Borodziej, Klaus Ziemer, Osnabrück 2000.
- Die faschistische Okkupationspolitik in Polen (1939—1945)*, wybór dokumentów i wstęp Werner Röhr, Berlin 1989 (Europa unterm Hakenkreuz, t. 2).
- Dubiel Paweł, *Wrzesień na Śląsku*, Katowice 1960.
- Elbie Rolf, *Die Schlacht an der Bzura im September 1939 aus deutscher und polnischer Sicht*, Freiburg im Breisgau 1975 (Einzelschriften zur Militärgeschichte des Zweiten Weltkrieges, t. 15).
- Engeli Christian, Rippe Wolfgang, *Berlin in der NS-Zeit. 1933—1945*, w: *Geschichte Berlins*, t. 2 (*Von der Märzrevolution bis zur Gegenwart*), red. Wolfgang Rippe, Berlin 2002, s. 927-1024.
- Esman Tadeusz, Jastrzębski Włodzimierz, *Pierwsze miesiące okupacji hitlerowskiej w Bydgoszczy w świetle źródeł niemieckich*, Bydgoszcz-Poznań 1967.
- Fischer Frank, *Danzig. Die zerbrochene Stadt*, Berlin 2006.
- Fischer Peter, *Die deutsche Publizistik als Faktor der deutsch-polnischen Beziehungen 1919—1939*, Wiesbaden 1991 (Studien der Forschungsstelle Ostmitteleuropa an der Universität Dortmund, t. 7).
- Förster Jürgen, *Die Wehrmacht im NS-Staat. Eine strukturgeschichtliche Analyse*, München 2007.
- Gniazdowski Mateusz, *Zu den Menschenverlusten, die Polen während des Zweiten Weltkrieges von den Deutschen zugefügt wurden. Eine Geschichte von Forschungen und Schätzungen*, „Historie. Jahrbuch des Zentrums für Historische Forschung Berlin der Polnischen Akademie der Wissenschaften” I (2007/2008), s. 65-92.
- Goebbels Josef, *Die Tagebücher von Josef Goebbels*, t. I: *Aufzeichnungen 1924—1941*, t. 7 (lipiec 1939-marzec 1940), red. Elke Fröhlich, München 1998.
- Golba Kazimierz, *Wieża spadochronowa*, wyd. 5, Katowice 1983.
- Görings Revier. *Jagd und Politik in der Rominter Heide*, red. Uwe Neumärker, Volker Knopf, Berlin 2007.
- Grabowski Stanisław, *Krojanty 1939*, Warszawa 1994.
- Grami Hermann, *Europas Weg in den Krieg. Hitler und die Mächte 1939*, München 1990.
- Groscurth Helmuth, *Tagebücher eines Abwehroffiziers*, red. Helmut Krausnick i Harold C. Deutsch, przy współpr. Hildegard von Kotze, Stuttgart 1991.

- Gruchmann Lothar, *Totaler Krieg. Vom Blitzkrieg zur bedingungsloser Kapitulation*, München 1991.
- Haider Franz, *Kriegstagebuch. Tägliche Aufzeichnungen des Chefs des Generalstabes des Heeres, 1939—1942*, oprac. Hans-Adolf Jacobsen, cz. 1: *Vom Polenfeldzug bis zum Ende der Westoffensive (14.8.1939—30.6.1940)*, Stuttgart 1962.
- Hassel Ulrich von, *Die Hassel-Tagebücher 1938—1944. Aufzeichnungen vom Anderen Deutschland*, red. Friedrich Hiller von Gaertring, wyd. 2 przejrzone, Berlin 1989.
- Heike Otto, *Die deutsche Minderheit in Polen bis 1939. Ihr Leben und Wirken — kulturell — gesellschaftlich — politisch. Eine historisch-dokumentarische Analyse*, Leverkusen 1985.
- Herbert Ulrich, *Best. Biographische Studien über Radikalismus, Weltanschauung und Vernunft 1903—1989*, wyd. 3, Bonn 1996. Wyd. pol.: *Werner Best: studium biograficzne o radykalizmie, światopoglądzie i rozsadku, 1903—1989*, tłum. Magdalena Kurkowska, Warszawa 2007.
- *Hitlers Weisungen für die Kriegsführung 1939—1945. Dokumente des Oberkommandos der Wehrmacht*, red. Walther Hubatsch, Frankfurt am Main 1962.
- Hitlers zweites Buch. Ein Dokument aus dem Jahr 1928*, wstęp i komentarz Gerhard L. Weinberg, Stuttgart 1961.
- Höhne Heinz, *Admiral Wilhelm Canaris*, w: *Hitlers militärische Elite*, t. 1: *Von den Anfängen des Regimes bis Kriegsbeginn*, red. Gerd R. Ueberschär, Darmstadt 1998, s. 53—60.
- Hofer Walter, *Die Entfesselung des Zweiten Weltkrieges. Darstellung und Dokumente*, Wien etc. 2007 (Geschichte in Quellen, t. 1).
- Hosenfeld Wilm, „*Ich versuche jeden zu retten*“. *Das Leben eines deutschen Offiziers in Briefen und Tagebüchern*, red. Thomas Vogel, München 2004. Wyd. pol.: „*Stamm się ratować każdego*“. *Życie niemieckiego oficera w listach i dziennikach*, tłum. Janusz Tycner, red. nauk. Eugeniusz Cezary Król, Winfried Lipscher, Warszawa 2007.
- Hürter Johannes, *Kriegserfahrung als Schicksalserlebnis? Der Erste Weltkrieg in der Biographie von Wehrmachtsgenerälen*, w: *Erster Weltkrieg — Zweiter Weltkrieg. Ein Vergleich. Krieg, Kriegserlebnis, Kriegserfahrung in Deutschland*, red. Bruno Thoß, Hans-Erich Volkmann, Paderborn 2002, s. 759-771.
- Hürter Johannes, *Hitlers Heerführer. Die deutschen Oberbefehlshaber im Krieg gegen die Sowjetunion 1941/42*, München 2006.
- Jablonowski Marek, *Wobec zagrożenia wojną. Wojsko a gospodarka Drugiej Rzeczypospolitej w latach 1935—1939*, Warszawa 2001.

- Jacobmeyer Wolfgang, *Henryk Dobrzański („Hubal”). Ein biographischer Beitrag zu den Anfängen der polnischen Resistance im Zweiten Weltkrieg*, „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte” 1972, t. 20, nr 1, s. 63-74.
- Jansen Christian, Weckbecker Arno, *Der „Volksdeutsche Selbstschutz” in Polen 1939/40*, München 1992 (Schriftenreihe der „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte”, t. 64).
- Kamiński Marek K., Zacharias Michal J., *Polityka zagraniczna Rzeczypospolitej Polskiej 1918—1939*, Warszawa 1998.
- Kershaw Ian, *Der Übe fall auf Polen und die öffentliche Meinung in Deutschland*, w: *Politischer Wandel, organisierte Gewalt und nationale Sicherheit. Beiträge zur neueren Geschichte Deutschlands und Frankreichs. Festschrift für Klaus-Jürgen Müller*, red. Ernst Willy Hansen, München 1995 (Beiträge zur Militärgeschichte, t. 50), s. 237—250.
- Kęsik Jan, *Naród pod bronią. Społeczeństwo w programie polskiej polityki wojskowej 1918—1939*, Wrocław 1998.
- Kornat Marek, *Polska 1939 roku wobec paktu Ribbentrop-Mołotow. Problem zbliżenia niemiecko-sowieckiego w polityce zagranicznej II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2002.
- Kornat Marek, *Polityka równowagi 1934—1939. Polska między Wschodem a Zachodem*, Kraków 2007.
- Kotowski Albert S., *Polens Politik gegenüber seiner deutschen Minderheit 1919—1939*, Wiesbaden 1998. Wyd. pol.: *Polska polityka narodowościowa wobec mniejszości niemieckiej w latach 1919—1939*, Toruń 2004.
- Krahelska Halina, *Postawa społeczeństwa polskiego pod okupacją niemiecką*, AAN, Sign. 383/11-4, BI. 12
- Krausnick Helmut, *Hitler und die Morde in Polen. Ein Beitrag zum Konflikt zwischen Heer und SS um die Verwaltung der besetzten Gebiete*, „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte” 1963, t. 11, nr 2, s. 196—209-
- Kuprianis Artur, *General Brygady Czesław Młot-Fijałkowski. 1882—1944*, Warszawa 2004.
- Lipinsky Jan, *Das Geheime Zusatzprotokoll zum deutsch-sowjetischen Nichtangriffvertrag vom 23. August 1939 und seine Entstehungs- und Rezeptionsgeschichte von 1939 bis 1999*, Frankfurt am Main 2004 (Europäische Hochschulschriften. Reihe III: Geschichte und ihre Hilfswissenschaften; 991), recenzja Sergej Slutsch w: *sehepunkte* 6 (2006), nr 11 [15.11.2006], URL: <http://www.sehepunkte.de/2006/11/6764.html> (23.03.2011).
- Longerich Peter, *Heinrich Himmler. Biographie*, Berlin 2008.

- Lustiger Arno, *The Black Book of Polish Jewry. An Account of the Martyrdom of Polish Jewry under the Nazi Occupation*, wyd. 2, Bodenheim 1995 (wyd. 1: New York 1943).
- Łuczak Czesław, *Obrona Mogilna i Trzemeszyna w wrześniu 1939 r.*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce” 1991, nr 33, s. 72-78.
- Madajczyk Czesław, *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, t. 1-2, Warszawa 1970.
- Madajczyk Czesław, *Die Okkupationspolitik Nazideutschlands in Polen 1939-1945*, Köln 1988.
- Majzner Robert, *Polski wywiad wojskowy wobec polityki III Rzeszy 1933—1939. Militarne aspekty polityki III Rzeszy w świetle analiz Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego*, Toruń 2006.
- Mallmann Klaus-Michael, „... Mißgeburten, die nicht auf diese Welt gehören”. *Die Ordnungspolizei im besetzten Polen 1939—1941*, w: *Genesis des Genozids. Polen 1939—1941*, red. tenże, Bogdan Musiał, Darmstadt 2004 (Veröffentlichungen der Forschungsstelle Ludwigsburg der Universität Stuttgart, t. 3), s. 145-169.
- Mallmann Klaus-Michael, Jochen Böhler, Jürgen Matthäus, *Einsatzgruppen in Polen. Darstellung und Dokumentation*, Darmstadt 2008 (Veröffentlichungen der Forschungsstelle Ludwigsburg der Universität Stuttgart, t. 12); Wyd. pol.: *Einsatzgruppen w Polsce*, tłum. E. Ziegler-Brodnicka, Warszawa 2009.
- Matelski Dariusz, *Mniejszość niemiecka w Wielkopolsce w latach 1919—1939*, Poznań 1997.
- Maurer Trude, *Abschiebung und Attentat. Die Ausweisung der polnischen Juden und der Vorwand für die „Reichskristallnacht”*, w: *Der Judenpogrom von 1938. Von der „Reichskristallnacht” zum Völkermord*, red. Walter H. Pehle, wyd. 9, Frankfurt am Main 1999.
- Meldungen aus dem Reich. Die geheimen Lageberichte des Sicherheitsdienstes der SS 1938—1945*, red. Heinz Boberach, t. 2, Berlin 1984.
- Meyer Winfried, *Unternehmen Sieben. Eine Rettungsaktion für vom Holocaust Bedrohte aus dem Amt Ausland / Abwehr im Oberkommando der Wehrmacht*, Frankfurt am Main 1993.
- Messerschmidt Manfred, *Die Wehrmacht im NS-Staat. Zeit der Indoktrination*, Hamburg 1969.
- Messerschmidt Manfred, *Außenpolitik und Kriegsvorbereitung*, w: *Ursachen und Voraussetzungen der deutschen Kriegspolitik*, red. Wilhelm Deist, Manfred

- Messerschmidt, Hans-Erich Volkmann i in., Stuttgart 1979 (Das Deutsche Reich und der Zweite Weltkrieg, t. 1), s. 533—701.
- Messerschmidt Manfred, *Wehrmachtsjustiz 1933—1945*, Paderborn 2005.
- Młynarczyk Jacek Andrzej, *Die zerrissene Nation. Die polnische Gesellschaft unter deutscher und sowjetischer Herrschaft 1939—1941*, w: *Genesis des Genozids. Polen 1939—1941*, red. Klaus-Michael Mallmann, Bogdan Musial (Veröffentlichungen der Forschungsstelle Ludwigsburg der Universität Stuttgart, t. 3), s. 145-169.
- Mühleisen Horst, *Generaloberst Werner Freiherr von Fritsch*, w: *Hitlers militärische Elite*, t. 1: *Von den Anfängen des Regimes bis Kriegsbeginn*, red. Gerd R. Ueberschär, Darmstadt 1998, s. 61—70.
- Müller Klaus-Dieter, *Generaloberst Ludwig Beck. Eine Biographie*, Paderborn etc. 2008.
- Müller Klaus-Jürgen, *Zur Vorgeschichte und Inhalt der Rede Himmlers vor der höheren Generalität am 13-3-1940 in Koblenz*, „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte“ 1970, t. 18, nr 1, s. 95-120.
- Müller Klaus-Jürgen, *Armee und Drittes Reich 1933—1939. Darstellung und Dokumentation*, wyd. 2, Paderborn 1987.
- Nowak-Jeziorahski Jan, *Kurier z Warszawy*, Londyn 1978.
- Olejniki Tadeusz, *Wieluń. Polska Guernica*, Wieluń 2004 (Biblioteka Wieluńskiego Towarzystwa Naukowego, t. 5).
- Pasieka Wiesława, „Willi”, w: *Zehn Gerechte. Erinnerungen aus Polen an die deutsche Besatzungszeit (1939—1945)*, red. Jan Turnau, Mainz etc. 1989, s. 121-125.
- Pierzchała Henryk, *Den Fängen des NS-Staates entrissen. Sonderaktion Krakau 1939—1941*, Kraków 1998. Wyd. pol.: *Wyrwani ze szponów Państwa-SS: Sonderaktion Krakau 1939—1941*, Kraków 1999.
- Pietrzykowski Jan, *Hitlerowcy w Częstochowie w latach 1939-1945*, Poznań 1959-
- Pietrzykowski Jan, *Cień swastyki nad Jasną Górą*, Katowice 1985.
- Polskie Dokumenty Dyplomatyczne*, red. Włodzimierz Borodziej, t. 1, 1938 i 1939 (styczeń-sierpień), Warszawa 2007 i 2005-
- Pöhlmann Markus, *Von Versailles nach Armageddon. Totalisierungserfahrungen und Kriegserwartung in deutschen Militärzeitschriften*, w: *An der Schwelle zum Totalen Krieg. Die militärische Debatte über den Krieg der Zukunft 1919—1939*, red. Stig Förster, Paderborn etc. 2002, s. 323-391.
- Pohl Dieter, *Von der „Judenpolitik“ zum Judenmord. Der Distrikt Lubin des Generalgouvernements 1939-1944*, Frankfurt am Main etc. 1993.
- Pollmann Viktoria, *Untermieter im christlichen Haus. Die Kirche und die „jüdische Frage“ in Polen anhand der Bistumspressen der Metropole Krakau*

- 1926—1939, Wiesbaden 2001 (Studien zur Geistesgeschichte, Religion und Literatur, t. 9).
- Pospieszalski Karol Marian, *Dzień 2 września 1939 r. w Torzeńcu i Wyszanowie*, „Przegląd Zachodni” 1955, nr 11, s. 730-743.
- Pospieszalski Karol Marian, *Nazi-Anschläge gegen deutsches Eigentum. Ein Plan des Reichsführers SS vom Sommer 1939*, „Polnische Weststudien” 1983, t. 2, nr 1, s. 109-145.
- Pospieszalski Karol Marian, *Der Bombenanschlag von Tarnów und andere Nazi-Provokationen vor und nach dem Kriegsausbruch 1939. Hat Hitler die Verluste der deutschen Minderheit gewollt?*, „Polnische Weststudien” 1986, t. 5, nr 2, s. 285-318.
- Regulska Halina, *Dziennik z oblężonej Warszawy*, Warszawa 1978.
- Reynolds Nicholas, *Der Fritsch-Brief vom 11.12.1938*, „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte” 1980, t. 28, nr 3, s. 358-371.
- Rieß Volker, *Die Anfänge der Vernichtung des „lebensunwerten Lebens” in den Reichsgauen Danzig-Westpreußen und Wartheland 1939/140*, Frankfurt am Main etc. 1995.
- Rigg Bryan Mark, *Rabbi Schneersohn und Major Bloch. Eine tinglaubliche Geschichte aus dem ersten Jahr des Krieges*, München etc. 2006.
- Rohde Horst, *Hitlers erster ‚Blitzkrieg‘ und seine Auswirkungen auf Nordosteuropa*, w: *Die Errichtung der Hegemonie auf dem europäischen Kontinent*, red. Klaus A. Maier i in., Stuttgart 1979.
- Roos Hans, *Die „Präventivkriegspläne” Pilsudzkis von 1933*, „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte” 1955, t. 3, nr 4, s. 344—363.
- Rossino Alexander B., *Destructive Impulses. German Soldiers and the Conquest of Poland*, „Holocaust and Genocide” 1997, t. 11, nr 3, s. 351—365.
- Rossino Alexander B., *Nazi Anti-Jewish Policy During the Polish Campaign. The Case of the Einsatzgruppe von Woyrsch*, „German Studies Review” 2001, t. 24, nr 1, s. 35-54.
- Rossino Alexander B., *Hitler strikes Poland. Blitzkrieg, Ideology, and Atrocity*, Kansas City 2003. Wyd. pol.: *Hitler uderza na Polskę. Blitzkrieg, ideologia i okrucieństwo*, tłum. Halina Górska, Warszawa 2009.
- Rzepniewski Andrzej, *Wojsko Polskie wobec perspektywy zagrożenia wojennego. 13 maja 1935—31 sierpnia 1939*, t. 1—3, Warszawa 1992.
- Sanford George, *Katyń and the Soviet Massacre od 1940. Truth, Justice and Memory*, London etc. 2005 (BASEES / Routledge series on Russian and East European studies, t. 20).
- Schenk Dieter, *Die Post von Danzig. Geschichte eines deutschen Justizmords*, Reinbek pod Hamburgiem 1995. Wyd. pol.: *Poczta Polska w Gdańsku*.



- Dzieje pewnego niemieckiego zabiójstwa sądowego*, tłum. Wanda Tycner i Janusz Tycner, słowo wstępne Horst Ehmke, Gdańsk 1999.
- Schenk Dieter, *Hitlers Mann in Danzig. Gauleiter Forster und die NS-Verbrechen in Danzig-Westpreußen*, Bonn 2000. Wyd. pol.: *Albert Förster—gdański namiestnik Hitlera. Zbrodnie hitlerowskie w Gdańsku i Prusach Zachodnich*, przeł. Wanda Tycner i Janusz Tycner, przedm. do wyd. poi. Witold Kulesza, Gdańsk 2002.
- Schindler Herbert, *Mosty und Dirschau. Zwei Handstreich der Wehrmacht vor Beginn des Polenfeldzuges*, wyd. 2 zmienione, Freiburg im Breisgau 1979. (Einzelschriften zur Militärgeschichte des Zweiten Weltkrieges, t. 7).
- Schubert Günter, *Das Unternehmen „Bromberger Blutsonntag“. Tod einer Legende*, Köln 1989. Wyd. pol.: *„Bydgoska krwawa niedziela“. Śmierć legendy*, tłum. Igor Jakubowicz, red. Marian Wojciechowski, Bydgoszcz 2003.
- September 1939. Krieg, Besatzung, Widerstand in Polen*, red. Christoph Kleßmann, Göttingen 1989.
- Sierpowski Stanisław, *Źródła do historii powszechnej okresu międzywojennego, t. III, 1935-1939*, Poznań 1992
- Steinen Marlis G., *Hitlers Krieg und die Deutschen. Stimmung und Haltung der deutschen Bevölkerung im Zweiten Weltkrieg*, Düsseldorf etc. 1970.
- Stjernerfelt Bertil, Böhme Klaus-Richard, *Westerplatte 1939*, Freiburg im Breisgau 1979. (Einzelschriften zur Militärgeschichte des Zweiten Weltkrieges, t. 23).
- Sywojta Jutta, *Mobilmachung für den totalen Krieg. Die propagandistische Vorbereitung der deutschen Bevölkerung auf den Zweiten Weltkrieg*, Opladen 1976 (Studien zur modernen Geschichte, t. 18).
- Szarota Tomasz, *Die Luftangriffe auf Warschau im Zweiten Weltkrieg*, „Acta Polonica Historica” 1994, nr 69, s. 121—133.
- Szarota Tomasz, *Naloty na Warszawę podczas II wojny światowej*, w: *Straty Warszawy 1939—1945. Raport*, red. Wojciech Falkowski, Warszawa 2005, s. 241-281.
- Szefer Andrzej, *Akcja „Tannenberg”. Prowokacje hitlerowskie w Głiwicach, Stodolach i Byczynie 31 sierpnia 1939 roku*, Katowice 1983.
- Szefer Andrzej, *Dywersyjno-sabotażowa działalność wrocławskiej Abwehry na ziemiach polskich w przededniu agresji hitlerowskiej w 1939 r.*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce” 1987, nr 32, s. 271-372.
- Szembelc Jan, *Diariusz i teki Jana Szembelca 1935—1945*, red. Józef Zarański, t. 4 (1938-1939), Londyn 1972.

- Tomaszewski Jerzy, *Auftakt zur Vernichtung. Die Vertreibung polnischer Juden aus Deutschland im Jahre 1938*, Osnabrück 2002 (Klio in Polen, t. 10).  
Wyd. pol: *Preludium z głady. Wyznanie Żydów polskich z Niemiec w 1938 r.*, Warszawa 1998.
- Toppe Andreas, *Militär und Kriegsvölkerrecht. Rechtsnorm, Fachdiskurs und Kriegspraxis in Deutschland 1899-1940*, München 2008.
- Trenkner Joachim, *Wieluń, czwarta czterdzięci*, „Tygodnik Powszechny” 1999, nr 36, s. 6—7.
- Trenkner Joachim, *Ziel vernichtet*, „Die Zeit”, nr 7, 6 lutego 2003.
- Treue Wilhelm, *Rede Hitlers vor der deutschen Presse (10. November 1938). Dokumentation*, „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte” 1958, t. 6, nr 2, s. 175-190.
- Uberschär Gerd R., *Der militärische Widerstand, die antijüdischen Maßnahmen, „Polenmorde” und NS-Kriegsverbrechen in den ersten Kriegsjahren (1939—1941)*, w: *NS-Verbrechen und der militärische Widerstand gegen Hitler*, red. tenże, Darmstadt 2000, s. 31—43.
- Umbreit Hans, *Deutsche Militärverwaltungen 1938/39. Die militärische Besetzung der Tschechoslowakei und Polen*, Stuttgart 1977 (Beiträge zur Militär- und Kriegsgeschichte, t. 18).
- Urban Thomas, *Deutsche in Polen. Geschichte und Gegenwart einer Minderheit*, wyd. 3, München 1994 (Beck'sche Reihe, 1012). Wyd. pol.: *Niemcy w Polsce. Historia mniejszości w XX w.*, tłum. Piotr Żwak, Opole 1994.
- Urbanek Joanna, *Lęk i strach. Warszawiacy wobec zagrożenia września 1939 r.*, Warszawa 2009.
- Wagner Eduard, *Der Generalquartiermeister. Briefe und Tagesaufzeichnungen des Generalquartiermeisters des Heeres, General der Artillerie Eduard Wagner*, red. Elisabeth Wagner, München etc. 1963.
- Wegner Bernd, *Hitlers politische Soldaten. Die Waffen-SS 1933—1945. Leitbild, Struktur und Funktion einer nationalsozialistischen Elite*, wyd. 6, Paderborn etc. 1999.
- Wette Wolfram, *Ideologien, Propaganda und Innenpolitik als Voraussetzungen der Kriegspolitik des Dritten Reiches*, w: *Ursachen und Voraussetzungen der deutschen Kriegspolitik*, red. Wilhelm Deist i in., Stuttgart 1979 (Das Deutsche Reich und der Zweite Weltkrieg, t. 1), s. 23-173.
- Wette Wolfram, *Retter in Uniform. Handlungsspielräume im Vernichtungskrieg der Wehrmacht*, Frankfurt am Main 2002.
- Wette Wolfram, *Zivildourage. Empörte, Helfer und Retter aus Wehrmacht, Polizei und SS*, Frankfurt am Main 2004.

- W obiektywie wroga. Niemcy fotoreporterzy w okupowanej Warszawie (1939—1946)*,  
red. Danuta Jackiewicz, Eugeniusz Cezary Król, Warszawa 2008.
- Wojna obronna Polski 1939*, red. Eugeniusz Kozłowski, Warszawa 1979 {*Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej; t. 1*}.
- Wrochem Oliver von, *Erich von Manstein. Vernichtungskrieg und Geschichtspolitik*, Paderborn etc. 2006 (Krieg in der Geschichte, t. 27).
- Wróblewski Bartłomiej P., *Karol Marian Pospieszalski (11.9.1909—19.2.2007)*,  
„Kwartalnik Historyczny” 2008, t. 115, nr 1, s. 157—160.
- Zabierowski Stefan, *Wojna i pamięć*, Katowice 2006.
- Żaróń Piotr, *Armia Andersa*, Toruń 2000.

## Indeks nazwisk

- AJvensleben Ludolf von 163, 170  
Anders Władysław 302  
Andreas-Friedrich Rudi 98
- Balzac Honore de 47  
Bańbor Jan 309  
Bathe Rolf 233  
Becela Tadeusz 122  
Beck Józef 32, 33, 38, 43, 44, 49, 50, 66,  
139, 231  
Beck Ludwig 54  
Best Werner 278  
Beutel Lothar 62, 166  
Bębnilc Grzegorz 151—153, 158  
Bischoff Helmut 164—167, 260  
Blaskowitz Johannes 210, 221, 274  
Bloch Ernst 290  
Blomberg Werner von 34, 229, 290  
Blottner Gerhard 104  
Bock Fedor von 182  
Bodenschatz Karl-Heinrich 279  
Böhler Jochen 10, 11, 16, 62, 167, 243,  
259 '  
Bomhard Adolf von 160  
Borchard Leo (ps. „Andrick Krassnow”)  
97, 98  
Bormann Martin 74, 279  
Bordziej Włodzimierz 309  
Bortnowski Władysław 146  
Braemer Walter 165, 166  
Brandt Karl 279
- Brauchitsch Walther von 49, 68, 250,  
275  
Brody Adrien 13  
Brückner Wilhelm 279  
Bryan Julien 13, 15, 17, 212  
Brylak Stanisław 197  
Buchsbaum Isaak 241  
Buczyńska Halszka (ps. „Nemo”) 208  
Bułhak Jan 308  
Bychowska Maryla 67  
Bychowska Monika 67  
Bychowski Gustaw 67
- Canaris Wilhelm 54, 61, 72, 252, 280,  
282, 289-292  
Chamberlain Neville 38  
Chinciński Tomasz 10  
Chopin Fryderyk 13, 220  
Ciborowski Adolf 308  
Clausewitz Carl von 92  
Cochenhausen Conrad von 224, 226  
Cohn Ernst 102  
Cohn Trudi 102  
Cohn Willy 102  
Cohn Wolfgang (Wölf) Louis 102  
Conrad Norbert 102  
Coulondre Robert 39  
Craushaar Harry von 217  
Curzon George Nathaniel 26  
Czerniaków Adam 216  
Czuma Walerian 217

- D. Ferdinand, żołnierz 191, 192  
 D. Johann, żołnierz 42. Pułku Piechoty 177  
 Daluge Kurt 160  
 Dąbrowski Franciszek 132  
 Dedecius Karl 71  
 Dieterichs Wilfried 293, 309  
 Dietrich Josef (Sepp) 273, 294, 295  
 Dietrich Otto 279  
 Dobrzański Henryk (ps. „Hubal”) 188  
 Dohnanyi Hans von 291  
 Diilffcr Jost 309  
 Dusza Urban 25
- Ebbinghaus Ernst 153, 183  
 Eberhardt Friedrich 136  
 Ehler Erich 238, 309  
 Eichler Horst 163  
 Ernst Jan 87  
 Erzberger Matthias 24  
 Esman Tadeusz 164
- E, żołnierz 42. Pułku Piechoty 198  
 Fechner Walter 172  
 Felber Hans-Gustav 221, 222  
 Fischlib Israel 241  
 Fischotter Alois 258  
 Flamm, dr 97  
 Flisykowski Alfons 134, 136  
 Forster Albert 44, 128, 130, 170  
 Frank Hans 303  
 Freisler Roland 284, 287  
 Friesecke Wilhelm 277  
 Frisch Achim von 229  
 Fritsch Werner von 228-232, 290, 309  
 Froese Franz 162—164  
 Führer zob. Hitler Adolf  
 Fulde Stefan 109
- G. , por. 42. Pułku Piechoty 177  
 Gablenz Eccard von 166  
 Gałczyński Konstanty Ildefons 134  
 Gawłowski Karol 106  
 Głuchowski Janusz 51  
 Goebbels Josef 29, 183, 209, 223, 278, 296, 300  
 Gollwitzer Friedrich 192, 193, 197  
 Golba Kazimierz 153-155, 157, 158  
 Gorbaczow Michail 301  
 Göring Hermann 33, 68, 74, 101, 131, 289  
 Gourary Hirsch 291  
 Grass Günter 138  
 Groscurth Helmuth 54, 55, 274  
 Grynszpan Herschel 46, 47  
 Guderian Heinz 121  
 Guderski Konrad 135, 136  
 Guzy Antoni 80-82
- H. Alfred, żołnierz 42. Pułku Piechoty 177  
 Haider Franz 54, 72, 160, 164, 221, 292  
 Hartmann Christian 56  
 Hasselberg Alfred 245, 247, 256—259, 293  
 Heike Georg 65  
 Heike Otto 66  
 Hellwig Otto 89  
 Henderson Nevile 63  
 Henlein Konrad 36, 38  
 Herzner Hans-Albrecht 84, 85  
 Heska-Kwaśniewicz Krystyna 157, 158  
 Hess Rudolf 98  
 Hessler Heinrich 81  
 Hessler Jakob 80—82  
 Hewel Walter 279  
 Heydrich Reinhard 61, 88, 89, 244, 255, 258, 275, 290, 292

- Himmler Heinrich 36, 48, 60, 61, 63, 85,  
160, 169, 170, 229, 244, 255, 272,  
273, 275, 276, 280, 293
- Hingnoz von, gen. 249
- Hinz, asystent 141
- Hitler Adolf 27-30, 32, 34-36, 38, 39,  
43—45,48,49, 52-54, 63,64,66,67,  
72, 74, 76-80, 82-85, 88, 89, 91, 92,  
94-97, 99, 100, 102, 103, 105, 109,  
128, 130, 131, 139, 140, 145, 169,  
172, 173, 203, 212, 217, 220, 224,  
226, 229, 232, 240, 242, 243, 255,  
265, 267, 273, 275, 278-282, 284,  
290-296,303
- Hoffmann Heinrich 279
- Höhne Heinz 291
- Hollner 96
- Honiok Franciszek 91
- Hoover Herbert C. 288
- Horatzek Johannes 290
- Hosenfeld Wiltn 282, 284, 285
- Hoßbach Friedrich 229
- Hull Cordell 288
- Jankowski Stanislaw 308
- Jastrzębski Włodzimierz 10, 148, 164
- Jaworscy, rodzina 171, 172
- Jelcyn Borys 301
- Jeziorański Zdzisław zob. Nowak-Jezio-  
rański Jan
- Jodl Alfred 279
- Jost Heinz 88
- K. Rudolf, lekarz sztabowy 101. Pułku  
Piechoty 21
- Kaczmarek Ryszard 158
- Kamiński Aleksander (ps. „Juliusz Gó-  
recki”) 157
- Kampe Werner 165
- Kanicka, ofiara zbrodni Wehrmachtu  
w Wyszanowie 195
- Kapp Wolfgang 24
- Kazimierscy, rodzina 11
- Kąkolewski Igor 309
- Keitel Wilhelm 279, 282
- Kempf Werner 272
- Kettenacker Lothar 140
- Kleeberg Franciszek 234
- Kleikamp Gustav 131
- Kleinmichel Bruno 240
- Klemperer Eva 98, 99
- Klemperer Victor 100
- Kölz Carmen 309
- Konrad, rodzina 172
- Köpenick Werner 172
- Kossert Andreas 309
- Koßmann Karl-Richard 278
- Krzywobłódzka Bożena 108
- Küchler Georg von 208, 244, 273
- Kutrzeba Tadeusz 221
- L. Hans, żołnierz 42. Pułku Piechoty  
177
- Lahousen Erwin 89
- Lammers Hans 280
- Langhaeuser Rudolf 277, 278, 282—  
-284
- Lehr-Spławiński Tadeusz 298
- Leo, rodzina 11
- Lewiński Mark von 203, 206
- Liber Aron 241
- Lieb Christa 247
- Liebl Fritz 258, 259
- Lipinsky Jan 78
- Lipski Józef 43, 44, 49, 83
- Lisiecka Sława 71
- List Wilhelm 250, 253
- Lochner Louis P. 182

- Lölgen Jakob 163  
Lupprian Erich 171, 172
- M. Hans, żołnierz 42. Pułku Piechoty<sup>1</sup> 178
- Maćkowski Josef 112  
Makles Jacek 197  
Mallmann Klaus-Michael 10, 62, 167, 259, 309  
Manscein Erich von 254  
Martin Hans (ps. „Hans Nitram“) 28, 29  
Mastalerz Kazimierz 121  
Matthäus Jürgen 10, 62, 167, 259  
Meyer, esesman 96  
Michoń Jan 135, 136  
Młynarczyk Jacek Andrzej 303, 309  
Moczulski Leszek <sup>10</sup>  
Moltke Hans-Adolf von 51  
Mołotow Wiaczesław 77-79, 244  
Moral, radca sądu rejonowego 98  
Moreli Theodor 279  
Moschko Edmund Vincent 25  
Müller Bruno 298  
Müller Gertrud 141  
Müller Klaus-Jürgen 76  
Müller-John Ernst 273, 294  
Mülverstedt Artur 166  
Mussolini Benito 30  
Mylius Paul 259
- Natzmer Olwig von 125  
Neuling Ferdinand 153  
Neumann Karl 81  
Neurath Konstantin Freiherr von 28, 43  
Nitram Hans zob. Martin Hans  
Nordheim Heinrich von 268, 270  
Nowak Robert 309  
Nowak-Jeziorański Jan (Zdzisław Jeziorański) 224, 303
- Olczak-Ronikier Joanna 68  
Olejniak Tadeusz 126  
Oster Hans 290-292
- Paśliccy, rodzina 277  
Pell Robert T. 288, 289  
Piłsudski Józef 25, 28, 30, 32, 38  
Polański Roman 13, 307  
Pospieszalski Karol Marian 189—191, 194  
Putin Władimir 79, 301
- Rastawiecki-Trzos Andrzej zob. Trzos-  
-Rastawiecki Andrzej  
Rath Ernst vom 47  
Rathenau Walter 24  
Regulska Halina 139, 209, 215  
Reich-Ranicki Marcel 47, 237  
Reichenau Walter von 182, 224, 272  
Reischock Wolfgang 297  
Ribbentrop Joachim von 43, 44, 49, 77—  
-79, 244, 279-281  
Richthofen Wolfram von 128, 209, 210  
Riefenstahl Leni 225, 232, 240  
Ringelblum Emanuel 237  
Rommel Erwin 279  
Roosevelt Franklin D. 288  
Rosenhagen, por. 230, 232  
Rotfels Hans 228  
Rómmel Juliusz 209, 212, 224  
Rózewicz Stanisław 138  
Rundstedt Gerd von 278  
Rux Karl-Heinz 162  
Rydz-Smigły Edward zob. Śmigły-Rydz  
Edward
- S. Fritz, żołnierz 42. Pułku Piechoty 180  
Samsonowicz Henryk 309  
Schäfer Emanuel 277

- Schamberger baron 106  
 Schenk Dieter 138  
 Schindler Oskar 305  
 Schmidt-Richenberg Erich 253  
 Schmundt Rudolf 279  
 Schneersohn Josef Icchak 287, 288, 290, 291  
 Schröder Gerhard 79  
 Schubert Günter 148  
 Schulz Harry 170, 172  
 Schwerin von Schwanefeld Ulrich-Wilhelm 284, 286, 287  
 Seeckt Hans von 26  
 Seehafer Hermann 171, 172  
 Shirer William L. 69  
 Sikora Franciszek 195  
 Sikorski Radosław 79  
 Simmet, dowódca pododdziału 3. kompanii zmotoryzowanej 10. batalionu saperów 195, 196  
 Slutsch Sergej 56  
 Słoma Marian 251  
 Speer Albert 74  
 Splawiński-Lehr Tadeusz zob. Lehr-Splawiński Tadeusz  
 Staemmler Siegfried 142  
 Stalin Józef 77-79, 109, 158, 300, 301  
 Stange Hans 251  
 Starzyński Stefan 15, 216—219  
 Stępniakowi, ofiara zbrodni Wehrmachtu w Wyszanowie 195  
 Stieff Helmuth 228  
 Streccius Alfred 249  
 Streckenbach Bruno 244  
 Sucharski Henryk 132  
 Suski Julian 141  
 Szatyn Bronisław 252  
 Szczepański Jan Józef 123  
 Szefer Andrzej 151, 152, 158  
 Szewczyk Wilhelm 6  
 Szludliński Jan 69  
 Szlucha Henryk 107  
 Szpilman Helena 180  
 Szpilman Władysław 13, 220, 284, 307  
 Szyszkowie, rodzina 194, 195  
 Śmigły-Rydz Edward 50, 139, 150, 209, 303  
 Tarnowski Georg 102  
 Tomanek Emanuel 152  
 Tomaszewski Jerzy 48  
 Trenkner Joachim 126  
 Trzos-Rastawiecki Andrzej 218  
 Tuch Erich 96  
 Turnau Jan 276  
 Tusk Donald 10  
 Ueberschär Gerd R. 292  
 Urbanek Joanna Ewa 215, 309  
 Vogel, piekarz 100  
 Wagner Eduard 61, 160, 202, 244  
 Wajda Andrzej 121, 301  
 Wałęsa Lech 301  
 Wardzyńska Maria 10  
 Warnecke, radca sądowy 170  
 Wąsik Józef 136  
 Weicker Hans 198, 199  
 Weinrich Knut 9  
 Weizsäcker Ernst von 78  
 Weizsäcker Eleinrich von 110  
 Weizsäcker Richard von 78, 110  
 Welles Orson 29  
 Wenger, konsul 144  
 Werner van Benthem Barbara 309  
 Wesołowski Andrzej 309



Wessel Walter 206

Weyrosta Claus 101

Wilson Thomas Woodrow 39

Wiślicki Michał 249

Witte, żołnierz 102. Pułku Piechoty  
199

Wohltat Helmuth 289

Wolff Karl 279

Woś Stanisława 194

Woyrsch Udo von 235, 244, 245, 247,  
249, 253

Wójcik, była mieszkanka Torzeńca 197

Wójcik Weronika 197

Wróbel Janusz 10

## Spis ilustracji:

- s. 14 - Narodowe Archiwum Cyfrowe
- s. 17 - Narodowe Archiwum Cyfrowe
- s. 23 - Bildarchiv BPK/BE&W
- s. 33 - Bundesarchiv, Bild F05 169-0037/ Fot. Lothar Schaack
- s. 37 - Narodowe Archiwum Cyfrowe
- s.70 - Narodowe Archiwum Cyfrowe
- s.73 - Bundesarchiv, Bild 183-2003-0818-501/ Fot. Hartmann
- s. 75 - Bildarchiv BPK/ Bayerische Staatsbibliothek /BE&W/ Fot. Heinrich Hoffmann
- s. 86 - Narodowe Archiwum Cyfrowe
- s. 90 - Muzeum w Gliwicach
- s. 95 - Bildarchiv BPK/BE8cW
- s. 127 - Muzeum Ziemi Wieluńskiej
- s. 133 - Bildarchiv BPK/BE8cW
- s. 137 - Narodowe Archiwum Cyfrowe
- s. 147 - Narodowe Archiwum Cyfrowe
- s. 155 - K. Golba, *Wieża spadochronowa. Harcerze śląscy we wrześniu 1939*, Katowice 1983
- s.156 - Bundesarchiv, RH 26-239/3
- s. 168 - United States Holocaust Memorial Museum
- s. 179 - United States Holocaust Memorial Museum, courtesy of B. Ashley Grimes II
- s. 181 - United States Holocaust Memorial Museum, courtesy of B. Ashley Grimes II
- s. 184 - Bundesarchiv, RH 53-18/130
- s, 185 - Bundesarchiv, RH 53-18/128
- s. 187 - Bundesarchiv, RH 53-18/135
- s .200 - Zbiory prywatne
- s. 201 - Zbiory prywatne
- s .204 - Narodowe Archiwum Cyfrowe

- s. 205 - Narodowe Archiwum Cyfrowe
- s. 211 - Narodowe Archiwum Cyfrowe
- s. 213 - Narodowe Archiwum Cyfrowe
- s. 214 - Bundesarchiv, Bild 101I-001-0251-22/ Fot. Schulze
- s. 219 - Fot. Zbigniew Pomask, reprodukcja z *Archiwum Prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego*, red. nauk. M.M. Drozdowski, Warszawa 2004, il. 7
- s. 225 - Bundesarchiv, Bild 146-1982-023-28A/ Fot. Mensing
- s. 231 - Narodowe Archiwum Cyfrowe
- s. 236 - United States Holocaust Memorial Museum
- s. 239 - United States Holocaust Memorial Museum, courtesy of Mary Jane Farley
- s. 246 - Bundesarchiv, Bild 101I-380-0069-37/ Fot. Lifta
- s. 248 - Bundesarchiv, RH 53-18/136
- s. 281 - Bildarchiv BPK/BE&W/ Fot. Helmut Laux
- s. 283 - Zbiory prywatne
- s- 285 - Archiwum prywatne rodziny Hosenfeldów
- s. 286 - Bundesarchiv, Bild 151-19-35/ Fot. O.Ang.
- s- 295 - Archiwum Wilfrieda Dieterichsa
- s-308 - Fot. J. Bułhak, w: Stanisław Jańkowski, Adolf Ciborowski, *Warszawa* 1945  
*i dziś*, Warszawa 1971, s. 66

††††††††††  
VA\*  
UNIV. [qC], 73]

CRACOVILHV'S